

Strona Guermites, część druga





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Strona Guermantes

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Choroba babki. Choroba Bergotte'a. Księżę i lekarz. Ostatnie chwile babki i jej śmierć.

Przebyliśmy avenue Gabriel w tłumie przechodniów. Posadziłem babkę na ławce i poszedłem po fiakra. Ona, w której serce wnikałem zawsze, aby osądzić najmniej znaczącą osobę, była teraz dla mnie zamknięta, stała się częścią zewnętrznego świata. Bardziej niż przed lada przechodniem musiałem tać przed nią to, co myślę o jej stanie, tać przed nią swój niepokój. Nie mógłbym z nią mówić o tym szczerzej niż z obcą osobą. Zwróciła mi oto myśli, zgrzyzoty, które od czasu dzieciństwa powierzyłem jej na zawsze. Nie umarła jeszcze. Byłem już sam. I nawet te aluzje, jakie robiła do Guermantów, do Moliera, do naszych rozmów o „paczce” Verdurinów, zdawały się czymś bez oparcia, bez przyczyny, czymś fantastycznym, bo wychodziły z nicości tego samego jestestwa, które — jutro może — nie miało już istnieć, dla którego słowa te nie będą już miały żadnego sensu — z owej niezdolnej ich pojąć nicości, jaką będzie moja babka niebawem.

— Drogi panie, zapewne, owszem, ale pan nie zamówił godziny, nie ma pan numeru. Zresztą to nie jest mój dzień przyjęć. Państwo muszą mieć swojego lekarza. Ja nie mogę mu wchodzić w drogę, o ile mnie nie wezwie na konsylium. To kwestia etyki lekarskiej...

W chwili gdy m kiwał na fiakra, spotkałem sławnego profesora E..., niemal przyjaciela mego ojca i dziadka, w każdym razie dobrego ich znajomego, który mieszkał przy avenue Gabriel. Wiedziony nagłym natchnieniem, zatrzymałem go w chwili, gdy wracał, i pomyślałem, że mógłby być znakomitą pomocą babce. Ale on, spiesząc się, wzięwszy swoją pocztę, chciał mnie splawić; mogłem z nim mówić jedynie w windzie. Prosił, abym mu zostawił manipulację guzikami, to była jego mania.

— Ale, panie profesorze, ja pana nie proszę, żeby pan przyjął babkę, zrozumie pan z tego, co panu powiem, że stan jej nie pozwoliłby... Przeciwnie, ja pana proszę, żeby pan zechciał zająć do nas za pół godziny, kiedy ona wróci.

— Zająć do państwa, ależ, drogi panie, niepodobieństwo! Mam obiad u ministra handlu, muszę przedtem odbyć jedną wizytę, zaraz się muszę ubierać; na dobitkę frak mi się rozdarł, a drugi nie ma tasienki na ordery. Proszę pana, niech pan będzie tak dobry nie ruszać windy, nie umie pan manipulować, trzeba być ostrożnym w takich rzeczach. Spóźnię się przez ten frak! Wreszcie, przez przyjaźń dla pańskiej rodziny, gdyby babka pańska zaraz tu przyszła, przyjąłbym ją. Ale uprzedzam, że nie mogę jej ofiarować więcej niż kwadrans.

Wróciłem natychmiast, nie wysiadając nawet z windy, którą profesor E... osobiście spuścił na dół, przyjrawszy mi się z nieufnością.

Powiadamy wszyscy, że godzina śmierci jest niepewna, ale kiedy to mówimy, wyobrażamy sobie tę godzinę jak gdyby w mglistej i odległej przestrzeni; nie myślimy, aby miała jakikolwiek związek z zaczętym już dniem i aby mogła znaczyć, że śmierć — lub pierwsze jej częściowe objęcie nas w posiadanie, po którym już nas nie wypuści — mogłoby nastąpić tegoż samego popołudnia, tak określonego, tego popołudnia, w którym plan wszystkich godzin jest wytyczony z góry. Przestrzegamy zwykłej przechadzki, aby mieć w ciągu miesiąca ogólną sumę świeżego powietrza; wahamy się, jaki wziąć płaszcz, jakiego fiakra, sadowimy się, dzień cały jest przed nami — krótki, bo chcemy wrócić na czas z powodu jakiejś schadzki, chcielibyśmy, aby nazajutrz było równie ładnie, i nie domyślamy się, że śmierć, posuwająca się w nas na innej płaszczyźnie, w nieprzeniknionym mroku, wybrała właśnie ten dzień, aby wstąpić na scenę, za kilka minut, bez mała w chwili gdy powóz wjedzie na Pola Elizejskie. Może ci, których zazwyczaj oblega groza dziwności związanej ze śmiercią, znajdują coś uspokajającego w tym rodzaju śmierci — w tym rodzaju pierwszego z nią kontaktu — bo śmierć staje się w ten sposób czymś jakby znanym, poufałym, codziennym. Poprzedziło ją dobre śniadanie, spacer — taki sam, jaki odbywa wielu zdrowych. Powrót otwartym powozem następuje po pierwszym jej zamachu; mimo groźnego stanu babki ostatecznie wiele osób mogłoby powiedzieć, że

o szóstej, kiedyśmy wracali z Pól Elizejskich, kłaniali się jej, widząc ją w cudną pogodę, w otwartym powozie. Legrandin, który szedł w stronę placu Zgody, uklonił się nam, przystając zdziwiony. Ja, który nie byłem jeszcze oderwany od życia, spytałem babki, czy mu się odkloniła, zwracając jej uwagę, że on jest drażliwy. Ale babka, uważając zapewne, że jestem bardzo dziecinny, podniosła rękę, jak gdyby mówiąc: „Cóż to wszystko znaczy? To nie ma żadnego znaczenia”.

Tak, można by powiedzieć, że podczas gdy ja szukałem fiakra, babka siedziała na ławce w avenue Gabriel; że trochę później jechała otwartym powozem. Ale czyby to była prawda? Na to, aby stać w alei, ławka — mimo że i ona podlega pewnym warunkom równowagi — nie potrzebuje energii. Ale, aby żywa istota była czymś stałym — nawet oparta na ławce lub w powozie — trzeba napięcia sił, którego nie czujemy zwykle, tak samo jak nie czujemy ciśnienia atmosfery, dlatego że działa ze wszystkich stron. Gdyby w nas uczynić próżnię i poddać nas ciśnieniu powietrza, wówczas przez chwilę poprzedzającą nasze zniweczenie, uczulibyśmy może straszliwy ciężar niezrównoważony niczym. Tak samo kiedy się w nas otwierają otchłanie choroby i śmierci i kiedy nie możemy już nic przeciwstawić zgiełkowi, z jakim świat i nasze własne ciało rzucają się na nas, wówczas wytrzymać nawet ciężar naszych mięśni, nawet dreszcz pustoszący nasz szpik, wówczas nawet trwać nieruchomo w pozycji, którą uważamy zazwyczaj za czysto bierną, to — o ile chcemy, aby głowa trzymała się prosto, a spojrzenie zachowało spokój — wymaga nakładu energii i staje się przedmiotem wyczerpującej walki.

I jeżeli Legrandin przyjrzał się nam zdziwiony, to dlatego że jemu, jak innym przechodniom, w tym fiakrze, w którym babka na pozór siedziała, wydała się ona czymś zapadającym się, osuwającym się w przepaść; czepiająca się rozpaczliwie poduszek, które ledwie mogły przytrzymać jej walące się ciało, z włosami w nieładzie, z błędnym wzrokiem, niezdolna już stawić czoła naporowi obrazów, których nie mogła przyjąć jej żrenica. Była, mimo iż siedząc koło mnie, zanurzona w owym nieznanym świetle, gdzie już doznała ciosów, których ślady nosiła, kiedy ją ujrzał przed chwilą na Polach Elizejskich, gdy jej kapelusz, jej twarz, jej płaszcz nosiły ślady ręki niewidzialnego anioła, z którym stoczyła walkę. Myślałem później, że ten atak nie musiał całkowicie zaskoczyć babki, że może przewidziała go długo naprzód, że żyła w jego oczekiwaniu. Oczywiście, nie wiedziała, kiedy ta fatalna chwila przyjdzie; niepewna, podobna w tym do kochanków, którym tego samego rodzaju wątpliwość każe na przemian snuć niedorzeczne nadzieje i nieusprawiedliwione posądzenia na temat wierności ich lubej. Ale rzadko się zdarza, aby owe wielkie choroby — jak ta, która wreszcie ugodziła babkę wprost — nie zamieszkały na długo wprzód w chorym, zanim go zabiją, i aby w tym okresie nie nawiązały z nim rychło znajomości, niby towarzyski sąsiad lub lokator. Straszliwa to znajomość, nie tyle przez cierpienie, jakie sprawia, ile przez niesamowitą nowość ostatecznych ograniczeń, jakie nakłada życiu. Człowiek ogląda wówczas swoją śmierć nie w samej chwili śmierci, ale na miesiąc, czasem na lata naprzód, od czasu jej ohydneho w nas zamieszkania. Chora zapoznaje się z tym obcym, którego słyszy przechadzającego się po swoim mózgu. Zapewne, nie zna go z widzenia, ale z ciągłych hałasów wnosi o jego obyczajach. Czy to złoczyńca? Pewnego rana nie słyszy go już. Poszedł. Och! gdybyż na zawsze! Wieczorem — wrócił. Co on ma za zamiary? Domowy lekarz, poddany śledztwu niby ubóstwiana kochanka, odpowiada zapewnieniami, którym jednego dnia się wierzy, innego nie. Zresztą lekarz ma tutaj rolę nie tyle kochanki, ile rolę badanych służących. To są tylko „osoby trzecie”. Istotą, którą przyciskamy do muru, którą podejrzewamy o gotowość zdrady, jest samo życie; i — mimo iż czujemy, że ono nie jest już to samo — wierzymy w nie jeszcze, czepiamy się bodaj wątpliwości, aż do dnia, w którym nas wreszcie opuści.

Wsadziłem babkę do windy; po chwili wyszedł profesor i wpuścił nas do gabinetu. Ale tam, mimo całego pośpiechu, szorstki wyraz twarzy lekarza zmienił się; tak bardzo mocne są przyzwyczajenia, on zaś miał zwyczaj być miły, nawet jowialny z chorymi. Wiedząc, że babka jest bardzo czytana (jak i on), zaczął jej przez parę minut recytować piękne wiersze o promiennym lecie, które właśnie było. Posadził chorą w fotelu, sam siadając pod światło, aby ją dobrze widzieć. Badał ją drobiazgowo, kazał mi nawet wyjść na chwilę. Jeszcze badał, po czym — mimo iż kwadrans dobiegał końca — znów zaczął częstować babkę cytatami. Rzucił nawet parę wcale dowcipnych żarcików, które byłbym wolał usłyszeć innego dnia,

Choroba, Śmierć

ale których ton uspokoił mnie kompletnie. Przypomniałem sobie, że Fallières¹, prezydent senatu, miał przed wielu laty fałszywy atak; że, ku rozpaczy swoich współzawodników, wrócił w trzy dni potem do zwykłych funkcji i gotował się, jak mówiono, kandydować w nieokreślonej przyszłości na prezydenta Republiki. Ufność moja w rychłe wyzdrowienie babki była tym pełniejsza, ile że w chwili gdym sobie przypomniał przykład pana Fallières, wyrwał mnie z moich myśli szczerzy wybuch śmiechu, którym profesor E... zakończył jakąś anegdotę. Po czym wyciągnął zegarek, zmarszczył nerwowo brwi, widząc, że się spóźnił o pięć minut, i żegnając się z nami, zadzwonił, aby mu natychmiast podano frak. Puściłem babkę przodem, zamknąłem drzwi i prosiłem uczzonego, żeby mi powiedział prawdę.

— Pańska babka jest stracona — rzekł. — Atak uremii². Sama w sobie uremia nie jest absolutnie śmiertelna, ale ten wypadek wydaje mi się rozpaczliwy. Nie potrzebuję panu mówić, iż pragnąłbym się mylić. Zresztą, mając doktora Cottard, jesteście państwo w wybornych rękach. Daruje mi pan — rzekł, widząc pokojówkę niosącą jego frak. — Mówiłem panu, że mam obiad u ministra, przedtem jeszcze wizytę. Ha! W życiu nie stąpamy po samych różach, jak się mniema w pańskim wieku.

I podał mi uprzejmie rękę. Zamknąłem drzwi, lokaj przeprowadził mnie wraz z babką, kiedy usłyszeliśmy głośnie wybuchy gniewu. Pokojówka zapomniała przyszyć tasiemkę na ordery. To znów potrwa dziesięć minut! Profesor grzmiał jeszcze, gdy ja patrzyłem w progu na babkę — straconą. Wszelka istota jest bardzo samotna. Pojechaliśmy do domu.

Słońce miało się ku schyłkowi, rozplómiętało niekończący się mur, wzdłuż którego fiakier jechał, zanim skręcił w naszą ulicę. Rzucony przez zachodzące słońce cień konia i powozu odcinał się czarno na rdzawym tle, niby wóz żałobny na pompejańskiej³ terakocie⁴. Wreszcie przybyliśmy. Posadziłem chorą na dole w sieni i poszedłem uprzedzić matkę. Powiedziałem, że babce zrobiło się trochę niedobrze, zawrót głowy. Od pierwszych słów, twarz matki dosięgła paroksyzmu rozpaczy, ale tak już zrezygnowanej, iż zrozumiałem, że od lat miała ją w sobie w pogotowiu na niepewny dzień katastrofy. Nie pytała o nic; można by rzec, iż tak samo jak złość lubi przesadzać cierpienia drugich, tak ona przez czułość nie chciała dopuścić, aby stan matki był groźny, a zwłaszcza aby mógł dotknąć władz myśli. Mama drżała, twarz jej płakała bez łez; zawołała, aby posłano po lekarza, ale kiedy Franciszka spytała, kto jest chory, matka nie mogła odpowiedzieć, głos uwiązał jej w gardle. Zeszła, biegnąc ze mną, tamując łkanie, które marszczyło jej twarz.

Babka czekała na kanapce w sieni, ale kiedy nas usłyszała, wstała, wyprostowała się, zaczęła do mamy wesoło kiwać ręką. Owinąłem jej głowę białą koronką, mówiąc, że to dlatego, żeby się nie zaziębiła na schodach. Nie chciałem, aby matka zbyt wyraźnie zauważyła zmianę twarzy, skrzywienie ust. Ale ostrożność moja była daremna; matka zbliżyła się do babki, ucałowała jej rękę jak rękę swego Boga, podtrzymała ją, przydźwigała ją aż do windy, z nieskończonymi ostrożnościami, w których, obok obawy niezręczności i sprawienia jej bólu, była pokora istoty jakby niegodnej dotknąć czegoś najcenniejszego. Ale ani razu nie podniosła oczu, nie popatrzyła w twarz chorej. Może dlatego, aby babka nie zasmuciła się myślą, że jej widok mógł zaniepokoić córkę. Może przez lęk przed bólem zbyt silnym, z którym nie miała odwagi się zmierzyć. Może i przez szacunek, bo nie sądziła, aby jej wolno było bez świętokradztwa stwierdzić jakiś ślad upośledzenia umysłowego na tej uwielbionej twarzy. Może, aby zachować nietknięty obraz prawdziwej twarzy swej matki, promieniejący rozumem i dobrocią. Toteż jechały w górę, siedząc obok siebie, babka w półzakrytej mantylką, matka odwracając oczy.

Była natomiast przez ten czas inna osoba, niespuszczająca oczu ze zmienionej twarzy babki, w którą córka nie miała spojrzeć; osoba wlepiająca w tę twarz osłupiałe, niedyskretne i złowróżbne spojrzenie: była nią Franciszka. Nie znaczy to, aby nie kochała

¹Fallières, Armand (1841–1931) — francuski polityk, prezydent Senatu (od 1899), premier (1883) i prezydent Francji (1906–1913). [przypis edytorski]

²uremia (med.) — mocznica, stan zatrucia organizmu produktami przemiany materii (m.in. mocznikiem) jako przejaw zaawansowanej niewydolności nerek. [przypis edytorski]

³pompejański — pochodzący z Pompejów, staroż. rzymskiego miasta zasypanego pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 n.e., szerzej znanego dzięki wykopaliskom prowadzonym systematycznie od 1869. [przypis edytorski]

⁴terakota — wyroby z oczyszczonej i wypalanej gliny, zwykle figurki lub ozdobne płytki. [przypis edytorski]

szczerze babki (sprawił jej nawet zawód, niemal zgorszył ją chłód mamy, która, wedle niej, powinna by się rzucić z płaczem w ramiona matki), ale miała wrodzoną skłonność widzenia wszystkiego z najgorszej strony. Zachowała z dzieciństwa dwie właściwości, które powinny by się wykluczać, ale które kiedy się spotkają z sobą, wzmacniają się wzajem: prostactwo chłopów, którzy nie starają się ukryć wrażeń, nawet przerażenia, obudzonego w nich widokiem zmian fizycznych, których delikatniej byłoby nie zauważyć, i nieczułą srogość wieśniaczki, obrywającej skrzydła ważkom, zanim będzie miała sposobność skręcać szyję kurczętom, i nieposiadającej wstydlivosti, która by jej kazała ukryć ciekawość cudzego cierpienia.

Kiedy dzięki niezrównanym staraniom Franciszki babka znalazła się w łóżku, uczuła, że mówi o wiele swobodniej. Naddarcie lub zatkanie naczynia, spowodowane uremią, musiało być bardzo lekkie. Wówczas babka pomyślała o mamie, chciała jej być pomocą w najokrutniejszych chwilach, jakich zaznała w życiu.

— No cóż, dziecko — rzekła, biorąc ją za rękę, drugą zaś ręką zasłaniając usta, aby tym upozorować lekką trudność, jakiej doznawała jeszcze, wymawiając pewne wyrazy — więc ty tak żałujesz matki! Myślisz, że to przyjemna rzecz taka niestrawność?

Wówczas po raz pierwszy oczy matki wpiły się namiętnie w oczy babki, nie chcąc widzieć reszty twarzy. Otwierając listę owych fałszywych zakłęb, których nie możemy dotrzymać, matka rzekła:

— Mamo, będziesz niedługo zdrowa, córka ci za to ręczy.

I wkładając swoją najsilniejszą miłość, całą swoją wolę wrócenia matce zdrowia w pocałunek, któremu powierzyła tę miłość i tę wolę i któremu towarzyszyła swoją myślą, całym swoim jestestwem aż po kraniec warg, złożyła pokornie i nabożnie ten pocałunek na ubóstwianym czole.

Babka skarżyła się na zator kołder, wciąż tworzący się uparcie z tej samej strony na lewej nodze. Ale nie zdawała sobie sprawy, że to ona sama jest tego przyczyną, tak iż co dzień niesłusznie winiła Franciszkę, że źle prześcieliła łóżko. Konwulsyjnym ruchem odrzucała na tę stronę całą falę pieniających się koców z cienkiej wełny, które się tam gromadziły niby piasek w zatoce, bardzo szybko zamulonej (o ile się nie zbuduje tamy) ciągłym osadem przyplywu.

Matka i ja (kłamstwo nasze natychmiast odgadła Franciszka, przenikliwa i brutalna) nie chcieliśmy nawet mówić, że babka jest bardzo chora, jak gdyby to mogło zrobić przyjemność wrogom, których zresztą nie miała, i jakby czulej było sądzić, że nie jest z nią tak źle. Był to ten sam instynkt, który kazał mi przypuszczać, iż Anna zanadto boleje nad Albertyną, aby ją miała bardzo kochać. Te same zjawiska powtarzają się w wielkich momentach, zarówno w poszczególnych osobach, jak w masach. W czasie wojny ktoś, kto nie kocha swojego kraju, nie mówi o nim źle, ale wierzy w jego klęskę, boleje nad nim, widzi rzeczy czarno.

Franciszka oddawała nam nieskończone usługi dzięki swojej zdolności obywatela się bez snu, dopełniania najcięższych robót. Kiedy się poszła położyć po kilku nieprzespanych nocach, jeżeli trzeba ją było wołać w kwadrans po tym, jak zasnęła, była tak szczęśliwa, że może robić rzeczy uciążliwe niby coś najprostszego w świecie, iż bez najmniejszego szemrania okazywała tylko pełne skromności zadowolenie. Jedynie kiedy przyszła godzina mszy i pierwszego śniadania, wówczas, choćby nawet babka konała, Franciszka wymknęłaby się w porę, aby się nie spóźnić. Młody służący, przydany jej do posługi, nie mógłby jej zastąpić, zresztą nie zgodziłaby się na to. To pewne, że Franciszka wyniosła z Combray bardzo wysokie pojęcie o obowiązkach każdego wobec nas; nie zniosłaby, aby któryś z naszych ludzi „chybił” nam. Zrobiło to z niej tak szlachetną, tak władczą i skuteczną wychowawczynię, że nie zdarzył się u nas służący na tyle zepsuty, aby szybko nie zmienił i nie oczyścił swoich pojęć o życiu aż do tego stopnia, że wyrzekł się „koszykowego” i rzucał się — choćby przedtem był najmniej usłużny — aby mi wziąć z ręki lada paczkę i nie dać mi się męczyć. Ale równocześnie Franciszka nabyła w Combray przeniesionego później do Paryża zwyczaju nieznoszenia żadnego pomocnika w swojej pracy. Wszelka pomoc zdawała się jej ubliżeniem. Czasem przez całe tygodnie służący nie uzyskał od niej odpowiedzi na ranne dzień dobry, czasem zgoła wyjechał na wakacje bez jej pożegnania, nie mogąc zgadnąć czemu; a w istocie z tej jednej przyczyny, że któregoś dnia, kiedy Franciszka była niezdrowa, chciał odrobić za nią trochę roboty.

Obecnie, kiedy babka była tak chora, robota tym bardziej zdawała się Franciszce jej własnością. Niby primadonna, nie dałaby sobie odebrać roli w te galowe dni. Toteż młody służący, usuwany przez nią, nie wiedział, co robić, i nie poprzestając na tym, że czerpał, jak Wiktor, papier listowy z mojego biurka, zaczął jeszcze zabierać tomy poezji z mojej biblioteki. Czytał je po całych dniach przez podziw dla poetów, co je ułożyli, ale także po to, aby przez resztę czasu zdobić cytatami listy do przyjaciół na wsi. Z pewnością zamierzał olśnić ich w ten sposób. Ale ponieważ był niezbyt rozgarnięty, ubrdał sobie, że te znalezione w mojej bibliotece poematy są czymś powszechnie znanym, na co można się powoływać. Tak iż pisząc do tych chłopków, których zdumieniem z góry się cieszył, własne refleksje przeplatał wierszami Lamartine'a, tak jakby mówił „pomogaj, Boże” lub zgoła „Dzień dobry”.

Z powodu bólów pozwolono dać babce morfinę. Nieszczęściem, uśmierając bóle, morfina zwiększała równocześnie ilość białka. Ciosy, które wymierzaliśmy w chorobę zamieszkałą w babce, trafiały zawsze fałszywie; to ona, to jej biedne ciało otrzymywało je, przy czym ona odpowiadała na nie jedynie słabym jękiem. A bólów, któreśmy jej sprawiali, nie przeciwważyła ulga, której nie mogliśmy jej przynieść. Zaledwie się nam udało musnąć okrutne cierpienie, które byśmy w niej chcieli zniweczyć; przywodziliśmy je tylko do tym większej wściekłości, przyspieszając może godzinę, w której branka stanie się jego pastwą. W dni, w które ilość białka była zbyt znaczna, Cottard po chwili wahania odmawiał morfiny. U tego tak mało inteligentnego, tak przeciętnego człowieka, w tych krótkich chwilach, kiedy się zastanawiał, kiedy wahał się nad bezpieczeństwem dwóch sposobów leczenia, aby się zatrzymać przy jednym, było coś z wielkości wodza, który, pospolity we wszelkiej innej sferze, jest wielkim strategiem i w groźnym momencie, pomyślawszy chwilę, decyduje się na to, co skuteczniejsze, mówiąc: „Przegrupować się na wschód”.

Z lekarskiego punktu widzenia, mimo iż mało było nadziei przecięcia ataku uremii, nie trzeba było nużyć nerek. Ale z drugiej strony, kiedy babce nie dano morfiny, bóle stawały się nie do zniesienia; powtarzała bez końca pewien ruch, który trudno jej było wykonać bez jęku. Cierpienie bywa przeważnie funkcją organizmu uświadamiającego sobie nowy stan, który go niepokoi, dostrajającego swoją wrażliwość do tego stanu. Można stwierdzić tę genezę bólu na wypadkach dolegliwości, które niejednako dokuczają każdemu. Do pokoju pełnego cuchnącego dymu dwaj mało wrażliwi ludzie wejdą i będą funkcjonowali normalnie; trzeci, delikatniejszy z natury, będzie zdradzał nieustający niepokój. Nozdrza jego nie przestaną chwycić niespokojnie zapachu, którego — zdawałoby się — powinien by próbować nie czuć, a który będzie się starał za każdym razem dostosować, przez ściślejsze jego poznanie, do swego urażonego zmysłu powonienia. Stąd pochodzi z pewnością, że żywe zaabsorbowanie czymś każe zapomnieć o bólu zębów. Kiedy babka tak cierpiała, pot spływał po jej wielkim sinym czole, zlepiając białe kosmyki włosów. Kiedy myślała, że nas nie ma w pokoju, krzyczała: „Och, to straszne!”, ale kiedy spostrzegła matkę, natychmiast obracała całą energię na to, aby usunąć z twarzy ślady bólu, lub — przeciwnie — powtarzała tę samą skargę, z towarzyszeniem komentarzy, dających wstecz inny sens słowom dosłyszczanym przez matkę.

— Och, tak, dziecko, to straszne musieć leżeć w ten piękny czas, kiedy by się chciało iść na spacer. Do rozpaczy mnie doprowadzają wasze zakazy!

Ale nie mogła powściągnąć jęku swoich spojrzeń, potu na czole oraz konwulsyjnego, mimo iż natychmiast powściąganego drgania członków.

— Nie boli mnie; skarżę się, bo tak mi źle leżeć, czuję, że mam włosy nie w porządku, nudzi mnie, uderzyłam się o ścianę.

A u stóp łóżka matka, przykuta do tego cierpienia, tak jakby, przesywając spojrzeniem to bolesne czoło, to ciało, które tailo chorobę, miała w końcu dosięgnąć ją i usunąć — matka mówiła:

— Nie, mamusiu droga, nie pozwolimy ci tak cierpieć, znajdziemy coś, bądź cierpliwa przez chwilę, czy pozwolisz się ucałować, ale tak, żebyś się nie ruszała?

I pochylona nad łóżkiem, z uginającymi się nogami, wpół kłęcząc, jak gdyby w tej kornej postawie skuteczniej mogła ziszczyć żarliwy dar siebie samej, pochylała ku babce całe własne życie w swojej twarzy niby w cyborium⁵, które jej podawała, zdobne płaskorzeźbą

⁵cyborium — naczynie w kształcie puszeki lub kielicha, służące do przechowywania hostii. [przypis edytorski]

bruzd i fałdów tak namiętych, tak zrozpaczonych, a tak słodkich, że nie wiedziało się, czy je tam wyzlubiło dłuto pocałunku, łkania czy uśmiechu. I babka próbowała zbliżyć do mamy twarz. Była tak zmieniona, że gdyby miała siłę wyjść z domu, poznano by ją chyba po piórze na kapeluszu. Rysy jej, jakby pod ręką rzeźbiarza, siliły się niejako — wysiłkiem odwracającym ją od wszystkiego innego — dostroić do jakiegoś nieznanego nam modelu. Ta praca rzeźbiarza dobiegała końca; twarz babki zmniejszyła się, a równocześnie stwardniała. Przebiegające ją żyły robiły wrażenie nie marmuru, ale jakiegoś bardziej chropawego kamienia. Wciąż pochylona ku przodowi wskutek trudności oddychania, a równocześnie skurczona w sobie od zmęczenia, twarz jej, zniszczona, zmaląła, okrutnie wyrazista, podobna była do prymitywnej, niemal przedhistorycznej rzeźby i w rzeźbie tej do surowej, sinej, ceglastej, zrozpaczonej twarzy jakiejś dzikiej strażniczki grobu. Ale dzieło nie było jeszcze skończone. Trzeba by ją potem skruszyć, a potem spuścić w ten grób, którego strzegła tak mozolnie, z tym twardym skurczem twarzy.

W jednej z tych chwil, w których, jak to mówią, nie wiadomo już, czego się chwycić, ponieważ babka bardzo kaszlała i kichała, posłuchano rady jakiegoś krewniaka, który twierdził, że specjalista X... kuruje z takich rzeczy w trzy dni. Światowi ludzie opowiadają tak o swoich lekarzach i wierzy się im, jak Franciszka wierzyła w reklamy dzienników. Specjalista przybył ze swoim etui, naładowanym — niby worek Eola⁶ — wszystkimi katarami jego pacjentów. Babka nie chciała się dać zbadać. A my, zażenowani wobec doktora, który się trudził na próżno, poddaliśmy się jego chęci kolejnego zbadania naszych nosów, mimo że nie były chore. Ale on twierdził przeciwnie — i że migrena, katar kiszek, choroba serca lub cukrzyca, wszystko to jest zaniedbana choroba nosa. Każdemu z nas oświadczył: „Pan ma tu małe zgrubienie, które chętnie bym poznał bliżej. Niech pan nie czeka zbyt długo. Parę przyżegań uwolniłoby pana od tego”.

To pewne, iż w tej chwili mieliśmy co innego w głowie. Jednak pytaliśmy sami siebie: „Od czego by uwolniło?” Krótko mówiąc, wszystkie nosy były chore; doktor mylił się jedynie, ustalając rzecz w czasie terażniejszym. Bo do jutra jego badanie i jego przewidywany zabieg zrobiły swoje: każdy z nas dostał kataru. I kiedy doktor spotkał na ulicy ojca kichającego na umór, uśmiechnął się na myśl, iż nieuk mógłby przypisać tę chorobę jego interwencji. Zbadał nas (wierzył w to święcie) w chwili, gdyśmy już byli chorzy.

Choroba babki dała różnym osobom sposobność objawienia nadmiaru lub niedostatku sympatii, które nas zdziwiły w tym samym stopniu, co charakter przypadku ujawniającego nam łańcuchy okoliczności lub nawet przyjaźni, których nie bylibyśmy podejrzewali. A oznaki współudziału ze strony osób, które wciąż przychodziły zasięgnąć wiadomości, zdradzały nam niebezpieczeństwo choroby, któregośmy dotąd nie dosyć zizolowali, nie dosyć oddzielili od tysiąca bolesnych wrażeń odczuwanych przy chorobie.

Siostry babki, uprzedzone depeszą, nie ruszyły się z Combray. Odkryły artystę, który je raczył doskonałą muzyką kameralną; w tej muzyce spodziewały się znaleźć, skuteczniej niż przy łożu chorej, bolesne skupienie i podniesienie ducha. Bądź co bądź forma ta wydała się nam szczególną. Pani Sazerat napisała do mamy, ale jak osoba, z którą nagle zerwane zaręczyny (zerwaniem był dreyfusizm) rozdzieliły nas na zawsze.

W zamian za to Bergotte spędzał co dzień u mnie po kilka godzin. Z dawna lubił zagnieździć się na jakiś czas w domu, gdzie się nie musiał wysilać. Ale dawniej lubił to po to, aby mówić bez przerwy; teraz po to, aby długo trwać w milczeniu, którego nikt nie przerywał. Bo on był bardzo chory; jedni mówili — na białkomocz, jak babka; wedle innych to był nowotwór. Coraz bardziej opadał z sił, z trudem wspinał się do nas na schody, z jeszcze większym trudem schodził. Mimo iż trzymał się poręczy, chwał się często; sądzę, że najchętniej siedziałby w domu, gdyby się nie bał całkowicie odwyknąć od ludzi, wyjść z obiegu, on, „człowiek z bródką”, którego znałem niedawno tak żwawym. Nie widział już prawie, często nawet słowa mu się płątały.

Ale w tym samym czasie, wręcz odwrotnie, dzieła jego, znane jedynie elicie wówczas, gdy pani Swann patronowała nieśmiałym próbom ich spopularyzowania, teraz rozrosło i tęgie w oczach wszystkich, zdobyły ogromny rozgłos wśród najszerszej publiczności. Bez

⁶Eol (mit. gr.) — bóg wiatrów; w *Odysei* podarował Odysuszowi worek z zamkniętymi w nim nieprzychylnymi wichrami, które mogłyby utrudniać jego statkom podróż powrotną do domu, jednak towarzysze Odysusza, widząc już brzegi ojczystej Itaki, otworzyli worek, a uwolnione wiatry zepchnęły okręty na pełne morze. [przypis edytorski]

wątpienia, zdarza się, że dopiero po śmierci pisarz robi się sławny. Ale Bergotte jeszcze za życia i w czasie swego powolnego posuwania się ku śmierci był świadkiem kroczenia swoich dzieł ku sławie. Autor umarły jest przynajmniej znakomitym bez umęczenia. Blask jego nazwiska zatrzymuje się u grobowej płyty. Głuchy i wiekuisty sen broni go od natręctwa Chwały. Ale dla Bergotte'a kontrast ten nie ziścił się całkowicie. Pisarz istniał jeszcze na tyle, aby cierpieć od zgiełku. Poruszał się jeszcze, mimo iż z trudem, gdy jego dzieła, podskakując jak córki, które się kocha, ale których impetyczna młodość i hałaśliwe zabawy męczą nas, co dnia ściągały do jego łóżka nowych wielbicieli.

Wizyty jego u nas spóźniły się dla mnie o kilka lat, bo już go nie podziwiałem tyle co wprzód. Nie było w tym sprzeczności ze wzrostem jego sławy. Zwykle zanim jakieś dzieło stanie się całkowicie zrozumiane i zwycięskie, już dzieło innego pisarza, jeszcze nieznanego, zaczyna u niektórych wybredniejszych wprowadzać nowy kult w miejsce tamtego, który stał się już niemal powszechny. W książkach Bergotte'a, które odczytywałem często, zdania były moim oczom równie jasne jak własne myśli, jak meble w moim pokoju i dorożki na ulicy. Wszystkie rzeczy widziało się w nich bez trudu, jeżeli nie tak, jak się je widziało zawsze, to bodaj tak, jak się przywykło widzieć je teraz. Otóż pewien nowy pisarz zaczął ogłaszać utwory, gdzie związki między rzeczami były tak odmienne od tych, które wiązały te same rzeczy dla mnie, że nie rozumiałem prawie nic. Mówił na przykład: „Węże do polewania podziwiał piękny stan dróg (to było łatwe, pomykałem tymi drogami) wyjeżdżających co pięć minut z Brianda⁷ i z Claudela⁸”. Wówczas nie rozumiałem nic, bo spodziewałem się nazwy miasta, a spotykałem nazwisko osoby. Ale czułem, że to nie zdanie jest źle napisane, ale ja nie jestem dość silny i zwinny, aby je doścignąć. Rozpędzałem się na nowo, pomagałem sobie nogami i rękami, aby dotrzeć do punktu, z którego bym ujrzał nowe związki rzeczy. Za każdym razem, doszedłszy mniej więcej do połowy zdania, opadałem — niby później w pułku przy ćwiczeniu zwanym „portykiem”. Mimo to żywiłem dla nowego pisarza ów podziw, jaki niezgrabne dziecko, mające „pałkę” z gimnastyki, odczuwa dla innego, zręczniejszego. Odtąd mniej podziwiałem Bergotte'a, którego jasność zdała mi się ubóstwem.

Był czas, kiedy bez trudu poznawano przedmioty, gdy je namalował Fromentin⁹, a nie poznawano ich u Renoira¹⁰. Smakosze mówią nam dziś, że Renoir to jest wielki malarz XVIII wieku. Ale mówiąc tak, zapominają o Czasie i o tym, że dużo go było trzeba, nawet w pełni wieku XIX, aby Renoira uznano wielkim artystą. Aby osiągnąć takie zrozumienie, oryginalny malarz, oryginalny artysta postępują na sposób okulistów. Leczenie ich malarstwem, ich stylem nie zawsze jest przyjemne. Kiedy jest ukończone, lekarz powiada do nas: „Teraz patrz”. I oto świat (który nie był stworzony raz, ale równie często, jak często zjawiał się oryginalny artysta) ukazuje się nam zupełnie odmienny od dawnego, ale całkowicie jasny. Mijają nas na ulicy kobiety różne od dawniejszych, bo to są Renoiry; owe Renoiry, w których wzdraliśmy się niegdyś widzieć kobiety. Powozy są też Renoiry, i woda, i niebo; mamy ochotę przechadzać się po lesie podobnym do tego, który pierwszego dnia wydawał nam się wszystkim, a nie lasem, na przykład dywanem o barwach bogatych, ale pozbawionym właśnie barw właściwych lasom. Oto jest nowy i nietrwały świat, świeżo stworzony. Będzie trwał aż do następnej geologicznej katastrofy, którą rozpęta nowy oryginalny malarz lub nowy pisarz.

Pisarz, który mi zastąpił Bergotte'a, nużył mnie nie bezładem, ale nowością — mającą swój ład — związków, do których nie przywykłem. Wciąż ten sam punkt, do którego opadałem, wskazywał na tożsamość każdorazowego wysiłku. Zresztą kiedy raz na tysiąc razy zdołałem nadążyć pisarzowi aż do końca zdania, to, com oglądał, odznaczało się zawsze dowcipem, prawdą, urokiem, podobnymi tym, które niegdyś znajdowałem w lekturze Bergotte'a, ale w bardziej rozkosznej postaci. I myślałem sobie, że niewiele lat temu Bergotte przyniósł mi tę samą odnowę świata, podobną do tej, jakiej oczekiwałem po jego

⁷Briand, Aristide (1862–1932) — polityk francuski, wielokrotnie minister (gł. spraw zagranicznych), 11-krotnie premier; znany z zaangażowania w sprawy międzynarodowe; laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1926). [przypis edytorski]

⁸Claudel, Paul (1868–1955) — francuski poeta i dramaturg, symbolista; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

⁹Fromentin, Eugène (1820–1876) — francuski malarz, krytyk sztuki i pisarz. [przypis edytorski]

¹⁰Renoir, Auguste (1841–1919) — malarz i rzeźbiarz francuski, jeden z czołowych przedstawicieli impresjonizmu. [przypis edytorski]

następcy. I zaczynałem dumać, czy jest coś prawdy w rozróżnieniu, jakie stale robimy między sztuką, która jakoby się nie posunęła naprzód od czasu Homera, a wiedzą z jej nieustannym postępowaniem. Może, przeciwnie, sztuka podobna jest w tym do wiedzy; każdy nowy twórczy pisarz wydawał mi się postępowaniem w stosunku do jego poprzednika; i któż mi powie, czy za dwadzieścia lat, kiedy będę mógł towarzyszyć bez znużenia dzisiejszemu nowatorowi, nie zjawi się inny, wobec którego dzisiejszy zleje się z Bergotte'em?

Wspomniałem Bergotte'owi o nowym pisarzu. Obrzydził mi go, nie tyle przekonując mnie, że jego sztuka jest chropawa, łatwa i czcza, ile opowiadając, że on bywa ludzko podobny do Blocha. Obraz ten padł od tego czasu na stronie książki, sprawiając, iż nie czułem się już zobowiązany do wysiłku zrozumienia. Jeżeli Bergotte mówił o tym pisarzu źle, to nie tyle, jak sądzę, przez zazdrość o jego niepowodzenie, ile przez nieznaną jego utworów. Nie czytał prawie nic. Już większość jego myśli przeszła z mózgu w jego książki. Wychudł tak, jakby mu je wycięto. Instynkt rozrodczy nie pobudzał już jego energii teraz, kiedy wydzielił z siebie prawie wszystko, co myślał. Prowadził roślinne życie rekonwalescenta, położnicy; piękne jego oczy pozostawały nieruchome, nieco olśnione, jak oczy człowieka wyciągniętego nad morzem i w mglistej zadumie ścigającego po prostu bieg każdej małej fali. Zresztą jeżeli rozmowa z Bergotte'em mniej mnie interesowała niż dawniej, nie odczuwałem z tego powodu wyrzutów. Podlegał on tak bardzo przyzwyczajeniu, że skoro raz go nabrał, każde, najprostsze czy najwyszukańsze, stawało mu się na jakiś czas nieodzowne. Nie wiem, co go ściągnęło pierwszy raz; ale później przychodził co dzień z tej racji, że był wczoraj. Przychodził do nas tak, jakby szedł do kawiarni, po to, aby doń nie mówiono, aby on sam mógł — bardzo rzadko — mówić, tak że gdyby się chciało wyciągać jakiś wniosek z tej wytrwałości, można by ostatecznie znaleźć w niej dowód, że go obeszło nasze zmartwienie lub że znajduje przyjemność w moim towarzystwie.

Wizyty Bergotte'a nie były obojętne matce, wrażliwej na wszystko, w czym można było widzieć hołd dla chorej. I co dzień mówiła mi: „Nie zapomnij mi bardzo podziękować, koniecznie”.

Odwiedziła nas w owym czasie pani Cottard. Była to delikatna uprzejmość kobieca; coś niby podwieczorek, który żona malarza podaje między godzinami pozowania; w tym wypadku, gratisowy naddatek do odwiedzin lekarskich profesora. Przyszła nam ofiarować swoją „donnę”; jeżeli wolimy raczej męską usługę, ofiarowała się „podjąć wywiad”; co więcej, wobec naszej odmowy oświadczyła, iż spodziewa się bodaj, że to nie jest z naszej strony „rekuza dyplomatyczna”, słowo, które w jej świecie oznacza uchylenie się od zaproszenia pod fałszywym pozorem. Upewniła nas, że profesor, który nigdy nie mówi w domu o pacjentach, jest tak smutny, jakby chodziło o nią samą. Okaże się później, że nawet gdyby to było prawdą, byłoby to zarazem bardzo mało i bardzo dużo ze strony tego najniewierniejszego i najwdzięczniejszego z mężów.

Propozycje równie użyteczne, a nieskończenie miłsze w formie (będącej połączeniem wysokiej inteligencji, wielkiego serca i rzadkiego wdzięku słowa) przesłał mi następca tronu wielki książę luksemburski¹¹. Poznałem go w Balbec, gdzie odwiedził swoją ciotkę, księżnę de Luxembourg, wówczas gdy był jedynie hrabią de Nassau. Zaślubił w kilka miesięcy potem uroczą córkę innej księżnej de Luxembourg, nadzwyczaj bogatej, bo była jedyną córką pewnego księcia, właściciela olbrzymiego przedsiębiorstwa mącznego. Po czym wielki książę luksemburski, który nie miał dzieci i który ubóstwiał swego bratanka de Nassau, uzyskał to, że Izba uznała go księciem-następcą. Jak we wszystkich tego rodzaju małżeństwach, początki majątku są przeszkodą, będąc równocześnie istotną przyczyną. Zapamiętałem tego księcia de Nassau jako jednego z najniezwykleszych młodych ludzi, jakich spotkałem, już wówczas trawionego posępną i namiętą miłością do swojej narzeczonej. Bardzo mnie przejmowały listy, jakie wciąż pisał do mnie podczas choroby babki; nawet mama, wzruszona nimi, powtarzała smutno określenie swojej matki, że „Sévigné nie wyraziłaby tego lepiej”.

Szóstego dnia, ulegając prośbom babki, mama musiała ją opuścić na chwilę i udać, że idzie spocząć. Chciałem, żeby babka usnęła, tym samym, żeby się Franciszka nie ruszała.

¹¹Adolf, wielki książę Luksemburga (1817–1905) — pierwszy wielki książę Luksemburga z niemieckiej dynastii Nassau (od 1890), wcześniej książę Nassau (1839–1866), zdetronizowany przez Prusaków po zajęciu i aneksji jego księstwa. [przypis edytorski]

Mimo moich błagań Franciszka wyszła z pokoju. Kochała babkę; przy swojej trzeźwości wzroku i swoim pesymizmie uważała ją za straconą. Rada by tedy była otoczyć ją wszystkimi możliwymi staraniami. Ale oznajmiono właśnie, że przyszedł monter, z dawna zaprzyjaźniony z jej rodziną, szwagier jej byłego pryncypała¹², ceniony w naszym domu, gdzie miał pracę od wielu lat, zaprzyjaźniony zwłaszcza z Jupienem. Zamówiono go do roboty, zanim babka zachorowała. Sądziłem, że można by go odprawić albo kazać mu poczekać. Ale etykieta Franciszki nie pozwalała na to; byłoby to niedelikatnie wobec tego zacnego człowieka, choroba babki już się nie liczyła za nic. Kiedy po kwadransie, zrozpaczony, poszedłem po Franciszkę do kuchni, zastałem ją rozmawiającą z monterem w sieni przy otwartych drzwiach. Proceder ten miał tę zaletę, że pozwalał — skoro nadszedł ktoś z nas — udać, że się właśnie mieli rozstać; ale miał tę wadę, że powodował straszliwe przeciągi. Franciszka pożegnała tedy montera, śląc za nim jeszcze parę hałaśliwych komplementów pod adresem jego żony i szwagra. Tę tak charakterystyczną dla Combray troskę, aby nie uchybić grzeczności, wносиła Franciszka nawet w swoją politykę zagraniczną. Głupcy wyobrażają sobie, że wielka skala zjawisk społecznych najlepiej pozwala wnikać w sekrety duszy ludzkiej; powinni by, przeciwnie, pojąć, iż większą mieliby szansę zrozumieć te zjawiska, zstępując w głąb jakiejś indywidualności. Franciszka tysiąc razy powtarzała ogrodnikowi z Combray, że wojna jest najniedorzeczniejszą zbrodnią i że nie ma nic ponad życie. Otóż kiedy wybuchła wojna rosyjsko-japońska, czuła się zażenowana wobec cara, żeśmy nie wydali wojny, aby pomóc tym „biednym Ruskom”, skoro się „jest w aliansach”, powiadała. Uważała, że to nieładnie wobec Mikołaja II¹³, który zawsze miał dla nas takie dobre słowa; był to wyraz tej samej etykiety, która by jej nie pozwoliła odmówić Jupienowi kieliszeczka, mimo iż wiedziała, że ją to „spiera i mgli”. Ta sama etykieta sprawiała, że wobec tak bliskiej śmierci babki sądziłaby, iż popełnia tę samą nieuprzejmość, o jaką oskarżała Francję wraz z jej neutralnością, gdyby nie przeprosiła osobiście poczciwego montera, który sobie zadał tyle trudu.

Na szczęście pozbyliśmy się prędko córki Franciszki, która musiała wyjechać na kilka tygodni. Do zwykłych rad, jakie dawano w Combray rodzinie chorego: „Nie próbowałicie państwo małej podróży, zmiany powietrza, czegoś na apetyt itd.”, osoba ta dodała myśl niemal jedyną, którą sobie specjalnie ukuła i którą powtarzała niestrudzenie przy każdej sposobności, jak gdyby chcąc ją wbić w głowę drugim: „Powinna się była leczyć *radykałnie* od początków”. Nie zalecała jakiejś specjalnej kuracji jako lepszej od innej; chodziło tylko o to, aby kuracja była *radykałna*. Franciszka znowuż zauważyła, że się babce daje mało lekarstw. Ponieważ, wedle niej, lekarstwa służą tylko na to, żeby popsuć żołądek, była z tego rada, ale jeszcze bardziej upokorzona. Miała na południu Francji krewnych — stosunkowo bogatych — których córka, zachorowawszy młodo, umarła, licząc dwadzieścia trzy lat; w ciągu kilku lat rodzice jej zrujnowali się na lekarstwa, na doktorów, na wędrówki od jednych „wód” do drugich — aż do końca. Otóż Franciszka brała to u tych krewnych za rodzaj zbytku, tak jakby mieli konie wyścigowe, willę na wsi. I oni sami, przy całym zmartwieniu, czerpali pewną próżność z tylu wydatków. Nie mieli już nic, nie mieli zwłaszcza swego najszacowniejszego dobra, swojej córki, ale lubili powtarzać, że zrobili dla niej co najmniej tyle co najbogatsi. Zwłaszcza pochlebiali im promienie ultrafioletowe, których działaniu poddawano nieszczęśliwą przez całe miesiące po kilka razy dziennie. Zbolały i dumny z siebie ojciec dochodził czasem do tego, że mówił o córce niby o gwiazdzie baletu, dla której by się zrujnował. Franciszka nie była nieczuła na taką wystawę; ta, która otaczała babkę, wydawała się jej zbyt skromna, w sam raz dla choroby na scenie prowincjonalnej.

Przyszła chwila, że zaburzenia uremiczne rzuciły się na oczy. Przez kilka dni babka zupełnie nie widziała. Oczy jej nie były wcale podobne do oczu ślepeca, nie zmieniły się. To, że nie widzi, zrozumiałem jedynie z jakiegoś specjalnego powitalnego uśmiechu, jaki przybierała, kiedy ktoś otworzył drzwi, aż do chwili, kiedy się ją wzięło za rękę; uśmiech ten zaczynał się za wcześniej i trwał na ustach, stereotypowy, stały, ale zawsze zwrócony wprost, tak aby go było widać ze wszystkich stron, bo nie było już wzroku, aby

Choroba, Wzrok, Oko

¹²pryncypał (przestarz.) — zwierzchnik, pracodawca. [przypis edytorski]

¹³Mikołaj II Romanow (1868–1918) — ostatni cesarz rosyjski, król Polski, wielki książę Finlandii; panujący od 1894, w wyniku rewolucji lutowej zmuszony do abdykacji w 1917, w 1918 razem z rodziną zamordowany przez bolszewików. [przypis edytorski]

go miarkować, aby mu wskazać chwilę, kierunek, aby go regulować, cieniować w miarę zmiany miejsca lub wyrazu twarzy wchodzącej osoby; dlatego że był sam, bez uśmiechu oczu, który by odwrócił trochę od niego czyjąś uwagę, przez co w swojej niezaradności przybierał nadmierny akcent, stwarzając wrażenie przesadnej uprzejmości.

Potem wzrok wrócił całkowicie; z oczu choroba rzuciła się na uszy. Przez kilka dni babka była głucha i bojąc się, aby jej nie zaskoczyło czyjeś nagłe wejście, którego by nie usłyszała, co chwila (mimo iż leżąc do ściany) zwracała gwałtownie głowę ku drzwiom. Ale ruch jej był niezręczny, bo niepodobna się człowiekowi dostroić w ciągu kilku dni do tej transpozycji, aby jeżeli nie patrzeć na hałasy, to przynajmniej słuchać oczami.

Wreszcie bóle zmniejszyły się, ale zaburzenia mowy wzrosły. Trzeba było kazać babce powtarzać prawie wszystko, co mówiła.

Obecnie, czując, że jej nie rozumieją, babka przestała w ogóle mówić i leżała nieruchomo. Ilekroć mnie spostrzegła, zrywała się jak ci, którym nagle zbraknie powietrza; chciała coś przemówić, ale wydawała jedynie niezrozumiałe dźwięki. Wówczas, pokonana własną bezsilnością, pozwalała głowie opaść, wyciągała się na łóżku, z poważną, marmurową twarzą, z bezwładnymi rękami na kołdrze lub zajęta czysto mechaniczną czynnością, na przykład wycieraniem palców chustką. Nie chciała myśleć. Potem opanował ją ciągły niepokój. Wciąż chciała wstawać. Powstrzymywano ją od tego, o ile się dało, z obawy, aby sobie nie zdała sprawy ze swego porażenia. Pewnego dnia, kiedy ją zostawiono na chwilę samą, zastałem ją stojącą w koszuli, próbowała otworzyć okno.

Pewnego dnia w Balbec, kiedy uratowano, wbrew jej woli, wdowę, która się rzuciła w wodę, babka powiedziała mi (może wiedziona owym przecuciem, które zdarza się nam czasami wyczytać w tajemniczych mrokach naszego organicznego życia, tak ciemnych, ale może odbijających przyszłość), że nie zna większego okrucieństwa niż wydzierać zrozpaczoną istotę upragnionej śmierci i narzucać jej dalsze męczeństwo.

Ledwo mieliśmy czas pochwycić babkę; bronila się matce prawie brutalnie, po czym, zwyciężona, przemocą posadzona w fotelu, przestała chcieć, żalować, twarz jej stała się niewzruszona. Zaczęła starannie usuwać z nocnej koszuli włosy futra, które jej narzucono.

Spojrzenie jej zmieniło się całkowicie. Często niespokojne, żalosne, błędne, nie było to już jej dawne spojrzenie; to było chmurne spojrzenie starej gładzącej kobiety.

Franciszka pytała się tyle razy babki, czy nie chce, aby ją uczesać, iż w końcu wyobraziła sobie, że to babka prosiła ją o to. Przyniosła szczotki, grzebienie, wodę kolońską, peniuar. Mówiła: „To nie może zmęczyć starszej pani, że ją uczeszę; choćby człowiek był i słaby, zawsze może być uczesany”. To znaczy, że nigdy człowiek nie jest na tyle słaby, aby inna osoba nie mogła go uczesać. Ale kiedy wszedłem do pokoju, ujrzałem w okrutnych rękach Franciszki, uszczęśliwionej tak, jakby właśnie przywracała babce zdrowie, pod żalosną nędzą starych włosów niemających siły znieść dotknięcia grzebienia, głowę, która, niezdolna zachować narzuconej pozycji, osuwała się w nieustającym zamęcie na przemian wyczerpania i bólu. Czulem, że chwila, gdy Franciszka skończy czesanie, zbliża się; nie śmiałem przyspieszyć tej chwili słowem: „Dosyć”, z obawy, że mnie nie usłucha. Rzuciłem się natomiast ku niej, kiedy — chcąc, aby babka sprawdziła, czy jest dobrze uczesana — Franciszka w swoim niewinnym okrucieństwie podsunęła jej lusterko. Szczęśliwie zdołałem wydrzeć jej z rąk lustro, zanim babka, przed którą starannie ukryliśmy wszystkie zwierciadła, ujrzałaby przez tę nieopatrzność własny swój obraz, jakiego nie mogła się domyślać. Ale, niestety, kiedy w chwilę potem pochylałem się, aby ucałować to piękno czoło, które tak umęczono, popatrzyła na mnie ze zdziwioną, nieufną, zgorszoną miną: nie poznała mnie.

Wedle naszego lekarza był to znak, że przekrwienie mózgu wzmaga się. Trzeba było odciągnąć krew.

Cottard wahał się. Franciszka miała przez chwilę nadzieję, że się postawi bańki „rżnięte”. Szukała w mojej encyklopedii ich działania, ale nie mogła znaleźć. Gdyby zamiast „cięte” były „rżnięte”, i tak nie byłaby znalazła; mówiła „rżnięte”, ale pisała (a tym samym myślała, że się tak pisze) „żnięte”.

Cottard — ku wielkiemu rozczarowaniu Franciszki — wybrał, bez wielkiej nadziei, pijawki. Kiedy w kilka godzin później wszedłem do babki, czarne wężyki przyłączone do karku, do skroni, do uszu, wiły się w jej zakrwawionych włosach niby we włosach

Choroba

Samobójstwo

Meduzy¹⁴. Ale na bladej i spokojnej twarzy, całkowicie nieruchomej, ujrzałem szeroko otwarte, promienne i spokojne, jej piękne dawne oczy (może jeszcze bardziej nasycone inteligencją niż przed chorobą, ponieważ nie mogąc już mówić, a utrzymywana w bezruchu, oczom jedynie powierzała swoją myśl; myśl, która to zajmuje w nas olbrzymie miejsce, ofiarowując nam niepodjęte skarby, to zdaje się obrócona w nicość, po czym może się odrodzić jakby przez samorództwo dzięki kilku kroplom krwi, które się odciągnie), oczy jej, łagodne i płynne jak oliwa, w których rozlany i płonący ogień oświecał chorej odzyskany wszechświat. Spokój jej nie był już mądrością rozpacz, lecz nadziei. Rozumiała, że się ma lepiej, chciała być rozsądna, nie ruszać się; obdarzyła mnie jedynie pięknym uśmiechem, iżbym wiedział, że się ma lepiej, i uściśliła mi lekko rękę.

Wiedziałem, jaki wstręt ma babka do widoku pewnych zwierząt, a tym bardziej do ich dotknięcia. Wiedziałem, że jedynie przez rozsądek znosi pijawki. Toteż Franciszka doprowadziła mnie do rozpacz, powtarzając babce z owymi chichotami, jakie się miewa z dzieckiem, gdy się je chce rozbawić: „O, jak te robaki biegają po pani”. To znaczyło w dodatku traktować naszą chorą bez szacunku, tak jakby już była zdziecinniała. Ale babka, której twarz oblekła się w spokojny i stoicki hart, nie okazywała nawet, że słyszy.

Niestety, ledwie odjęto pijawki, kongestia¹⁵ wróciła, i to coraz silniejsza. Zdziwiło mnie, że w tej chwili, kiedy z babką było tak źle, Franciszka znika co chwila. To dlatego, że sobie zamówiła żalobę i nie chciała dać szwaczce czekać. W życiu większości kobiet, wszystko, nawet największa zgryzota, kończy się kwestią „przymierzania”.

W kilka dni później, kiedy spałem, matka zbudziła mnie w nocy. Z tą słodką oględnością, jaką w doniosłych okolicznościach ludzie przygnieceni głęboką boleścią znajdują nawet dla drobnych przykrości drugich, rzekła:

— Przepraszam, że cię budzę.

— Nie spałem — odparłem, budząc się.

Mówiłem szczerze. Wielką zmianą, jaką nam przynosi przebudzenie, jest nie tyle to, że nas wprowadza w jasne życie świadomości, ile że w nas zetraca pamięć przyćmionego nieco światła, w którym spoczywała nasza inteligencja, niby w opalowej głębi wód. Na wpół zamglone myśli, po których żeglowaliśmy jeszcze przed chwilą, wzniecały w nas ruch zupełnie wystarczający na to, abyśmy je mogli określić mianem jawy. Ale przebudzenie spotyka się wówczas z interferencją pamięci. Wkrótce potem nazywamy owe myśli snem, bo ich już sobie nie przypominamy. I kiedy błyszczą ta lśniące gwiazda, która w chwili przebudzenia oświeca poza śpiącym cały jego sen, każe nam ona wierzyć przez kilka sekund, że to nie był sen, lecz jawa; gwiazda — spadająca co prawda — która wraz ze swoim światłem unosi kłamliwe istnienie, ale także perspektywy snu, i człowiekowi, który się budzi, pozwala jedynie powiedzieć: „Spałem”.

Sen

Głosem tak łagodnym, iż zdawało się, że boi się sprawić mi ból, matka spytała, czyby mnie nie zmęczyło zanadto, gdybym wstał. Pieszcząc mi ręce, rzekła:

— Biedne maleństwo, już tylko na tatusia i na mamusię będziesz mógł liczyć.

Weszliśmy do pokoju. Zwinęta w kłębek na łóżku inna istota niż moja babka, niby jakieś zwierzę, które by się przystroiło w jej włosy i ułożyło w jej łóżku, dyszało, jęczało, wstrząsało konwulsjami koldrę. Powieki były zamknięte; ale raczej dlatego, że się nie domykały, niż że się otwierały, ukazywały kącik źrenicy, zamglony, zaropiał, odbijający mrok organicznej wizji i wewnętrznego bólu. Wszystek ten ruch nie zwracał się już do nas; nie widziała nas już, nie znała. Ale jeżeli to już tylko jakieś zwierzę ruszało się tam, gdzie była ona, babka? Poznawało się przecież kształt jej nosa, niezharmonizowany teraz z resztą twarzy, ale mający w rogu ten sam pieprzyk; poznawało się jej rękę, odsuwającą koldrę gestem, który znaczyłby niegdyś, że jej ta koldra zawadza, a teraz nie znaczył nic.

Choroba, Śmierć

Mama prosiła mnie o przyniesienie trochy wody z octem, aby zwilżyć czoło babki. Była to jedyna rzecz, która ją chłodziła, tak przynajmniej myślała mama, widząc, jak babka próbuje rozgarnąć włosy. Ale dano mi przez drzwi znak, abym wyszedł do sieni. Wiadomość, że babka kona, rozeszła się natychmiast po domu. „Dochodzący” lokaj — sprowadza się ich w wyjątkowych okolicznościach, aby odciążyć służbę, co sprawia, że

¹⁴Meduza (mit. gr.) — jedna z trzech siostr Gorgon, miała na głowie węże zamiast włosów, a jej wzrok mógł przemienić w kamień tego, kto na nią spojrzał. [przypis edytorski]

¹⁵kongestia (z łac.) — chorobliwy napływ krwi do jakiegoś organu. [przypis edytorski]

agonie mają coś odświętnego — otworzył drzwi księciu de Guermantes, który zatrzymawszy się w przedpokoju, pytał o mnie; nie mogłem mu się wymknąć.

— Przychodzę, drogi panie, zasięgnąć żalobnych nowin. Chciałbym na znak sympatii uścisnąć dłoń pańskiego ojca.

Przeprosiłem, że trudno jest odwołać ojca w tej chwili. Pan de Guermantes wpadł niby w momencie, gdy się wyjeżdża w podróż. Ale tak bardzo świadomy był grzeczności, jaką nam wyświadczał, że to poczucie przesłaniało mu wszystko inne; koniecznie chciał wejść do salonu. W ogóle książe miał zwyczaj upierać się przy całkowitym dopełnieniu formalności, jakimi zamierzył uczcić kogoś, i mało się troszczył o to, że kufry są spakowane lub trumna gotowa.

— Czyście państwo wezwali profesora Dieulafoy¹⁶? A! to wielki błąd. I gdybyście się państwo zwrócili do mnie, *dla mnie* byłby przyszedł, nie odmawia mi niczego, mimo że odmówił księżnej de Chartres. Widzi pan, otwarcie stawiam się przed księżniczką krwi. Zresztą, wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi — dodał książe, nie aby mnie przekonać, że moja babka staje mu się równa, ale uczuwszy może, że przeciągać rozmowę na temat swoich forów u profesora Dieulafoy oraz przewag nad księżną de Chartres, nie byłoby może w najlepszym guście.

Rada księcia zresztą nie zdziwiła mnie. Wiedziałem, że u Guermantów zawsze cytowano nazwisko profesora Dieulafoy jak nazwisko jakiejś bezkonkurencyjnej firmy, jedynie może z większym nieco szacunkiem. I stara księżna de Mortemart z domu Guermantes (trudno pojąć czemu, o ile chodzi o księżnę, zawsze prawie mówi się: „stara księżna de...” lub, przeciwnie, o ile jest młoda, mówi się z filuterną miną w stylu Watteau: „młoda księżna de...”) zalecała niemal mechanicznie, mrugając, w poważnych wypadkach: „Dieulafoy, Dieulafoy”, tak jak kiedy chodziło o lody, mówiła: „Poiré Blanche”, albo o ptifury: „Rebattet, Rebattet”. Ale nie wiedziałem, że ojciec właśnie kazał wezwać profesora Dieulafoy.

W tej chwili matka, oczekująca niecierpliwie balonów z tlenem, które miały ułatwić babce oddychanie, weszła sama do przedpokoju, gdzie nie spodziewała się zastać księcia de Guermantes. Byłbym go pragnął schować nie wiem gdzie. Ale przeświadczony, że nic nie może być ważniejsze ani nie może matce bardziej pochlebić, jak również, że nic nie jest nieodzowniejsze do podtrzymania własnej reputacji skończonego gentlemana, książe ujął mnie gwałtownie za ramię i mimo że się bronił niby przed gwałtem, powtarzając: „Proszę pana, proszę pana”, pociągnął mnie ku mamie i rzekł: „Zechce mi pan uczynić ten wielki zaszczyt i przedstawić mnie swojej szanownej *matce!*”, detonując lekko przy słowie *matka*. I tak dalece książe miał poczucie, iż to jest zaszczyt dla niej, że nie mógł się powstrzymać, aby się nie uśmiechnąć, mimo kondolencyjnego wyrazu twarzy. Trzeba mi było wymienić nazwisko księcia, co rozpętało natychmiast z jego strony przegięcia i szastania, mające poprzedzić pełny ceremoniał ukłonu. Książe zamierzał nawet wszcząć rozmowę, ale matka, pogrążona w boleści, szepnęła mi, żebym szedł prędko, i nie odpowiedziała nawet na frazesy pana de Guermantes. Książe, który się spodziewał, że go poproszą do salonu, i zamiast tego został sam w przedpokoju, byłby się wreszcie zabrał, gdyby nie ujrzał wchodzącego Saint-Loup, który przyjechał tego rana i przybiegł po nowiny. „A to awantura!” — wykrzyknął radośnie książe, chwytając siostrzeńca za rękaw, którego mu omal nie wyrwał, i nie troszcząc się o obecność matki wracającej przez przedpokój. Saint-Loup mimo swego szczerego zmartwienia dość był, jak sądzę, rad, że uniknie spotkania się ze mną, zważywszy jego obecne usposobienie dla mnie. Wyszedł, pociągnięty przez wuja, który, mając mu coś bardzo ważnego do powiedzenia i omal nie wybrałszy się w tym celu do Doncières, nie posiadał się z radości, że sobie może oszczędzić takiego kłopotu.

— A! gdyby mi ktoś powiedział, że wystarczy mi przejść przez dziedziniec i że cię spotkam tutaj, wziąłbym to za grubą błagę; dobry kawał, jakby powiedział twój kolega Bloch.

I oddalając się z Robertem, którego trzymał za ramię, powtarzał:

— Ha, ha, zaraz widać, że dotknąłem sznura wisielca lub czegoś w tym rodzaju: mam złodziejskie szczęście.

¹⁶Dieulafoy, Paul Georges (1839–1911) — francuski lekarz i chirurg. [przypis edytorski]

To nie znaczy, aby ksiądz de Guermantes był źle wychowany; wprost przeciwnie. Ale był z rzędu owych ludzi niezdolnych się postawić w położeniu innych, ludzi podobnych w tym do większości lekarzy i karawaniarzy, którzy, na chwilę oblókłszy żalobny wyraz twarzy i wyrzekłszy: „To są bardzo ciężkie chwile”, uściskawszy was ewentualnie i doradziwszy wam odpoczynek, w agonii lub w pogrzebie widzą już tylko mniej lub więcej zamknięte zebranie towarzyskie, gdzie z powściąganą na chwilę jowialnością szukają oczami osoby, której mogą opowiadać o swoich drobnych sprawach, prosić jej o przedstawienie ich komuś lub ofiarować jej miejsce w powozie, aby ją „wyrzucić w drogę”. Ksiądz de Guermantes, winszując sobie „nosa”, który go zaniósł tam gdzie miał szansę spotkać siostrzeńca, zdumiony był zachowaniem się matki, całkiem przecież naturalnym. Opowiadał później, że matka jest w tym samym stopniu niemiła, w jakim ojciec jest uprzejmy, że ma chwile nieprzytomności, w których nie słyszy, co się do niej mówi, słowem, jego zdaniem, jest osobą trochę „niespełna”, a nawet może w ogóle jest pomyłona. Raczył wszelako, wedle tego, co mi opowiadano, złożyć to po części na karb okoliczności i oświadczył, iż matka wydała mu się bardzo „wzięta” tym wydarzeniem. Ale miał jeszcze w nogach cały zapas ukłonów i reweransów¹⁷, których nie pozwolono mu dopełnić, i tak dalece nie zdawał sobie sprawy z tego, czym jest rozpacz mamy, że w wilię pogrzebu pytał się mnie, czym nie próbował jej rozerwać.

Szwagier babki, który był zakonnikiem, a którego nie znałem, zatelegrafował do Austrii, gdzie rezydował generał jego zakonu, i dzięki wyjątkowym względom uzyskał pozwolenie, przybył tego dnia. Pograżony w smutku, czytał przy łóżku modlitwy i medytacje, nie odrywając wszelako swoich świdrujących oczu od chorej. W pewnej chwili, kiedy babka była nieprzytomna, smutek tego księdza przejął mnie bólem; popatrzyłem nań. Wydawał się zdziwiony moim współczuciem, i wówczas zdarzyło się coś osobliwego. Zakrył rękami twarz jak człowiek pograżony w bolesnej medytacji, ale ujrzałem, iż zgadując, że ja odwrócę oczy, zostawił szparkę między palcami. I w tej chwili, gdy moje spojrzenia opuszczały go, spostrzegłem jego bystre oko, korzystające z osłony rąk, aby obserwować, czy mój ból jest szczery. Zaczaił się tam niby w cieniu konfesjonatu. Ksiądz spostrzegł, że ja to widzę, i natychmiast hermetycznie zamknął uchylone okienko. Spotykałem go później i nigdy nie było między nami mowy o tej minucie. Stała się cicha umowa, że ja nie zauważyłem jego spojrzenia. W księdzu, jak w psychiatrze, jest zawsze coś z sędziego śledczego. Zresztą gdzież jest przyjaciel, choćby najdroższy, w którego przeszłości — wspólnej z naszą przeszłością — nie byłoby jakiejś minuty, co do której wolimy wierzyć, że on musiał o niej zapomnieć.

Lekarz zrobił zastrzyk morfiny; aby ulżyć oddychaniu, kazał podać balony z tlenem. Matka, doktor, siostra trzymali je w rękach; skoro jeden się skończył, podawano drugi. Wyszedłem na chwilę z pokoju. Kiedym wrócił, znalazłem się jakby w obliczu cudu. Przy zgłuszonym akompaniamencie nieustannego szeptu babka zdawała się zwracać do nas długi, szczęśliwy śpiew, który — szybki i muzykalny — wypełniał pokój. Zrozumiałem natychmiast, że jest bez mała równie nieświadomy, równie mechaniczny jak rżenie przed chwilą. Może odbijał w słabej mierze ulgę sprawioną przez morfinę. Wynikał zwłaszcza — ile że powietrze w inny sposób przechodziło przez oskrzela — ze zmiany rejestru oddychania. Oswobodzony podwójnym działaniem morfiny i tlenu, oddech babki nie męczył się już, nie jęczał, ale żywy i lekki przechodził w jakąś lubą płynność. Może z oddechem — niewyczuwalnym niby oddech wiatru w trzcinie — mieszało się w tym śpiewie parę bardziej ludzkich westchnień, które, wyzwolone bliskością śmierci, każą wierzyć w cierpienie lub szczęście tych, co już nie czują. Westchnienia te, mimo iż nie zmieniały rytmu, dały melodyjniejszy akcent owej długiej frazie, która wznosiła się, szła jeszcze wyżej, potem opadała, aby się na nowo wydrzeć z oswobodzonej piersi w pogoń za tlenem. Następnie, wzbiwszy się tak wysoko, przedłużony z taką siłą, śpiew — zmieszany z szeptem błagalnej rozkoszy — ustawał chwilami całkiem, niby wyschłe źródło.

Kiedy Franciszka miała wielkie zmartwienie, odczuwała daremną potrzebę wyrażania go, ale nie posiadała tej tak prostej sztuki. Uważając babkę za zupełnie straconą, chciała nam zakomunikować własne wrażenia. Ale potrafiła jedynie powtarzać: „Aż się przewra-

¹⁷rewerans (z fr.) — głęboki ukłon; przesadnie uprzejme zachowanie. [przypis edytorski]

ca w człowieku”, tym samym tonem, jakim powtarzała, zjadłszy za wiele kapuśniaku: „Gniecie me w dołku”; co w obu przypadkach było naturalniejsze, niż się jej zdawało. Zmartwienie jej, mimo iż tak słabo wyrażone, było wielkie, zwiększone jeszcze żalem, że córka jej, zmuszona zostać w Combray (które młoda paryżanka nazywała obecnie „kombraniem” i rymowała z „draniem”), nie będzie zapewne mogła wrócić na żalobną uroczystość, którą Franciszka przeczuwała jako coś wspaniałego. Wiedząc, że nie jesteście skłonni do wylewów, z góry zaprosiła na wszelki wypadek Jupiena na wszystkie wieczory przez cały tydzień. Wiedziała, że nie będzie wolny w godzinie pogrzebu. Chciała bodaj za powrotem opowiedzieć mu wszystko.

Od kilku nocy ojciec, dziadek oraz jeden z naszych krewniaków czuwali, nie wychodząc już z domu. Ich nieustanne poświęcenie przybrało w końcu maskę obojętności, a przewlekająca się dokoła tej agonii bezczynność podsuwała im typ rozmów, które są nieodłączne od przydługiej jazdy w wagonie kolejowym. Zresztą, kuzyn ów (bratanek mojej ciotecznej babki) budził we mnie tyleż antypatii, ile posiadał u innych zasłużonego szacunku.

„Znajdowało się” go zawsze w ciężkich okolicznościach, a był taki wytrwały przy umierających, że stroskane rodziny, utrzymując, iż mimo swego krzepkiego wyglądu, głębokiego basu i brody jest człowiekiem delikatnego zdrowia, zaklinały go zawsze, za pomocą poświęconych zwyczajem omówień, aby nie przychodził na pogrzeb. Wiedziałem z góry, że mama, która w bezmiarze swojego bólu myślała o drugich, powie mu w innej formie to, co miał zwyczaj słyszeć zawsze:

— Przyrzeknij mi, że nie przyjdiesz *jutro*. Zrób to dla *niej*. Przynajmniej nie chodź *aż tam*. Ona cię prosiła, żebyś nie szedł.

Nic nie pomagało; był zawsze pierwszy „w domu”, wskutek czego dano mu w innym środowisku przydomek, któregośmy nie znali: „Zamiast kwiatów na trumnę”. I zanim się stawił „wszędzie”, zawsze „pomyślał o wszystkim”, co mu zyskiwało te słowa: „Tobie się nie dziękuję”.

— Co takiego? — spytał donośnym głosem dziadek, który był już nieco głuchy i który nie dosłyszał czegoś, co kuzyn powiedział ojcu.

— Nic — odparł kuzyn. — Mówiłem tylko, że dostałem dziś rano list z Combray, gdzie jest straszliwy czas, a tutaj zanadto przypieka.

— A przecie barometr stoi bardzo nisko — rzekł ojciec.

— Gdzie, powiadasz, jest brzydko? — spytał dziadek.

— W Combray.

— A, to mnie nie dziwi; za każdym razem, kiedy jest brzydko tutaj, jest ładnie w Combray, i na odwrót. Ale prawda: mówicie o Combray; czy pomyślał ktoś o tym, aby uprzedzić Legrandina?

— Tak, nie kłopotz się, już zrobione — rzekł kuzyn, którego policzki, ocienione zbyt silnym zarostem, uśmiechnęły się nieznacznie z zadowolenia, że o tym pomyślał.

W tej chwili ojciec zerwał się; myślałem, że zaszło coś pomyślnego lub złowrogiego. To tylko doktor Dieulafoy przybył. Ojciec wyszedł, aby go przyjąć w sąsiednim pokoju, niby aktora, który zjawił się na występ. Doktor Dieulafoy był niewątpliwie wielkim lekarzem, genialnym profesorem; ale z tymi rozmaitymi rolami, w których celował, łączył inną, w której był przez czterdzieści lat bez rywala, rolę równie oryginalną jak „rezoner”, komik lub „szlachetny ojciec”, polegającą na konstatowaniu agonii lub śmierci. Nazwisko jego dawało rękojmię godności, z jaką się wywiąże z roli; kiedy służąca mówiła: „Professor Dieulafoy”, miało się wrażenie, że się jest w Komedii Francuskiej. Z godną postawą łączyła się dyskretnie smukłość ślicznej figury. Twarz, sama w sobie zbyt piękna, przegaszona była konwenansem bolesnych okoliczności. W szlachetnym czarnym tużurku, profesor wchodził, smutny bez przesady, nie składał żadnych kondolencji, które mogłyby się wydać komedią, nie dopuszczał się najmniejszego wykroczenia przeciw taktowi. Przy łóżu chorego to on, a nie książę de Guermantes był wielkim panem. Obejrząwszy babkę, nie męcząc jej, z dyskrecją, która była kurtuazją dla ordynującego lekarza, szepnął cicho kilka słów ojcu, skłonił się z szacunkiem przed matką. Czulem, że ojciec wstrzymuje się, aby nie rzec: „Professor Dieulafoy”. Ale już profesor odwrócił głowę, nie chcąc krępować sobą, i wyszedł najwytworniej w świecie, biorąc z prostotą kopertę, którą mu wręczono. Robił wrażenie, że jej nie widzi, i my sami pytaliśmy siebie przez chwilę, czyśmy mu

ją wręczyli, z taką zwinnością prestidigitatora¹⁸ schował ją, nie tracąc przez to — raczej przeciwnie — nic z powagi znakomitego konsyliariusza w długim tużurku z jedwabnymi klapami, z piękną głową pełną szlachetnego współczucia. Jego spokój i żywość wskazywały, że mimo iż czeka go jeszcze sto wizyt, nie chce robić wrażenia pośpiechu. Bo to był wcielony takt, inteligencja, dobroć. Ten znakomity człowiek już nie żyje. Inni lekarze czy profesorowie mogli mu dorównać, może prześcignąć go. Ale „*emploi*”¹⁹, w którym jego wiedza, jego osobiste warunki, jego wyborne wychowanie zapewniały mu stały sukces, nie istnieje już z braku następcy, który by mu umiał sprostać.

Mama nie spostrzegła nawet profesora Dieulafoya; wszystko, co nie było jej matką, nie istniało dla niej. Przypominam sobie (uprzedzam tutaj wypadki), że na cmentarzu, gdzie, niby nadprzyrodzona zjawą, zbliżyła się nieśmiało do grobu i zdawała się patrzeć na odlatującą istotę, już będącą daleko od niej, ojciec powiedział jej: „Stary Norpois był w domu, w kościele, na cmentarzu, opuścił bardzo ważną dla siebie komisję, powinna byś mu coś powiedzieć, to by go bardzo wzruszyło”. Ale kiedy ambasador skłonił przed nią głowę, matka zdołała jedynie pochylić ze słodyczą twarz bez śladu łez. Dwa dni przedtem — znów uprzedzam wypadki, nim wrócę do łóża chorej w momencie konania — podczas gdy czuwano nad babką, już zmarłą, Franciszka, która, nie zaprzeczając bezwzględnie istnieniu duchów, płoszyła się za najmniejszym szelestem, rzekła: „Zdaje mi się, że to starsza pani”. Ale zamiast przestraszu słowa te obudziły w mamie uczucie bezmiernej słodyczy: tak by pragnęła, żeby umarli wracali, aby mieć czasem matkę obok siebie!

Ale wróćmy do agonii.

— Czy wiesz, co nam jej siostry zatelegrafowały? — spytał dziadek kuzyna.

— Tak, Beethoven, mówiono mi; to warto oprawić w ramki. Nie dziwi mnie to zresztą.

— Biedna żona, która je tak kochała — rzekł dziadek ocierając łzę. — Nie trzeba im tego mieć za złe. To skończone wariatki, zawszem to mówił. Co się tam dzieje, nie dają już tlenu?

Matka rzekła:

— To mamie znów będzie trudno oddychać.

Lekarz odparł:

— Och, nie, działanie tlenu potrwa jeszcze dobrą chwilę; zaraz zaczniemy znowu.

Miałem wrażenie, że nie powiedziałyby się tak o umierającej; że skoro to działanie ma trwać, to znaczy, iż można utrzymać ją przy życiu. Świsł tlenu ustał na parę chwil. Ale szczęśliwa skarga oddechu wzbijała się wciąż, lekka, zawila, niedokończona, nieustanna, powrotna. Chwilami zdawało się, że wszystko skończone; oddech wstrzymał się, czy to przez te same zmiany oktaw, jakie zachodzą w oddechu śpiącego, czy przez naturalne wahanie, pod wpływem znieczulenia, wzmożonej duszności, niedomogi serca. Lekarz ujął puls babki, ale już — jak gdyby jakiś dopływ zasilił wysychający strumień — nowy śpiew zlał się z przerwana frazą. I ta rozpoczynała się w innej tonacji, z tą samą niewyczerpaną energią. Kto wie, czy — bodaj bez świadomości babki — owe szczęsne i tkliwe stany, zduszone cierpieniem, nie wydzielają się z niej teraz niby lekki gaz, długo zdławiony w zamknięciu. Można by rzec, że wszystko, co ona ma nam do powiedzenia, dobywa się z niej, że to do nas się zwraca z tą wymową, z tą żarliwością, z tym wylaniem²⁰.

U stóp łóżka, skręcana konwulsyjnie każdym podmuchem tej agonii, nie płacząc, ale chwilami zalana łzami, matka miała bezduszną rozpacz liści smaganych deszczem i miotanych wiatrem. Kazano mi otrzeć oczy, zanim się zbliżę, aby ucisnąć babkę.

— Ależ ja myślałem, że ona już nie widzi — rzekł ojciec.

— Nie można nigdy wiedzieć — odparł lekarz.

Kiedy moje wargi dotknęły jej, ręce babki poruszyły się; przebiegł ją całą długi dreszcz, czy to odruchowy, czy że pewne przywiązania mają swoje przeczulenie, poznające poprzez zasłonę nieświadomości to, do czego kochania prawie nie trzeba im zmysłów. Naraz babka podniosła się nieco, uczyniła gwałtowny ruch, jak ktoś, kto broni własnego życia. Franciszka nie mogła znieść tego widoku, wybuchnęła płaczem. Przypominając sobie to,

Rozpacz

Śmierć

¹⁸*prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

¹⁹*emploi* (fr.) — zawodowa specjalność aktora, odpowiadająca jego predyspozycjom. [przypis edytorski]

²⁰*wylanie* (przestarz.) — wylewność, żywiołowa szczerść, serdeczność. [przypis edytorski]

co powiedział lekarz, chciałem ją usunąć z pokoju. W tej chwili babka otwarła oczy. Rzuciłem się ku Franciszce, aby zasłonić jej łzy, podczas gdy rodzice będą mówili do chorej. Świsł tlenu zamilkł, lekarz odszedł od łóżka. Babka nie żyła.

W kilka godzin później Franciszka mogła ostatni raz i bez obawy bólu uczesać te piękne włosy, które ledwie zaczynały siwieć i które dotąd zdawały się młodsze od babki. Ale teraz, przeciwnie, one jedne nakładały wieniec starości twarzy, która znów stała się młoda, z której znikły zmarszczki, skurcze, nalania, fałdy, mnożone od tylu lat przez cierpienie. I tak jak niegdyś, dawno, wówczas gdy rodzice wybrali jej męża, znów miała rysy delikatnie wyrzeźbione czystością i poddaniem, policzki lśniące zbożną nadzieją, marzeniem o szczęściu, nawet niewinną wesołością, wszystkim, co stopniowo zniweczyły lata. Odchodząc, życie uniosło z sobą zawody życia. Zdawało się, że uśmiech zstąpił na wargi babki. Na tym żałobnym łożu, śmierć, niby średniowieczny rzeźbiarz, ułożyła ją w postaci młodej dziewczyny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wizyta Albertyny. Widoki bogatego małżeństwa paru przyjaciół Roberta de Saint-Loup. „Duch Guermantów” wobec księżnej Parmy. Dziwna wizyta u pana de Charlus. Coraz to mniej rozumiem jego charakter. Czerwone pantofelki księżnej.

Mimo iż była to po prostu jesienna niedziela, czułem się odrodzony, życie rozciągało się przede mną nietknięte, bo rano, po szeregu ciepłych dni, panowała zimna mgła, która podniosła się dopiero koło południa. Otóż odmiana pogody wystarcza, aby odrodzić świat i nas samych. Niegdyś, kiedy wiatr świstał w kominku, słuchałem uderzeń, które wstrząsały zasuwą, z takim wzruszeniem, jak gdyby, podobne słynnym pociągnięciom smyczka, którymi się zaczyna *Symfonia c-moll*²¹, były one nieubłaganym wołaniem tajemniczego losu. Wszelka widoczna zmiana w przyrodzie staje się dla nas podobnym przeobrażeniem, zestrzajając nasze zharmonizowane pragnienia z nowym porządkiem rzeczy. Od samego rana mgła robiła ze mnie w tym odmiennym świecie — w miejsce odśrodkowej istoty, jaką jesteśmy w piękny czas — człowieka zwiniętego w sobie, łączącego kącika przy ogniu i podzielonego z kimś łożka, zmarzniętego Adama w poszukiwaniu jakiejś domatorki Ewy.

Między szarym i łagodnym kolorem rannych pól a smakiem filiżanki czekolady zawarłem całą odrębność fizycznego, intelektualnego i duchowego życia, jaką zawiozłem blisko rok przedtem do Doncières. Odrębność ta, naznaczona, niby herbem, podłużnym kształtem lysego pagórka — wciąż obecnego, nawet kiedy był niewidzialny — tworzyła we mnie serię uciech całkowicie różną od wszystkich innych, niemożliwych do opowiedzenia przyjaciołom, w tym sensie, że bogato tkane i splatające się wrażenia, które je instrumentowały, wyrażały je dla mnie i bez mojej wiedzy o wiele lepiej niż fakty, które bym mógł opowiedzieć. Z tego punktu widzenia nowy świat, w którym mnie pogrążyła mgła tego ranka, był światem już mi znanym (co mu jedynie przydawało prawdy) i zapomnianym od jakiegoś czasu (co mu wracało całą jego świeżość). I mogłem się przyglądać kilku szkicom mgły, które pamięć moja nabyła — *Porankom w Doncières* — czy to pierwszego dnia w koszarach, czy innym razem w sąsiednim zamku, dokąd Saint-Loup zabrał mnie z sobą na dwadzieścia cztery godziny. Z okna, którego firanki uchylilem o świcie, zanim się położyłem znowu, w pierwszym szkicu żołnierz na koniu, w drugim (na wąskiej granicy stawu i lasu, których cała reszta tonęła w jednostajnej i płynnej słodczy mgły) stangret czyszczący rzemienie zjawili mi się jako nieliczne postacie ludzkie — ledwie rozpoznawalne dla oka, zmuszonego dostroić się do tajemniczej mglistości półmroku — wyłaniające się z zatartego fresku.

Patrzyłem dziś na te wspomnienia z łożka, bo położyłem się z powrotem, aby doczekać chwili, kiedy, korzystając z nieobecności rodziców bawiących przez kilka dni w Combray, wybiorę się wieczorem na komedijkę graną u pani de Villeparisis. Po powrocie rodzi-

²¹*Symfonia c-moll* — V symfonia c-moll op. 67 Ludwiga van Beethovena, jeden najsłynniejszych i najczęściej wykonywanych utworów muzyki poważnej; rozpoczyna ją charakterystyczny, czteronutowy motyw, który niekiedy traktuje się jako mający znaczenie symboliczne, gdyż wg sekretarza Beethovena kompozytor skomentował początek dzieła słowami: „Tak oto los puka do drzwi!”. [przypis edytorski]

ców nie śmiałbym może tego uczynić. Matka przez pietyzm dla pamięci babki pragnęła, aby oznaki żalu po niej były dobrowolne i szczerze; nie zabroniłaby mi też tej wizyty, ale zgałaby ją. Przeciwnie z Combray, gdybym się jej poradził, nie odpowiedziałaby mi smutnym: „Rób, jak chcesz, jesteś dosyć duży, aby wiedzieć, co powinien robić”, ale wyrzucając sobie, że mnie zostawiła samego w Paryżu, i sądząc moją zgryzotę miarą swojej, pragnęłaby dla mnie rozrywek, których wzbronilaby sobie samej, a które (tak mama myślała) babka, dbająca przede wszystkim o moje zdrowie i o moją nerwową równowagę, byłaby mi doradziła.

Od rana zapalono w nowym kaloryferze. Jego nieprzyjemny dźwięk, przechodzący od czasu do czasu w rodzaj czkawki, nie miał żadnego związku ze wspomnieniami moimi z Doncières. Ale jego przydługa styczność we mnie z tymi wspomnieniami owego popołudnia miała mu stworzyć takie z nimi powinowactwo, że za każdym razem, kiedy, odzwyczajony trochę od tego dźwięku, usłyszałbym na nowo centralne ogrzewanie, przypomniałoby mi ono Doncières.

Była w domu tylko Franciszka. Szary dzień, padający niby drobny deszcz, snuł bez przerwy przezroczyste siatki, w których niedzielni przechodnie jak gdyby się srebrzyli. Rzuciłem na ziemię „Figaro”²², kazałem je co dzień sumiennie kupować od czasu, jak tam posłałem artykuł, który się nie ukazał. Mimo nieobecności słońca nasilenie dnia wskazywało mi, że jesteśmy dopiero w pełni popołudnia. Tiulowe firanki przy oknach, mgliste i kruche (nie byłyby takie w pogodę), miały to samo połączenie czegoś miękkiego i lamliwego, co skrzydła ważek i szkła weneckie.

Ciężyło mi być samemu w tę niedzielę, tym bardziej że tego rana kazałem zanieść list do panny de Stermaria. Saint-Loup, którego matka doprowadziła — po bolesnych i daremnych próbach — do zerwania z kochanką i którego od tego czasu posłano do Maroka, aby zapomniał o tej, której już nie kochał, napisał do mnie słówko (odebrałem je w wilię), gdzie mi oznajmiał swoje przybycie do Francji na bardzo krótki urlop. Ponieważ miał tylko zawadzić o Paryż (rodzina bała się zapewne, aby nie wrócił do Racheli), uprzedził mnie — na dowód, że myślał o mnie — iż spotkał w Tangerze pannę, lub raczej panią de Stermaria, bo rozwiódła się po trzech miesiącach małżeństwa. I Saint-Loup, przypominając sobie to, com mu mówił w Balbec, poprosił w moim imieniu tej młodej kobiety o spotkanie. Odrzekła, iż chętnie zjadłaby ze mną obiad jednego z dni, które spędzi w Paryżu, zanim się uda do Bretanii. Saint-Loup pisał, abym się czym prędzej porozumiał z panią de Stermaria, bo z pewnością już przyjechała.

List Roberta nie zdziwił mnie, mimo że nie miałem wiadomości od niego od czasu, gdy w chwili choroby babki obwiniał mnie o przewrotność i zdradę. Zrozumiałem wybornie wówczas, co zaszło. Rachelę, która lubiła podsycać jego zazdrość — miała też uboczne żale do mnie — wmówiła w Roberta, że ja robiłem zamachy na nią w czasie jego nieobecności. Bardzo być może, że on wciąż w to wierzył; ale przestał kochać Rachelę, tak iż prawda lub fałsz w tym względzie stały mu się całkiem obojętne i jedynie przyjaźń nasza przetrwała. Kiedy raz, widząc go, próbowałem wspomnieć o jego wymówkach, odpowiedział jedynie poczciwym i serdecznym uśmiechem, jak gdyby chciał się nim usprawiedliwić; po czym odmienił rozmowę.

Nie znaczy to, aby nieco później w Paryżu nie miał jeszcze czasami spotykać Racheli. Istoty, które grały taką rolę w naszym życiu, rzadko wychodzą z niego nagle i ostatecznie. Zjawiają się w nim znowuż chwilami (tak iż niektórzy podejrzewają nawrót miłości), nim je opuszczą na zawsze.

Zerwanie Roberta z Rachelą stało mu się rychło mniej bolesne dzięki kojącej przyjemności, jaką dawały mu jej nieustanne żądania pieniędzy. Zazdrość, będąca przedłużeniem miłości, nie może zawierać o wiele więcej niż inne formy naszej wyobraźni. Jeżeli, puszczając się w podróż, weźmiemy z sobą trzy lub cztery obrazy, które zgubimy zresztą w drodze (lilie i anemony z Ponte Vecchio, perski kościół we mgle itd.), walizka jest już całkiem pełna. Kiedy się rzuca kochankę, chciałoby się — aż do chwili, gdy się o niej po trosze zapomni — aby się ona nie stała łupem trzech lub czterech nabywców, których sobie wyobrażamy, to znaczy, o których jesteśmy zazdrośni; wszyscy, których sobie nie wyobrażamy, są niczym. Zapewne, częste żądania pieniędzy ze strony porzuconej kochan-

Miłość, Rozstanie

²²„Figaro” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]

ki nie dają nam kompletnego pojęcia o jej życiu, tak jak wykresy gorączki nie dałyby nam pojęcia o jej chorobie. Ale jak te wykresy byłyby bądź co bądź znakiem, że jest chora, tak owe żądania stanowią dowód (dość mglisty, co prawda), że ta, którąśmy rzucili lub która nas rzuciła, nie musiała znaleźć bogatego protektora. Toteż każdą jej prośbę przyjmujemy z radością, jaką nam daje pauza w cierpieniach zazdrości; skwapliwie posyłamy jej pieniądze, bo chcielibyśmy, aby jej nie brakło niczego prócz kochanków (jednego z owych trzech, których sobie wyobrażamy) przez czas potrzebny na to, abyśmy przyszli nieco do siebie i abyśmy mogli bez bólu usłyszeć nazwisko naszego następcy.

Czasem Rachela zjawiała się dość późno wieczorem, aby prosić dawnego kochanka o pozwolenie przespania się obok niego do rana. Było to bardzo słodkie dla Roberta, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo jednak oni blisko żyli z sobą. Czuł to bodaj w tym, że nawet gdy zajął sam większą część łóżka, nie przeszkadzał jej bynajmniej spać. Rozumiał, że jej jest obok jego ciała wygodniej niż gdziekolwiek indziej; że się czuje przy jego boku — nawet w hotelu — niby w znanym od dawna pokoju, do którego się przywykło, gdzie nam się lepiej śpi. Czuł, że jego ramiona, nogi, on cały, to są dla niej — nawet kiedy się zanadto ruszał pod wpływem bezsenności lub natrętnych myśli — rzeczy tak doskonale podręczne, że nie mogą jej zawadzać i że ich poczucie zwiększa jej jeszcze wrażenie odpoczynku.

Ale trzeba się nam cofnąć wstecz. List Roberta wzruszył mnie tym bardziej, że między wierszami czytałem to, czego on nie śmiał napisać wyraźniej. „Możesz ją doskonale zaprosić do gabinetu — pisał. — To urocza młoda osoba, przemiły charakter; porozumiecie się doskonale; z góry jestem pewien, że spędzisz wyborny wieczór”. Ponieważ rodzice wracali z końcem tygodnia, w sobotę lub w niedzielę, po czym musiałbym jadać co dzień w domu, natychmiast napisałem do pani de Stermaria, proponując jej dowolny dzień, do jej wyboru, aż do piątku. Kazała powiedzieć, że napisze do mnie jeszcze tego wieczora koło ósmej. Byłbym doczekał wieczora dość szybko, gdybym miał w ciągu dzielącego mnie od niego popołudnia ratunek jakiejś wizyty. Kiedy godziny spowijają się gawędą, nie możemy ich już mierzyć, nawet widzieć; znikają; i nagle — bardzo daleko od punktu, w którym się nam umknął — znów zjawia się naszej uwadze chyży i oszukany czas. Ale kiedy jesteśmy sami, napięcie myśli, przywodząc nam odległą jeszcze i wciąż oczekiwaną chwilę z częstością i jednostajnością tykania zegara, dzieli, lub raczej mnoży godziny przez wszystkie minuty, których nie liczylibyśmy w towarzystwie przyjaciół. I popołudnie to, w nieustannym nawrocie mojego pragnienia konfrontowane z palącą rozkoszą, jakiej miałem kosztować — niestety dopiero za kilka dni! — z panią de Stermaria; to popołudnie, którego miałem dokończyć sam, wydawało mi się bardzo puste i melancholijne.

Chwilami słyszałem łoskot jadącej w górę windy, ale po nim następował drugi odgłos, nie ten, któremu się spodziewałem, zwiastujący zatrzymanie się na moim piętrze, ale inny, bardzo odmienny, jaki sprawiała winda wznosząc się wyżej. Odgłos ten — ponieważ tak często oznaczał mijanie mojego piętra, kiedy oczekiwałem wizyty — został dla mnie później, nawet wówczas gdy już nie pragnął w ogóle żadnej wizyty, hałasem w samej swojej istocie bolesnym, w którym rozlegał się jakby wyrok opuszczenia. Zmęczony, zrezygnowany, zajęty na kilka godzin jeszcze swoim odwiecznym zadaniem, szary dzień prządl swój perłowy haft; myślałem ze smutkiem, że zostanę sam na sam z tym dniem, który mnie nie znał, tak samo jak robotnica, która siedząc przy oknie, aby lepiej widzieć przy swojej robocie, nie zajmuje się wcale osobą obecną w pokoju.

Naraz (nie słyszałem dzwonka) Franciszka otworzyła drzwi i wprowadziła — Albertynę. Weszła uśmiechnięta, milcząca, pulchna, zawierająca w obfitości swego ciała — przygotowane na to, abym je przeżywał nadal, przybywające do mnie — dni spędzone w owym Balbec, dokąd nigdy nie wróciłem.

Bez wątpienia, za każdym razem kiedy oglądamy osobę, z którą stosunki — choćby najpowierzchniwsze — zmieniły się, staje się to dla nas niby konfrontacją dwóch epok. Nie potrzeba na to, aby dawna kochanka zaszła nas odwiedzić jako przyjaciółka; wystarczy, aby się zjawił w Paryżu ktoś, z kim dzieliliśmy jakieś przygodne i potoczne życie, i aby to życie ustało, choćby od tygodnia. W każdym roześmianym, pytającym i zakłopotanym rysie Albertyny mogłem wyczytać te pytania: „A pani de Villeparisis? A nauczyciel tańca? A cukiernik?” Kiedy usiadła, grzbiet jej robił wrażenie, że mówi: „Cóż, nie ma tutaj skał i morza, ale pozwolisz, abym usiadła koło ciebie, tak jakbym to

zrobiła w Balbec?” Albertyna była niby wróżka podsuwająca mi zwierciadło czasu. Była w tym podobna do wszystkich osób, które widzimy rzadko, ale które niegdyś żyły z nami bliżej. Ale z Albertyną było nie tylko to. Zapewne, nawet w Balbec, w czasie naszych codziennych spotkań, zawsze byłem zaskoczony jej widokiem, tak zmieniała się zależnie od dnia. Ale teraz ledwie ją można było poznać. Rysy jej, wyłonięne z różowego oparu, który je spowijał, stały się wydatne na kształt posągu. Miała inną twarz, lub raczej wreszcie miała twarz; ciało jej urosło. Nie zostało już prawie nic z powłoki, która ją spowijała i na której powierzchni w Balbec przyszyły jej kształt zaledwie się rysował.

Tym razem Albertyna wróciła do Paryża wcześniej niż zazwyczaj. Zwykle wracała dopiero na wiosnę, tak iż, niepokojony już od kilku tygodni burzami przy pierwszych kwiatach, w przyjemności, jakiej doznawałem, nie oddzielałem powrotu Albertyny od powrotu cieplejszych dni. Wystarczyło, by mi powiedziano, że Albertyna jest w Paryżu i że zaszła do mnie, abym ją ujrzał niby różę nad brzegiem morza. Nie bardzo wiem, czy to, co mnie ogarniało wówczas, było pragnieniem Balbec czy jej; może samo pragnienie Albertyny było luźną i niepełną formą posiadania Balbec, jak gdyby posiadać materialnie jakąś rzecz, zamieszkać w jakimś mieście równało się jego duchowemu posiadaniu. Zresztą nawet materialnie, kiedy Albertyny nie kołysała już moja wyobraźnia na tle widnokreśgu morza, ale kiedy siedziała nieruchomo koło mnie, wydawała mi się często bardzo biedną różą, przy której byłbym rad zamknąć oczy, aby nie widzieć jakiejś skazy jej płatków i aby wierzyć, że oddycham powietrzem plaży.

Mogę to powiedzieć tutaj, mimo że nie wiedziałem wówczas tego, co miało się zdarzyć później. Zapewne, rozsądniej jest poświęcić życie kobietom niż markom²³ pocztowym, starym tabakierkom, nawet niż obrazom i posągom. Ale przykład innych kolekcji powinien by nas skłonić do tego, aby zmieniać; aby mieć nie jedną kobietę, lecz wiele kobiet. Urocze kombinacje, jakie stwarza młoda dziewczyna z plażą, z zaplecionymi włosami posągu w kościele, z jakimś sztychem, ze wszystkim tym, co sprawia, że kochamy w tej dziewczynie — za każdym razem kiedy wchodzi — jakiś uroczy obraz, kombinacje te nie są zbyt stałe. Wystarczy żyć całkowicie z kobietą, aby przestać widzieć cokolwiek z tego, co nam ją kazało pokochać. Te dwa rozszczerzone składniki może niewątpliwie zespolić na nowo zazdrość. Jeżeli po długim okresie wspólnego życia miałem widzieć w końcu w Albertynie jedynie zwykłą kobietę, jakąś jej miłostka ze znajomym jej z Balbec wystarczyłaby może, aby w nią znów wcielić i stopić z nią plażę i bryzg fal. Ale te wtórne połączenia nie czarują już naszych oczu; w zamian stają się wyczuwalne i złowrogie dla naszego serca. Odnowienie się cudu w tak niebezpiecznej formie nie może być pożądane!

Ale uprzedzam lata. I muszę jedynie tu żałować, że nie pozostał na tyle rozsądny, aby mieć po prostu w życiu swoją kolekcję kobiet, jak się ma kolekcję dawnych lorynetek²⁴, nigdy dość licznych za gąbłotką, gdzie zawsze puste miejsce oczekuje jakiejś nowej i rzadszej lorynetki.

Na wspaniałym porządkowi swoich wilegiatur, tego roku Albertyna przybywała prosto z Balbec; a i tak bawiła tam o wiele krócej niż zwykle. Nie widziałem jej od dawna. Że zaś nie znałem — nawet z nazwiska — osób, z którymi przestawała w Paryżu, nie wiedziałem nic o niej w okresach, kiedy mnie nie odwiedzała. Okresy te bywały czasem dość długie. Potem pewnego pięknego dnia wyłaniała się nagle Albertyna, której różowe zjawienie się i milczące wizyty dość skąpo mnie informowały o tym, co mogła robić w przerwach, pogrążonych w owym mroku życia, którego oczy moje nie siły się przebić.

Tym razem pewne oznaki zdawały się wskazywać, że musiały zająć w jej życiu jakieś nowe rzeczy. Ale może po prostu nastęrczały one wnioszek, że w wieku Albertyny człowiek zmienia się bardzo szybko. Na przykład inteligencja jej objawiała się wyraźniej; skorom jej przypomniał dzień, gdy włożyła tyle zapалу w dowodzenie, że Sofokles²⁵ powinien był pisać: „Mój drogi Racine”, pierwsza roześmiała się serdecznie. „To Anna miała rację, bylam idiotka — rzekła. — Oczywiście Sofokles powinien był napisać: »Panie!«” Odpowiedziałem, że „panie” i „drogi panie” Anny były nie mniej komiczne niż jej „drogi Racine” i niż „drogi przyjacielu” Gizeli, ale że naprawdę niemądrzy byli w tym profesorowie, każący jeszcze Sofoklesowi pisywać listy do Racine’a. Tego już Albertyna nie

²³marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

²⁴lorynetka (daw.) — lornetka. [przypis edytorski]

²⁵Sofokles (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

chwyciła. Nie rozumiała absolutnie, co w tym jest głupiego; inteligencja jej rozchyłała się, ale nie była rozwinięta. Były w niej nowości bardziej pociągające; czułem w tej samej ładnej dziewczynie, która oto usiadła koło mego łóżka, coś odmiennego; w owych liniach, które w spojrzeniu i rysach twarzy zwykły wyrażać wolę, czułem jakąś zmianę frontu, niemal ustępliwość, jak gdyby znikły już opory, o które łamałem się w Balbec pewnego tak odległego już wieczora, kiedyśmy tworzyli parę symetryczną do dzisiejszej, ale odwrotną, gdyż wówczas Albertyna leżała w łóżku, a ja siedziałem przy niej. Pragnąc i nie śmiejąc sprawdzić, czy teraz pozwoliłaby się pocałować, ilekroć Albertyna wstawała, aby iść, prosiłem, żeby została jeszcze. Nie było to zbyt łatwe do uzyskania, bo mimo iż Albertyna nie miała nic do roboty (inaczej byłaby uciekła), była to osóbką punktualna i zresztą niezbyt czuła dla mnie, niezbyt zdająca się smakować w moim towarzystwie. Mimo to za każdym razem, spojrzawszy na zegarek, siadała na moją prośbę z powrotem, tak iż spędziła ze mną kilka godzin bez żadnych zakusów z mojej strony; słowa moje wiązały się z tym, com mówił w ciągu poprzednich godzin, i nie spotykały się nigdy z tym, com myślał, czegom pragnął — niby równoległe linie idące w nieskończoność. Nic bardziej od pragnienia nie przeszkadza, aby rzeczy, które mówimy, były w czymkolwiek podobne do tego, co mamy w myśli. Czas nagli, a mimo to zdawałoby się, że chcemy zyskać na czasie, mówiąc o przedmiotach zgoła obcych temu, co nas zaprzęta. Ot, gawędzi się, podczas gdy zdaniu, które chcielibyśmy wyrzec, towarzyszyłby już gest — nawet przyjąwszy, że aby sobie stworzyć rozkosz bezpośredniości i aby nasycić ciekawość reakcji, jaką to wywoła bez jednego słowa, bez prośbienia o pozwolenie, nie uczyniliśmy tego gestu. Z pewnością nie kochałem wcale Albertyny; zrodzona z dzisiejszej mgły, mogła ona jedynie zaspokoić imaginacyjne pragnienie zbudzone we mnie zmianą pogody, będące czymś przejściowym między pragnieniami, jakie może zaspokoić z jednej strony sztuka kucharska, a z drugiej monumentalna rzeźba, kazało mi bowiem marzyć równocześnie o złączeniu z moim ciałem substancji odmiennej i cieplej i o spojeniu jakimś punktem odrębnego ciała z moim wyciągniętym ciałem: tak ciało Ewy zaledwie nogami trzyma się biodra Adama, do którego ciała jest ona niemal prostopadła na owych romańskich płaskorzeźbach katedry w Balbec, szlachetnie i spokojnie, niemal jak antyczny fryz, przedstawiających stworzenie kobiety; Bogu towarzyszą tam wszędzie, niby dwaj ministrowie, dwa aniołki, w których poznajemy na całej fasadzie kruchty — niby skrzydlate i wirujące twory lata, zaskoczone i oszczędzone przez zimę — amorki z Herkulanum²⁶, jeszcze żywe w pełni XIII wieku i lecące swoim ostatnim lotem, zmęczone, ale nie zadające kłamu wdziękowi, jakiego się można po nich spodziewać.

Tej przyjemności, która zaspokajając moją żądzę, uwolniłaby mnie od tego marzenia, szukalibyśmy równie chętnie u jakiej bądź innej ładnej kobiety. I gdyby — w ciągu tej nieskończonej paplaniny, w której tailem przed Albertyną to jedno, o czym myślałem — mnie zapytano, na czym się wspiera moja optymistyczna hipoteza jej możliwej ustępliwości, odpowiedziałbym może, że ta hipoteza zrodziła się (podczas gdy zapomniane rysy głosu Albertyny kreśliły mi na nowo kontur jej osobowości) z pojawienia się pewnych słów nienależących do jej słownika, przynajmniej w sensie takim, jaki im dawała obecnie. Kiedy powiedziała, że Elstir jest głupi, a ja zaprotestowałem żywo, odrzekła z uśmiechem:

— Nie rozumiesz mnie; ja chcę powiedzieć, że się okazał głupi w danej okoliczności, ale wiem doskonale, że to jest człowiek zupełnie niepospolity.

Tak samo, chcąc powiedzieć o golfie w Fontainebleau²⁷, że jest elegancki, oświadczyła:

— Pierwszorzędnny dobór.

Mówiąc o jakimś dawniejszym pojedynku, powiedziała o moich świadkach: „To są sekundanci zupełnie *prima*”; przyglądając mi się, oświadczyła, że byłoby mi do twarzy z małym wąsikiem. Posunęła się nawet — i moje szanse wydały mi się w tej chwili ogromne — do powiedzenia, że od czasu jak nie widziała Gizeli, upłynęło „iks czasu”. (Przysiągłbym, że w zeszyłym roku nie znała tego zwrotu). Nie znaczy to, aby już za mojej bytności w Balbec Albertyna nie posiadała pokaźnego zasobu wyrażań, które świadczą natychmiast, że się pochodzi z dostatniej rodziny, i które z roku na rok matka przekazuje

²⁶*Herkulanum* — jedno z miast rzymskich pogrzebanych pod popiołem podczas wybuchu Wezuwiusza w r. 79 n.e. [przypis edytorski]

²⁷*Fontainebleau* — miejscowość ok. 60 km na płd-wsch. od Paryża, znana z rezydencji królów Francji: reprezentacyjnego pałacu z rozległym ogrodem i parkiem. [przypis edytorski]

córce, tak jak jej daje, w miarę jak córka rośnie, w uroczystych momentach własne klejnoty. Zrozumiano, że Albertyna przestała być małym dzieckiem, kiedy pewnego dnia, dziękując obcej pani za jakiś prezent, powiedziała: „Pani mnie zawstydza”. Pani Bontemps mimo woli spojrziała na męża, który odparł:

— Ha, cóż, idzie jej na czternasty rok!

Wyraźniejsza jeszcze dojrzałość ujawniła się, kiedy Albertyna, mówiąc o młodej pannie nieco wątpliwych manier, rzekła:

— Trudno nawet poznać, czy ona jest ładna, ma na *cal rôzu* na policzkach.

Wreszcie, mimo iż będąc młodą panną, już przybierała wzięcie kobiet swego świata i swojej klasy, powiadając na przykład, kiedy ktoś robił miny: „Nie mogę patrzeć na nią, bo i ja mam ochotę robić miny”, lub też, jeśli ktoś bawił towarzystwo imitacjami: „Najzabawniejsze jest, że kiedy ją udaje, robi się do niej podobny”. Wszystko to jest zaczerpnięte ze skarbcza towarzyskości. Ale właśnie sfera Albertyny nie mogła — wedle mego wyczucia — dostarczyć jej owego „niepospolity”, w sensie, w jakim ojciec mój mówił o którymś z nieznanym mu jeszcze kolegów, którego inteligencję mu chwalono: „Zdaje się, że to ktoś zupełnie niepospolity”. „Dobór”, nawet dla golfa, wydał mi się równie nieharmonizujący z rodziną Simonet, jak w towarzystwie przymiotnika „naturalny” nie harmonizowałby z tekstem poprzedzającym o kilka wieków prace Darwina²⁸. „Iks czasu” wydało mi się jeszcze lepszą wróżbą. Wreszcie, oczywistość przewrotów, nieznanym mi jeszcze, ale zdolnym uprawnić we mnie wszystkie nadzieje, ujawniła mi się niezbitcie, kiedy Albertyna oświadczyła mi z zadowoleniem osoby, której sąd nie jest czymś obojętnym:

— *Wedle mego przeświadczenia* nie mogło się zdarzyć nic lepszego... Mniemam, że to jest najlepsze rozwiązanie, rozwiązanie eleganckie.

To było tak nowe, było tak widocznie napływem pozwalającym przypuszczać kapryśne wędrówki przez tereny niegdyś jej nieznanne, że przy słowach „wedle mego przeświadczenia” objąłem Albertynę, a przy „mniemam” posadziłem ją na łóżku.

Bez wątpienia zdarza się, że kobiety bez kultury, zaślubiając człowieka niezwykle wykształconego, otrzymują od męża jako wiano takie wyrażenia. I wkrótce po metamorfizie sprowadzonej przez noc poślubną, kiedy składając wizyty, zachowują pewien dystans wobec dawnych przyjaciółek, widzimy ze zdziwieniem, że stały się kobietami, kiedy, oceniając zalety czyjegoś intelektu, dają dwa „I” przy słowie „intelekt”; ale to jest właśnie cecha odmiany. W słowniku Albertyny, którą znałem niegdyś, największą śmiałością było powiedzieć o osobie nieco ekscentrycznej: „To jest typ!”; lub kiedy proponowano Albertynie grę: „Nie znajduję pieniędzy na ulicy”, lub wreszcie, kiedy przyjaciółka robiła jej wymówkę, jej zdaniem niezasłużoną: „Doprawdy, ty jesteś kapitalna!” — zwrot podyktowany w takich okolicznościach rodzajem mieszczańskiej tradycji, niemal równie starej jak sam *Magnificat*²⁹, zwrot z gatunku tych, których młoda dziewczyna, nieco poirytowana, używa, jak się to mówi, „całkiem naturalnie”, to znaczy, dlatego że się ich nauczyła od matki, jak się nauczyła mówić pacierz i kłaniać się. Wszystkie te wyrażenia pani Bontemps wszczepiła jej równocześnie z nienawiścią do Żydów i z szacunkiem dla czarnego koloru, który jest „zawsze na miejscu i zawsze dystygowany”; to znaczy, nawet nie wyuczyła jej ich formalnie, ale tak jak szczygłe pisklęta wzorują się na szczebiocie szczygłów-rodziców, aż same wyrosną w prawdziwe szczygły. Mimo wszystko „dobór” wydał mi się nabytkiem z obcego plemienia, a „mniemam” pełne zachęty. Albertyna nie była już ta sama, zatem nie postąpiłaby może tak samo, nie reagowałaby tak samo.

Nie tylko jej już nie kochałem, ale nawet nie potrzebowałem się obawiać, jak w Balbec, że zniweczę w niej przyjaźń dla mnie — przyjaźń, która od dawna nie istniała. Nie było wątpliwości, że się jej stał od dawna obojętny. Zdawałem sobie sprawę, że nie stanowią już dla Albertyny części „bandy”, do której niegdyś tak pragnąłem należeć, tak szczęśliwy później, że się w niej znalazł. Przy tym, ponieważ Albertyna nie miała już nawet, jak w Balbec, wyrazu szczerości i dobroci, nie czułem zbyt wielu skrępułów; mimo to sądzę, że w rezultacie zdecydowało mnie ostatnie odkrycie filologiczne. Jakby wciąż

²⁸ *Darwin, Charles* (1809–1882) — brytyjski przyrodnik, twórca teorii ewolucji. [przypis edytorski]

²⁹ *Magnificat* — z łac. *Magnificat anima mea Dominum* (Wielbi dusza moja Pana), łacińska wersja pieśni dziękczynnej Marii z *Ewangelii wg Łukasza*, jednego z najstarszych hymnów chrześcijańskich. [przypis edytorski]

przydając jakieś nowe ogniwo do powierzchownego pasma rozmów, pod którymi kryłem swoje sekretne pragnienie, mówiłem, obejmując równocześnie Albertynę siedzącą na łóżku, o jednej z dziewcząt z „bandy”, drobniejszej od innych, ale wcale ładnej. „Tak — odparła Albertyna — robi wrażenie małej gejszy³⁰”. Z wszelką pewnością, kiedyś poznał Albertynę, słowo „gejsza” było jej obce. Można przypuszczać, że gdyby rzeczy poszły normalnym torem, nigdy by go nie poznała; co do mnie, nie widziałbym w tym nieszczęścia, bo nie ma dla mnie słowa bardziej uprzykrzonego. Słyszając je, czuję ten sam ból zębów, co kiedy się włoży do ust za wielki kawałek lodu. Ale Albertyna była tak ładna, że nawet „gejsza” nie raziła mnie u niej zbyt. W zamian słowo to wydało mi się oznaką, jeżeli nie faktycznej defloracji³¹, to bodaj ewolucji wewnętrznej. Na nieszczęście była już pora, w której musiałem wyprawić Albertynę, o ile chciałem, aby wróciła na czas na obiad i abym ja wstał dość wcześnie na swój obiad. Gotowała mi Franciszka, która nie lubiła, aby obiad czekał. Już to musiało obrażać jeden z artykułów jej kodeksu, że Albertyna przyszła do mnie w nieobecności rodziców, że siedzi bez końca, tak że wszystko się przez nią spóźni. Ale wobec „gejszy” wszystkie te racje upadły; powiedziałem skwapliwie:

— Wyobraź sobie, że ja wcale nie mam łaskotek, mogłabyś mnie łaskotać godzinę, a ja bym nawet nie uczył.

— Doprawdy!

— Ręczę ci.

Albertyna zrozumiała z pewnością, że to jest niezręczny wyraz pragnienia; uczyniła jak ktoś, kto nam ofiarowuje rekomendację, o którą nie śmieliśmy go prosić, ale do której aluzja przebijała w naszych słowach.

— Czy mam spróbować? — rzekła z kobiecą pokorą.

— Jeżeli sobie życzysz; ale w takim razie byłoby wygodniej, gdybyś się całkiem wyciągnęła na łóżku.

— Czy tak?

— Nie, głębiej.

— Ale czy nie jestem za ciężka?

Domawiała tych słów, kiedy się drzwi otwarły i Franciszka weszła, niosąc lampę. Albertyna ledwo miała czas usiąść z powrotem na krześle. Może Franciszka wybrała umyślnie tę chwilę, aby nas zawstydzić; może podsłuchiwała pod drzwiami lub nawet patrzyła przez dziurkę od klucza. Ale nie potrzebowałem się posuwać do takiego przypuszczenia; Franciszka mogła się obejść bez sprawdzania wzrokiem tego, co jej instynkt musiał dostatecznie przewąchać; w miarę bowiem jak żyła w naszym domu, obawa, ostrożność, baczność i chytrość nauczyły ją w końcu w instynktowny i jasnowidzący niemal sposób znać nas, tak jak majtek zna morze, myśliwiec³² zwierzynę, a chorobę, jeżeli nie lekarz, to często bodaj chory. Wszystko to, co Franciszka zdołała przeniknąć, mogłoby zdumieć tak, jak nas zdumiewa daleko posunięty stan pewnych wiadomości u starożytnych wobec ich prymitywnych środków informacji. (Środki Franciszki nie były bogatsze: ot, parę słów stanowiących ledwie dwudziestą część naszych rozmów przy obiedzie, słów pochwyconych w lot przez kamerdynera i niedokładnie zaniesionych do kredensu). Nawet błędy jej wynikały raczej — jak błędy starożytnych, jak bajki, w które wierzył Platon³³ — z fałszywych pojęć o świecie i z powziętych z góry idei niż z ubóstwa środków materialnych. W ten sposób, jeszcze za naszych czasów, największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczony, który nie rozporządzał żadnym laboratorium, żadnym przyrządem³⁴. Ale o ile braki, naturalne u służącej, nie przeszkodziły Franciszce nabyć wiedzy koniecznej dla jej celów — cel ów polegał na tym, aby nas zawstydzić, udzielając

³⁰gejsza — w Japonii: kobieta zawodowo zajmująca się dotrzymywaniem towarzystwa i zapewnianiem rozrywki mężczyznom na przyjęciach, bawiąca gości rozmową, tańcem, śpiewem i grą na instrumentach. [przypis edytorski]

³¹defloracja — rozdziwienie, pozbawienie kobiety dziewictwa. [przypis edytorski]

³²myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

³³Platon (427–347 p.n.e.) — filozof grecki, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego. [przypis edytorski]

³⁴największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczony, który nie rozporządzał żadnym laboratorium, żadnym przyrządem — zapewne odniesienie do pracy Darwina *Fertilisation of Orchids by Insects* (*O zapładnianiu storczyków przez owady*, 1862), w której rozwinął zagadnienie zależności ewolucyjnych między roślinami a zapylającymi je owadami. [przypis edytorski]

nam rezultatów tej wiedzy — skrępowanie zrobiło więcej; tu zaporą nie ograniczyła się do nieparaliżowania rozmachu, ale wspomagała go potężnie. Faktem jest, że Franciszka nie zaniedbała żadnego środka pomocniczego — intonacji i gestu. O ile nie wierzyła nigdy w to, cośmy jej mówili i w cośmy pragnęli wzbudzić jej wiarę, przyjmowała w zamian bez cienia wątpliwości wszystko najniedorzeczniejsze, co opowiadała osoba z jej klasy, a zwłaszcza to, co mogło obrażać nasze pojęcia. O ile sposób, w jaki słuchała naszych twierdzeń, świadczył o jej niedowierzaniu, o tyle akcent, z jakim powtarzała (gdym ta pośrednia forma pozwalała jej bezkarnie obrzucać nas najgorszymi zniewagami) słowa kucharki, która jej opowiedziała, jak zwymyślała swoich państwa i jak, traktując ich przy wszystkich od „ścierwa”, uzyskała od nich tysiąc przywilejów, świadczył, że Franciszka wierzy w to jak w ewangelię. Dodawała nawet: „Ja, bywszy państwem, nie zniesłabym czegoś takiego”. Daremnie, mimo naszej niewielkiej sympatii do damy z czwartego piętra, wzruszaliśmy ramionami, niby na nieprawdopodobną bajkę, na to opowiadanie, stanowiące tak zły przykład; odtwarzając je, Franciszka umiała mu nadać nieznośny repliki i drażniący ton pewnika wykluczającego wszelką dyskusję.

Ale zwłaszcza, jak pisarze, skrępowani tyranią monarchy lub poetyki, surowością prozodii³⁵ lub religią państwową, osiągają często siłę wyrazu, z jakiej byłby ich zwolnił ustrój politycznej swobody lub literackiej anarchii, tak Franciszka, nie mogąc nam odpowiedzieć w sposób wyraźny, mówiła jak Tejrezjasz³⁶, a pisała jak Tacyt³⁷. Wszystko, czego nie mogła wyrazić wprost, umiała zawrzeć w jednym zdaniu, do którego nie mogliśmy się przyczepić bez ujmy dla siebie samych; a nawet nie w zdaniu, ale w milczeniu, w sposobie, w jaki stawiała jakiś przedmiot.

Zdarzyło się na przykład zostawić na biurku, przez nieuwagę, między innymi listami jakiś list, którego Franciszka nie powinna była widzieć, dlatego na przykład, że piszący mówił o Franciszce z niechęcią pozwalającą się domyślać podobnej niechęci u adresata. Wieczorem, kiedy wróciłem niespokojny i skierowałem się wprost do swego pokoju, wówczas, na listach ułożonych w porządku we wzorową kupkę, kompromitujący dokument od razu uderzał moje oczy, tak jak musiał uderzyć wprzód oczy Franciszki; leżał umieszczony przez nią na samym wierzchu, prawie osobno, z ostentacją, która miała swój język, swoją wymowę i która już w drzwiach krzyczała do mnie, przyprawiając mnie o wstrząs. Franciszka celowała w przygotowywaniu tych efektów, mających w jej nieobecności objaśnić widza tak skutecznie, że kiedy później wkraczała, ów pewien był, że ona wie wszystko. W tym, aby kazać mówić martwym przedmiotom, kojarzyła genialną i cierpliwą sztuką Irvinga i Fryderyka Lemaître³⁸.

W tej chwili, trzymając nad Albertyną i nade mną zapaloną lampę, dobywającą z cienia wszystkie widocznie jeszcze ślady, jakie ciało młodej dziewczyny wyzłośliło na łóżku, Franciszka robiła wrażenie *Sprawiedliwości oświetlającej zbrodnię*³⁹. Twarz Albertyny nie traciła na tym oświetleniu. Wydobyło ono z jej policzków ten sam słoneczny połysk, który mnie czarował w Balbec. Ta twarz Albertyny, której całość miewała czasem na dworze jakąś matową bledość, ukazywała, przeciwnie — w miarę oświetlenia lampą — płaszczyny tak lśniące i równo zabarwione, tak jędrne i gładkie, że można by je porównać z bogatą karnacją pewnych kwiatów.

Zdumiony nieoczekiwanym wejściem Franciszki, wykrzyknąłem:

— Jak to, już lampa? Och, jakże to światło razi!

Drugie z tych zdań miało z pewnością pokryć moje zmieszanie, pierwsze usprawiedliwić zapóźnienie się. Z okrutną dwuznacznością Franciszka odparła:

³⁵ *prozodia* — nauka o brzmieniowych właściwościach mowy lub wiersza: akcenty, iloczasy, intonacja. [przypis edytorski]

³⁶ *Tejrezjasz* (mit. gr.) — niewidomy wróżbita tebański; obdarzony długim życiem, którego część przeżył jako kobieta. [przypis edytorski]

³⁷ *Tacyt*, właśc. *Publius Cornelius Tacitus* (ok. 55–120) — wybitny historyk rzymski; w swoich pracach starał się o rzetelność i obiektywizm. [przypis edytorski]

³⁸ *Irving* i *Lemaître* — znani ówczesni aktorzy: *Henry Irving*, właśc. *John Henry Brodribb* (1838–1905): słynny angielski aktor, reżyser i menadżer teatralny, pierwszy aktor, któremu nadano szlachectwo (1895); *Frédéric Lemaître* (1800–1876): jeden z najwybitniejszych aktorów francuskich XIX w. [przypis edytorski]

³⁹ *Sprawiedliwość i boska Zemsta ścigające Zbrodnię* — obraz Pierre-Paula Prud'hona z 1808, przedstawiający uciekającego zbrodniarza i ścigające go dwie uskrzydłone postacie, z których jedna trzyma w ręce pochodnię, a druga miecz, a pod nimi jako Ofiara leży na ziemi młody nagi mężczyzna; obecnie w Luwrze w Paryżu. [przypis edytorski]

— Czy mam zgaszać?

— Sić? — szepnęła mi w ucho Albertyna, spowijając mnie czarem poufalej żywości, z jaką, przyjmując mnie równocześnie za mistrza i za współnika, wsunęła to psychologiczne stwierdzenie w pytający ton kwestii gramatycznej.

Kiedy Franciszka wyszła, a Albertyna znów usiadła na łóżku, rzekłem:

— Czy wiesz, czego się boję? Jeśli tak dalej pójdzie, nie będę się mógł wstrzymać, aby cię nie pocałować.

— To by było straszne nieszczęście.

Nie od razu usłuchałem tego zaproszenia; komu innemu mogłoby się ono nawet wydać zbyteczne, bo Albertyna miała akcent tak zmysłowy i słodki, że już mówiąc do kogoś, zdawała się go tulić. Słowo jej było pieszczotą, rozmowa jej obsypywała pocałunkami. A przecież to zaproszenie było mi bardzo mile. Byłoby mi mile nawet ze strony innej ładnej dziewczyny w tym samym wieku; ale fakt, że Albertyna była dla mnie teraz tak łatwa, dawał mi więcej niż przyjemność, dawał mi konfrontację obrazów nasyconych pięknnością. Przypomniałem sobie Albertynę najpierw na plaży, prawie namalowaną na tle morza, mającą dla mnie istnienie nie bardziej rzeczywiste niż owe obrazy w teatrze, gdzie nie wiemy, czy mamy do czynienia z samą aktorką, ze statystką dublującą ją w danej chwili, czy jedynie z projekcją świetlną. Potem prawdziwa kobieta odszczepiła się od świetlnego pęku, podeszła do mnie, ale jedynie po to, abym mógł stwierdzić, że w rzeczywistym świecie nie jest ona bynajmniej tak przystępna, jak się to wydawało w magicznym obrazie. Dowiedziałem się, że niepodobna dotknąć jej, pocałować, że można z nią tylko rozmawiać, że tak samo nie jest dla mnie kobietą, jak nefrytowe⁴⁰ winogrona, niejadalna dekoracja dawnych stołów, nie są winogronami. I oto na trzecim planie ukazywała mi się realna jak w drugiej koncepcji, ale łatwa jak w pierwszej; i to tym rozkoszniej łatwa przez to, że tak długo nie wierzył w tę łatwość. Mój wzrost wiedzy o życiu (mniej jednolitym, mniej prostym, niż sądziłem zrazu) przywiódł mnie tymczasowo do agnostycyzmu⁴¹. Cóż można twierdzić, skoro to, w co się wierzyło zrazu, okazało się fałszywe potem i znowuż na trzeciej kondygnacji okazuje się prawdą?

I niestety, nie był to koniec moich odkryć z Albertyną. W każdym razie, nawet gdyby nie romantyczny urok tej lekcji bogactwa przekrojów odsłanianych kolejno przez życie (urok przeciwny temu, jakiego kosztował Saint-Loup przy obiedzie w Rivebelle, odnajdując na spokojnej twarzy niegdyś dotykane ustami rysy pośród masek, jakie nałożyło życie), wiadomość, że pocałować Albertynę jest rzeczą możliwą, dawała przyjemność większą może jeszcze niż sam pocałunek. Cóż za różnica między posiadaniem jakiejś kobiety, z którą stykamy się tylko fizycznie (bo jest tylko kawałkiem ciała), a posiadaniem młodej panny, którą widywało się na plaży w gronie przyjaciółek, w pewne dni — nie wiadomo nawet czemu w te dni raczej niż w inne — wśród nieustannej obawy, że się jej już nie ujrzy. Życie odkryło nam w całej rozciągłości powieść o tej dziewczynce; dało nam dla oglądania jej jedno narzędzie optyczne, potem inne; przydało cielesnej żądzы akompaniament, zstokrotniający ją i różniący ją od owych bardziej duchowych i trudniejszych do zaspokojenia pragnień, które nie budzą się z odrętwienia i pozwalają żądzы działać samej, wówczas gdy zmierza jedynie do posiadania kawałka ciała. Ale te same pragnienia, aby posiadać całą sferę wspomnień, rodzących w nich nostalgię wygnańczą, wznoszą się burzliwie obok owej żądzы, potęgują ją, nie mogąc za nią podążyć aż do spełnienia, aż do wchłonięcia niematerialnej realności — wchłonięcia niemożliwego w tej postaci, w jakiej jej pragniemy — oczekują owej żądzы w połowie drogi i znowuż towarzyszą jej w chwili wspomnienia, nawrotu. Zamiast policzków pierwszej lepszej, choćby najświeższych, ale bezimiennych, pozbawionych tajemnicy i uroku, całować lica, o których tak długo marzyłem, znaczyłoby poznać smak i soczystość jakże często oglądanego koloru. Widziało się kobietę, prosty obraz pomieszczony w dekoracji życia, kobietę — jak Albertyna — rysującą się na tle morza; i nagle można ten obraz zdjąć, postawić go koło siebie, oglą-

Pożądanie, Miłość

⁴⁰nefryt — twarda, zwykle zielona skała, używana do wyrobu ozdobnych przedmiotów. [przypis edytorski]

⁴¹agnostycyzm — pogląd filozoficzny negujący możliwość pełnego poznania obiektywnej rzeczywistości, w szczególności wykluczający możliwość dowiedzenia się, czy bogowie lub Bóg istnieją oraz jaką mają naturę. [przypis edytorski]

dać kolejno jego wymiary, kolory, tak jakby się go przesuwano za szkłem stereoskopu⁴². Dlatego właśnie jedynie interesujące są kobiety nieco trudne, których nie zdobywa się od razu, o których zrazu nie wiemy nawet, czy kiedy będziemy je mogli posiadać. Bo znać je, zbliżyć się do nich, zdobywać je to znaczy zmieniać kształt, wielkość, oprawę ludzkiego obrazu; to jest lekcja względności w ocenie zjawiska, pięknego do oglądania na nowo, kiedy odzyskało swoją cienkość sylwetki w dekoracji życia. Kobiety, które się poznało po prostu u stręczycielki, nie interesują nas, bo pozostają niezmiennie.

Z drugiej strony Albertyna skupiała dokoła siebie wszystkie wrażenia serii morskiej, szczególnie mi drogiej. Zdawało mi się, że na policzkach tej dziewczyny mógłbym ucałować całą plażę Balbec.

— Jeżeli naprawdę pozwalasz się pocałować, wolałbym to odłożyć na później i dobrze wybrać moment. Ale żebyś tylko nie zapomniała wtedy, żeś mi pozwoliła. Trzeba mi dać „bon na pocałunek”.

— Mam go podpisać?

— A gdybym go wziął zaraz, czy i tak miałbym do niego prawo później?

— Zabawny jesteś ze swoimi bonami; wystawię ci nowy od czasu do czasu.

— Powiedz mi jeszcze jedno: wiesz, w Balbec, kiedy cię jeszcze nie znałem, często miałaś spojrzenie twarde, chytre; czy nie mogłabyś mi powiedzieć, o czym myślałaś w takich chwilach?

— Och, całkiem nie pamiętam.

— O, żeby ci pomóc: jednego dnia twoja przyjaciółka Gizela skoczyła równymi nogami przez krzesło, na którym siedział starszy pan. Staraj się sobie przypomnieć, coś pomyślała w tej chwili.

— Z Gizelą byliśmy w ogóle dość daleko; ot, należała ostatecznie do „bandy”, ale nie całkiem. Musiałam pomyśleć, że jest pospolita i źle wychowana.

— A! to wszystko?

Byłbym chciał przed pocałowaniem Albertyny móc ją na nowo napełnić tajemnicą, jaką była dla mnie na plaży, zanim ją poznałem; odnaleźć w niej krainę, gdzie żyła przedtem; w miejsce tej krainy, skoro jej nie znałem, mogłem bodaj wstawić wszystkie wspomnienia naszego życia w Balbec, plusk fal rozpryskujących się pod oknem, krzyki dzieci. Ale pozwalając spojrzeniom ślizgać się po różowej krągłości jej policzków, których łagodne linie zamierały u stóp pierwszych fal jej pięknych czarnych włosów, biegnących w kształcie ruchomych pagórków, wznoszących strome blanki i żłobiących falistości swoich bruzd, musiałem sobie powiedzieć: „Ostatecznie, skoro mi się to nie powiodło w Balbec, chcę wreszcie poznać smak tej nieznannej róży, policzków Albertyny. I skoro kręgi, przez jakie możemy przeprowadzić rzeczy i ludzi w biegu naszego istnienia, nie są zbyt liczne, będę mógł poniekąd uważać swoje istnienie za spełnione, skoro wyrwawszy z odległej ramy kwitnącą twarz, którą wybrałem wśród wszystkich innych, ściągnę ją na tę nową płaszczyznę, gdzie dostąpię wreszcie poznania jej przez wargi”. Powiadałem to sobie, bo sądziłem, że istnieje poznanie przez wargi; powiadałem sobie, że poznam smak tej cielesnej róży, bom nie pomyślał, że człowiekowi, istocie oczywiście mniej pierwotnej niż jeźowiec, a nawet niż wieloryb, brak jest wszelako jeszcze pewnej ilości zasadniczych narządów; a zwłaszcza nie posiada żadnego, który by służył do pocałunku. Ten nieistniejący organ zastępuje człowiek wargami, przez co dochodzi może do rezultatów nieco doskonalszych, niż gdyby był skazany na pieszczenie kochanki rogiem. Ale wargi, stworzone na to, aby przewodzić do podniebienia smak tego, co je kusi, muszą się zadowalać — nie rozumiejąc swej omyłki i nie przyznając się do swego rozczarowania — błędzeniem po powierzchni, muszą się objąć o zamknięcie nieprzenikalnej i upragnionej twarzy. Zresztą w tej chwili, w samym zetknięciu z ciałem, wargi — nawet przyjąwszy, że stałyby się sprawniejsze i lepiej obdarzone — również nie mogłyby z pewnością kosztować smaku, którego natura nie pozwala im obecnie pochwycić, bo w tej beznadziejnej strefie, gdzie nie mogą znaleźć swego pokarmu, zostały samotne; wzrok, a potem węch, opuściły je od dawna. Zrazu, w miarę jak moje usta zaczęły się zbliżać do twarzy, którą wzrok mój kazał

Pocałunek

⁴²*stereoskop* — przyrząd optyczny służący do obserwowania fotografii stereoskopowych, złożonych z dwóch zdjęć tego samego obiektu, ale wykonanych z różnych punktów widzenia; bardzo popularny w XIX w., przed upowszechnieniem kina. [przypis edytorski]

im ucałować, wzrok ów, zmieniając miejsce, ujrzał nowe policzki; szyja, oglądana z bliska i niby pod lupą, ujawniła w ziarninie tkanki jędrność, która zmieniła charakter twarzy.

Ostatnie zdobycze fotografii ścielą u stóp katedry domy, które z bliska wydawały się nam często prawie równie wysokie jak wieże; każą się kolejno poruszać tym samym budowlom na kształt pułku, szeregami, tyralierą, zwartymi masami; zbliżają do siebie wzajem na Piazzetta⁴³ dwie kolumny, przed chwilą tak od siebie odległe; oddalają bliskie Salute⁴⁴ i umieją na bladym i zatartym tle zamknąć olbrzymi widnokrąg pod łukiem mostu, w ramie okna, wśród liści znajdującego się na pierwszym planie i silniej zaznaczonego drzewa; stwarzają kolejno jednemu i temu samemu kościołowi ramę z arkad wszystkich innych. I uważam, że jedynie ten proces mógłby, w równym stopniu co pocałunek, z tego, co uważamy za jakąś rzecz o określonym wyglądzie, wydobyć sto innych rzeczy, którymi ona jest równie dobrze, skoro każda z nich jest wyrazem nie mniej uprawnionej perspektywy. Krótko mówiąc, tak samo jak w Balbec Albertyna wydawała mi się często rozmaita, tak teraz, jak gdybym, szalenie przyspieszając szybkość zmian perspektywy i zabarwienia, następczonym nam przez daną osobę w kolejnych spotkaniach, chciał je zawrzeć wszystkie w kilku sekundach, aby doświadczalnie odtworzyć zjawisko różnicujące osobowość jakiejś istoty i wydobyć wszystkie zawarte w niej możliwości — jedno z drugich, niby z futerału — w owej krótkiej wędrówce moich warg do jej policzka, ujrzałem dziesięć Albertyn; ta jedna dziewczyna stała się niby bogini o wielu głowach; ostatnia, którą widziałem, kiedym się starał zbliżyć do niej, ustępowała miejsca innej. Dopókim nie dotknął tej głowy, widziałem ją bodaj, dochodził mnie jej lekki zapach. Ale niestety, nasze nozdrza i oczy są równie źle umieszczone dla pocałunku, jak wargi źle są ukształtowane do tego celu; naraz oczy moje przestawały widzieć, potem mój nos, zgnieciony, nie czuł już żadnego zapachu... Nie poznałem przez to lepiej smaku upragnionej różowości, ale odgadłem z tych przykrych oznak, że wreszcie całuję twarz Albertyny.

Pocałunek

Czy to dlatego, żeśmy odgrywali scenę odwrotną do sceny z Balbec (wyobrażoną przez obrót bryły), gdy ja leżałem, a Albertyna siedziała (mając tym samym możliwość uniknięcia brutalnego ataku i kierowania przyjemnością wedle własnej chęci), czy dlatego przyzwoliła mi teraz z taką łatwością tego, czego mi odmawiała niegdyś z miną tak surową? (Bez wątplenia, rozkoszny wyraz, jaki przybierała dziś jej twarz za zbliżeniem moich warg, różnił się od owej dawnej miny zmianą nieskończenie drobną, ale zdolną zawrzeć cały dystans istniejący między gestem człowieka, który dobija rannego, a gestem człowieka, który go ratuje; między portretem wspaniałym lub okropnym). Nie wiedząc, czy mam być wdzięczny za odmianę Albertyny jakiemś mimowolnemu dobroczyńcy, który pracował dla mnie w ciągu ostatnich miesięcy w Paryżu lub w Balbec, sądziłem, że to nasza zobopólna pozycja była główną przyczyną tej odmiany. Ale Albertyna podała mi inną rację, mianowicie tę: „A bo wówczas w Balbec nie znałam cię jeszcze, mogłam myśleć, że masz złe zamiary”. Ten argument wprowił mnie w osłupienie. Albertyna wytoczyła go z pewnością szczerze. Tak trudno jest kobiecie w ruchach swoich członków, we wzruszeniach swego ciała, w sam na sam z przyjacielem rozpoznać ów nieznany grzech i paniczny lęk, iż obcy człowiek zamierza ją do niego wciągnąć.

W każdym razie, jakie bądź zmiany zaszły od jakiegoś czasu w jej życiu — zmiany zdolne może wytłumaczyć fakt, że Albertyna tak łatwo użyczyła mojemu doraźnemu i czysto fizycznemu pragnieniu tego, czego w Balbec ze zgrozą odmówiła mojej miłości — bardziej zdumiewająca zmiana zaszła w Albertynie tegoż samego wieczoru, skoro tylko jej pieszczoty doprowadziły mnie do finału, który musiała z pewnością spostrzec; bałem się nawet, aby to w niej nie zrodziło lekkiego odruchu wstrętu i obrażonego wstydu, jakie zdradziła Gilberta w podobnym momencie za klombem laurów na Polach Elizejskich.

Rozkosz, Śmierć,
Dzieciństwo

Stało się przeciwnie. Już w chwili gdym położył Albertynę na łóżku i zaczął ją pieścić, przybrała wyraz, jakiego u niej nie znałem, wyraz powolnej, prostej, dziecięcej niemal uległości. Odsuwając od niej wszelkie myśli, wszelkie zwyczajne pretensje, chwila poprzedzająca rozkosz — podobna w tym do chwili, która następuje po śmierci — wróciła jej odmłodzonym rysom jak gdyby niewinność dzieciństwa. Niewątpliwie, wszelka istota, której talent ma się sposobność nagle objawić, staje się skromna, pilna i uroczą;

⁴³Piazzetta (wł.: placyk) — przedłużenie placu św. Marka w Wenecji. [przypis edytorski]

⁴⁴Salute (pot.) — barokowa bazylika Santa Maria della Salute (wł.: św. Marii od zdrowia) w Wenecji. [przypis edytorski]

o ile zwłaszcza czuje, że tym talentem sprawia nam wielką przyjemność, sama jest z tego szczęśliwa, chce nam dać tę rozkosz pełną. Ale w tym nowym wyrazie twarzy było u Albertyny coś więcej niż zawodowa bezinteresowność, sumiennosc i szczodrość; było coś na kształt nagłego i konwencjonalnego oddania; w czym Albertyna sięgnęła dalej niż we własne dziecięstwo, odnalazła młodość swojego gatunku. Bardzo różna ode mnie, który nie pragnąłem niczego więcej poza fizycznym ukojeniem uzyskanym w końcu, Albertyna uważała widocznie, że byłoby z jej strony czymś zbyt pospolitym wierzyć, że ta fizyczna rozkosz może się obyć bez udziału serca i że czemuś kładzie koniec. Ona, tak spiesząca się przed chwilą, teraz — z pewnością i dlatego, że uważała, iż pocałunki wyrażają miłość i że miłość przeważa wszelkie obowiązki — kiedy jej przypominał obiad, mówiła:

— Ale to nic nie szkodzi, wierz mi, ja mam czas.

Zdawało się, że ją żenowałoby wstać po tym, co zrobiła, urażałoby to jej poczucie form. Tak Franciszka, kiedy, nie odczuwając pragnienia, uznała, że powinna przyjąć z przystojną wesołością kieliszek wina, którym ją częstował Jupien, nie ośmieliłaby się odejść zaraz po ostatnim łyku, choćby ją wzywał najpilniejszy obowiązek. Albertyna — i to była może (obok innej, która ujawni się później) przyczyna, która bez mojej wiedzy kazała mi jej pragnąć — była jednym z wcieleń młodej wieśniaczki francuskiej, której model znajduje się w Saint-André-des-Champs. Poznałem w niej — wspólne jej i Franciszce, która miała jednak stać się niebawem jej śmiertelnym wrogiem — uprzejmość dla gościa i dla innoziemca, obyczajność, szacunek łoża.

Franciszka, która po śmierci cioci Leonii czuła się obowiązana stale mówić bolesnym tonem, uważałaby za nieprzyzwoite w ciągu miesięcy poprzedzających ślub córki, gdyby ta, przechadzając się z narzeczonym, nie szła z nim pod ramię. Albertyna, leżąc bezwładnie obok mnie, powiadała:

— Masz ładne włosy, masz ładne oczy, milusi jesteś.

Kiedy, zwróciwszy jej uwagę, że jest późno, dodałem: „Nie wierzysz?” — odpowiedziała, co było może prawdą, ale dopiero od dwóch minut i na kilka godzin:

— Wierzę ci zawsze.

Mówiła o mnie, o mojej rodzinie, o mojej sferze. Powiadała: „Och, ja wiem, że twoi rodzice znają ludzi bardzo dystyngowanych. Jesteś w przyjaźni z Robertem Forestier i z Zuzią Delage”. W pierwszej chwili te nazwiska nie powiedziały mi nic. Ale nagle przypomniałem sobie, że w istocie bawiłem się na Polach Elizejskich z Robertem Forestier, którego nigdy od tego czasu nie widziałem. Co do Zuzi Delage, była to cioteczna wnuczka pani Blandais; miałem raz iść do niej na lekcję tańca, a nawet grać jakąś rolę w teatrze amatorskim w domu jej rodziców. Ale obawa, że dostanę ataku konwulsyjnego śmiechu i krwawienia z nosa, udaremniły tę wizytę, tak że nigdy owej Zuzi Delage nie widziałem. Co najwyżej przypominałem sobie coś mglisto, że nauczycielka z piórkiem od Swannów była wprzód u jej rodziców, ale może to była tylko siostra tej nauczycielki albo jej przyjaciółka. Upewniłem Albertynę, że Robert Forestier i Zuzanna Delage mało zajmują miejsca w moim życiu.

— Możliwe, wasze matki żyją blisko z sobą, to pozwala określić twoją pozycję. Często mijam się z Zuzią Delage na avenue de Messine; ma szyk.

Nasze matki znały się jedynie w wyobraźni pani Bontemps, która dowiedziawszy się, że niegdyś bawiłem się z Robertem Forestier (podobno deklamowałem mu jakieś wiersze), wywnioskowała stąd, że nasze rodziny żyją z sobą blisko. Ile razy pani Bontemps słyszała nazwisko mamy, zawsze podobno mówiła: „A, tak, to kółko Delage’ów, Forestierów itd.”, dając moim rodzicom dobry stopień, na który nie zasługiwali.

Zresztą pojęcia socjalne Albertyny odznaczały się zadziwiającą głupotą. Uważała, że Simonnetowie przez dwa „n” są czymś niższym nie tylko od Simonetów przez jedno „n”, ale od wszystkich innych możliwych osób. To, że ktoś nosi to samo nazwisko, nie będąc naszym krewnym, stanowi doniosłą rację gardzenia nim. Zapewne, bywają wyjątki. Może się zdarzyć, że dwaj Simonnetowie (przedstawieni sobie wzajem na jednym z owych zebrań, gdzie się odczuwa potrzebę mówienia o czymkolwiek i gdzie ludzie czują się nalożeni optymizmem, na przykład w orszaku pogrzebowym w drodze na cmentarz), stwierdziwszy wspólność nazwiska, dochodzą z wzajemną życzliwością, a bez rezultatu, czy nie ma między nimi jakiegoś pokrewieństwa. Ale to jest wyjątek. Wielu ludzi nie zasługuje na szacunek, ale my nie wiemy o tym lub nie dbamy o to. Ale jeżeli tożsa-

mość nazwiska sprawia, że nam doręczają ich listy lub odwrotnie, zaczynamy się odnosić do nich z nieufnością, często usprawiedliwioną. Obawiamy się omyłek, uprzedzamy je grymasem niesmaku, kiedy ktoś wspomni naszego imiennika. Czytając w dzienniku nasze nazwisko noszone przez niego, mamy uczucie, że on je sobie przywłaszczył. Grzechy innych członków społeczeństwa są nam obojętne. Obciążamy nimi tym ciężiej naszych imienników. Nienawiść, jaką żywimy dla innych Simonnet, jest tym silniejsza, że nie jest indywidualna, ale przekazywana dziedzicznie. Po upływie dwóch pokoleń pamięta się jedynie wzdurliwą minę, jaką dziadkowie nasi mieli dla innych Simonnetów; nie znamy jej przyczyn; nie zdziwiłaby nas wiadomość, że się to zaczęło od jakiegoś morderstwa. To trwa często aż do dnia, kiedy między jakąś Simonnetówną i Simonnetem — wcale nie krewnymi — sprawa zakończy się małżeństwem.

Albertyna mówiła mi nie tylko o Robercie Forestier i o Zuzi Delage, ale samorzutnie, z obowiązku zaufania, jakie stwarza zbliżenie ciał, przynajmniej z początku, zanim zrodzi specjalną dwoistość i skrytość w stosunku do tej samej istoty, opowiedziała mi o swojej rodzinie i o wuju Anny historię, której w Balbec nie chciała mi zdradzić ani słówkiem. Obecnie sądziła, że nie godzi się mieć dla mnie sekretów. Teraz, gdyby najlepsza przyjaciółka opowiedziała jej coś przeciw mnie, Albertyna uważałaby za swój obowiązek powtórzyć mi to.

Nalegałem, aby poszła do domu; poszła w końcu, ale tak zawstydzona za mnie moją niedelikatnością, że niemal śmiała się, aby mnie usprawiedliwić, niby pani domu, do której ktoś przyjdzie w marynarce; przyjmie takiego gościa, ale nie jest to jej obojętne.

— Śmiejesz się? — rzekłem.

— Nie śmieję się, uśmiecham się do ciebie — rzekła tkliwie. — Kiedy cię znów zobaczę? — dodała, jakby nie dopuszczając myśli, aby to, cośmy zrobili — będące zazwyczaj uwieńczeniem — nie było bodaj wstępem do wielkiej przyjaźni, do przyjaźni praistniejącej, którą naszą powinnością wobec samych siebie było odkryć, wyznać sobie wzajem i która sama jedna mogła wytłumaczyć to, czegośmy się dopuścili.

— Skoro mnie upoważniasz, dam ci znać, jak tylko będę mógł.

Nie śmiałem jej powiedzieć, że uzależniam wszystko od możliwości widywania pani de Stermaria.

— Ale daruj, że to wypadnie niespodzianie, ja nigdy nie wiem z góry — rzekłem. — Czy byłoby możliwe ściągnąć cię kiedyś wieczorem, kiedy będę wolny?

— Niedługo będzie to bardzo możliwe, bo będę miała osobne wejście, niezależnie od ciotki. W tej chwili nie ma sposobu! W każdym razie zajdę na wszelki wypadek jutro lub pojutrze po południu. Przyjmiesz mnie, o ile będziesz mógł.

Doszedłszy do drzwi, zdziwiona, że jej nie wyprzedził, podała mi policzek, uważając, że nie potrzeba grubej fizycznej żądy na to, aby się teraz pocałować. Ponieważ krótkie stosunki, jakie nas łączyły przed chwilą, były z rzędu tych, do jakich prowadzi czasem najbliższa zażyłość i wybór serca, Albertyna uważała za swój obowiązek zaimprovizować i dodać doraźnie do pocałunków, jakieśmy wymienili na łóżku, uczucie, motywujące te pocałunki u rycerza i damy, takich jakich by mógł wyroić średniowieczny rybał⁴⁵.

Kiedy mnie opuściła ta młoda Pikardka, którą mógłby wyrzeźbić w kruchcie snycerz⁴⁶ zdobiący kościół Saint-André-des-Champs, Franciszka przyniosła mi list, który mnie przejął radością. List był od pani de Stermaria; godziła się zjeść ze mną obiad. Od pani de Stermaria — to znaczy dla mnie więcej niż od pani de Stermaria rzeczywistej: od tej, o której myślałem cały dzień przed przybyciem Albertyny. To jest straszliwe oszukiwanie miłości, że zaczyna nas mamić nie kobietą ze świata realnego, ale lalką zamieszkałą w naszym mózgu, jedyną zresztą, którą mamy zawsze do rozporządzenia, jedyną, którą będziemy posiadali, którą dowolność wspomnienia, prawie równie absolutna jak dowolność wyobraźni, może uczynić tak odmienną od kobiety rzeczywistej, jak rzeczywiste Balbec było dla mnie różne od Balbec marzonego — sztuczny twór, do którego pomału, ku naszej męce, upodobnimy realną kobietę.

Albertyna tak mnie zapóźniła, że kiedym przybył do pani de Villeparisis, przedstawienie skończyło się właśnie. Niezbyt miałem ochotę przeciskać się przez tłum gości, który

⁴⁵rybał — średniowieczny wędrowny śpiewak a. aktor. [przypis edytorski]

⁴⁶snycerz — artysta bądź rzemieślnik rzeźbiący w drewnie, dawniej także w kamieniu. [przypis edytorski]

odpływał, komentując wielką nowinę: separację (podawano ją za fakt dokonany) księstwa Błajejów. W oczekiwaniu, aż będę się mógł przywitać z panią domu, siadłem na pustej berzerce⁴⁷ w saloniku, kiedy z głównego salonu, gdzie z pewnością siedziała w pierwszym rzędzie krzesel, wyłoniła się księżna Oriana — majestatyczna, duża i wysoka, w długiej atłasowej żółtej sukni, haftowanej w ogromne czarne maki. Widok jej nie budził już we mnie żadnego wzruszenia. Pewnego dnia mama rzekła do mnie, kładąc mi ręce na czole, jak miała zwyczaj czynić, kiedy się bała, że mi sprawi przykrość: „Nie rób tych wypraw na spotkanie pani de Guermantes; cały dom śmieje się z tego. Widzisz zresztą, jaka babcia jest chora; doprawdy, masz ważniejsze rzeczy niż czatować na kobietę, która sobie drwi z ciebie”. I za jednym zamachem, jak hipnotyzer, gdy ci otwiera oczy i sprowadza cię z powrotem z dalekiego kraju, gdzie bawiłeś wyobraźnią, lub jak lekarz, gdy budząc w tobie poczucie obowiązku i rzeczywistości, leczy cię z urojonej choroby, w której się lubowałeś, matka obudziła mnie z nazbyt długiego snu. Następnego dnia obróciłem na ostatnie pożegnanie z chorobą, której się wyrzekałem; płacząc, śpiewałem przez kilka godzin *Pożegnanie Schuberta*⁴⁸.

...Żegnaj — dziwne głosy
Wzywają cię, aniele, byś leciał w niebiosy.

A potem, już był koniec. Przerwałem swoje ranne spacerowanie, i to tak łatwo, że wyciągnąłem z tego wróżbę — fałszywą, jak się okaże później — że łatwo przyzwyczaiłbym się do tego, aby nie widzieć już kobiety w ciągu życia. A kiedy potem Franciszka opowiedziała mi, że Jupien, chcąc powiększyć swój zakład, szuka sklepu w sąsiedztwie, wówczas, pragnąc dla niego coś znaleźć, mogłem podjąć na nowo swoje spacerowanie. Czuję się szczęśliwy, iż wałęsając się po ulicy, którą już z łóżka słyszałem krzyczącą lśniąco na kształt plaży, widzę pod żelazną podniesioną żaluzją mleczarni młode mleczarki o białych rękawach. Czuję się bardzo swobodny, bo miałem świadomość, że nie robię już tego dla widzenia pani de Guermantes; coś niby kobieta, która zachowuje nieskończone ostrożności, dopóki ma kochanka, z chwilą zaś gdy z nim zerwała, pozwala się wałęsać jego listom, narażając się na to, że mąż odkryje tajemnicę błędu, którego przestała się obawiać z chwilą, gdy się go przestała dopuszczać.

Prawdziwą przykrość sprawiało mi odkrycie, że prawie wszystkie domy zamieszkałe były przez ludzi nieszczęśliwych. Tu żona płakała bez ustanku, bo ją mąż zdradzał. Gdzie indziej — odwrotnie. Ówdzie znów pracowita matka, grzmocona przez syna pijaka, starała się kryć swoje niedole przed oczami sąsiadów. Połowa ludzkości płakała. A kiedy poznałem tę połowę, przekonałem się, że jest tak nieznośna, iż pytałem sam siebie, czy słuszność nie jest po stronie cudzołóżnego męża lub wiarołomnej żony, którzy byli wiarołomni jedynie dlatego, że im odmówiono legalnego szczęścia, stawali się zaś czarujący i uczciwi dla każdego innego niż własna żona i własny mąż.

Niebawem moje ranne przechadzki straciły pretekst pomożenia Jupienowi. Okazało się, że stolarz, którego warsztat w dziedzińcu oddzielało od sklepu Jupiena jedynie cienkie przepierzenie, ma dostać wypowiedzenie od rządu, bo robi zbyt hałas. Jupien nie mógł marzyć o czymś lepszym; warsztat miał suteryny, dotąd służące stolarzowi na skład drzewa, a komunikujące⁴⁹ z naszą piwnicą. Jupien znalazłby tam pomieszczenie na węgle, usunąłby przepierzenie i miałby jeden obszerny sklep. Ale nawet bez tego pretekstu dalej wychodziłem na spacer przed śniadaniem. Zresztą Jupien, uważając, że cena księcia de Guermantes jest zbyt wygórowana, pozwalał oglądać warsztat w nadziei, iż książę, zwątpiwszy, czy znajdzie lokatora, zdecyduje się na opust; przy czym Franciszka, zauważywszy, że nawet po godzinach przeznaczonych na oglądanie lokalu odźwierny zostawia otwarte

⁴⁷berzerka — niski, szeroki fotel z wyściełanym, pełnym oparciem i siedzeniem, na którym kładziono poduszkę. [przypis edytorski]

⁴⁸„Pożegnanie” *Schuberta* — pieśń *Adieu!*, opublikowana w Paryżu ok. 1835, opisana na stronie tytułowej jako kompozycja „F. Schuberta”, z francuskim tekstem Edouarda Belangera; jednak prawdziwym autorem muzyki był August Heinrich von Weyrauch (1788–1865), który skomponował ją do tekstu wiersza Karla Friedricha Gottloba Wetzego i wydał w 1824 pod tytułem *Nach Osten* (Na wschód); pieśń zyskała sobie popularność, często łączono ją z nazwiskiem Franza Schuberta (1797–1828), znanego austriackiego kompozytora muzyki romantycznej, i umieszczano w zbiorach jego utworów. [przypis edytorski]

⁴⁹komunikować (daw.) — łączyć się, być połączonym. [przypis edytorski]

drzwi od sklepu stojącego pustką, zwęszyła zasadzkę zastawioną przez odźwiernego po to, aby zwabić narzeczoną lokaja Guermantów (znaleźliby tam gniazdko dla swojej miłości), a potem ich zaskoczyć.

Jak bądź się rzeczy miały, mimo że już nie potrzebowałem szukać sklepu dla Jupiena, dalej wychodziłem przed śniadaniem. Często w czasie tych spacerów spotykałem pana de Norpois. Zdarzało się, że rozmawiając z którymś z kolegów, kierował na mnie spojrzenie, które zbadawszy mnie gruntownie, wracało bez uśmiechu i bez ukłonu, tak jakby mnie ambasador wcale nie znał. Bo u tych ważnych dyplomatów popatrzeć w pewien sposób zgoła nie ma na celu okazać, że nas widzieli, ale że nas nie widzieli i że mają do pomówienia z kolegą o jakiejś ważnej sprawie.

Wysoka dama, którą mijałem często w pobliżu domu, była ze mną mniej ceremonialna. Bo mimo że jej nie znałem, obracała się w moją stronę, oczekiwała mnie — na próżno — przed witrynami sklepów, uśmiechała się do mnie tak, jakby mnie miała uściskać, oddawała się gestem. Jeśli spotkała kogoś, kto ją znał, przybierała z powrotem lodowatą minę.

Już od dawna w czasie tych rannych spacerów — wedle tego, com miał załatwić, boddaj aby kupić byle jaką gazetę — wybierałem drogę najprostszą, bez żalu, gdy leżała poza zwyczajną drogą księżnej, a bez skrupułów i komedii, jeżeli, przeciwnie, wiodła tamtędy. Bo ta droga nie była już dla mnie drogą zakazaną, gdzie wydzierałem niewdzięcznej fawor⁵⁰ oglądania jej wbrew woli. Ale nie myślałem, że moje uleczenie, dając mi w stosunku do pani de Guermantes normalną postawę, równoległe sprawi w niej ten sam skutek, umożliwiając jej uprzejmość i sympatię, o które już nie stałem⁵¹. Dotychczas sprzymierzone wysiłki całego świata w tym, aby mnie do niej zbliżyć, byłyby daremne wobec złych uroków, jakie rzuca nieszczęśliwa miłość. Potężniejsze od ludzi wróżki postanowiły, że w takich wypadkach nic nam nie pomoże, aż do dnia, w którym szczerze wyrzeczemy w sercu swoim słowa: „Nie Kocham już”. Miałem żal do Roberta, że mnie nie wprowadził do ciotki. Ale jak nikt inny, tak i on nie miał mocy przełamania czarów. Dopóki się kochał w pani de Guermantes, objawy uprzejmości, jakich doznawałem od innych, ich komplementy, robiły mi przykrość, nie tylko dlatego, że nie pochodziły od niej, ale dlatego, że ona o nich nie wiedziała. Otóż gdyby nawet wiedziała, na nic by się to nie zdało. Nawet w trakcie jakiegoś uczucia wyjazd, wymówienie się od obiadu, mimowolna i nieświadoma oschłość więcej pomagają niż wszystkie kosmetyki i najpiękniejsze stroje. Byłoby więcej karierowiczów, gdyby w tym sensie uczono sztuki robienia kariery.

W chwili gdy księżna mijała salonik, z myślą pełną przyjaciół, których nie znałem, a których miała może spotkać za chwilę w innym salonie, ujrzała mnie na berżerce. Zobojętniawszy dla niej naprawdę, pragnąłem być po prostu miły; podczas gdy dopóki kochałem, siliłem się — bez rezultatu — przybierać wyraz obojętności. Księżna skrzyła, podeszła do mnie, odnajdując uśmiech z owego wieczora w Operze — uśmiech, którego nie gasiło już przykre uczucie, że kocha ją ktoś, kogo ona nie kocha:

— Nie, niech się pan nie rusza; czy pozwoli pan, abym siadła na chwilę koło pana? — rzekła, unosząc wdzięcznie olbrzymią spódnicę, która inaczej zajęłaby całą berżerkę.

Większa ode mnie i jeszcze powiększona całą objętością swojej sukni, księżna muskała mnie prawie swoim cudnym nagim ramieniem, dokoła którego niedostrzegalny, a gęsty puszek wznosił nieustannie niby złocistą parę. Jasne jej włosy poiły mnie zapachem. Nie mogąc z braku miejsca łatwo obrócić się do mnie, zmuszona patrzeć raczej przed siebie niż w moją stronę, pani de Guermantes przybrała wyraz marzący i słodki jak na portrecie.

— Ma pan wiadomości od Roberta? — spytała.

W tej chwili przechodziła pani de Villeparisis.

— A, przychodzi pan o ładnej godzinie, szanowny panie, jak na ten jeden raz, kiedy się pana udało złapać!

Spostrzegłszy, że rozmawiam z jej siostrzenicą, pomyślała może, że jesteśmy bliżej, niż sądziła.

⁵⁰fawor (daw.) — wyróżnienie, łaska; przychylność, względy. [przypis edytorski]

⁵¹nie stać o coś (daw.) — nie dbać o coś. [przypis edytorski]

— Ale nie chcę państwu przeszkadzać — dodała (bo usługi rajfurki należą do obowiązku gospodyni domu). — Czy nie zechciałby pan zjeść u mnie obiadu we środę razem z Orianą?

Był to dzień spodziewanego obiadu z panią de Stermaria; odmówiłem.

— A w sobotę?

Matka wracała w sobotę lub niedzielę, byłoby nieładnie zostawić ją samą; odmówiłem znowu.

— Och, widzę, że pana nie łatwo jest zdobyć.

— Czemu pan nie przyjdzie nigdy do mnie? — rzekła pani de Guermantes, kiedy pani de Villeparisis oddała się, aby powinszować artystom i wręczyć diwie⁵² bukiet róż, któremu całą wartość dawała ręka ofiarodawczyni, bo kosztował tylko dwadzieścia franków. (Była to zresztą najwyższa cena margrabiny, kiedy ktoś śpiewał tylko raz. Osoby, które usławiły swoim talentem wszystkie poranki i wieczory, otrzymywały róże jej pędzla).

— To idiotyczne tak się widywać tylko u innych. Skoro pan nie chce zjeść ze mną obiadu u ciotki, czemu nie miałby pan przyjść na obiad do mnie?

Niektóre osoby, pozostałe pod lada pozorem możliwie najdłużej, ale wychodzące narreszcie, widząc księżną zagadaną z młodym człowiekiem na meblu tak ciasnym, że można się na nim było zmieścić tylko we dwoje, pomyślały, że je źle poinformowano i że to nie książę, ale księżna żąda separacji z mojego powodu. Zatem pospieszyli rozgłaszać tę nowinę. Lepiej niż ktokolwiek mogłem ocenić jej niedorzeczność. Ale byłem zdumiony, że w owych trudnych okresach, kiedy się przebąkiwało o separacji, księżna zamiast szukać samotności zaprasza właśnie kogoś, kogo zna tak mało. Zacząłem podejrzewać, że to tylko książę nie pozwalał żonie zaprosić mnie i że teraz, skoro mąż ją rzuca, księżna nie widzi już przeszkód w otaczaniu się ludźmi, do których czuje sympatię.

Dwie minuty przedtem byłbym zdumiony, gdyby mi ktoś powiedział, że pani de Guermantes zaprosi mnie do siebie, tym bardziej na obiad. Wiedziałem, zapewne, że salon państwa de Guermantes nie może posiadać właściwości, jakie wysnułem z tego nazwiska; mimo to świadomość, że jest on dla mnie zamknięty, kazała mi darzyć go tym samym rodzajem istnienia, co salony, których opis czytaliśmy w powieści lub których obraz widzieliśmy we śnie. To sprawiło, że nawet kiedyś był pewny, że ów salon podobny jest do wszystkich innych, roilem go sobie całkowicie odmiennym; między mną a nim była granica, przy której się kończy rzeczywistość. Być na obiedzie u państwa de Guermantes to było coś niby z dawna upragniona podróż, ucieleśnienie marzeń, zawarcie znajomości ze snem. Mógłbym bodaj przypuszczać, że chodzi o jeden z tych obiadów, na które gospodarstwo domu zapraszają kogoś, mówiąc: „Niech pan przyjdzie, nie będzie *absolutnie* nikogo prócz nas”, udając, że przypisują pariasowi⁵³ lęk przed myślą o zetknięciu się z ich przyjaciółmi, i starając się zmienić w szacowny przywilej (zastrzeżony jedynie dla najbliższych) kwarantannę „dzikusa mimo woli”, wykluczonego, a rzekomo wybranego. Ale zrozumiałem, przeciwnie, że pani de Guermantes pragnie mnie uraczyć tym, co ma najprzyjemniejszego, kiedy mi powiedziała, przesuwając równocześnie przed moimi oczami niby fiołkowy czar przybycia Fabrycego do domu ciotki oraz cud jego prezentacji hrabiemu Mosca w *Pustelni Parmeńskiej*.

— Czy w piątek byłby pan wolny, w małym kółku? To byłoby ślicznie. Będzie księżna Parmy, która jest uroczą; zresztą nie zapraszałabym pana, gdyby pan nie miał spotkać ludzi przyjemnych.

W ruchomych sferach „świata”, pochłoniętych nieustannym ruchem wstępującym, rodzina idzie w zaniedbanie; gra ona natomiast ważną rolę w sferach ustabilizowanych, jak drobna burżuazja i jak najwyższa arystokracja, która nie może się wspinać wyżej, bo nad nią, z jej swoistego punktu widzenia, nie ma nic. Przyjaźń, jaką mi okazowali „ciotka Villeparisis” i Robert, zrobiły może ze mnie dla pani de Guermantes i dla jej przyjaciół, żyjących wciąż samymi sobą i w tym samym kółku, przedmiot zainteresowania, któremu się nie domyślał.

⁵²diwa (z wł. *diva*: boska) — gwiazda sceny, słynna śpiewaczka, aktorka lub tancerka. [przypis edytorski]

⁵³parias — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

Pani de Guermantes znalazła tych krewnych znajomością rodzinną, codzienną, pospolitą, bardzo różną od tego, co sobie wyobrażamy; o ile zaś my sami dostaniemy się w sferę tej świadomości, postęпки nasze, bynajmniej nie wyrzucone z niej niby pyłek z oka lub kropla wody z tchawicy, mogą w niej pozostać wyryte, i jeszcze po latach, kiedyśmy je sami zapomnieli, mogą być tematem rozmów i komentarzy w jakimś pałacu, gdzie odnajdujemy je ze zdumieniem, niby nasz własny list w cennej kolekcji autografów.

Zwykli światowcy mogą bronić swoich zbyt obleganych drzwi. Ale drzwi Guermantów nie oblegano. Ktoś obcy prawie nie miał sposobności przekroczyć ich. Skoro księżnej zwrócono na kogoś uwagę, nie troszczyła się o jego ewentualne walory światowe, bo to była rzecz, której ona sama używała i tym samym nie mogła jej przyjąć z zewnątrz. Brała w rachubę jedynie istotne wartości takiego człowieka, a pani de Villeparisis i Saint-Loup upewnili ją, że je posiadają. Ale z pewnością nie byłaby im uwierzyła, gdyby nie zauważyła, że nie mogą mnie nigdy ściągnąć wówczas, gdy pragną, zatem, że nie zależy mi na „świecie”, co zdawało się księżnej rękojmią, że ktoś obcy należy do „ludzi przyjemnych”.

Trzeba było widzieć, jak wśród rozmowy o kobietach, których nie bardzo lubiła, natychmiast zmieniała się księżnej twarz, jeśli z okazji którejś z tych pań wymieniło się na przykład jej bratową. „Och! urocza jest” — powiadała księżna o nieznajomej, tonem subtelnej i niezłomnej pewności. A jedyną racją, którą to uzasadniała, był fakt, że owa dama nie dała się przedstawić margrabinie de Chaussegros i księżnej Sylistrii. Ale nie dodawała, że ta dama nie zgodziła się również, aby ją przedstawiono jej samej, księżnej de Guermantes. Ale tak było, i od tego dnia myśl księżnej siliła się odgadnąć, co może się dziać w domu osoby tak trudnej do poznania. Umierała z ochoty bywania u niej. Ludzie z wielkiego świata tak przywykli być celem zabiegów, że ktoś, kto ich unika, wydaje się im jakimś feniksem⁵⁴ i przykuwa ich uwagę.

Czy prawdziwą pobudką zaproszenia mnie stała się w duszy księżnej de Guermantes (od czasu jak jej już nie kochałem) okoliczność, że się nie ubiegałem o towarzystwo jej krewnych, gdy oni ubiegali się o moje? Nie wiem. W każdym razie, zdecydowawszy się mnie zaprosić, chciała mnie ugościć tym, co miała najlepszego, wykluczając tych swoich bliskich, którzy mogliby mnie zrazić do jej domu, o których wiedziała, że są nudni. Nie wiedziałem, czemu przypisać zmianę kierunku księżnej, kiedym ją ujrzał, jak zbacza ze swojej astronomicznej drogi, siada koło mnie i zaprasza mnie na obiad — wszystko skutek jakichś przyczyn nieznanych, z braku specjalnego zmysłu, który by nas oświecał w tej mierze. Wyobrażamy sobie, że ludzie, których mało znamy — jak ja księżnę — myślą o nas jedynie w rzadkich chwilach, kiedy nas widzą. Otóż ta idealna niepamięć, jaką im przypisujemy w stosunku do nas, jest najzupełniej dowolna. Tak iż podczas gdy w absolutnej ciszy, podobnej do ciszy pięknej nocy, wyobrażamy sobie rozmaite królowe salonów wędrujące po niebie w nieskończonej odległości, nie możemy się powstrzymać od przykrego lub miłego wstrząsu, kiedy niby aerolit⁵⁵ z wyrytym naszym nazwiskiem, któregośmy uważali za nieznaną na Wenus czy na Kasjopei — spadnie na nas zaproszenie na obiad albo złośliwa plotka.

Może czasem, na podobieństwo perskich królów, którzy, wedle *Księgi Estery*⁵⁶, kazali sobie odczytywać rejestry, gdzie były zapisane imiona osób szczególnie im oddanych, pani de Guermantes, przeglądając listę życzliwych ludzi, powiedziała sobie o mnie: „Tęgo trzeba zaprosić na obiad”. Ale inne myśli rozproszyły jej uwagę

(Nad ważnymi sprawami nieustanna praca
Wciąż ku nowym przedmiotom władcy myśl obraca)

⁵⁴*feniks* — legendarny ptak odradzający się co kilkaset lat z popiołów; wg Pliniusza na świecie miał istnieć tylko jeden Feniks; tu przen.: coś nadzwyczajnego i trudnego do znalezienia. [przypis edytorski]

⁵⁵*aerolit* — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]

⁵⁶*Księga Estera* — biblijna księga, wg której perski król Achaszwerosz (Ahaswer) oddalił swoją piękną żonę Waszti, ponieważ podczas publicznej uczty okazała nieposłuszeństwo jego rozkazom. Haman, pierwszy minister króla, nienawidził Żydów i skłonił władcę, by ten wydał rozkaz ich zglądzenia. Tymczasem Achaszwerosz, szukając następczyni Waszti, pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Esterę, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja (Mardocheusza), wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszani, a miejsce niegodziwego ministra zajął Mordechaj. Na pamiątkę tego cudownego ocalenia Żydzi obchodzą święto Purim. [przypis edytorski]

aż do chwili, w której ujrzała mnie samego niby Mardocheusza u bram pałacu; skoro zaś mój widok odświeżył jej pamięć, zapagnęła mnie, niby Ahaswer, obsypać swymi dary.

Ale muszę powiedzieć, że po zdziwieniu, któremu doznał w chwili, gdy mnie pani de Guermantes zaprosiła, miało nastąpić zdziwienie wręcz przeciwnego rodzaju. Kiedym uważał za skromniejsze i wdzięczniejsze z mojej strony nie ukrywać tego pierwszego zdziwienia, ale przeciwnie, wyrazić — bodaj z przesadą — radość, jaką ono kryje, pani de Guermantes, już spiesząca się na ostatnie przyjęcie, powiedziała, niemal jako usprawiedliwienie i z obawy, że ja nie wiem dobrze, kim ona jest, skoro mnie zdziwiło, że ona mnie zaprosiła: „Pan wie, ja jestem ciotka Roberta de Saint-Loup, który pana bardzo lubi, zresztą spotkaliśmy się już tutaj”. Odrzekłem, że wiem o tym, i dodałem, że znam także pana de Charlus, który „był bardzo miły dla mnie w Balbec i w Paryżu”. Pani de Guermantes wydała się zdumiona; spojrzenia jej zdawały się kierować — jak gdyby dla sprawdzenia czegoś — na dawniejszą już stronicę wewnętrznej księgi. „Jak to, pan zna Palamedę?” Imię to nabierało w ustach pani de Guermantes wielkiej słodyczy z powodu bezwiednej prostoty, z jaką mówiła o człowieku tak świetnym, który dla niej był tylko szwagrem, kuzynem, towarzyszem lat dziecińczych. I w mętną szarość, jaką było dla mnie życie księżnej de Guermantes, imię „Palamed” wносиło jakby jasność długich letnich dni, w których bawiła się z nim jako młoda dziewczyna w parku w Guermantes. Co więcej, w owej od dawna minionej epoce ich życia Oriana de Guermantes i jej kuzyn Palamed byli bardzo różni od tego, czym się stali potem; pan de Charlus zwłaszcza, całkowicie oddany pasjom artystycznym — później tak skutecznie poskromionym, iż zdumiałem się, słysząc, że to on malował olbrzymi wachlarz w czarno-żółte irysy, który rozwijała w tej chwili księżna. Mogłaby mi także pokazać sonatinę, którą niegdyś skomponował dla niej. Nie miałem pojęcia, że baron posiada wszystkie te talenty, o których nie mówił nigdy.

Powiedzmy mimochodem, iż pan de Charlus nie był zbyt kontent, że go w rodzinie nazywano Palamedem⁵⁷. Co się tyczy zdrobnienia „Mémé”, można by jeszcze zrozumieć, że mu się ono nie podoba. Te idiotyczne skróty są znakiem niezrozumienia arystokracji dla własnej poezji (judaizm okazuje zresztą takie same niezrozumienie, skoro jednego z siostrzeńców lady Rufus Israel, mającego na imię Mojżesz, nazywano potocznie w towarzystwie „Momo”), a zarazem jej troski o to, aby się nie wydawało, iż przywiązuje wagę do tego, co jest arystokratyczne. Otóż, pan de Charlus miał na tym punkcie więcej poetyckiej wyobraźni i więcej ostentacyjnej dumy. Ale przyczyną, dla której nie lubił zbyt zdrobnienia „Mémé”, było widocznie coś innego, skoro niechęć barona obejmowała także imię Palamed. Faktem jest, iż w poczuciu, że pochodzi z udzielnej rodziny, byłby chciał, aby brat i bratowa mówili o nim „Charlus”, tak jak królowa Maria Amelia lub księżę Orleanu mogli mówić o swoich dzieciach, wnukach, bratankach i braciach: „Joinville”, „Nemours”, „Chartres”, „Paris”.

— Co on za ciuciubabki urządza, ten Mémé! — wykrzyknęła księżna. — Mówiliśmy mu dużo o panu; oświadczył, że byłby bardzo rad pana poznać, absolutnie tak, jakby pana nigdy nie widział na oczy. Niech pan przyzna, że on jest zabawny i — choć to może nie bardzo ładnie z mojej strony tak mówić o szwagrze, którego uwielbiam i którego rzadkie przymioty podziwiam — chwilami trochę niepoczytalny?

Bardzo mnie uderzyło to słowo zastosowane do pana de Charlus; pomyślałem, że ta jego niepoczytalność tłumaczy może niektóre rzeczy, na przykład jego upojenie pomysłem poproszenia Blocha, aby zbił własną matkę. Uświadomiłem sobie, że pan de Charlus jest trochę niepoczytalny nie tylko w tym, co mówi, ale w sposobie, w jaki to mówi. Za pierwszym razem, kiedy się słyzy adwokata lub aktora, zdumiewa nas ich ton, tak różny od zwykłej rozmowy. Ale ponieważ zdajemy sobie sprawę, że wszyscy to uważają za całkiem naturalne, nie mówimy nic innym, nie mówimy nic samym sobie, poprzestajemy na ocenie stopnia talentu. Co najwyżej myśli się o aktorze z Komedii Francuskiej:

⁵⁷Palamed (mit. gr.) — heros, syn Naupliosa, króla Eubei; odkrył podstęp Odyszeusza broniącego się przed udziałem w wyprawie na Troję i udającego obłąkanego; w zemście za to Odyszeusz podrzucił w jego namiocie sfalszowany list Priama, a następnie oskarżył o zdradę; Palamedesa uznano za winnego, zginął ukamienowany przez Odyszeusza i Diomedesa; wg innej wersji zabił go podczas polowu ryb; miał być wynalazcą liter, miar i wag, umiejętności obliczania, astronomii, praw pisanych itd.; choć nie występuje w eposach Homera, był tytułowym bohaterem zaginionych tragedii Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. [przypis edytorski]

„Czemu zamiast spuścić po prostu rękę opuszcza ją przerywanymi ruchami co najmniej przez dziesięć minut?” lub o jakimś Labori⁵⁸: „Czemu, od chwili gdy otworzył usta, wydaje nieoczekiwane tragiczne dźwięki, aby powiedzieć najprostszą rzecz?”. Ale ponieważ wszyscy przyjmują to *a priori*⁵⁹, nie razi to nas. Tak samo po zastanowieniu stwierdzało się, że pan de Charlus mówi o sobie z emfazą, tonem zgoła odmiennym od tonu zwykłej rozmowy. Właściwie powinno by się co chwilę mówić mu: „Ależ czemu pan tak głośno krzyczy? Czemu pan jest taki arogancki?”. Ale zdaje się, iż wszyscy akceptowali milcząco, że tak już jest. I wchodziło się w krąg osób, które przysłuchiwały się z zachwytem, gdy on perorował. Ale w pewnych momentach ktoś obcy pomyślałby, że słyszy krzyki wariata.

— Ale czy pan jest pewny, że panu się nie myli, że pan w istocie mówi o moim szwagrze Palamedzie? — dodała księżna z lekką impertynencją, jaką barwiła się u niej prostota.

Odpowiedziałem, że jestem absolutnie pewny i że pan de Charlus musiał nie dosłyszeć mego nazwiska.

— I cóż, muszę pana pożegnać — rzekła jakby z żalem pani de Guermantes. — Muszę zajść na sekundę do księżnej de Ligne. Pan tam nie idzie? Nie, pan nie lubi świata? Ma pan wielką rację, to rozpaczliwe. Gdybym ja nie musiała! Ale to moja kuzynka, to by było niegrzecznie. Żałuję tego samolubnie, dla siebie, bo mogłabym pana tam zawieść, nawet potem odwieść do domu. Ha! więc do widzenia, i cieszę się na srode.

To, że pan de Charlus wstydził się mnie przed panem d'Argencourt — przypuśćmy. Ale żeby przed własną bratową, i to mającą o nim tak wysokie pojęcie, wyparł się mojej znajomości — tak naturalnej, skoro znałem i jego ciotkę, i jego siostrzeńca — tego nie mogłem pojąć.

Trzeba mi jeszcze zaznaczyć, że z pewnego punktu widzenia pani de Guermantes posiadała prawdziwą wielkoduszność, polegającą na całkowitym wymazaniu tego, co by u innych zostawiło nieuchronne ślady. Gdyby mnie nie spotykała nagabującego ją, goniącego za nią, tropiącego ją w czasie rannych spacerów; gdyby nigdy nie odpowiadała na mój codzienny ukłon z wyraźnym znudzeniem; gdyby nigdy nie odprawiła z kwitkiem Roberta, kiedy ją błagał, by mnie zaprosiła, nie mogłaby być dla mnie szlachetniej i naturalniej uprzejma. Nie wdawała się w retrospektywne wyjaśnienia, w półsłówka, aluzje, dwuznaczne uśmiechy; w swojej obecnej życzliwości, bez oglądania się wstecz, bez zastrzeżeń, miała coś równie hardo prostolinijnego jak jej majestatyczna postawa; urazy, jakie mogła żywić do kogoś w przeszłości, były tak całkowicie obrócone w popiół, nawet ten popiół tak był wymieciony z jej pamięci lub przynajmniej z jej zachowania się, że patrząc na jej twarz w chwili, gdy traktowała z najpiękniejszą prostotą coś, co u tyłu innych byłoby pretekstem do rekryminacji⁶⁰ i dąsów — miało się wrażenie jakiegoś oczyszczenia.

Ale o ile czułem się zdumiony odmianą księżnej w stosunku do mnie, o ileż bardziej dziwiłem się, znajdując w sobie znacznie większą jeszcze zmianę w stosunku do niej. Jakże niedawną była chwila, kiedy odzyskiwałem życie i siły jedynie w momencie, gdy — budując wciąż nowe projekty — znalazłem kogoś, kto by mnie mógł do niej wprowadzić i kto by po tym pierwszym upojeniu dostarczył wielu innych upojeń mojemu coraz to bardziej wymagającemu sercu. Niemożność wymyślenia czegoś kazała mi jechać do Doncières do Roberta. I teraz oto miało mną wzruszenie będące następstwem jego listu, ale z powodu pani de Stermaria, nie zaś pani de Guermantes.

Aby skończyć z tym wieczorem, dodajmy, iż zaszedł na nim fakt (sprostowany w kilka dni później), który mnie zdziwił i który mnie na jakiś czas poróżnił z Blochem; fakt stanowiący sam przez się jedną z owych osobliwych sprzeczności, których objaśnienie znajdzie czytelnik z końcem następnego tomu (*Sodoma I*). Zatem tego wieczora u pani de Villeparisis Bloch wciąż wychwalał przede mną uprzejmość pana de Charlus, który kiedy go spotkał na ulicy, patrzył mu w oczy tak, jakby go znał, jakby go miał ochotę poznać, jakby doskonale wiedział, kim on jest. Uśmiechnąłem się zrazu; pamiętałem,

⁵⁸Labori, *Fernand* (1860–1917) — francuski adwokat i polityk, obrońca w głośnych procesach Alfreda Dreyfusa i Émile'a Zoli. [przypis edytorski]

⁵⁹*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

⁶⁰rekryminacja (z łac.) — odpowiadanie komuś zarzutem na zarzut, wzajemne obwinianie się. [przypis edytorski]

jak ostro Bloch wyrażał się w Balbec o tym samym panu de Charlus. Pomyślałem po prostu, że Bloch, na podobieństwo swego ojca w stosunku do Bergotte'a, zna barona „ot tak”. I że to, co Bloch brał za jego uprzejmość, było po prostu roztargnieniem. Ale, ostatecznie, Bloch podawał szczegóły tak ściśle, zdawał się tak pewny, że go parę razy pan de Charlus chciał zaczepić! Przypomniałem sobie, że mówiłem o Blochu z baronem, który kiedyśmy wracali z wizyty u pani de Villeparisis, wypytywał mnie o niego; pomyślałem tedy, że może Bloch nie kłamie; może pan de Charlus dowiedział się, kim on jest i że jest moim przyjacielem, itd... Toteż w jakiś czas potem, w teatrze, spytałem pana de Charlus, czy pozwoli sobie przedstawić Blocha; skoro wyraził zgodę, poszedłem po niego. Ale z chwilą gdy go pan de Charlus spostrzegł, zdumienie (opanowane natychmiast) odbiło się na jego twarzy, aby niebawem zmienić się w najwyższą wściekłość. Nie tylko nie podał Blochowi ręki, ale za każdym razem kiedy ów coś mówił do niego, pan de Charlus odpowiadał mu w sposób wyraźnie impertynencki, zirytowanym i niegrzecznym tonem. Tak iż Bloch, który, wedle tego, co mówił, dotąd otrzymywał od barona same uśmiechy, myślał, że ja go nie poleciłem, ale obmówiłem w czasie owej krótkiej rozmowy, w której, znając drażliwość barona w kwestiach etykiety, wspomniałem mu o swoim koledze, zanim go przyprowadziłem. Bloch opuścił nas z uczuciem człowieka, który chciał dosiąść narowistego konia lub płynąć wbrew falom odrzucającym go wciąż na żwir. I nie odzywał się do mnie przez pół roku.

Dni, które poprzedziły mój obiad z panią de Stermaria, były dla mnie nie rozkoszne, ale nieznośne. Zazwyczaj im czas oddzielający nas od celu naszych pragnień jest krótszy, tym wydaje się nam dłuższy, bo mierzymy go krótszą miarą lub po prostu bo go w ogóle mierzymy. Papięstwo — powiadają — liczy czas na wieki, a może nawet wcale go nie liczy, skoro jego cel jest w nieskończoności. Mój cel był tylko na dystans trzech dni, liczyłem na sekundy, oddawałem się marzeniom stanowiącym wstęp do pieśzcot, o których myśl budzi w nas wściekłość przez to, że ich nie możemy dać dokończyć samej kobiecie (właśnie tych pieśzcot, z wyłączeniem wszystkich innych). I w sumie, o ile prawdą jest, że na ogół trudność osiągnięcia przedmiotu żądz wzmacnia je (trudność, nie niemożebność, bo ta je poraża), jednakże dla czysto fizycznego pragnienia pewność, iż będzie ono ziszczone w bliskim i określonym momencie, jest mało co mniej podniecająca od niepewności; brak wątpliwości, prawie tak samo jak denerwujące wątplenie, robi oczekiwanie niechybnej rozkoszy czymś nieznośnym, bo robi z tego oczekiwania ziszczenie niezliczone i — przez częstość uprzednich wyobrażeń — dzieli czas na fragmenty tak drobne, jakby to mogła uczynić obawa.

Trzeba mi było posiadać panią de Stermaria, bo od kilku dni z nieprzerwaną energią pragnienia moje przygotowywały w mojej wyobraźni tę rozkosz, i tylko tę; inna (rozkosz z inną) nie byłaby gotowa, ile że rozkosz jest tylko ziszczeniem chęci uprzedniej i nie zawsze jednakiej, zmieniającej się wedle tysięcy kombinacji marzenia, kaprysu wspomnień, stanu fizycznego, porządku rozporządzalności pragnień, z których ostatnio spełnione odpoczywają, dopóki zawód ich ziszczenia nie będzie trochę zapomniany; nie byłbym gotów, opuściłem już gościniec bezosobowych żądz i zapuściłem się w ścieżkę poszczególnego pragnienia; aby móc pożądać innej schadzki, trzeba by wrócić z nazbyt daleka po to, aby wstąpić na gościniec i skrócić w inną ścieżkę. Posiadać panią de Stermaria na wyspie w Lasku Bulońskim, dokąd ją zaprosiłem na obiad, oto rozkosz, którą sobie wyobrażałem co minutę. Zjeść obiad na tej wyspie bez pani de Stermaria byłoby unicestwieniem tej rozkoszy; ale iść na obiad nawet z nią gdzie indziej — byłoby może znacznym jej uszczupleniem. Zresztą formy, w jakich sobie wyobrażamy przyjemność, wcześniejsze są od kobiety, od rodzaju kobiet, który nadaje się do tego celu. One — te formy — narzucają go, a także miejsce, i dlatego sprowadzają kolejno, wedle kaprysu naszych myśli, taką kobietę, takie miejsce, taki pokój, którymi wzgardzilibyśmy w innym czasie. Zrodzone z pozycji, niektóre kobiety są nie do pomyślenia bez wielkiego łoża, w którym znajdujemy spokój obok nich; inne znów jako ramy dla intymniejszych pieśzcot potrzebują liści kołysanych wiatrem, wód płynących w mroku nocy, są lekkie i ulotne jak one.

Z pewnością, dawno już przed listem Roberta i kiedy nie chodziło jeszcze o panią de Stermaria, wyspa w Lasku zdawała mi się stworzona dla rozkoszy, bo czasem szedłem tam poić się smutkiem, że nie mam żadnej rozkoszy, którą bym tam mógł schronić. Nad

Czas, Pożądanie

Pożądanie

brzegami jeziora wiodącymi do tej wyspy, gdzie przez ostatnie tygodnie lata przechadzają się paryżanki — te, co jeszcze nie wyjechały — błądzimy, nie wiedząc, gdzie odnaleźć ją, a nawet czy już ona nie opuściła Paryża. Błądzimy z nadzieją ujrzenia młodej dziewczyny, w której zakochaliśmy się na balu — ostatnim w tym roku — której nie będziemy już mogli ujrzeć na żadnym wieczorze przed następną wiosną. Czując, że bliski jest — a może już nastąpił — wyjazd ukochanej istoty, przebiegamy nad brzegiem drżącej wody owe piękne aleje, gdzie już pierwszy czerwony liść kwitnie niby ostatnia róża; badamy ten widnokrąg, gdzie siłą złudy odwrotnej do owych panoram, na których pierwszym planie woskowe figury dają malowanemu płótnu złudę głębi i bryły, oczy nasze, przebiegając od sztucznego parku do naturalnych wyżyn Meudon⁶¹ i Mont Valerien⁶², nie wiedząc, gdzie postawić granicę, i wcielają prawdziwą wieś w ogrody, których sztuczny wdzięk rzutują daleko poza nie; podobnie owe rzadkie ptaki, wychowane na wolności w botanicznym ogrodzie, co dnia wedle kaprysu swoich skrzydlatych spacerów wnoszą nawet w sąsiednie lasy egzotyczną nutę. Między ostatnim świętem lata a wygnaniem zimy przebiegamy trwożliwie romantyczne królestwo niepewnych spotkań i melancholii miłosnych i nie bardziej zdziwilibyśmy się, znajdując je poza geograficznym wszechświatem, co gdybyśmy w Wersalu, na wyżynie terasy, tego obserwatorium, dokoła którego chmury gromadzą się na błękitnym niebie w stylu Van der Meulena⁶³, wzniosłszy się w ten sposób poza naturę, dowiedzieli się, że tam, gdzie się ona na nowo zaczyna, na skraju wielkiego kanału, wioski, majaczące na widnokręgu olśniewającym jak morze, nazywają się Fleurus lub Nijmegen⁶⁴.

I skoro minął ostatni ekwipaż⁶⁵, kiedy uczujemy z bólem, że ona już nie przyjdzie, idziemy na obiad na wyspę; ponad drżącymi topolami, które raczej przypominają bez końca tajemnice wieczoru, niż odpowiadają na nie, różowa chmura kładzie ostatnią barwę życia na ukojonym niebie. Kilka kropel dżdżu spada bez szelestu na wodę — starożytną, ale w swym boskim dziecięctwie wciąż zachowującą barwę czasu i zapominającą co chwila obrazu chmur i kwiatów. I gdy geranie, natężając siłę swoich kolorów, znużą się w daremnej walce przeciw gęstniejącemu zmierzchowi, mgła spowija wyspę, która zasypia; przechadzamy się w wilgotnym mroku nad wodą, gdzie co najwyżej milcząca smuga łabędzia zdumiewa cię niby w łóżku w nocy szeroko otwarte przez chwilę oczy i uśmiech dziecka, które, wbrew naszemu spodziewaniu, nie śpi. Wówczas człowiek chciałby tym bardziej mieć przy sobie kochankę, bo czuje się samotny, i może mieć wrażenie, że jest daleko.

A o ileż byłbym szczęśliwszy, gdybym na tę wyspę, gdzie nawet w lecie była często mgła, mógł zawieść panią de Stermaria teraz, kiedy się skończyły pogody, kiedy był już schyłek jesieni. Jeżeli czas trwający od niedzieli nie zmienił sam przez się w szary i morski pejzaż krain, w których żyła moja wyobraźnia — tak jak inne pory roku czyniły je czymś balsamicznym, promiennym i włoskim — nadzieja posiadania za kilka dni pani de Stermaria wystarczylaby, aby dwadzieścia razy na godzinę podnosić zasłonę mgły w mojej wyobraźni, wezbranej monotonną nostalgią. Bądź co bądź, mgła, która od wczoraj zaległa nawet Paryż, nie tylko kazała mi wciąż myśleć o rodzinnych stronach tej oczekiwanej młodej kobiety; ale ponieważ prawdopodobne było, że mgła — o wiele gęstsza jeszcze niż w mieście — zagarnie wieczorem Lasek, zwłaszcza brzegi jeziora, marzyłem, że z Wyspy Łabędziej⁶⁶ uczyni mi po trosze wyspę bretońską, której morska i mglista atmosfera zawsze spowijała dla mnie na kształt sukni bladą sylwetkę pani de Stermaria. Z pewnością, kiedy się jest młodym, w wieku moich przechadzek w stronę Méséglise, nasze pragnienie, nasza wiara użyczają strojowi kobiety czegoś indywidualnego, odrębnego, jakiejś nienaruszalnej istności. Ścigamy realność. Ale czując, jak się wciąż wymyka, spostrzegamy w końcu, iż poprzez wszystkie te czcze usiłowania, w których znalazło się nicość, pozostaje coś trwałego — i tegośmy właśnie szukali. Zaczynamy wylaniać, po-

⁶¹Meudon — położone na wzgórzach przedmieście Paryża. [przypis edytorski]

⁶²Mont Valerien — wzgórze położone kilka kilometrów na zachód od Paryża. [przypis edytorski]

⁶³Meulen, Adam Frans van der (1632–1690) — malarz flamandzki, nadworny malarz Ludwika XIV, znany szczególnie ze scen batalistycznych. [przypis edytorski]

⁶⁴Fleurus i Nijmegen — Fleurus: miasto w Belgii; Nijmegen: miasto we wschodniej Holandii. [przypis edytorski]

⁶⁵ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

⁶⁶Wyspa Łabędzia — niewielka sztuczna wyspa na Sekwanie w Paryżu. [przypis edytorski]

znawać to, co kochamy, staramy się to uzyskać, choćby za cenę jakiejś sztuczki. Wówczas, gdy się straciło wiarę, kostium oznacza zastąpienie jej dobrowolną złudą. Wiedziałem, że o pół godziny od domu nie znajdę Bretanii. Ale przechadzając się w uścisku z panią de Stermaria w mrokach wyspy, nad wodą, zrobiłbym jak ci, co nie mogąc się wdrzeć do klasztoru, przebierają bodaj za mniszkę kobietę, którą mają osiąść.

Mogłem nawet mieć tę nadzieję, że będę słuchał z panią de Stermaria plusku fal, bo w wilię naszego obiadu rozpętała się burza. Zaczynałem się golić, aby pojechać na wyspę zamówić gabinet (mimo że w tej porze roku wyspa jest pusta, a restauracja wyludniona) i ustalić menu na jutrzejszy obiad, kiedy Franciszka oznajmiła Albertynę. Wpuściłem ją natychmiast, obojętny na to, że mnie ujrzy brzydkim, nieogolonym; ona, dla której w Balbec nigdy nie czułem się dość piękny i która mnie kosztowała wówczas tyle wzruszeń i trudów co teraz pani de Stermaria. Zależało mi na tym, aby tamta odniosła najlepsze wrażenie z jutrzejszego wieczoru. Toteż poprosiłem Albertynę, żeby się wybrała ze mną na wyspę i pomogła mi ułożyć menu. Tę, której się daje wszystko, tak rychło luzuje inna, że sami się dziwimy, oddając to, co mamy na nowo, o każdej godzinie, bez nadziei przyszłości. Na moją propozycję uśmiechnięta i różowa twarz Albertyny pod płaskim i bardzo nisko, aż na oczy spuszczonej toczkiem zdawała się wahać. Albertyna musiała mieć inne projekty; w każdym razie poświęciła mi je łatwo, ku memu wielkiemu zadowoleniu, bo mi bardzo zależało na tym, aby mieć z sobą młodą gosposię, która potrafi zamówić obiad o wiele lepiej ode mnie.

To pewne, iż Albertyna była dla mnie czymś całkiem innym w Balbec. Ale nasza zażyłość — nawet kiedy się nam wydaje wówczas nie dość bliska — z kobietą, w której jesteśmy zakochani, stwarza między nią a nami — mimo braków, które nas ranią wówczas — węzły, które przetrwają miłość, a nawet wspomnienie miłości. Wówczas gdy ta istota jest już dla nas tylko środkiem i drogą do innych kobiet, ze zdziwieniem i rozbawieniem dowiadujemy się od naszej pamięci, ile niezwykłych rzeczy oznaczało jej imię dla owej innej istoty, którą byliśmy niegdyś. To jest bez mała tak, co gdybyśmy, rzuciwszy woźnicy adres — bulwar des Capucines lub ulica du Bac — myśląc jedynie o osobie, którą tam mamy odwiedzić, spostrzegli się nagle, że ta nazwa była niegdyś nazwą kapucynek, których klasztor znajdował się w tym miejscu, i nazwą promu (*bac*), który przebywał Sekwanę.

Niewątpliwie moje pragnienia z czasu Balbec spulchniły tak soczyście ciało Albertyny, zgromadziły w niej smaki tak świeże i słodkie, że w czasie naszej jazdy przez Lasek, gdy wiatr, niby staranny ogrodnik, wstrząsał drzewa, strącał owoce, zamiatał zeschnięte liście, powiadałem sobie, iż gdyby groziło to, że Saint-Loup się pomylił lub że ja źle zrozumiałem jego list, i gdyby obiad mój z panią de Stermaria miał spalić na panewce, naznaczyłbym schadzki na ten sam wieczór — bardzo późno — Albertynie, aby w godzinie czystej rozkoszy, trzymając w ramionach ciało kipiące obecnie wszystkimi urokami, jakie ciekawość moja rozbierała i ważyła niegdyś, zapomnieć wzruszeń, a może smutków rozpoczynającej się miłości do pani de Stermaria. I z pewnością, gdybym mógł przypuszczać, że pani de Stermaria nie użyczy mi nic owego pierwszego wieczora, przedstawiałbym sobie ten wspólny wieczór dosyć żałośnie. Wiedziałem zbyt dobrze z doświadczenia, w jaki sposób dwa stadia, zachodzące w nas kolejno w początkach miłości dla kobiety, której pragnęliśmy na nieznanie, kochając w niej nie tyle ją samą, jeszcze prawie obcą, ile owo swoiste życie, w jakim jest zanurzona — w jaki sposób te dwa stadia dziwacznie odbijają się w dziedzinie faktów, to znaczy już nie w nas samych, ale w naszych schadzkiach z tą kobietą. Nigdy nie mając sposobności z nią rozmawiać, wahaliśmy się, kuszeni poezją, jaką ona dla nas wciela. Czy to będzie ona, czy jakaś inna? I oto marzenia skupiają się dokoła niej, tworzą z nią już jedno. Pierwsza schadzka, która nastąpi niebawem, powinna by odbijać tę rodzącą się miłość. Nic podobnego. Jak gdyby było trzeba, aby i realne życie miało swoje pierwsze stadium, kochając ją już, mówimy do niej najbardziej zdawkowo: „Zaprosiłem panią na obiad na tę wyspę, bo myślałem, że ta rama się pani spodoba. Nie mam pani zresztą nic specjalnego do powiedzenia. Ale boję się, że jest wilgoć i że pani będzie zimno”. — „Ale nie”. — „Pani to mówi przez uprzejmość. Pozwalam pani borykać się jeszcze przez kwadrans z zimnem, aby pani nie dokuczać, ale za kwadrans odwożę panią przemocą. Nie chcę, żeby pani dostała kataru”. I odwozimy ją do domu, nie powiedziawszy jej nic, nie zapamiętawszy z niej nic — co najwyżej pewien sposób patrzenia — ale myśląc tylko o tym, aby ją widzieć na nowo. Otóż, za drugim razem (nie odnajdując

Miłość

Miłość

już nawet tego spojrzenia, jedyne wspomnienia, ale myśląc wciąż, tylko o tym, aby ją ujrzeć znowu) przebyliśmy pierwsze stadium. Nic wśród tego nie zaszło. A przecież zamiast mówić o komforcie restauracji mówimy, nie budząc zdziwienia w nowej osobie, która się nam wydaje brzydka, ale której myśl chcielibyśmy zaprzętać w każdej minucie jej życia: „Będziemy mieli sporo roboty z tym, aby pokonać wszystkie przeszkody piętrzące się między naszymi sercami. Czy myśli pani, że to osiągniemy? Czy wyobraża sobie pani, że zdołamy pokonać naszych wrogów, że możemy się spodziewać szczęśliwej przyszłości?” Ale te rozmowy, zrazu nieznaczące, potem zawierające aluzje do miłości, nie będą potrzebne; mogę w tym wierzyć listowi Roberta. Pani de Stermaria odda mi się od pierwszego dnia, nie potrzebuję tedy zamawiać do siebie Albertyny jako namiastkę na koniec wieczoru. To jest zbyteczne, Robert nie przesadza nigdy, a list jego był jasny!

Albertyna prawie się nie odzywała do mnie, czuła, że jestem myślami daleko. Przeszliśmy kilka kroków pieszo pod zielonkawą, niemal podmorską grotą drzew, nad której sklepieniem słyszeliśmy szum wiatru i plusk deszczu. Idąc, miażdżyłem zeschnięte liście, które wgniatały się w ziemię jak muszle, i potraçałem laską kasztany, kłujące jak jeżowce.

Na gałęziach ostatnie pokurczone liście biegły za wiatrem jedynie na długość swojej uwięzi, ale czasem, gdy ta się skruszyła, spadały na ziemię i doganiały go pędem. Myślałem z radością, że jeżeli ten czas przetrwa, wyspa będzie jutro jeszcze dalsza, a w każdym razie całkiem pusta. Wsiadliśmy znów do powozu, że zaś zawierucha uspokoiła się, Albertyna prosiła, aby pojechać aż do Saint-Cloud⁶⁷. Jak dołem zwiędłe liście, tak w górze chmury biegły z wiatrem. A wędrownie wieczory, których różowe, niebieskie i zielone warstwy ukazywał stożkowaty wykrój nieba, były już przygotowane dla piękniejszych klimatów. Aby obejrzeć z bliska marmurową boginię, która zrywała się ze swego cokołu i sama jedna w wielkim lesie — jak gdyby jej poświęconym — wypełniała go pół zwierzęcą, pół świętą mitologiczną grozą swoich wściekłych skoków, Albertyna wdrapała się na wzgórek, gdy ja czekałem na drodze. Ona sama, widziana tak z dołu, już nie tęga i nabita, jak wówczas na moim łóżku, kiedy tkanka jej szyi nastroczała się lupie moich zbliżonych oczu, ale cyzelowana i delikatna, zdawała się posążkiem powleczonym patyną szczęśliwych chwil w Balbec.

Kiedym się znalazł sam w domu, przypominając sobie, że byłam popołudniu na spacerze z Albertyną, że pojutrze mam obiad u pani de Guermentes i że mam odpowiedzieć na list Gilberty — trzy kobiety, które niegdyś kochałem — powiedziałem sobie, że nasze życie jest, jak pracownia artysty, pełne porzuconych szkiców, w których próbowaliśmy przez chwilę ustalić swoją potrzebę wielkiej miłości; ale nie pomyślałem, iż czasem, kiedy szkic nie jest zbyt dawny, może się zdarzyć, że go podejmiemy na nowo i stworzymy zeń dzieło zupełnie odmienne, może nawet ważniejsze niż to, któreśmy zamierzali zrazu.

Nazajutrz było zimno i ładnie; czuło się zimę (i w istocie, jak na tę porę, to był cud, żeśmy znaleźli w spustoszonej już Łasku parę kopułek zielonego złota). Budząc się, ujrzałem — niby z okna koszar w Doncières — matową, jednostajną i białą mgłę, która wisiła wesoło u słońca, zwarta i słodka jak cukier lodowaty⁶⁸. Potem słońce schowało się, a mgła zgęstniała jeszcze w ciągu popołudnia. Zmrok zapadł rychło, ubrałem się, ale było jeszcze za wcześnie; umyśliłem posłać powóz po panią de Stermaria. Nie śmiałem sam pojechać, aby jej nie narzucać swego towarzystwa; ale przesłałem jej przez stangreta bilecik, gdzie pytałem, czy mi pozwoli zajechać po siebie. W oczekiwaniu wyciągnąłem się na łóżku, zamknąłem na chwilę oczy, potem otworzyłem je. Nad firankami była już tylko wąska smuga ciemniejącego dnia. Poznałem tę bezużyteczną godzinę, głęboki przedsionek rozkoszy, z którego ciemną i rozkoszną pustką zapoznałem się w Balbec, kiedy sam w swoim pokoju jak teraz, gdy wszyscy inni jedli obiad, patrzyłem bez smutku na to, jak dzień umiera nad firankami, wiedząc, iż niebawem, po nocy równie krótkiej jak nocie podbiegunowe, wskrzesi się świetniejszy jeszcze w blaskach Rivebelle. Wskoczyłem z łóżka, zawiązałem czarny krawat, przyczesalem włosy — ostatnie gesty spóźnionej toalety, wykonywane w Balbec z myślą nie o sobie, ale o kobietach, które ujrzę w Rivebelle, do których uśmiechałem się zawczasu w swoim pochyłym lustrze; gesty utrwalone tym samym jako wróżba rozrywki pełnej światła i muzyki. Wywoływały ją one niby magicz-

⁶⁷*Saint-Cloud* — miejscowość nad Sekwaną, na zach. przedmieściach Paryża, z barokowym parkiem, pozostałością dawnej rezydencji królewskiej. [przypis edytorski]

⁶⁸*cukier lodowaty* — cukier trzcinowy w postaci dużych kryształów, dawny smakołyk. [przypis edytorski]

ne znaki; co więcej, realizowały ją już; dzięki nim miałem pełną świadomość jej prawdy, pełne użycie jej upajającego i lekkiego czaru, jak niegdyś w Combray w lipcu, kiedy słyszałem uderzenia młotka przy zabijaniu pak i kiedy się syciłem w chłodzie swego mrocznego pokoju upałem i słońcem.

Toteż już niezupełnie panią de Stermaria byłbym pragnął widzieć. Zmuszony teraz spędzić z nią wieczór, byłbym wolał — skoro ten wieczór był moim ostatnim przed powrotem rodziców — żeby został wolny i żebym mógł się starać odnaleźć kobiety z Rivabelle. Umyłem jeszcze ostatni raz ręce i wędrując w upojeniu szczęścia po domu, wytarłem je w ciemnej jadalni. Zdawało mi się, że drzwi do oświetlonego przedpokoju są otwarte, ale to, com wziął za jasną szczelinę drzwi (które, przeciwnie, były zamknięte), było jedynie białym odbiciem mojego ręcznika w opartym o ścianę lustrze, które miano powiesić na powrót mamy. Pomyślałem znów o wszystkich cudach, które w ten sposób odkryłem w naszym mieszkaniu — cudach nie tylko optycznych, bo w pierwszych dniach sądziłem, że nasza sąsiadka ma psa, a to z powodu przeciągłego, niemal ludzkiego skuczenia, jakie wydawała rura w kuchni, ilekroć się otwarło kurek. A drzwi od sieni zamykały się same z siebie bardzo wolno od przeciągu ze schodów, powodując przy tym urywki rozkosznych i jęśliwych fraz, jakie się piętrzą w chórze pielgrzymów pod koniec uwertury z *Tannhäusera*⁶⁹.

Kiedy wiesział ręcznik na swoim miejscu, miałem zresztą sposobność uzyskać nową audycję⁷⁰ tej olśniewającej symfonii, kiedy, usłyszawszy dzwonek, pobiegłem otworzyć stangretowi wracającemu z odpowiedzią. Myślałem, że odpowiedź będzie: „Ta pani jest na dole”, albo: „Pani czeka na pana”. Ale on miał w ręce list. Ociągałem się chwilę z przeczytaniem tego, co napisała do mnie pani de Stermaria; tego co, póki ona trzymała pióro w ręce, mogłoby być czymś innym, ale co teraz, oderwane od niej, stało się losem, który sam kroczył swoją drogą i w którym ona nie mogła już nic zmienić. Prosiłem stangreta, aby zszedł na dół i zaczął chwilę, mimo że psioczył na mgłę. Gdy odszedł, otworzyłem kopertę. Bilet: „Wicehrabina Alix de Stermaria”. Pisała: „Jestem w rozpacz — nagle przeszkody — niepodobna mi dziś spędzić z panem wieczoru na Wyspie. A tak się cieszyłam! Napiszę do pana dłużej ze Stermaria. Żałuję. Serdeczności”.

Stałem bez ruchu, ogłuszony ciosem. Bilet i koperta upadły do moich stóp, niby zatyczka z fuzji po wystrzale. Podniosłem bilet, zanalizowałem to zdanie.

„Powiada, że nie może spędzić ze mną wieczoru na wyspie. Można by stąd wywnioskować, że mogłaby spędzić ze mną wieczór gdzie indziej. Nie będę tak niedyskretny, aby iść po nią, ale ostatecznie, to by można tak rozumieć...”

A ponieważ moja myśl od czterech dni zainstalowała się na tej wyspie z panią de Stermaria, nie umiałem jej stamtąd ściągnąć. Moje pragnienie wracało mimo woli na pochyłość, po której bieгло już od tyłu godzin, i mimo tego biletu, zbyt świeżego, aby je mógł przeważyć, przygotowywałem się instynktownie do wyjścia, jak uczeń ścięty przy egzaminie chciałby odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie. Zdecydowałem się w końcu powiedzieć Franciszce, żeby zeszła zapłacić stangreta. Przebyłem korytarz, nie znajdując Franciszki, minąłem jadalnię; naraz, kroki moje przestały się rozlegać na posadzce, stłumione w ciszy, która — nim jeszcze poznałem jej przyczynę — dała mi wrażenie duszności i zamknięcia. Były to dywany, które zaczęto przybijać na powrót rodziców; owe dywany tak piękne w szczęśliwe poranki, kiedy pośród nieładu słońce oczekuje nas niby kompan przybyły po to, aby nas wyciągnąć na śniadanie na wieś, i kładzie na nich spojrzanie lasu; ale teraz, przeciwnie, były one pierwszym sprzętem zimowego więzienia, skąd — zmuszony teraz żyć i jadać w rodzinie — nie będę się już mógł swobodnie wymykać.

— Niech się panicz nie przewróci, jeszcze nie przybite — krzyknęła Franciszka. — Trza mi było zapalić lampę. Już jest koniec *wrząsnia*, koniec pięknych dniów.

⁶⁹*Tannhäuser* — trójaktowa opera Richarda Wagnera z 1845, o perypetiach rycerza-śpiewaka, który odnalazł legendarną górę bogini miłości. [przypis edytorski]

⁷⁰*audycja* — tu z fr.: seans muzyczny, przesłuchanie utworu muzycznego. [przypis edytorski]

Niebawem przyjdzie zima; na oknie, w rogu, niby na szkle Gallégo⁷¹, żyła stwardniałego śniegu; i nawet na Polach Elizejskich w miejsce oczekiwanych dziewcząt nic, tylko wróble.

Rozpacz moją, że nie zobaczę pani de Stermaria, pomnażała jedna okoliczność. Odpowiedź jej pozwałała mi przypuszczać, że gdy ja z godziny na godzinę od niedzieli żyłem tylko tym obiadem, ona nie pomyślała o nim z pewnością ani razu. Później dowiedziałem się o jej niedorzecznym małżeństwie z miłości z pewnym młodym człowiekiem, którego już musiała widywać wówczas i który zapewne dał jej zapomnieć o moim zaproszeniu. Bo gdyby o nim pamiętała, nie byłaby — rzecz prosta — czekała powozu, aby mnie uprzędzić, że nie jest wolna, zwłaszcza iż wedle tego, jakieśmy się umówili, nie miałem po nią posyłać. Moje marzenia o feudalnej dziewicy na wyspie mgieł utorowały drogę nieistniejącej jeszcze miłości. Teraz mój zawód, gniew, rozpaczliwa żądza pochwylenia tej, co mi się wymykała, mogły, podniecając moją wrażliwość, utrwalić możebną miłość, którą dotąd nastęrczała mi jedynie moja wyobraźnia, ale miękkiej.

Ileż jest w naszych wspomnieniach — bardziej jeszcze w naszym zapomnieniu — owych przeróżnych twarzy młodych dziewcząt i młodych kobiet, którym przydało uroku — a nam wścieklej ochoty ujrzenia ich znowu — jedynie to, że się nam w ostatniej chwili wymknęły. W stosunku do pani de Stermaria było to o wiele więcej. Teraz, aby ją pokochać, wystarczyło mi ujrzeć ją znowu, iżby się odnowiły owe tak żywe, ale zbyt krótkie wrażenia, których pamięć nie zdołałaby inaczej zachować w jej nieobecności. Okoliczności zdecydowały inaczej, nie ujrzałem jej już. Nie ją pokochałem, ale mogłem pokochać ją. I to była rzecz, która mi może najbardziej zatrula wielką miłość, jaka się miała we mnie zrodzić niebawem: kiedym sobie przypominał ten wieczór, powiadałem sobie, że ta miłość mogła — gdyby bardzo proste okoliczności były inne — skierować się gdzie indziej, na panią de Stermaria; zwrócona do osoby, która ją wzbudziła we mnie rychło potem, nie była tedy — jak w to chciałbym i potrzebowałbym wierzyć — czymś absolutnie koniecznym i przeznaczonym.

Miłość

Franciszka zostawiła mnie samego w jadalni, powiadając, że nie powinien tam siedzieć, nim ona rozpali ogień. Miała przyrządzić obiad, bo moja klauzura zaczynała się tego wieczoru, jeszcze przed przyjazdem rodziców. Spostrzegłem ogromną pakę dywanów, jeszcze zwiniętych, które Franciszka złożyła koło kredensu; kryjąc w nich głowę, łykając kurz i własne łzy, podobny Żydom, którzy w żalobie posypywali sobie głowę popiołem, zacząłem szlochać. Trzęsłem się, nie tylko dlatego, że w pokoju było zimno, ale dlatego, że pewne łzy, które spływają z oczu kroplą po kropli — niby drobny, przenikliwy, lodowaty, beznadziejny deszcz — powodują znaczny spadek temperatury (którego niebezpieczeństwu i — wyznajmy to — lekkiej przyjemności nie staramy się przeciwdziałać). Naraz usłyszałem głos:

— Czy można wejść? Franciszka powiedziała mi, że ty musisz być w jadalni. Wstąpiłem spytać, czy nie zechciałbyś iść ze mną gdziekolwiek na obiad, jeżeli ci to nie zaszkodzi, bo mgła jest taka, że można ją krajać nożem.

Był to Saint-Loup, który przybył rano, wówczas kiedy myślałem, że jest jeszcze w Maroku lub na morzu.

Powiedziałem już (a w Balbec właśnie Saint-Loup mimo woli bardzo mi pomógł uświadomić to sobie), co sądzę o przyjaźni; mianowicie, że to jest coś tak mało wartościowego, iż trudno mi zrozumieć, aby ludzie niepospolici, na przykład taki Nietzsche⁷², mogli jej naiwnie przypisywać pewną wartość intelektualną, i co za tym idzie starali się unikać przyjaźni niezłączonej z szacunkiem intelektualnym. Tak, to mnie zawsze przejmowało zdumieniem; człowiek, który szczerą wobec samego siebie posuwał tak daleko, aby się przez skrupuł sumienia oderwać od muzyki Wagnera⁷³, a który sobie wyobrażał, że

⁷¹Gallé, Émile (1846–1904) — francuski projektant; tworzył głównie projekty dzieł ze szkła, projekty mebli oraz biżuterii w stylu secesji. [przypis edytorski]

⁷²Nietzsche, Friedrich (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli końca XIX i początku XX w.; dokonał radykalnej krytyki chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; koncentrował się na afirmacji życia i postulował powrót do wartości kultury starożytnej; głosił śmierć Boga (tj. powszechny zanik poczucia obcowania z sacrum), pochwałę woli mocy i nadczłowieka oraz wieczny powrót, hasła często rozumiane opacznie jako nihilistyczne. [przypis edytorski]

⁷³Wagner, Richard (1813–1883) — niemiecki kompozytor, dyrygent i teoretyk muzyki; reformator muzyki operowej, wprowadził nowy rodzaj dzieła muzyczno-scenicznego: dramat sceniczny (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*,

prawda może się ziszczyć w tej formie wyrazu z natury rzeczy mętnej i niepełnej, jaką są na ogół uczynki, a w szczególności przyjaźnie; który wierzył, że mógłby mieć jakiegokolwiek znaczenie fakt porzucenia swojej pracy po to, aby odwiedzić przyjaciela i płakać z nim, słysząc fałszywą wieść o pożarze Luwru. Doszedłem w Balbec do tego, że przyjemność bawienia się z młodymi dziewczętami wydawała mi się mniej zgubna dla życia duchowego (któremu bodaj pozostaje obca) niż przyjaźń, której cały wysiłek zmierza ku temu, abyśmy poświęcili ową jedynie realną i niedającą się udzielić (inaczej niż za pośrednictwem sztuki) część samych siebie dla jakiegoś powierzchownego „ja”, które nie znajduje, jak tamto, radości w sobie samym, ale czerpie mętne roztkliwienie stąd, że czuje zewnętrzne podpórki, że znajduje gościnę w cudzej indywidualności, gdzie, szczęśliwie ze znalezionej opieki, wydziela swoje samozadowolenie w uznaniu i zachwyca się przymiotami, które w sobie samych nazwalibyśmy wadami i staralibyśmy się z nich poprawić. Zresztą ludzie gardzący przyjaźnią mogą, bez złudzeń, a nie bez wyrzutów, być najlepszymi przyjaciółmi w świecie, tak samo jak artysta noszący w sobie arcydzieło i świadom, iż obowiązkiem jego byłoby żyć dla swojej pracy, mimo to, aby się nie wydać egoistą — lub nie stać się nim — oddaje życie za bezużyteczną sprawę, i odda je tym mężniej, im bezinteresowniejsze są racje, dla których wolałby go nie oddać.

Ale jaki bądź był mój sąd o przyjaźni, nawet co do przyjemności, jaką mi dawała, przyjemności tak miernej, że stanowiła coś pośredniego między zmęczeniem a nudą, nie ma tak złowrogiego napoju, iżby nie był w pewnych godzinach szacowny i krzepiący, dając nam smagnięcie batem, któregośmy potrzebowali, ciepło, którego nie możemy znaleźć w sobie samych.

Byłem z pewnością bardzo daleki od tego, aby prosić Roberta (jak tego pragnąłem przed godziną), żeby mnie spiknął z kobietami z Rivebelle; osad żalu za panią de Stermaria nie dał się zatrzeć tak szybko; ale gdy Saint-Loup zjawił się tak w chwili, kiedym już nie czuł w sercu żadnej racji szczęścia, odczułem jakby przypływ dobroci, wesołości, życia, które były niewątpliwie poza mną, ale nastęrczały mi się, pragnęły mi się udzielić. Sam Robert nie zrozumiał mego okrzyku wdzięczności i moich łez rozczulenia. Cóż może być zresztą paradoksalniej serdecznego niż jeden z owych przyjaciół — dyplomata, podróżnik, lotnik, wojskowy — jakim był Saint-Loup; przyjaciel, który jadąc nazajutrz na wieś, a stamtąd Bóg wie dokąd, najwidoczniej znajduje w oddanym nam wieczorze tyle szczęścia. Aż się dziwimy, że wrażenie to — tak rzadkie przecież i krótkie — może być dla nich czymś tak słodkim i że — skoro im jest tak miłe — nie przeciągają go dłużej lub nie powtarzają go częściej. Obiad z nami — rzecz taka naturalna — daje tym podróżnikom tę samą osobliwą i rozkoszną przyjemność, jaką nasze bulwary dają Azjaci.

Wybraliśmy się razem na obiad. Schodząc, przypomniałem sobie Doncières, gdzie się co wieczór spotykał z Robertem w restauracji; znów ujrzałem te zapomniane salki jadalne. Przypomniałem sobie jedną, o której nigdy potem nie myślałem; to nie było w hotelu, gdzie Saint-Loup zwykle jadał, ale w innym, o wiele skromniejszym — coś pośredniego między hotelem a pensjonatem — gdzie podawała do stołu właścicielka przy pomocy służącej. Śnieg mnie tam zatrzymał. Zresztą Robert nie miał jeść tego wieczora w hotelu, a ja nie miałem ochoty iść dalej. Podano mi obiad na górze w drewnianej izdebce. Podczas obiadu zgasła lampa; służąca przyniosła dwie świece. Ja, udając, że nie bardzo widzę, kiedym jej podawał swój talerz, podczas gdy mi nakładała ziemniaki, ująłem jej nagie ramię jak gdyby dla pokierowania nim. Widząc, że nie usuwa ramienia, zacząłem je pieścić, po czym bez słowa przyciągnąłem ją do siebie całą, zgasilem świecę i powiedziałem, żeby mnie obszukała i zabrała mi wszystkie pieniądze. Przez następne dni miałem uczucie, że dla kosztowania fizycznej rozkoszy trzeba mi nie tylko tej służącej, ale tej drewnianej i tak zacisznej jadalni. Ale przez przyzwyczajenie, przez przyjaźń aż do wyjazdu z Doncières chodziłem co wieczór tam, gdzie jadał Robert i jego przyjaciele. A przecież nawet o tym hotelu, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, od dawna już nie pomyślałem! Nie korzystamy prawie z naszego życia, porzucamy niedokończone w letnich zmierzchach lub we wczesnych zimowych nocach godziny, w których — mniemaliśmy — mogło się mieścić dla nas trochę spokoju lub przyjemności. Ale te godziny

tetralogia *Pierścień Nibelunga*), w którym muzyka i słowa zostały podporządkowane przebiegowi akcji. [przypis edytorski]

nie są zupełnie stracone. Kiedy w nas zaśpiewają z kolei nowe momenty rozkoszy, które tak samo minęłyby równie wątle i jednowymiarowe, owe godziny dają im podmurowanie, gęstość bogatej instrumentacji. Rozciągają się w ten sposób aż do jednego z owych typowych szczęść, które odnajdujemy jedynie od czasu do czasu, ale które nie przestają istnieć; w danym wypadku było nim porzucenie wszystkiego innego po to, aby zjeść obiad w dostatniej ramie, siłą wspomnień zamykającej w obrazie natury nadzieje podróży — podróży z przyjacielem, który poruszy nasze drzemające życie całą swoją energią, całą swoją serdecznością, udzieli nam tkliwej przyjemności, bardzo różnej od tej, jaką moglibyśmy zawdzięczać własnemu wysiłkowi lub światowym rozrywkom; poświęcimy się tylko jemu, obsypimy go zaklęciami przyjaźni; zrodzone w ścianach tej godziny i w niej zamknięte, zaklęcia te rozwiją się może nazajutrz, ale mogłem je dawać bez skrupułu Robertowi, skoro, z męstwem, które mieściło wiele roztropności oraz przeczucie, że przyjaźni nie da się zgłębić, nazajutrz miał wyjechać.

Tak, idąc po schodach, przeżywałem na nowo wieczory w Doncières. Kiedyśmy wyszli nagle na ulicę, była prawie zupełna noc; zdawało się, że mgła pogasiła latarnie; dostrzegało się je, bardzo słabo, jedynie całkiem z bliska. Przypomniał mi się jakiś przyjazd wieczorem do Combray, kiedy miasteczko jeszcze było oświetlone jedynie z rzadka i kiedy się szło po omacku w wilgotnej, ciepłej i świętej ciemności — ciemności żłóbka — ledwie rozgwieżdżonej tu i ówdzie światelkiem, błyszczącym nie jaśniej od świecy. Cóż za różnice między tym rokiem — niepewnym zresztą — pobytu w Combray a oglądanymi dopiero co przez szczelinę firanek wieczorami w Rivebelle! Odczuwanie tych różnic budziło we mnie entuzjazm, który mógłby być płodny, gdybym został sam, oszczędziłby mi w ten sposób zwłoki wielu daremnych lat, które miałem jeszcze przeżyć, zanim się objawiło niewidzialne powołanie, którego to dzieło jest historią. Gdyby się to zdarzyło tego wieczora, ów powóz powinien by mi zostać bardziej pamiętny niż powóz doktora Percepied, w którym, na kozle, ułożyłem ów opis — właśnie niedawno odnaleziony, przejrany i daremnie posłany do „Figara” — wieź w Martinville. Czy to dlatego, że nie przeżywamy na nowo swoich lat w ich ciągłości, dzień po dniu, ale we wspomnieniu stężałym w chłodzie lub słońcu poranka albo wieczora, biorącego cień od jakiegoś widoku wyodrębnionego, ogrodzonego, nieruchomego, zatrzymanego i zgubionego, z dala od wszystkiego innego, i że w ten sposób, zmiany, stopniowane nie tylko na zewnątrz, ale w naszych marzeniach i w naszym przeobrażającym się charakterze, wiodące nas nieznacznie w życiu od jednej epoki do drugiej, bardzo odmiennej, usunięte nagle, jeżeli przeżywamy inne wspomnienie zaczerpnięte z innego roku, znajdujemy między nimi, dzięki lukom, dzięki olbrzymim płaszczyznom zapomnienia, jak gdyby przepastną różnicę wysokości, jakby niewspółmierność dwóch niedających się porównać jakości wdychanej atmosfery i otaczających barw? Ale między wspomnieniami, jakie oto odnalazłem kolejno: Combray, Doncières, Rivebelle, czułem w tej chwili — o wiele bardziej niż odległość czasu — odległość zachodzącą między różnymi światami o różnej materii. Gdybym chciał w jakimś utworze naśladować tę, w której jawiły mi się cyzelowane najbliźsze moje wspomnienia z Rivebelle, trzeba by mi substancję, dotąd pokrewną ciemnemu i szorstkiemu kamieniowi z Combray żyłkować różowo, uczynić ją nagle przezroczystą, zwartą, świeżą i dźwięczną.

Ale Robert, skończywszy tłumaczyć woźnicy adres, siadł ze mną do powozu. Myśli, które mi się zjawiały, pierzchły. To są boginie, które raczą się czasem objawić samotnemu śmiertelnikowi, na zakręcie drogi, nawet w jego pokoju, podczas gdy śpi, one zaś, stojąc w drzwiach, przynoszą mu swoje zwiastowanie. Ale z chwilą gdy się jest we dwóch, znikają; w towarzystwie ludzie nie oglądają ich nigdy. I uczułem się strącony w przyjaźń.

Wchodząc, Robert uprzedził mnie, że jest wielka mgła; ale podczas gdyśmy rozmawiali, mgła jeszcze zgęstniała. Był to już nie ów lekki opar, w który pragnąłem się zanurzyć na wyspie z panią de Stermaria. O dwa kroki latarnie gasły i wówczas była noc, równie głęboka jak w szczerym polu, jak w lesie, lub raczej na soczystej wyspie Bretanii, na której chciałbym się znaleźć. Uczułem się zgubiony niby na wybrzeżu jakiegoś północnego morza, gdzie człowiek się naraża dwadzieścia razy na śmierć, zanim dotrze do samotnej gospody; mgła, przestając być mirażem, do którego wyciągamy ręce, stawała się jednym z niebezpieczeństw, przeciw którym się walczy; tak że w szukaniu drogi i dobieciu do portu znaleźliśmy trudności i niepokój, i wreszcie radość, jaką strwożonemu i zgubionemu podróżnikowi daje bezpieczeństwo — niepodobne do odczucia dla kogoś, komu nie

groziła jego utrata. W czasie naszej awanturniczej wyprawy jedna rzecz omal nie naraziła mojej przyjemności, a to przez irytację i zdumienie, w jakie wtrąciła mnie na chwilę.

— Wiesz — rzekł do mnie Saint-Loup — powiedziałem Blochowi, że ty wcale za nim nie przepadasz, że cię często razi jego pospolitość. Ja już taki jestem, lubię jasne sytuacje — dodał z zadowoloną miną, tonem niedopuszczającym repliki.

Oślupiałem. Nie tylko pokładałem w Robercie, w lojalności jego ufność bez granic — ufność, którą on zdradził przez to, co powiedział Blochowi — ale uważałem co więcej, że od takiego postępkowi powinny by go uchronić w równej mierze jego wady co przymioty, ów swoisty narów wychowania, zdolny posuwać grzeczność aż do pewnej nieszczerości. Triumfalna mina Roberta była typową miną, jaką staramy się pokryć zakłopotanie, wyznając coś, czego — wiemy to — nie powinniśmy byli zrobić. Czy ta mina wyrażała brak poczucia? czy głupstwo robiące cnotę z wady, której w Robercie nie znałem? czy atak chwilowej antypatii do mnie, szukającej pretekstu do rozstania się, czy wreszcie atak chwilowej antypatii do Blocha, któremu Saint-Loup chciał powiedzieć coś przykrego, bodaj narażając mnie? Zresztą gdy wymawiał te brzydkie słowa, twarz jego szpeciła jakaś ohydna bruzda, którą widziałem u niego jedynie raz lub dwa w życiu i która, przecinając zrazu mniej więcej w połowie twarz, doszedłszy do warg, skręcała je, dawała im wyraz wstrętny i plugawy, niemal wyraz bestialstwa, zupełnie przemijający i z pewnością odziedziczony po przodkach. W tych momentach, które z pewnością zdarzały się nie częściej niż raz na dwa lata, musiało zachodzić całkowite zaćmienie jego własnego „ja”, wynikłe z inwazji osobowości jakiegoś protoplasty, który się w nim odbijał.

Jak ten wyraz zadowolenia z siebie, tak i słowa Roberta: „Lubię jasne sytuacje” nastroczały podobną wątpliwość i zasługiwały na tę samą naganę. Chciałem mu powiedzieć, że kiedy ktoś lubi jasne sytuacje, powinien dawać folę tym napadom szczeroci w tym, co dotyczy jego samego, nie zaś uprawiać zbyt łatwą cnotę cudzym kosztem. Ale już pówóz zatrzymał się przed restauracją, której oszklona i błyszcząca fasada samotnie jaśniała w ciemnościach. Dzięki zasobnej jasności wnętrza nawet mgła zdawała się na trotuarze wskazywać wejście, z radością owych lokajów, którzy odzwierciedlają nastrój swego pana; rozteczała się najdelikatniejszymi odcieniami, znaczyła wejście niby świetlna kolumna wiodąca Hebrajczyków⁷⁴.

Było ich zresztą wielu wśród gości. W tej właśnie restauracji spotykali się przez długi czas co wieczór Bloch i jego przyjaciele, pijani postem w równym stopniu wyglądającym co post rytualny (który bodaj przypada tylko raz na rok), pijani kawą i polityką. Ponieważ wszelkie podniecenie umysłowe podnosi wartość i jakość nawyków, które się z nim wiążą, nie ma pasji, która by nie skupiała w ten sposób dokoła siebie towarzystwa zespolonego w tej pasji i stawiającego ponad wszystko szacunek członków tego kółka. Tu — choćby to było małe prowincjonalne miasteczko — znajdziecie namiętnych miłośników muzyki: czas, pieniądz, wszystko idzie na muzykę kameralną, na zebrania, gdzie się mówi o muzyce, na kawiarnię, gdzie się siaduje w kółku amatorów i gdzie się można otrzeć o zawodowych muzyków. Inni, zapaleni do awiacji, dbają o łaski starego kelnera w barze na szczycie hangaru; bezpieczni od wiatru, niby w latarni morskiej, mogą śledzić w towarzystwie lotnika, który nie lata w tej chwili, ewolucje pilota wyczyniającego loopingi⁷⁵, podczas gdy drugi, niewidzialny chwilę przedtem, ląduje nagle i spada z łoskotem skrzydeł godnych ptaka Roka⁷⁶.

Koteria⁷⁷, która się tam zbierała, starając się przedłużyć i pogłębić ulotne wzruszenia procesu Zoli⁷⁸, również przywiązywała wielką wagę do tej kawiarni. Ale była tam

⁷⁴*Świetlna kolumna wiodąca Hebrajczyków* — Hebrajczykom wędrującym po pustyni do ziemi Kanaan drogę wskazywał Bóg idący przed nimi pod postacią kolumny z obłoków za dnia i kolumny ognia w nocy (Wj 13, 21). [przypis edytorski]

⁷⁵*looping* (ang.) — robienie pętli. [przypis edytorski]

⁷⁶*ptak Rok* — legendarny olbrzymi ptak drapieżny z opowieści perskich i arabskich; występuje w jednej z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

⁷⁷*koteria* — grupa wzajemnie popierających się osób, działająca w określonym celu. [przypis edytorski]

⁷⁸*proces Zoli* — po publikacji przez Émile'a Zolę głośnego listu otwartego w obronie Dreyfusa *J'Accuse!*... (Oskarżam!), w którym zarzucał władzom antysemityzm i działania niezgodne z prawem, minister wojny złożył przeciwko autorowi pozew o zniesławienie; przeprowadzony w dniach 7–23 lutego 1898 proces odbywał się z łamaniem podstawowych zasad i praw oskarżonego do obrony i zakończył się skazaniem Zoli na rok więzienia i grzywnę. [przypis edytorski]

źle widziana przez młodych paniczów, którzy stanowili drugą część klienteli i obrali sobie drugą salę, oddzieloną od tamtej jedynie lekkim parapetem przybrany zielonią. Ci uważali Dreyfusa i jego stronników za zdrajców, mimo że w ćwierć wieku później (gdy poglądy miały się czas zgrupować, a dreyfusizm zdołał nabrać w historii pewnej elegancji), bolszewizujący i walczący synowie tych samych młodych panów, na zapytanie w tej mierze, oświadczyli „intelektualistom”, że z pewnością, gdyby żyli w owym czasie, byłiby za Dreyfusem, nie o wiele więcej wiedząc już, co to była sprawa Dreyfusa — *l’Affaire* — niż kto to była hrabina Edmundowa de Pourtalès lub margrabina Gallifet⁷⁹, inne gwiazdy zagasły już w dniu ich urodzenia. Bo tego wieczora, gdy była taka mgła, owi panice z kawiarni, mający być później ojcami młodych intelektualistów, retrospektywnych dreyfusistów, byli jeszcze nie żonaci. Niewątpliwie dla każdego z nich rodzina miała na oku bogate małżeństwo, ale nie zrealizowało się ono jeszcze dla żadnego. To bogate małżeństwo — jeszcze potencjalne — pożądane równocześnie przez wielu (było wprawdzie wiele „dobrych partii” na widoku, ale w sumie liczba wielkich posagów była o wiele mniejsza od liczby aspirantów) wносиło między tych młodych ludzi pewną rywalizację.

Nieszczęściem dla mnie, Saint-Loup zatrzymał się przez kilka minut, zamawiając woźnicę, aby przyjechał po nas po obiedzie; trzeba mi tedy było wejść samemu. Na początek dostałem się w obrotowe drzwi, do których nie byłem przyzwyczajony, i myślałem, że nigdy z nich nie wyjdę. (Powiedzmy mimochodem, dla amatorów ściślejszego słownictwa, że te drzwi „z bębenkiem”, mimo swego pokojowego charakteru, zowią się drzwi „rewolwerowe” z angielskiego „*revolving door*”). Tego wieczora gospodarz, nie mając ochoty zmknąć, wychodząc za próg, ani opuścić swoich klientów, stał wszelako blisko drzwi, z przyjemnością słuchając wesołych utyskiwań nowo przybyłych, rozpromienionych jak ludzie, którzy z trudem dobili celu, omal nie zgubiwszy się w drodze. Uśmiechniętą serdecznością jego powitań rozproszył widok obcego, który nie umiał się wygramolić ze szklanych przegródek. Ta jaskrawa oznaka nieokrzesa przyprawiła gospodarza o zmarszczenie brwi, niby egzaminatora, który ma wielką ochotę nie wymówić sakramentalnego *dignus est intrare*⁸⁰. Na domiar nieszczęścia, usiadłem w sali zastrzeżonej dla arystokracji, skąd gospodarz wyrwał mnie brutalnie, wskazując mi — z szorstkością, do której natychmiast dostroili się garsoni — miejsce w drugiej sali. Niezbyt mi się tam podobało, zwłaszcza że kanapa, na której znajdowało się to miejsce, była już pełna ludzi, i że miałem na wprost siebie drzwi przeznaczone dla Hebrajczyków, drzwi już nie obrotowe, za każdym otwarciem i zamknięciem puszczające na mnie straszliwe zimno. Ale gospodarz nie chciał mi wskazać innego miejsca, mówiąc: „Nie, proszę pana, nie będę wszystkich niepokoił dla pana”. Zapomniał zresztą niebawem o niewczesnym i niewydarzonym gościu, pochłonięty kolejno każdym nowo przybyłym, który nim zażądał zimnej kury, szklanki piwa lub grogu⁸¹ (pora obiadu minęła od dawna), musiał, jak w starych powieściach, opłacić „cechę”, opowiadając swoją przygodę, z chwilą gdy się znalazł w tym ciepłym i bezpiecznym azylu, gdzie kontrast z tym, czego się uniknęło, stwarzał wesołość i koleżeństwo, baraszkujące zgodnie przy ogniu biwaku.

Jeden opowiadał, że jego fiaker, myśląc, iż jest na moście Zgody, trzy razy okrążył Inwalidów⁸²; inny, że jego woźnica, próbując się trzymać alei Pól Elizejskich, wjechał w klomb Rond-Point⁸³, skąd przez trzy kwadransy nie mógł się wydobyć. Następowaly lamenty na mgłę, na zimno, na śmiertelną ciszę ulicy; lamenty wygłaszane i słuchane z wyjątkowo radosnymi minami, tłumaczącymi się przytulną atmosferą sali (gdzie, wyjąwszy moje miejsce, było ciepło), żywym światłem, od którego trzeba było mrużyć

⁷⁹hrabina Edmundowa de Pourtalès lub margrabina Gallifet — gwiazdy salonów paryskich okresu Drugiego Cesarstwa: *Mélanie de Pourtalès* (1836–1914), żona hrabiego Edmonda de Pourtales, oraz *Florence Georgina Laffitte, markiza de Gallifet* (1830–1901), żona generała Gastona de Gallifet. [przypis edytorski]

⁸⁰*dignus est intrare* (łac.) — godny jest, by wstąpić. [przypis edytorski]

⁸¹grog — napój alkoholowy sporządzany z rumu (lub innego mocnego alkoholu) rozcieńczonego wodą i doprawionego sokiem z cytrusów, cynamonem i cukrem. [przypis edytorski]

⁸²Inwalidzi (fr. *Les Invalides*) — wybudowany z inicjatywy króla Ludwika XIV wielki kompleks budynków w Paryżu, służący jako szpital i pensjonat dla inwalidów wojennych, obecnie mieszczący również muzea związane z wojskową historią Francji. [przypis edytorski]

⁸³*Rond-Point de Champs-Élysées* — duże rondo na paryskiej alei Champs-Élysées (Pól Elizejskich). [przypis edytorski]

przywykłe już do ciemności oczy, oraz zgiełkiem rozmów, który wracał uszom ich aktywność.

Nadpływający goście z trudem mogli zachować milczenie. Osobliwość ich przygód — jak sądzili, jedynych w swoim rodzaju — paliła im język; szukali oczami kogoś, z kim by mogli nawiązać rozmowę. Sam gospodarz zatracił poczucie dystansów: „Książę de Foix zgubił się trzy razy, jadąc od Porte Saint-Martin⁸⁴” — nie lękał się powtarzać, wskazując jednocześnie — jak gdyby go przedstawiał! — sławnego arystokratę adwokatowi Izraelicie, którego w każdym innym dniu dzieliłaby od księcia zaporą o wiele trudniejszą do przebycia niż przegroda zieleni. „Trzy razy, patrzcie państwo!” — rzekł adwokat, dotykając kapelusza. Ten odcień poufałości nie przypadł do smaku księciu. Należał do grupy arystokratów, u których impertynencja — nawet wobec „urodzonych”, o ile to urodzenie nie było najwyższej klasy — zdawała się być jedynym zatrudnieniem. Nie odpowiedzieć na ukłon, a jeżeli grzeczny człowiek ukłonił się powtórnie, zaśmiać się drwiąco lub zadrzeć głowę z wściekłą miną; udawać, że się nie zna starszego człowieka, który swego czasu oddał im przysługę; chować uścisk dłoni i ukłon dla samych książąt i dla najbliższych książęcych przyjaciół — oto był „fason” tych młodych ludzi, a zwłaszcza księcia de Foix. Takiemu wzięciu sprzyjało rozbuchanie pierwsze młodości (gdzie nawet w mieszczańskiej sferze młody chłopak łatwo dopuszcza się niewdzięczności i staje się chamem, bo zapomniawszy w ciągu kilku miesięcy napisać do swego dobroczyńcy, gdy ów stracił żonę, potem — dla uproszczenia — przestaje mu się kłaniać), ale zwłaszcza rodził ją wybujały snobizm kastowy. Prawda, iż na kształt pewnych nerwowych schorzeń, których objawy łagodnieją w wieku dojrzałym, na ogół snobizm ów przestawał z wiekiem objawiać się w sposób równie natarczywy u ludzi tak nieznośnych za młodu. Skoro raz minie młodość, rzadko się zdarza, aby człowiek zakrzepł w arogancji. Sądził, że ona jedna istnieje; i nagle, choćby był nie wiem jakim księciem, odkrywa, że istnieje także muzyka, literatura, ba, mandat poselski. Hierarchia wartości zmienia się w tym świetle; wielki pan nawiązuje stosunki z ludźmi, których niegdyś miażdżył wzrokiem. Szczęśliwa nadzieja dla tych, co mieli cierpliwość czekać, a są na tyle dobroduszni — jeśli się można tak wyrazić — aby znaleźć około czterdziestki przyjemność w grzecznościach i awansach, których im oschle odmawiano, gdy mieli lat dwadzieścia.

Z okazji księcia de Foix wypada powiedzieć, skoro się nastęrcza sposobność, że należał do pewnej koterii dwunastu czy piętnastu młodych ludzi oraz do wybrańszej „grupy czterech”. Koteria owych dwunastu czy piętnastu posiadała tę wspólną cechę (od której, sądzę, książę był wolny), że każdy z tych młodzieńców miał podwójną fizjonomię. Zadłużeni po uszy, uważani byli za hetkę pętelkę przez swoich krawców mimo przyjemności, jaką ci znajdowali w powtarzaniu: „pan hrabia, pan margrabia, książę pan”... Mieli nadzieję wygrzebać się za pomocą sławnej „dobrej partii”, zwanej także „ciężkim workiem”; że zaś grubych posagów, do których wzdychali, było ledwie cztery czy pięć, wielu z nich brało po cichu na cel tę samą pannę. I zachowywano sekret tak ściśle, że gdy jeden z nich, wchodząc do kawiarni, powiedział: „Moje gołąbki, zanadto was kocham, aby wam nie oznajmić swoich zaręczyn z panną d’Ambresac”, rozległo się kilka okrzyków, ile że niejeden z nich uważał tę rzecz za załatwioną dla siebie samego, a nie miał tyle zimnej krwi, aby zdławić pierwszy wybuch wściekłości i zdumienia. „Ty się tak palisz do małżeństwa, Bibi?” — nie mógł się wstrzymać od okrzyku książę de Châtellerault, który upuścił widelec ze zdumienia i rozpacz, bo myślał, iż zaręczyny panny d’Ambresac staną się niebawem publicznym faktem, ale — zaręczyny z nim samym. A przecież samemu Bogu wiadomo, co jego ojciec zręcznie wszczył Ambresakom w ucho o matce młodego Bibi! „Ty się tak palisz do małżeństwa?” — nie mógł się wstrzymać od pytania drugi raz „Bibiego”, który, lepiej przygotowany (od czasu jak to było „prawie oficjalne”, miał czas się oswoić z sytuacją), odpowiadał z uśmiechem: „Jestem zachwycony nie tym, że się żenię, na co nie miałem najmniejszej ochoty, ale że się żenię z Daisy d’Ambresac, która jest doprawdy urocza”. W czasie tej odpowiedzi pan de Châtellerault opamiętał się; ale pomyślał, że trzeba co rychlej skrócić chorągiewkę w kierunku panny de la Canourque albo miss Foster, wielkich partii nr 2 i nr 3, prosić o cierpliwość wierzycieli, którzy cze-

Młodość

⁸⁴Porte Saint-Martin (fr.: Brama św. Marcina) — paryski pomnik w formie łuku triumfalnego, zbudowany przez Ludwika XIV w miejscu dawnej bramy miejskiej; w pobliżu znajduje się teatr: Théâtre de la Porte-Saint-Martin. [przypis edytorski]

kali na pannę d'Ambresac, a wreszcie wytłumaczyć ludziom (którym także opowiadał, że panna d'Ambresac jest uroczą), że to jest partia dobra dla takiego Bibi, ale że on, zanimby się ożenił z tą panną, musiałby się poróżnić z całą swoją rodziną. Pani de Soléon tak by opowiadał — oświadczyła wręcz, że by ich nie przyjęła u siebie!

Ale o ile w oczach szewców, krawców, restauratorów itd. panicze ci mieli wątpliwą opinię, w zamian za to, kiedy się znaleźli w „świecie”, sądzono ich już nie wedle zaszarganego majątku i smutnych sposobów, jakimi próbowali go odrestaurować. Stawali się z powrotem księciem, diukiem takim a takim, szacowanym jedynie wedle ilości antenatów⁸⁵. Jakiś książę, prawie miliardowy i jednoczący — zdawałoby się — wszystko w swojej osobie, ustępował im kroku, bo jako naczelnicy rodu byli niegdyś udzielnymi panami w małym kraiku, gdzie mieli prawo bić monetę itd... Często w restauracji jeden spuszczał oczy, kiedy drugi wchodził, aby nie zmuszać wchodzącego do ukłonu, a to dlatego, że sam, w swojej chimerycznej pogoni za bogactwem, zaprosił na obiad jakiegoś bankiera. Za każdym razem kiedy światowiec nawiązuje w tych warunkach stosunki z bankierem, bankier upuszcza mu krwi na jakieś sto tysięcy franków, co nie przeszkadza światowcowi powtarzać tego samego z drugim. Dalej pali świeczki i radzi się lekarzy.

Ale książę de Foix, sam z siebie bogaty, należał nie tylko do tej wykwintnej koterii piętnastu młodych, ale także do zamkniętej i nierozłącznej grupy czterech, w której był i Saint-Loup. Nie zapraszano nigdy jednego bez drugiego, nazywano ich „czterej żigolo⁸⁶”, widziało się ich zawsze razem na spacerach, w zamkach dawano im sąsiadujące pokoje, tak iż świat szeptał sobie na ucho o tej zażyłości, tym bardziej że wszyscy czterej byli bardzo piękni. Mogłem zaprzeczyć tym pogłoskom — o ile tyczyły one Roberta de Saint-Loup — w sposób najformalniejszy. Ale najciekawsze jest, iż później, choć się okazało, że te pogłoski były prawdą co do wszystkich czterech, w zamian za to żaden z nich absolutnie nie podejrzewał trzech innych. A przecież każdy z nich bardzo się starał dowiedzieć o innych, czy to, aby zaspokoić pragnienie — lub raczej urazę — popsuć małżeństwo, mieć broń na zdemaskowanego przyjaciela. Do tych czterech platoników — bo grupy „czterech” zawsze liczą więcej niż czterech — przyłączył się piąty, jeszcze większy platonik od tamtych. Ale skrupuły religijne powstrzymywały go aż do czasu, kiedy grupa czterech od dawna się już rozbiła, a on sam, żonaty i ojciec rodziny, modląc się w Lourdes o to, by następne dziecko było chłopcem lub dziewczynką, w pauzach rzucił się na żołnierzy.

Mimo charakteru księcia fakt, iż słowa wypowiedziane przy nim nie były doń zwrócone wprost, złagodził pioruny jego gniewu. Przy tym ten wieczór miał coś wyjątkowego. Wreszcie, adwokat nie więcej miał szans wejść w stosunki z księciem de Foix niż stangret, który go przywiózł. Toteż książę uważał, iż może odpowiedzieć — z oschłą miną i nie patrząc nań — natrętowi, który pod protekcją mgły stał się czymś w rodzaju towarzysza podróży, spotkanego het na krańcu świata, na jakiejś plaży smaganej wichrem i tonącej we mgłach. „To jeszcze nic zgubić się, najgorsze, że nie sposób się odnaleźć”. Trafność tej myśli uderzyła gospodarza, ponieważ słyszał ją już z ust gości tego wieczora kilka razy.

W istocie, miał on zwyczaj porównywać to, co słyszał lub czytał, z jakimś znanym już tekstem i odczuwał poryw zachwyty, kiedy nie spostrzegał różnic. Tych stanów duszy nie trzeba lekceważyć, gdyż zastosowane do rozmów politycznych, do lektury dzienników, tworzą opinię publiczną i przez to przygotowują grunt dla największych wydarzeń. Niemieccy właściele kawiarni, jedynie przez to, iż podziwiali swego gościa lub swój dziennik, powtarzających że Francja, Anglia i Rosja „szukają zaczepki” z Niemcami, umożliwili w momencie Agadiru⁸⁷ wojnę, która zresztą nie wybuchła. Historycy, którzy nie bez słuszności wyrzekli się tłumaczenia czynów ludów wolą królów, powinni ją zastąpić psychologią „szarego człowieka”.

⁸⁵ *antenat* (z łac.) — przodek. [przypis edytorski]

⁸⁶ *żigolo* — płatny partner do tańca w lokalu rozrywkowym; młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymywania towarzystwa lub ze stosunków z zamożnymi kobietami. [przypis edytorski]

⁸⁷ *kryzys agadirski* a. *drugi kryzys marokański* (1911) — incydent militarny i dyplomatyczny między Francją a Niemcami, spowodowany rozmieszczeniem znacznych sił francuskich w głębi Maroka i wysłaniem przez Niemcy kanonierki SMS *Pantcher* do marokańskiego portu Agadir; wobec stanowczej reakcji Wielkiej Brytanii zakończony po kilku miesiącach uznaniem przez Niemcy francuskiej dominacji w Maroku oraz przekazaniem części terenów Francuskiej Afryki Równikowej na rzecz Niemiec. [przypis edytorski]

W polityce gospodarz tej kawiarni przykładał od jakiegoś czasu swoją mentalność profesora recytacji jedynie do pewnej ilości wypowiedzi na temat sprawy Dreyfusa. O ile w słowach gościa lub na łamach dziennika nie odnalazł utartych zwrotów, oświadczał, że artykuł jest nudny lub gość nieszczerzy. Natomiast książę de Foix zachwycił go: ledwie pozwolił księciu dokończyć zdania. „Dobrze powiedział książę pan, dobrze powiedziane (co w sumie znaczyło: wyrecytowane bez błędu); to, to, właśnie to!” — wykrzyknął, wypełniony, jak mówią opowieści *Tysiąca i jednej nocy*, zadowoleniem po brzegi. Ale książę już znikł w małej sali. Przy tym — ponieważ życie odzyskuje swoje prawa nawet po najosobliwszych wypadkach — wylaniający się z morza mgły goście zamawiali to jakieś danie, to całą kolację; pomiędzy tymi byli zwłaszcza młodzi ludzie z Jockey Clubu, którzy wobec wyjątkowego charakteru dnia nie wahali się zająć dwóch stołów w wielkiej sali i w ten sposób znaleźli się tuż koło mnie. Kataklizm stworzył nawet między małą a dużą salą, między tymi wszystkimi ludźmi podnieconymi komfortem restauracji po długim błędzeniu w oceanie mgły, poufalość, z której ja jeden byłem wyłączony — podobną do tej, jaka musiała panować w arce Noego.

Naraz ujrzałem, że gospodarz zgina się w pokłonach, kelnerzy nadbiegają w komplecie, sprawiając, że wszyscy goście odwrócili się.

—Prędko, zawołać mi Cypriana, stolik dla pana margrabiego de Saint-Loup! — wykrzyknął gospodarz, dla którego Robert był nie tylko wielkim panem wywierającym niewątpliwy urok, nawet w oczach księcia de Foix, ale także klientem, który żył szeroko i zostawiał w tej restauracji dużo pieniędzy.

Goście z wielkiej sali patrzyli z ciekawością, goście z małej wołali na wyprzódki przyjaciela, który kończył wycierać nogi. Ale, w chwili gdy miał wejść do małej sali, Saint-Loup spostrzegł mnie w dużej.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Co ty robisz tutaj, i to jeszcze koło otwartych drzwi! — rzekł, patrząc z wściekłością na gospodarza, który pobiegł zamknąć drzwi, zrzucając winę na garsonów:

— Zawsze im mówię, żeby drzwi były zamknięte.

Trzeba mi było ruszyć mój stolik i sąsiednie stoły, aby się przedostać do Roberta.

— Czemuś się ruszył? Wolisz jeść tutaj niż w małej sali? Ale, dziecino, ty zmarzniesz! Będzie pan tak łaskaw kazać zamknąć te drzwi na klucz — rzekł Saint-Loup do gospodarza.

— W tej chwili, panie margrabio, odtąd już goście będą po prostu przechodzili przez małą salę, wybornie.

I aby lepiej zadokumentować swoją gorliwość, zawołał do tej operacji starszego kelnera i kilku garsonów, miotając równocześnie straszliwe groźby, w razie gdyby jej nie wykonano należycie. Obsypywał mnie oznakami przesadnego szacunku, chcąc, bym zapomniał, że nie zaczęły się one od chwili mego przybycia, ale dopiero od zjawienia się Roberta. Zarazem, iżbym nie sądził, że te względy są wynikiem przyjaźni, jaką mi okazuje bogaty i arystokratyczny klient, restaurator słał mi ukradkiem dyskretnie uśmieški, mające świadczyć o jego na wskroś osobistej sympatii.

Odezwanie się jakiegoś gościa tuż za mną kazało mi na chwilę odwrócić głowę. Zamiast zwykłych słów w rodzaju: „Kawałek kury, owszem, i szampan, ale nie za suchy”, usłyszałem, co następuje: „Wolałbym glicerynę. Tak, gorącą, wybornie”. Chciałem zobaczyć, kto jest owym ascetą nakładającym sobie podobne menu. Odwróciłem żywo głowę ku Robertowi, aby mnie ten osobliwy smakosz nie poznał. Był to po prostu mój znajomy, doktor, z którego pacjent, korzystając z mgły, aby go zablokować w tej kawiarni, wyludził konsultację. Lekarze, jak giełdziarze, lubią formę „ja”.

Tymczasem patrzyłem na Roberta i myślałem tak: Jest w tej kawiarni — i w życiu znałem ich wielu — sporo cudzoziemców, intelektualistów, cyganów wszelkiego rodzaju, pogodzonych ze śmiechem, jaki budzą ich pretensjonalne peleryny, krawaty *à la 1830*, a bardziej jeszcze ich niezręczne ruchy; posuwających się do prowokowania śmiechu, aby okazać, że o niego nie dbają: ludzi rzetelnej wartości intelektualnej i moralnej, wielkich zalet serca. I wszyscy oni — zwłaszcza Żydzi, Żydzi niezasymilowani, rozumie się, nie mogłoby być mowy o innych — razili tych, co nie mogli znieść ekscentrycznego, kabotyńskiego wyglądu (jak Bloch raził Albertynę). Na ogół uznawało się później, że o ile przeciw nim przemawiały za długie włosy i nosy, za wielkie oczy, teatralne i pretensjonalne gesty,

dzieciństwem⁸⁸ byłoby sądzić ich z tego; mieli wiele inteligencji, serca; byli to w obcowaniu ludzie, których można było szczerze pokochać. Co się tyczy w szczególności Żydów, mało było wśród nich takich, których rodzice nie odznaczałoby się szlachetnością serca, szerokością umysłu, szczerością; matka Roberta de Saint-Loup i książę de Guermantes wyglądałoby przy nich bardzo mizernie ze swoją oschłością, ze swoją powierzchowną dewocją potępiającą jedynie skandal, ze swoją apologią⁸⁹ chrystianizmu wiodącego nieomylnie (drogami niepojętymi dla inteligencji, rzekomo jedynie przez nich cenionej) do kolosalnie bogatego małżeństwa. Ale koniec końców, u takiego Roberta de Saint-Loup (jak gdyby wady rodziców skombinowały się w nowe wcielenie zalet) istniała na wskroś urocza prostota umysłu i serca. I wówczas — trzeba to powiedzieć na nieśmiertelną chwałę Francji — kiedy te przymioty znajdują się u czystego Francuza, czy z arystokracji, czy z ludu, zakwitają one — „rozpościerają się” byłoby za wiele powiedziane, bo jest w tym miara i ograniczenie — z wdziękiem, jakiego nie spotykamy u najwartościowszego bodaj cudzoziemca. Zalety umysłu i serca posiadają niewątpliwie i inni i nie umniejsza ich ceny to, iż zrazu trzeba nam przebyć to, co nas razi i odstręcza, i przyprawia o uśmiech. Bądź co bądź ładną i może wyłącznie francuską właściwością jest, że to, co uznajemy za istotnie piękne, to, co ma wartość wedle umysłu i serca, jest przede wszystkim urocze dla oka, zabarwione wdziękiem, wyczelowane subtelnie, że także w swojej materii i formie osiąga wewnętrzną doskonałość. Patrzyłem na Roberta i myślałem, że to jest ładna rzecz, kiedy szpetota fizyczna nie jest przedśmionkiem duchowego wdzięku; kiedy delikatne skrzydła nosa mają rysunek doskonały jak skrzydła motylek siadających na kwiatach polnych dokoła Combray; i że prawdziwe *opus francigenum*⁹⁰, którego sekret nie zatracił się od XIII wieku i nie zginąłby wraz z naszymi kościołami, to są nie tyle kamienne anioły w Saint-André-des Champs, ile małe Francuziki, ze szlachty, z mieszczan czy z chłopów, o twarzy wyrzeźbionej z tą delikatną prostotą, równie tradycyjną jak w słynnej kruchcie, ale jeszcze twórczą.

Oddaliwszy się na chwilę, aby czuwać osobiście nad zamknięciem drzwi i nad naszym obiadem (nalegał, żebyśmy wzięli „zimne mięso”, bo drób musiał być nieszczególny), gospodarz wrócił, aby nam oznajmić, że książę de Foix bardzo by pragnął, aby pan margrabia pozwolił mu zjeść obiad przy stoliku obok.

— Ależ wszystkie są zajęte — odparł Saint-Loup, patrząc na stoły, które zatarasowały mój stolik.

— O to nie chodzi; gdyby to mogło być przyjemne panu margrabiemu, można by doskonale poprosić te osoby, żeby się przesiadły. Takie rzeczy da się zrobić dla pana margrabiego!

— Decyduj ty — rzekł do mnie Saint-Loup. — Foix jest dobry chłopak, może cię nie znudzi; jest mniej głupi niż wielu innych.

Odpowiedziałem, że z pewnością bardzo by mi było miło, ale że kiedy się nam raz zdarzyło wybrać we dwójkę na obiad i kiedyś się na to tak cieszył, wolałbym raczej żebyśmy byli sami.

— Ładny ma płaszcz książę de Foix — rzekł gospodarz w trakcie naszej narady.

— Tak, znam ten płaszcz — odparł Saint-Loup.

Chciałem opowiedzieć Robertowi, iż pan de Charlus zataił przed jego ciotką, że mnie zna, przy czym chciałem go spytać, co może być tego za przyczyna; ale przeszkodziło mi przybycie księcia de Foix. Zjawił się nagle o dwa kroki; przyszedł się przekonać, czy jego propozycję przyjęto. Robert zapoznał nas, ale nie ukrywał swemu przyjacielowi, że mając ze mną do pomówienia, wolałby, żeby nas zostawiono w spokoju. De Foix oddalił się, podkreślając pożegnalny ukłon uśmiechem, którym wskazywał mi Roberta, jak gdyby składając na niego krótkość tej znajomości, którą by rad przedłużył. Ale w tej chwili, Robert, jak gdyby uderzony nagłą myślą, pospieszył za nim, rzuciwszy mi: „Usiądź i zacznij jeść, ja zaraz przyjdę” — po czym znikł w małej sali.

Przykro mi było, kiedyś słyszał, jak jacyś nieznanymi eleganci opowiadają niedorzeczne a złośliwe historie o młodym następcy tronu, księciu Luksemburga (eks-hrabi

⁸⁸dzieciństwo (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

⁸⁹apologia — obrona stanowiąca zarazem usprawiedliwienie i pochwałę. [przypis edytorski]

⁹⁰*opus francigenum* (łac.) — dzieło francuskie. [przypis edytorski]

de Nassau), któremu poznał w Balbec i który dał mi tak delikatne dowody sympatii w czasie choroby babki. Jeden utrzymywał, że ów książę powiedział do księżnej Oriany de Guermantes: „Żądam, aby wszyscy wstawali, kiedy przechodzi moja żona”, i że księżna odpowiedziała (co grzeszyłoby nie tylko brakiem dowcipu, ale i brakiem ścisłości, gdyż babka młodej księżnej była zawsze najuczciwszą kobietą w świecie): „Skoro wszyscy będą wstawali dla twojej żony, będzie to coś nowego w porównaniu z babką, z którą się wszyscy kładli”. Opowiadali potem, że kiedy młody książę odwiedził w tym roku swoją ciotkę, księżnę de Luxembourg, w Balbec i stanął w „Grand Hotelu”, skarżył się dyrektorowi (mojemu przyjacielowi), że nie wywieszono flagi Luksemburga. Otóż, ponieważ ta flaga była mniej znana i mniej używana niż flaga angielska lub włoska, trzeba było kilku dni, aby się o nią postarać, ku wielkiemu niezadowoleniu młodego księcia. Nie uwierzyłem ani trochę w tę historię, ale przyrzekłem sobie, skoro się znajdę w Balbec, zapytać o to dyrektora hotelu, aby się upewnić, że to jest czyste zmyślenie.

Czekając na Roberta, poprosiłem gospodarza, aby mi kazał dać chleba.

— Natychmiast, panie baronie.

— Nie jestem baronem — odparłem.

— Och przepraszam, panie hrabio!

Nie miałem jeszcze czasu założyć nowego protestu, po którym zostałbym z pewnością „panem margrabią”, kiedy, równie szybko, jak mi to zapowiedział, zjawił się w progu Saint-Loup, trzymając w ręku obszerny płaszcz księcia de Foix; zrozumiałem, iż poprosił przyjaciela o ten płaszcz, aby mi było ciepło. Dał mi z daleka znak, żebym się nie ruszał; posuwał się ku mnie, ale trzeba było jeszcze ruszyć mój stół albo musiałbym zmienić miejsce, aby Robert mógł usiąść. Wszedłszy do wielkiej sali, Saint-Loup wstąpił lekko na czerwoną aksamitną kanapkę okrążającą salę wzdłuż ściany; na tej kanapce oprócz mnie siedziało tylko trzech czy czterech młodych ludzi z Jockey Clubu, znajomych Roberta, którzy nie znaleźli miejsca w małej sali. Pomiędzy stolikami były rozpięte sznury elektryczne na pewnej wysokości; nie zważając o nie, Saint-Loup przeskoczył je zręcznie, niby koń wyścigowy przeszkodę. Zawstydzony, że on dokazuje tych cudów jedynie dla mnie, aby mi oszczędzić bardzo prostego ruchu, byłem równocześnie oczarowany pewnością, z jaką wykonywał tę woltyżerską sztukę; i nie ja sam: gospodarz i garsoni (mimo iż byliby z pewnością średnio smakowali w tej sztuce u mniej arystokratycznego i mniej hojnego klienta) stali olśnieni niby znawcy przy wadze na wyścigach; pikolo, jakby sparaliżowany, stał nieruchomo z półmiskiem, na który czekali goście obok; a kiedy Saint-Loup, mając przejść za swymi przyjaciółmi, wstąpił na ramę oparcia i posuwał się, zachowując doskonałą równowagę, dyskretnie oklaski rozległy się na sali. Zrównawszy się wreszcie ze mną, osadził w miejscu swój rozmach z precyzją wodza przed trybuną monarchy i kłaniając się, podał mi, z wyrazem dworności i poddania, płaszcz z wielbłądziej sierści, aby natychmiast potem, siadłszy obok mnie i nie pozwalając mi uczynić najmniejszego ruchu, ułożyć go niby lekki i ciepły szal na moich ramionach.

— Posłuchaj, żebym nie zapomniał — rzekł Robert — wuj Charlus ma ci coś do powiedzenia. Obiecałem mu, że cię przyślę do niego jutro wieczór.

— Właśnie miałem z tobą pomówić o nim. Ale jutro mam obiad u twojej ciotki Guermantes.

— Tak, jest wyżerka pierwszej klasy jutro u Oriany. Mnie nie proszono w gości. Ale wuj Palamed wolałby, żebyś ty tam nie szedł. Nie możesz się wymówić? W każdym razie idź do wuja Palameda potem. Zdaje mi się, że mu zależy na tym widzeniu. No, możesz zdążyć do niego na jedenastą. Jedenasta, nie zapomnij, podejmuję się uprzedzić go. On jest bardzo drażliwy. Jeśli nie przyjdiesz, będzie miał pretensje. Zresztą u Oriany zawsze się wcześniej kończy. Jeżeli masz tylko obiad, wybornie możesz być o jedenastej u wuja. I ja zresztą powinien bym się zobaczyć z Orianą, chodzi o moje stacjonowanie w Maroku, które chciałbym zmienić. Ona jest taka poczciwa w tych rzeczach, a robi co chce z generałem de Saint-Joseph, od którego to zależy. Ale nie mów jej o tym. Powiedziałem słówko księżnej Parmy, to pójdzie jak po maśle. Och, to Maroko, bardzo interesujące. Dużo by mówić o tym. Mężczyźni są tam bardzo subtelni. Czuć równość inteligencji.

— Nie sądzisz, że Niemcy mogliby się posunąć z powodu Maroka aż do wojny?

— Nie, ich to drażni, i w gruncie to rozumiałe. Ale cesarz jest pacyfistą. Zawsze będą przed nami udawali, że chcą wojny, aby nas skłonić do ustępstw. Bluffują, jak w pokerze. Książę Monako⁹¹, agent Wilhelma II⁹², powiedział nam poufnie, że Niemcy rzucą się na nas, jeżeli nie ustąpimy. Więc ustępujemy. Ale gdybyśmy nie ustąpili, nie byłoby ani cienia wojny. Pomyśl tylko, co by to była za komiczna rzecz — wojna dzisiaj. To byłoby katastroficzniesze niż *Déluge*⁹³ i *Götterdämmerung*⁹⁴. Tylko trwałoby krócej.

Robert mówił mi o przyjaźni, o sympatii, o żalu, mimo że — jak wszyscy tacy wędrowcy — wyjeżdżał nazajutrz na kilka miesięcy, które miał spędzić na wsi, aby wpaść tylko na czterdzieści osiem godzin do Paryża przed powrotem do Maroka (lub gdzie indziej); ale słowa, które rzucał w ten sposób w ciepło mego serca owego wieczora, rozpały w nim słodkie marzenia. Nasze rzadkie sam na sam — a zwłaszcza to — wyrły się później w mojej pamięci. Dla Roberta, jak dla mnie, był to wieczór przyjaźni. Ale przyjaźń, jaką odczuwałem w tej chwili, niezupełnie była (obawiałem się) tą, którą on byłby rad we mnie budzić. Odczuwałem nawet cień wyrzutu z tego powodu. Jeszcze pełen przyjemności, jakiej doznałem, patrząc, jak on się posuwa na kształt jeźdźca, aby osiągnąć z wdziękiem celu, czulem, iż ta przyjemność wynika stąd, że każdy z jego ruchów, wykonanych wzdłuż ściany na ławeczce, czerpał swój sens, swoją przyczynę może w indywidualnej naturze Roberta, ale bardziej jeszcze w tej, którą z urodzenia i wychowania odziedziczył po swojej rasie.

Pewność smaku w zakresie nie piękna, ale manier każe w obliczu nowej okoliczności wytwornemu człowiekowi — jak muzykowi, gdy go proszą o zagranie nieznanego utworu — chwytać natychmiast ton, rytm, jakiego utwór żąda, i dostroić doń najwłaściwszą technikę; następnie pozwala temu smakowi przejawiać się bez skrepowania żadnymi innymi względami, które sparaliżowałyby tyłu młodych ludzi z burżuazji, zarówno przez obawę śmieszności w oczach świata w razie uchybienia konwenansom, jak przez obawę nadmiaru uprzejmości w oczach przyjaciół. Miejsce tego wszystkiego zastępowała u Roberta wzdęta, której z pewnością nigdy nie czuł w sercu, ale którą otrzymał dziedzicznie w swoim ciele i która wyrobiła u jego przodków nawyk poufności, a to dzięki przeświadczeniu, że ona może jedynie pochlebić i sprawić przyjemność temu, do kogo się odnosi; wreszcie szlachetna hojność, która, nie biorąc zgoła w rachubę tyłu materialnych przewag (sute rachunki w tej restauracji uczyniły zeń w końcu, tutaj, jak i gdzie indziej, najmodniejszego klienta i wielkiego faworyta, a sytuację tę podkreślała w stosunku do Roberta skwapliwość nie tylko służby, ale i najświetniejszej młodzieży), kazała mu je deptać nogami, niby te faktycznie i symbolicznie deptane purpurowe ławeczki, podobne do wspaniałej drogi, która podobała się Robertowi jedynie przez to, że pozwalała mu się zbliżyć do mnie z większym wdziękiem i szybciej; oto były jego na wskroś arystokratyczne zalety, które zza tego ciała, nie tępego i ciemnego, jak byłoby moje, ale wymownego i jasnego, świeciły tak, jak poprzez dzieło sztuki prześwieca przemyślna i sprawna potęga, która je stworzyła, każdy gest owej lotnej podróży, jaką Robert odbył wzdłuż ściany, czyniąc czymś zrozumiałym i wdzięcznym, niby ruchy jeźdźców wyrzeźbionych na fryzie⁹⁵.

„Ach! — pomyślałby Robert. — Wartoż mi było przez całą młodość gardzić urodzeniem, cenić jedynie sprawiedliwość i inteligencję, wybierać poza narzuconymi mi przyjaciółmi niezręcznych i źle ubranych kolegów, o ile mieli dar słowa, po to, aby jedyną uderzającą we mnie i wrażliwą się w sympatyczną pamięć istotą była nie ta, którą wola moja, dokładając wysiłków i pracując nad sobą, ukształtowała na moje podobieństwo, ale owa inna, niebędąca moim dziełem, niebędąca nawet mną, istota, którą zawsze gardziłem

⁹¹książę Monako — Albert I (1848–1922), książę Monako od 1889. [przypis edytorski]

⁹²Wilhelm II (1859–1941) — cesarz niemiecki w latach 1888–1918. [przypis edytorski]

⁹³*Déluge* (fr.: Potop) — oratorium francuskiego kompozytora Camille'a Saint-Saënsa z 1875, ze słowami Louisa Galleta, opowiadające historię biblijnego potopu; napisane pod wpływem oper Wagnera. [przypis edytorski]

⁹⁴*Götterdämmerung* (niem.) a. *Ragnarök* (mit. skand.) — wielka walka między bogami a olbrzymami i potworami, w wyniku której splanie świat i siedziba bogów, Asgard, zgasną wszystkie gwiazdy, a Ziemię zaleje wielkie morze; po katastrofach wyłoni się odnowiony, oczyszczony świat. *Götterdämmerung* (pol. *Zmierzch bogów*) to także tytuł ostatniej części dramatu muzycznego Richarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

⁹⁵jeźdźców wyrzeźbionych na fryzie — odniesienie do postaci z fryzu dłuta Fidiasza, biegnącego wokół Partenonu, świątyni bogini Ateny na ateńskim Akropolu; na fryzie przedstawiono uroczysty pochód podczas najważniejszego święta na cześć Ateny, między innymi kawalkadę jeźdźców. [przypis edytorski]

i którą starałem się przezwyciężyć? Wartoż mi było tak bardzo kochać mego ulubionego przyjaciela, po to, aby jego największą przyjemnością było odkrywać we mnie coś o wiele ogólniejszego niż ja sam; przyjemnością niepłynącą zgoła — jak on nieszczerze powiada — z przyjaźni, ale będącą czymś intelektualnym i bezinteresownym, rozkoszą niejako artystyczną?”

Oto — obawiam się dzisiaj — co Saint-Loup niekiedy myślał. W takim razie mylił się. Gdyby on nie był ukochał czegoś wyższego od wrodzonej gibkości swego ciała, gdyby nie gardził tak długo dumą rodową, nawet zwinność jego byłaby mniej swobodna, cięższa, wzięcie jego miałyby coś z nadętej pospolitości. Jak pani de Villeparisis musiała wiele przemyśleć serio, aby dać swojej rozmowie i swoim pamiętnikom wrażenie lekkości (które jest czymś intelektualnym), tak samo na to, aby w ciele Roberta zamieszkało tyle pańskości, musiała ta pańskość ustąpić z jego myśli, zwróconej ku wyższym celom; musiała, wsiąkszy w jego ciało, utrwalić się w nim w bezwiednych i szlachetnych liniach. Tym samym jego dystynkcja duchowa nie była obca jego dystynkcji fizycznej, która bez owej pierwszej nie byłaby zupełna. Artysta nie potrzebuje wyrażać wprost swojej myśli w dziele na to, aby to dzieło odbijało jej wartości; powiedział nawet ktoś, że najwyższą pochwałą Boga jest negacja ateusza, który uważa stworzenie za coś na tyle doskonałego, aby się mogło obejść bez twórcy. I miałem świadomość, że nie wyłącznie dzieło sztuki podziwiam w tym młodym jeźdźcu, rozwijającym wzdłuż ściany fryz swojego biegu; młody książę (pochodzący od Katarzyny de Foix, królowej Nawarry i wnuczki Karola VII), którego Robert opuścił dla mnie, urodzenie i majątek, jakie pochylał przede mną w hołdzie, dumni i gibcy przodkowie, którzy przetrwali w jego pewności i zwinności, dworność, z jaką otulił moje wrażliwe ciało płaszczem z wielbłądziej sierści, czyż z wszystkim tym nie było tak jak z jego przyjaciółmi dawniejszymi ode mnie, którzy — sądziłem — powinni byli zawsze nas dzielić, a których, przeciwnie, poświęcał dla mnie mocą wyboru, możebnego do uczynienia jedynie na wyżynach inteligencji, z tą skończoną swobodą, której ruchy jego były obrazem, a w której się objawia doskonała przyjaźń.

Ile pospolitej nadętości — w miejsce dystynkcji, jaką miała poufalość Roberta, dlatego że dziedziczna wzgarda była w nim jedynie zmienionym w nieświadomy wdzięk strojem istotnej pokory moralnej — może ujawnić poufalość jakiegoś Guermantes, mogłem sobie uświadomić nie w panu de Charlus, u którego wady charakteru, dotąd dla mnie niezrozumiałe, pokryły arystokratyczne wzięcie, ale w księciu Błażeju. I on zresztą — przy pospolitej całości, która się tak nie podobała mojej babce, kiedy niegdyś spotkała księcia u pani de Villeparisis — miał znamiona dawnej wielkości, które mnie uderzyły, kiedy nazajutrz po wieczorze spędzonym z Robertem znalazłem się u niego na obiedzie.

Znamion tych nie dostrzegłem ani u niego, ani u księżnej Oriany, kiedy ich widział pierwszy raz u ich ciotki, tak samo jak nie dostrzegłem pierwszego dnia różnic dzielących Bermę od jej towarzyszek, mimo że u niej swoiste cechy były nieskończenie bardziej uderzające niż u ludzi światowych, bo wyraźniejsze, w miarę jak przedmioty stają się realniejsze, dostępne dla inteligencji. Ale mimo całej błahości tych odcieni socjalnych (błahości takiej, że kiedy rzetelny obserwator, jak Sainte-Beuve⁹⁶, chce kolejno zaznaczyć subtelne różnice między salonem pani Geoffrin, pani Recamier i pani de Boigne⁹⁷, wszystkie te salony wydają się identyczne, główną zaś prawdą, jaka bez wiedzy autora wyłania się z jego studiów, jest nicość życia salonów), bądź co bądź — z tej samej racji co u Bermy — kiedy Guermantowie stali mi się obojętni, a kropelka ich oryginalności nie zmieniała się już w parę w temperaturze mojej wyobraźni, wówczas mogłem ją zebrać, mimo iż tak mało ważką.

Ponieważ na wieczorze u ciotki księżna nie wspomniała mi o mężu, zastanawiałem się, czy wobec krążących pogłosek rozwodowych mąż ów będzie obecny na obiedzie. Ale niebawem zyskałem tego pewność, bo między lokajami, którzy stali w przedpokoju i którzy (dotąd patrzeli z pewnością na mnie jak na dzieci stolarza, to znaczy z większą może sympatią niż ich pan, ale jak na kogoś nienadającego się do tego domu) musieli dociekać

⁹⁶ Sainte-Beuve, Charles Augustin (1804–1869) — francuski pisarz i krytyk literacki; członek Akademii Francuskiej (od 1844). [przypis edytorski]

⁹⁷ pani Geoffrin, pani Recamier i pani de Boigne — paryskie damy prowadzące salony, gdzie spotykali się artyści, pisarze i politycy: Marie Thérèse Rodet Geoffrin (1699–1777), Juliette Recamier (1777–1849) oraz Adèle d’Osmond, hrabina Boigne (1781–1866). [przypis edytorski]

przyczyn tego przewrotu, ujrzałem sunącego pana de Guermantes, który czyhał na moje przybycie, aby mnie przyjąć w progu i zdjąć mi własnoręcznie palto.

— Żona będzie bardzo a bardzo szczęśliwa — rzekł książę tonem przymilnej perswazji. — Niech mi pan pozwoli uwolnić się od swoich rupieci (uważał za dobroduszne i komiczne zarazem używać gwary ludu). Żona bała się trochę dezercji z pańskiej strony, mimo że pan raczył sam naznaczyć dzień. Od rana powiadaliśmy sobie oboje: „Zobaczysz, że nie przyjdzie”. Muszę powiedzieć, że księżna lepiej oceniła sytuację. Nie jest pan człowiekiem łatwym do zdobycia i byłem przekonany, że pan nam skręci kominka.

Książę był tak złym mężem, podobno nawet tak brutalnym, że mu poczytywano na zasługę (tak jak się ma za zasługę ludziom złych ich dobroduszność) te słowa „moja żona”, robiące wrażenie, że w nich rozciąga nad księżną opiekuńcze skrzydło, iżby stanowiła z nim jedno.

Ująwszy mnie poufale za rękę, książę wiódł mnie z sobą, aby mnie wreszcie wprowadzić do salonów. Gminne wyrażenie może się podobać w ustach wieśniaka, jeżeli streszcza trwałość jakiejś lokalnej tradycji, ślad historycznego wypadku, może nieznanego temu, kto do nich robi aluzję; tak samo grzeczność pana de Guermantes, którą miał mnie otaczać cały wieczór, zachwycała mnie jak pozostałość kilkowiecznych obyczajów, w szczególności obyczajów XVII wieku. Ludzie minionych czasów wydają się nam nieskończenie dalecy. Nie śmiemy im podsuwać głębokich intencji poza tym, co wyrażają formalnie; zdumieni jesteśmy, kiedy u bohaterów Homera spotkamy jakieś uczucie dość podobne do naszych lub fintę taktyczną u Hannibala⁹⁸ pod Kannami, gdzie pozwolił złamać swoje skrzydło, aby niespodzianie otoczyć nieprzyjaciela; zdawałoby się, że my sobie wyobrażamy owego poetę lub wodza równie odległymi od nas co zwierzę oglądane w zoologicznym ogrodzie. Nawet kiedy u jakichś figur z otoczenia Ludwika XIV spotykamy znamiona dworności w listach pisanych do posledniejszego człowieka, niezdolnego zdać się im na nic, czujemy się zdumieni, bo to odsłania nam nagle u tych wielkich panów cały świat pojęć, których nie wyrażają nigdy wprost, ale którymi się rządzą, w szczególności zaś przeświadczenie, że należy przez grzeczność udawać pewne uczucia oraz najskrupulatniej przestrzegać pewnych form dworności.

Ta urojona odległość od przeszłości jest może jedną z przyczyn tłumaczących, że nawet wielcy pisarze dopatryli się genialnego piękna w dziełach miernych mistyfikatorów jak Osjan⁹⁹. To, aby prastarzy bardowie mogli mieć nowoczesne myśli, zdumiewa nas tak bardzo, że popadamy w zachwyt, jeżeli w rzekomej starej pieśni gaelickiej¹⁰⁰ spotkamy jakąś myśl, która u współczesnego poety wydałaby się nam ot, dosyć zgrabną. Utalentowanemu tłumaczowi starożytnego, a mniej lub bardziej wiernie odtwarzanego autora wystarczy dodać do tekstu ustępy, które, podpisane współczesnym nazwiskiem i wydane oddzielnie, wydałyby się ledwie niezłe; natychmiast przyda tym jakąś wzruszającą wielkość swemu poecie, grającemu w ten sposób na klawiaturze kilku wieków. Tłumacz ów zdolny był dać jedynie mierną książkę — gdyby tę książkę wydano jako oryginał. Podana jako przykład — wydaje się przykładem arcydzieła. Przeszłość bynajmniej nie pierzcha, pozostaje w miejscu. Dopiero po miesiącach trwania wojny prawa uchwalone bez pośpiechu mogą na nią skutecznie oddziaływać; w piętnaście lat po niewykrytej zbrodni sędzia może jeszcze znaleźć materiały, które posłużą do jej wyświecenia; ba, po całych wiekach uczony badający w odległej strefie toponimię i obyczaje mieszkańców zdoła w nich jeszcze odkryć jakąś legendę wcześniejszą od chrześcijaństwa, już niezrozumiałą — o ile nie zapomnianą — za czasu Herodota¹⁰¹, a która w nazwie jakiejś skały, w obrzędzie religijnym trwa w pełni teraźniejszości niby gęstsza, odwieczna i stała emanacja. Istniała też —

⁹⁸*Hannibal Barkas* (246–183 p.n.e.) — wybitny wódz kartagiński; rozpoczął II wojnę punicką, wslawił się przeprowadzeniem 60-tysięcznej armii, łącznie ze słoniami bojowymi, z Hiszpanii przez Pireneje i Alpy do Italii, czym zaskoczył swoich wrogów, Rzymian, oraz umiejętnościami taktycznymi (m.in. bitwa pod Kannami w 216 p.n.e.). [przypis edytorski]

⁹⁹*Osjan* — legendarny wojownik i bard celtycki, bohater średniowiecznych podań; miał być autorem rzekomo starożytnych poematów celtyckich, *Pieśni Osjana*, opublikowanych w 1760 przez Jamesa Macphersona jako tłumaczenie z języka gaelickiego; mimo że w 1805 starożytny epos okazał się falsyfikatem, a rzekomy tłumacz autorem, tekst zyskał ogromną popularność w dobie romantyzmu i był tłumaczony na liczne języki w całej Europie. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*gaelicki* — szkocki język z grupy języków celtyckich. [przypis edytorski]

¹⁰¹*Herodot z Halikarnasu* (ok. 484–ok. 426 p.n.e.) — historyk grecki, nazywany „ojcem historii”, autor pierwszego zachowanego greckiego dzieła prozą pt. *Dzieje*, opisującego w 9 księgach wojny grecko-perskie

o wiele mniej starożytna — emancjacja dworskiego życia, jeżeli nie w manierach pana de Guermantes — często pospolitych — to bodaj w duchu, który nimi władał. Miałem się nią jeszcze napawać, niby dawnym zapachem, odnalazłszy ją nieco później w salonie. Bo nie udałem się tam od razu.

Mijając się, wspomniałem panu de Guermantes, że bardzo bym pragnął obejrzeć jego Elstiry.

— Jestem na pańskie rozkazy. Więc pan jest w przyjaźni z Elstirem? Znam go trochę, miły człowiek, to, co nasi ojcowie nazywali „godny człowiek”; niezmiernie boleję, byłbym go mógł poprosić, aby nam uczynił ten zaszczyt i raczył dziś przyjść na obiad. Byłby z pewnością nader szczęśliwy, mogąc spędzić ten wieczór w pańskim towarzystwie.

Będąc w lichym stylu *ancien régime*, kiedy się silił na to, książę nabierał stylu późnej niechęcy. Spytawszy mnie, czy sobie życzę, aby mi pokazał te obrazy, poprowadził mnie, cofając się z wdziękiem i przepraszając, ilekroć, aby mi wskazać drogę, musiał przejść przodem: scena, którą (od czasu gdy Saint-Simon opowiada, że przodek Guermantów robił mu honory swego pałacu z tą samą skrupulatnością w dopełnianiu błahych powinności wielkiego pana) musiało odgrywać wielu innych Guermantów dla wielu innych gości, zanim się wreszcie osunęła do nas. Że zaś zwierzyłem się księciu, że rad bym zostać chwilę sam z tymi obrazami, wyszedł dyskretnie, prosząc, abym potem przyszedł do salonu.

Ale znalazłszy się sam na sam z Elstirami, zapomniałem zupełnie godziny i obiadu. Znów, jak w Balbec, miałem przed sobą fragmenty tego świata o nieznanym kolorach, będącego jedynie projekcją, wizją swoistą dla wielkiego malarza, nietłumaczącą się bynajmniej w jego słowach. Partie ścian pokryte jego płótnami, jednolitymi w charakterze, były niby obrazy latarni magicznej, którą była w danym wypadku głowa artysty, a której dziwności nie można by się domyślać, póki by się znało jedynie człowieka, to znaczy: póki by się widziało tylko latarnię i lampę przed wsunięciem kolorowego szkiełka. Niektóre z tych obrazów — te, co się wydawały wytwornej publiczności najpociesniejsze — interesowały mnie bardziej od innych, tym mianowicie, że odtwarzały owe złudzenia optyczne, dowodzące, iż bez udziału rozumowania nie byłibyśmy zdolni zidentyfikować przedmiotów. Ileż razy, jadąc powozem, odkrywamy długą jasną ulicę zaczynającą się o kilka metrów od nas, gdy w istocie mamy przed sobą jedynie kawałek mocno oświetlonej ściany, dającej nam złudę głębi. Z tą chwilą, czy nie jest logiczne — nie jako sztuczka symbolizmu, ale przez szczerzy powrót do samego źródła wrażeń — przedstawić jedną rzecz jako ową drugą, którą wzięliśmy za nią w błyskawicy pierwotnego złudzenia? Powierzchnie i bryły są w rzeczywistości niezależne od nazw przedmiotów, jakie narzuca im nasza pamięć, skorośmy je poznali. Elstir starał się to, co wiedział, wyrwać z tego, co odczuł; usiłowaniem jego było często rozsądzić to skupienie rozumowań, które nazywamy widzeniem.

Ci, co nie cierpieli tych „okropności”, dziwili się, że Elstir wielbi Chardina¹⁰², Perroneau¹⁰³, tyłu malarzy, których oni, ludzie światowi, lubili. Nie zdawali sobie sprawy, że Elstir na swoją rękę powtórzył w obliczu natury (przy swoistej skłonności do pewnych prób) to samo usiłowanie co jakiś Chardin lub Perroneau; tym samym, oderwawszy się od swojej pracy, podziwiał w nich analogiczne dążenia, niemal antycypowane fragmenty swoich dzieł. Ale ludzie światowi nie dopełniali w myśli dzieła Elstira ową perspektywą Czasu, która im pozwalała lubić obrazy Chardina lub bodaj oglądać je bez uprzedzeń. A przecież najstarsi z nich widzieli w ciągu swego życia, iż — w miarę jak lata oddalały ich od tych zjawisk — nieprzebyta odległość między tym, co uważali za arcydzieło Ingres¹⁰⁴, a tym, co wedle nich powinno pozostać na zawsze ohydą (na przykład *Olimpia*

Artysta

oraz zawierającego cenne informacje o geografii, historii, wierzeniach i obyczajach Hellady oraz różnych krajów wchodzących wówczas w skład imperium perskiego, a także ludów ościennych. [przypis edytorski]

¹⁰²Chardin, Jean (1699–1779) — francuski malarz, mistrz scen rodzajowych i martwej natury. [przypis edytorski]

¹⁰³Perroneau, Jean-Baptiste (1715–1783) — francuski malarz i grafik, portrecista, posługiwał się głównie pastelami. [przypis edytorski]

¹⁰⁴Ingres, Jean-Auguste-Dominique (1780–1867) — francuski malarz historyczny i portrecista, jeden z najwybitniejszych artystów francuskich XIX w.; autor m.in. obrazu *Wielka odaliska* (1814), przedstawiającego leżącą nagą kobietę z haremu. [przypis edytorski]

Maneta¹⁰⁵), zmniejsza się tak bardzo, że oba płótna robią wręcz wrażenie dwóch bliźniąt. Ale świat nie korzysta z żadnej nauki, bo nie umie zstąpić do ogólnych pojęć i wyobraża sobie zawsze, że znajduje się w obliczu zjawiska niemającego przykładu w przeszłości.

Ze wzruszeniem odnalazłem na dwóch obrazach (bardziej realistycznych, z wcześniejszej maniery) tego samego pana, raz we fraku w swoim salonie, drugi raz w marynarce i w cylindrze na zabawie ludowej nad wodą, gdzie najoczywściej był nie na swoim miejscu; co dowodziło, że dla Elstira był nie tylko zwyczajnym modelem, ale przyjacielem, może protektorem, którego — jak niegdyś Carpaccio¹⁰⁶ jakichś dygnitarzy weneckich, i to zupełnie podobnych — lubił pakować w swoje obrazy. Tak Beethoven¹⁰⁷ znajdował przyjemność w tym, aby na czele ulubionego dzieła wypisać drogie imię arcyksięcia Rudolfa¹⁰⁸.

Ta zabawa nad wodą miała coś uroczego. Rzeka, suknie kobiet, żagle, niezliczone odbicia tego wszystkiego sąsiadowały na barwnym prostokącie, jaki Elstir wyciął z cudownego popołudnia. To, co zachwycało w sukni kobiety przestającej na chwilę tańczyć z powodu upału i zdyszaną, połyskiwało także — i w ten sam sposób — na płótnie nieruchomego żagla, w wodzie małej zatoki, na drewnianym mostku, w liściach i w niebie. Jak na jednym z obrazów, które oglądałem w Balbec, szpital, równie piękny pod lazurowym niebem jak sama katedra, zdawał się — śmieiej niż Elstir teoretyzujący, niż Elstir-esteta zakochany w średniowieczu — śpiewać: „Nie ma gotyku, nie ma arcydzieł, szpital bez stylu wart jest tyleż co wspaniały portal”, tak samo słyszałem: „Ta nieco pospolita dama, na którą przechadzający się pięknoduch nie raczyłby spojrzeć, którą by wygnał z poetycznego obrazu, jaki natura roztacza przed jego oczami, ta kobieta jest także piękna, suknia jej odbija to samo światło co ten żagiel; nie ma rzeczy bardziej lub mniej cennych, pospolita suknia i żagiel ładny sam w sobie to są dwa zwierciadła tego samego odbicia, cała wartość jest w spojrzeniu malarza”. Otóż ten malarz umiał nieśmiertelnie zatrzymać ruch godzin w owej promiennej chwili, gdy damie zrobiło się gorąco i gdy przestała tańczyć, kiedy drzewo okolił krąg cienia, kiedy żagle zdawały się ślizgać po złotym werniksie. Ale właśnie dlatego że chwila ciążyła na nas z taką siłą, to tak utrwalone płótno dawało wrażenie najbardziej ulotne, czuło się, że dama za chwilę się odwróci, że łódzie znikną, że cień zmieni miejsce, że przyjdzie noc, przyjemność się kończy, życie mija i że chwile, pokazane naraz tyłoma sąsiadującymi z sobą światłami, nie wracają.

Jeszcze jeden aspekt, zupełnie inny co prawda, tego, czym jest chwila, poznałem w kilku akwarelach mitologicznych, datujących z początków Elstira i również zdołających ten salon. Światowcy „zaawansowani” posuwali się „aż do” tej maniery, ale nie dalej. Nie były to z pewnością najtęższe dzieła Elstira, ale sama szczerość, z jaką potraktowano temat, odejmowała mu chłód. Muzy na przykład były przedstawione tak, jakby można przedstawić istoty z gatunku kopalnego; z tym że w czasach mitologicznych nie byłoby niezwykle widzieć je po dwie lub trzy, wieczorem, idące górską ścieżką. Czasami jakiś poeta, z rasy również mającej dla zoologa odrębną indywidualność (wyróżniającą się czymś jakby aseksualnym) przechadzał się z Muzą, jak w naturze istoty należące do odrębnych gatunków, ale zaprzyjaźnione i chodzące parami. Na jednej z tych akwarel widziało się wyczerpanego długą przechadzką górską poetę, którego spotkany centaur, współczując jego zmęczeniu, bierze na grzbiet i odnosi do domu. Na innych rozległy pejzaż (gdzie scena mityczna, bajeczni bohaterowie zajmują maleńko miejsca i są jakby zgubieni) oddany jest od szczytów aż do morza z dokładnością malującą już nie godzinę, ale minutę danej chwili, dzięki ścisłemu kątowni nachylenia słońca, dzięki ulotnej dokładności cieniów. W ten sposób artysta daje symbolowi mitu, ustalając go co do chwili, rodzaj przeżytej historycznej rzeczywistości; maluje ten symbol i opowiada go w czasie przeszłym dokonany.

Podczas gdy się przyglądał obrazom Elstira, dzwonki nowych gości rozlegały się bez przerwy, hipnotyzując mnie łagodnie. Ale cisza, która nastąpiła po nich i trwała już

¹⁰⁵ *Manet, Édouard* — malarz francuski, prekursor impresjonizmu; autor m.in. obrazu *Olimpia* (1865), przedstawiającego nagą kobietę, prostytutkę. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *Carpaccio, Vittore* (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *Beethoven, Ludwig van* (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *Habsburg, Rudolf Johann* (1788–1831) — austriacki arcybiskup, najmłodszy syn cesarza Leopolda II, uczeń i mecenas Beethovena. [przypis edytorski]

od dłuższego czasu, obudziła mnie w końcu — mniej szybko co prawda — z mojego marzenia, tak jak w *Cyruliku*¹⁰⁹ wyrwa Bartola ze snu cisza następująca po muzyce Lindora. Złakłem się, że o mnie zapomniano, że już wszyscy siedzą przy stole, i udałem się spieszenie do salonu. W drzwiach gabinetu z Elstirami ujrzałem lokaja, który — siwy czy upudrowany, sam nie wiem — czekał z miną hiszpańskiego ministra, ale okazując mi ten sam szacunek, jaki złożyłby u stóp króla. Uczulem z jego miny, że byłby na mnie czekał jeszcze godzinę, i pomyślałem z dreszczem zgrozy o opóźnieniu, jakie spowodowałem w obiedzie, zwłaszcza że przyrzekł być o jedenastej u pana de Charlus.

Idąc, spotkałem owego młodego lokaja, ofiarę odźwiernego; kiedym go spytał o narzeczoną, powiedział mi, promieniejąc szczęściem, że właśnie jutro oboje mają wychodne, że będzie mógł z nią spędzić cały dzień, sławił dobroć księżnej pani. Tymczasem hiszpański minister zaprowadził mnie do salonu; bałem się, że tam zastanę pana de Guermantes w złym humorze. Przeciwnie, przyjął mnie z radością, oczywiście po części sztuczną i konwencjonalną, ale skądinąd szczerą, natchnioną i jego żołądkiem, wygłodzonym przez tę zwłokę, i poczuciem podobnej niecierpliwości u gości, którzy wypełnili salon. Dowiedziałem się w istocie później, że czekano na mnie blisko trzy kwadranse. Książę de Guermantes pomyślał z pewnością, że przedłużyć powszechną męczarnię jeszcze o dwie minuty jest już rzeczą bez znaczenia i że skoro grzeczność kazała mu przewlec tak długo chwilę siadania do stołu, grzeczność ta byłaby zupełniejsza, gdyby, nie każąc podawać natychmiast, zdołał mnie przekonać, że się nie spóźnił i że na mnie nie czekano. Toteż spytał mnie — tak jakbyśmy mieli jeszcze godzinę czasu do obiadu i jakby jeszcze brakowało niektórych gości — jak mi się podobały Elstiry. Ale równocześnie, pokrywając niecierpliwość swego żołądka, nie chcąc tracić ani sekundy dłużej, przystąpił wraz z księżną do prezentacji. Wówczas dopiero spostrzegłem, iż spełniała się dokoła mnie — który do tego dnia (z wyjątkiem salonu pani Swann) przywykłem u nas w domu, w Combray i w Paryżu, do protekcyjnych lub wymuszonych manier nadąsanych mieszczek, traktujących mnie jak dziecko — zmiana dekoracji, podobna tej, jaka wprowadza nagle Parsifala¹¹⁰ między żywe kwiaty. Te, co mnie otaczały, głęboko wydekoltowane (ciało ich lśniło się po dwóch stronach krętej gałązki mimozy lub pod szerokimi płatkami róży), witając się ze mną, obejmowały mnie długimi pieszczącymi spojrzeniami, jak gdyby sama tylko nieśmiałość wzbraniała im uściskać mnie. Niejedna z tych kobiet była mimo to wzorem cnoty; niejedna, nie wszystkie, bo najcnotliwsze nie miały w stosunku do mniej surowych owej odrazy, jaką by czuła na przykład moja matka. Grzeszki tego rodzaju, negowane wbrew oczywistości przez święte przyjaciółki, najwyraźniej miały w świecie Guermantów o wiele mniej znaczenia niż stosunki, jakie ktoś umiał zachować. Udawano nieświadomość, że ciało jakiejś damy przechodziło z rąk do rąk, byle „salon” jej pozostał nietknięty.

Książę bardzo mało liczył się ze swymi gośćmi (co do których, jak oni co do niego, od dawna nie miał złudzeń), ale bardzo liczył się ze mną, którego gatunek wyższości, będąc mu nieznany, budził w nim po trosze ten sam rodzaj szacunku, co w wielkich panach na dworze Ludwika XIV ministrowie-mieszczanie. Uważał najoczywiściej, że fakt nieznanania jego gości nie ma żadnego znaczenia, jeżeli nie dla nich, to bodaj dla mnie; i gdy ja się troskał, z jego powodu, o wrażenie, jakie zrobię na nich, książę troszczył się jedynie o to, jakie wrażenie oni zrobią na mnie.

Na wstępie zresztą zdarzyło się podwójne *imbroglio*¹¹¹. W istocie, ledwie wszedł do salonu, pan de Guermantes, nie pozwalając mi nawet przywitać się z księżną, powiódł mnie ku niedużej damie, z miną człowieka chcącego sprawić jej miłą niespodziankę, zdając się mówić: „O, jest pani przyjaciel, widzi pani, przynoszę go pani za kark”. Otóż, zanim jeszcze, popychany przez księcia, dotarłem do niej, dama ta nie przestawała mi słać swoimi dużymi i łagodnymi oczami tysiąca porozumiewawczych uśmiechów, takich, jakie zwracamy do dawnego znajomego, który nas może nie poznaje. Ponieważ byłem właśnie w tym położeniu i nie umiałem sobie przypominąć, kto to taki, odwracałem

¹⁰⁹*Cyrulik sewilski* — opera Gioacchino Rossiniego z 1816, na podst. francuskiej komedii Pierre’a Beaumarchais’go z 1775 pod tym samym tytułem. [przypis edytorski]

¹¹⁰*Parsifal* — jeden z towarzyszy króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, poszukiwacz Graala; bohater dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera pt. *Parsifal*, luźno opartego na noszącym ten sam tytuł średniowiecznym poemacie epickim Wolframa von Eschenbacha. [przypis edytorski]

¹¹¹*imbroglio* (wł.) — dosł.: zamieszanie, zamęt; zawila intryga sceniczna. [przypis edytorski]

głowę, posuwając się naprzód, tak aby nie musieć odpowiedzieć na te spojrzenia do chwili, gdy prezentacja wydobędzie mnie z kłopotu. Przez ten czas dama nadal utrzymywała w chwiejnej równowadze swój przeznaczony dla mnie uśmiech. Robiła wrażenie, że jej jest pilno pozbyć się go i że czeka, abym powiedział wreszcie: „Ależ tak, rozumie się! Jaka mama będzie szczęśliwa, żeśmy się spotkali!” Było mi równie pilno dowiedzieć się jej nazwiska, jak jej ujrzeć, że się kłaniam wreszcie ze świadomością rzeczy i że jej uśmiech, wytrzymywany bez końca niby nuta *gis*, może się wreszcie skończyć. Ale pan de Guermantes pokpił sprawę, moim zdaniem przynajmniej; miałem wrażenie, że przedstawił tylko mnie, tak iż wciąż nie wiedziałem, kim jest ta pseudonieznaną, niemającą tego natchnienia, aby wymienić swoje nazwisko, tak bardzo racje naszej zażyłości, ciemne dla mnie, zdawały się jej jasne.

W istocie, skorom się znalazł przy niej, nie podała mi ręki, ale ujęła poufale moją i mówiła do mnie tonem takim, jak gdybym był — na równi z nią — świadom miłych wspomnień, jakie ona odnajduje w pamięci. Powiedziała mi, jak bardzo Albert (domyśliłem się, że to jej syn) będzie żałował, że nie mógł przyjść. Szukałem między dawnymi kolegami jakiegoś Alberta; znalazłem tylko Blocha, ale osoba, którą miałem przed sobą, nie mogła być matką Blocha, zmarłą od wielu lat. Próżno sililem się odgadnąć wspólną przeszłość, jaką ona najwyraźniej odnajduje w myśli. Ale tak samo nie dojrzałem jej poprzez przeświecający agat¹¹² szerokich i słodkich żrenic przepuszczających jedynie uśmiech, jak nie poznaje się krajobrazu rozciągającego się za czarną szybą, nawet rozplamioną słońcem. Spytała mnie, czy mój ojciec nie zanadto się męczy; czy nie chciałbym któregoś dnia iść do teatru z Albertem; czy jestem mniej cierpiący; że zaś moje odpowiedzi, potykające się w duchowym mroku, stały się wyraźniejsze jedynie w objaśnieniu, że się nie czuję dobrze tego wieczora, dama ta podsunęła mi sama krzesło, świadcząc mi tysiąc grzeczności, do jakich mnie nie przyzwyczaili inni przyjaciele rodziców. Wreszcie książę wydał mi słowo zagadki¹¹³: „Zachwycona jest panem” — szepnęła, a słowa te zabrzmiały w moim uchu czymś znajomym. To były te same słowa, które pani de Villeparisis powiedziała babce i mnie, kiedyśmy poznali księżnę de Luxembourg. Wówczas zrozumiałem wszystko: obecna dama nie miała nic wspólnego z panią de Luxembourg, ale z wysłowienia osoby, która mnie nią raczyła, poznałem gatunek zwierzyń. To była *Księżęca Wysokość*. Nie znała ani trochę mojej rodziny ani mnie, ale wiodąc się z najszlachetniejszego rodu i posiadając największy majątek w świecie (będąc bowiem córką księcia Parmy, zaślubiła kuzyna również z panującej rodziny), pragnęła, w swojej wdzięczności dla Stwórcy, okazać bliźniemu, choćby najbiedniejszemu lub najniżej urodzonemu, że nim nie gardzi. Prawdę mówiąc, z uśmiechów jej mogłem to być zgadnąć; widziałem, jak księżna de Luxembourg kupowała na plaży bułeczki, aby je dawać mojej babce niby sarnie w zoologicznym ogrodzie. Ale to była dopiero druga księżniczka krwi, której mnie przedstawiono; można by tedy darować, że nie wyodrębnił ogólnych cech dostojnej uprzejmości. Zresztą, czyż sami ci wielcy nie postarali się uprzedzić mnie, abym nie liczył zbyt mało na tę uprzejmość? Toż księżna de Guermantes, tak kiwająca do mnie ręką w Opera-Comique, była wyraźnie wściekła, kiedy się jej kłaniał na ulicy, jak ludzie, którzy dawszy raz komuś Ludwika, myślą, że się z nim już załatwili na zawsze. Co do pana de Charlus, jego przyływy i odpływy stwarzały jeszcze większe kontrasty. A z czasem poznałem, jak się pokaże, książęce wysokości i królewskie moście innego typu, królowe, które grają królowe i mówią nie na sposób im równych, ale jak królowe w sztukach Sardou¹¹⁴.

Jeżeli pan de Guermantes tak się pospieszył z moją prezentacją, to dlatego, iż fakt, aby się znajdował w towarzystwie kogoś nieznanego królewskiej wysokości, jest czymś niedopuszczalnym i nie może się przeciągać ani przez sekundę. To był ten sam pośpiech, z jakim Saint-Loup żądał, abym go przedstawił babce. Poza tym, przez pozostałość z życia dworów, która się zwie dwornością i która nie jest czymś powierzchownym, ale w której, przeciwnie, siłą jakiegoś przenicowania, powierzchnia staje się samą głębią rzeczy, oboje księstwo de Guermantes uważali za obowiązek ważniejszy od dość często zaniedbywanych

¹¹² *agat* — minerał półszlachetny o różnobarwnych pasmach, używany gł. w jubilerstwie. [przypis edytorski]

¹¹³ *słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *Sardou, Victorien* (1831–1908) — francuski dramaturg, autor sztuk o starannie skonstruowanym schemacie akcji, cieszących się dużą popularnością w Europie i Ameryce. [przypis edytorski]

obowiązków miłości bliźniego, czystości, miłosierdzia i sprawiedliwości, za obowiązek nad wszystkie niezłomny — to, aby mówić do księżnej Parmy jedynie w trzeciej osobie.

Skoro nie byłem nigdy dotąd w Parmie (czego pragnąłem od czasu jakże dawnych już ferii wielkanocnych), poznanie księżnej tej Parmy, księżnej, która — wiedziałem o tym — posiadała najpiękniejszy pałac w tym jedynym mieście, gdzie wszystko zresztą musiało być jednolite, tak bardzo było ono zizolowane od reszty świata, wśród gładkich ścian, w atmosferze swojej zwartej i zbyt słodkiej nazwy, dusznej niby letni wieczór bez powietrza na placu małego włoskiego miasteczka, powinno by podstawić nagle realną Parmę pod tę, którą sobie starałem wyobrazić. Był to surogat przybycia do tego miasta bez ruszenia się z miejsca; było to, w algebrze podróży do miasta Giorgionego¹¹⁵, niby pierwsze równanie o tej niewiadomej. Ale o ile od wielu lat nasyciłem — jak fabrykant perfum nasyca lity blok tłustej substancji — nazwisko księżnej Parmy zapachem tysięcy fiołków, w zamian za to, odkąd ujrzałem księżną, którą byłbym dotąd sobie wyobrażał jako jakąś co najmniej Sanseverinę¹¹⁶, zaczął się drugi proces, który, prawdę mówiąc, skończył się dopiero w kilka miesięcy później, a który polegał na usuwaniu z nazwiska księżnej, przy pomocy nowych chemicznych procesów, wszelkiego właściwego fiołkom olejku i wszelkiego stendhalowskiego zapachu i na wprowadzeniu w to miejsce obrazu czarniawej kobietki, pochłoniętej dobroczynnością i roztaczającej uprzejmość tak pokorną, że pojmowało się natychmiast, z jakiej wyniosłej dumy ta uprzejmość bierze początek. Zresztą, podobna — z drobnymi różnicami — do innych wielkich dam, księżna ta równie mało była stendhalowska, jak na przykład w Paryżu, w Quartier de l'Europe¹¹⁷, ulica Parmeńska, o wiele mniej podobna do nazwy Parmy niż do wszystkich sąsiednich ulic, i o wiele mniej budząca myśl o pustelni, gdzie umiera Fabrycy, niż o poczekalni dworca Saint-Lazare.

Uprzejmość księżnej Parmy płynęła z dwóch przyczyn. Jedną, ogólną, było wychowanie, jakie otrzymała ta córka monarsza. Matka księżniczki (nie tylko spokrewniona ze wszystkimi panującymi domami Europy, ale jeszcze — w przeciwieństwie do książęcego domu Parmy — bogatsza od niejonej monarchini) wszczepiła jej od najmłodszych lat pysznie pokorne zasady ewangelicznego snobizmu; i teraz każdy rys twarzy córki, spadek jej ramion, każdy gest, zdawały się powtarzać. „Pamiętaj, że jeżeli Bóg dał ci się urodzić na stopniach tronu, nie powinnaś dlatego gardzić tymi, nad których boska Opatrzność (za co niech będzie pochwalona) raczyła cię wywyższyć urodzeniem i majątkiem. Przeciwnie, bądź dobra dla maluczkich. Twój przodekowie byli książętami Cleves i Juliers¹¹⁸ od roku 647; Bóg chciał w swojej dobroci, abyś posiadała prawie wszystkie akcje Suez¹¹⁹ i trzy razy tyle Royal Dutchów¹²⁰ co Edmund Rothschild¹²¹; rodowód twój w prostej linii ustalony jest przez heraldyków od roku 63 ery chrześcijańskiej; masz dwie szwagierki cesarsowe. Toteż w rozmowie nie sprawiaj nigdy wrażenia, że sobie przypominasz o tak wielkich przywilejach; nie iżby były znikome (bo niepodobna coś zmienić w dawności rodu, a zawsze świat będzie potrzebował nafty); ale zbyteczne jest okazywać, że jesteś lepiej urodzona od innych i że twój majątek ulokowany jest *prima*, skoro każdy o tym wie. Bądź miłosierna dla nieszczęśliwych. Wszystkim tym, których łaska niebios pomieściła poni-

¹¹⁵Giorgione, właśc. *Zorzi di Castelfranco* (1478–1510) — włoski malarz renesansowy; artysta owiany tajemnicą: niewiele wiadomo o jego życiu i twórczości, zmarł przedwcześnie, podczas zarazy, żaden z jego obrazów nie jest sygnowany ani datowany, autorstwo wielu z nich jest sporne. [przypis edytorski]

¹¹⁶Sanseverina, *Gina* — postać literacka z *Pustelni parmeńskiej* Stendhala: ciotka Fabrycego del Dongo, która została księżną Parmy. [przypis edytorski]

¹¹⁷Quartier de l'Europe (fr.: Dzielnica Europejska) — dzielnica Paryża, w której ulice noszą nazwy miast europejskich. [przypis edytorski]

¹¹⁸Clèves i Juliers (fr.) — miasto Kleve w ob. zach. Niemczech oraz miasto Jülich w Holandii; w XI w. uformowały się wokół nich hrabstwa, które w XIV–XV w. zostały przekształcone w księstwa, wchodzące w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego; w 1521 księstwa Jülich, Berg, Kleve i Mark połączyły się, tworząc Zjednoczone Księstwa Jülich-Kleve-Berg. [przypis edytorski]

¹¹⁹akcje Suez — akcje Kompanii Kanału Sueskiego, zarządzającej zbudowanym w 1859–1869 Kanałem Sueskim, który połączył M. Śródziemne z M. Czerwonym, umożliwiając Europejczykom żeglugę do Indii bez opływania Afryki; w 1956 kanał został znacjonalizowany przez władze egipskie. [przypis edytorski]

¹²⁰Royal Dutch (pot.) — Royal Dutch Petroleum Company (niderl.: Koninklijke Nederlandse Petroleum Maatschappij), dawna holenderska spółka wydobywcza; w 1907 połączona ze spółką brytyjską, utworzyła obecny koncern Shell. [przypis edytorski]

¹²¹Rothschild, *Edmond James de* (1845–1934) — francuski kolekcjoner i mecenas sztuki pochodzenia żydowskiego, członek słynącej z bogactwa międzynarodowej rodziny Rothschildów. [przypis edytorski]

żej ciebie, oddawaj to, co im możesz oddać, nie uchybiając swemu stanowisku; to znaczy pomoc pieniężną, nawet miłosierdzie samarytańskie, ale, rozumie się, nigdy zaproszeń na swoje wieczory, co by im nie przyniosło żadnej korzyści, a w zamian, zmniejszając twój *prestige*¹²², uszczupliłoby skuteczność twojej dobroczynnej działalności”.

Toteż nawet w chwilach, w których nie mogła świadczyć dobrego, jej wysokość starała się okazać lub raczej przekonać wszystkimi zewnętrznymi oznakami niemej wymowy, że się nie uważa za wyższą od osób, wśród których się znajdowała. Miała dla każdego ową uroczą grzeczność, jaką mają dla niższych ludzie dobrze wychowani; co chwila, aby się okazać użyteczną, usuwała swoje krzesło, aby zostawić więcej miejsca; trzymała moje rękawiczki, ofiarowywała mi się ze wszystkimi usługami, niegodnymi dumnych mieszczek, które to usługi bardzo chętnie oddają królowe lub też — przez zawodowy nawyk — dawni lokaje.

Ale już księżę, któremu wyraźnie było pilno skończyć z prezentacjami, pociągnął mnie ku innej wytwornej pani. Usłyszawszy nazwisko damy, rzekłem, iż zdarzyło mi się przejeżdżać koło jej zamku, w pobliżu Balbec.

— Och, jaka byłabym szczęśliwa, mogąc go panu pokazać — rzekła prawie cicho, jak gdyby z nadmiaru skromności, ale tonem pełnym uczucia, z żalem, że ją minęła ta rzadka przyjemność. Z wiele mówiącym spojrzeniem dama dodała: — Miejmy nadzieję, że nie wszystko stracone. I muszę wyznać, że najbardziej zainteresowałby pana zamek mojej ciotki Brancas; budował go Mansard¹²³, to perła całej prowincji.

Nie tylko więc ona sama byłaby rada pokazać mi swój zamek, ale ciotka jej, księżna de Brancas, z nie mniejszym zachwytem robiłaby mi honory swojego zamku, wedle zapewnień tej damy, uważającej z pewnością, że zwłaszcza w epoce, gdy ziemia przechodzi w ręce wzbogaconych prostaków, ważne jest, aby wielcy panowie podtrzymywali wysokie tradycje pańskiej gościnności za pomocą słów niezobowiązujących do niczego. A także ponieważ starała się, jak wszystkie osoby jej świata, mówić rzeczy zdolne komuś zrobić najwięcej przyjemności, dać mu najwyższe pojęcie o nim samym, sprawić, by wierzył, że pochlebia tym, do których pisze, że czyni zaszczyt swoim gospodarzom, że wszyscy płoną chęcią poznania go. Ta chęć dania innym milego pojęcia o nich samych zdarza się czasem nawet w sferach mieszczańskich. Spotyka się tam tę uprzejmość — jako osobisty przymiot, kompensujący jakąś wadę — niestety nie u najpewniejszych przyjaciół, ale bodaj u najmilszych partnerek. W każdym razie zakwita tam ona pojedynczo. Przeciwnie, w przeważnej części arystokracji ten rys charakteru przestał być indywidualny; pielęgnowany wychowaniem, podtrzymywany poczuciem własnej wielkości, która nie boi się upokorzyć, która nie ma rywalek, wie, że swoją uprzejmością może kogoś uszczęśliwić, i lubi to czynić — rys ten stał się plemienną cechą kasty. I nawet ci, którym zbyt sprzeczne temu rysowi osobiste wady nie pozwalają go zachować w sercu, noszą nieświadomy jego ślad w słownictwie lub w gestach.

— To bardzo dobra kobieta — rzekł do mnie pan de Guermantes, mówiąc o księżnej Parmy — przy tym umie być „wielką damą” jak nikt.

Podczas gdy mnie przedstawiano paniom, jeden z obecnych zdradzał niezwykle podniecenie: był to hrabia Hannibal de Bréauté-Consalvi. Przybywszy późno, nie miał czasu wywiedzieć się o uczestników; ujrawszy tedy w mojej osobie gościa nienależącego do towarzystwa księżnej i posiadającego zapewne tym samym zupełnie niezwykle tytuły, aby się w nim znaleźć, hrabia zasadził pod sklepionym łukiem brwi monokl, sądząc, że mu to znakomicie pomoże rozpoznać, do jakiego gatunku ludzi należą. Pani de Guermantes posiadała (cenny przywilej kobiet naprawdę niepospolitych) to, co się nazywa „salonem”; to znaczy do ludzi swego świata dorzucała czasami jakąś znakomitość, którą postawiło świeżo na świeczniku odkrycie jakiegoś leku lub stworzenie arcydzieła. Wielki świat był jeszcze pod wrażeniem faktu, że na przyjęcie dla królestwa angielskich księżna Oriana nie lękała się zaprosić pana Detaille¹²⁴. Inteligentne kobiety z tego świata były niepokieszone, że ich nie zaproszono, tak rozkoszny dreszczyk przeczuwały w zbliżeniu się do

¹²²*prestige* (fr.) — poważanie, prestiż. [przypis edytorski]

¹²³*Mansard, François* (1598–1666) — francuski architekt epoki baroku; spopularyzował typ dachu na jego cześć nazwany mansardowym. [przypis edytorski]

¹²⁴*Detaille, Édouard* (1848–1912) — francuski malarz akademicki, batalista, szczególnie znany z obrazów ukazujących wojnę francusko-pruską 1870. [przypis edytorski]

tego niezwykłego człowieka. Pani de Courvoisier utrzymywała, że był także pan Ribot, ale to było zmyślenie mające utrwalić pogłoskę, że Oriana stara się wypromować męża na ambasadora. Wreszcie na domiar skandalu, pan de Guermantes, z galanterią godną marszałka saskiego¹²⁵, zjawił się w *foyer* Komedii Francuskiej i poprosił pannę Reichemberg, aby przysłała recytować wiersze wobec króla, co się też stało i co było faktem bez precedensu w rocznikach rautów.

Na wspomnienie tylu niespodzianek, które zresztą pan de Bréauté aprobował całkowicie — ile że on sam był, na równi z księżną, nie tylko ozdobą, ale i konsekracją wszelkiego salonu — pan de Bréauté, zadając sobie pytanie, kim ja mogę być, czuł, że się przed nim otwiera szerokie pole dociekań. Przez chwilę błysło mu w mózgu nazwisko pana Widor¹²⁶; ale uznał, że jestem zbyt młody, aby być organistą, a pan Widor za mało sławny, aby „bywać”. Naturalniejsze wydało mu się widzieć we mnie po prostu nowego szwedzkiego *attaché*¹²⁷, o którym mu wspomiano; już gotował się mnie spytać o nowiny o królu Oskarze¹²⁸, który kilka razy przyjął go nader łaskawie; ale kiedy książę, przedstawiając mnie panu de Bréauté, wymienił moje nazwisko, ów, widząc, że to nazwisko jest mu absolutnie nieznane, nie wątpił już, iż skoro się tu znajduję, muszę być jakąś sławą. Tak, to było w stylu Oriany, która posiadała sztukę ściągania do swego salonu ludzi wybitnych, w stosunku jeden na sto, oczywiście, gdyż inaczej zdeklasowałyby ten salon. Pan de Bréauté zaczął tedy oblizywać wargi i rozdymać łakome nozdrza, podniecony nie tylko pewnością dobrego obiadu, ale i charakterem zebrania, któremu moja obecność niezawodnie miała przydać smaku, a które dostarczy mu pikantnego tematu nazajutrz przy śniadaniu u jego wysokości księcia de Chartres. Pan de Bréauté nie był jeszcze zdecydowany, czy ja jestem twórcą świeżo wypróbowanej surowicy przeciw-rakowej, czy autorem jednoaktówki będącej w próbach w Komedii Francuskiej; ale jako wielki intelektualista, wielki amator „opisów podróży”, nie przestawał mnożyć dla mnie ukłonów, mrugań, uśmiechów spoza monokla; bądź to w fałszywym mniemaniu, iż zyska w oczach człowieka wartościowego, jeśli mu zdoła wszczepić złudzenie, że dla niego, hrabiego de Bréauté-Consalvi, przywileje myśli nie mniej są godne szacunku niż przywileje urodzenia; bądź po prostu przez potrzebę i trudność wyrażenia swojego zadowolenia, w nieświadomości języka, jakim należało do mnie mówić, w sumie tak jakby się znalazł w obecności jednego z „tubylców” nieznanej ziemi, do której przybiłaby tratwa, i z którymi w nadziei zysku próbowałyby — obserwując równocześnie ciekawie ich obyczaje i nie przerywając wylewów przyjaźni ani wydawania jak oni głośnych okrzyków — zamieniać strusie jaja i korzenie na szkiełka.

Odpowiedziawszy, jak mogłem najlepiej, jego radości, uściśnięciem rękę księcia de Châtellerault, spotkanego już u pani de Villeparisis, o której powiedział mi, że to jest „spryciara”. Ten książę był nadzwyczaj „Guermantes” przez swoje blond włosy, przez orlikowaty profil, przez skazy na skórze policzków — cechy, które się widzi na portretach tej rodziny, przekazanych nam przez wiek XVI i XVII. Ale ponieważ nie kochałem już księżnej, wcielenie jej w postać młodego człowieka było dla mnie bez uroku. Odczytywałem haczyk, jaki tworzył nos księcia de Châtellerault, niby podpis malarza, któremu długo studiował, ale który mnie już przestał interesować. Następnie przywitałem się z księciem de Foix, po czym — na nieszczęście dla moich palców, które wyszły z tego zmalretowane — dałem je pochwycić w kleszcze uścisku dłoni w stylu niemieckim, z towarzyszeniem ironicznego czy też dobrodusznego uśmiechu Prinza von Faffenheim. Przez manię przydomków, właściwą temu środowisku, tego przyjaciela pana de Norpois nazywano tak powszechnie „Prinzem Von”, że on sam podpisywał się „Prinz Von” lub kiedy pisał do najbliższych — „Von”. Ten skrót można było jeszcze zrozumieć dla długości tego skomplikowanego nazwiska. Trudniej było ocenić racje, które kazały zastępować Elżbieta to przez „Lili”, to przez „Bietka”, jak w innym świecie roily się „Kiki”. Można pojąć, że mężczyźni — mimo iż na ogół wiodący puste i próżniacze życie — przyjęli formę „Quiou”, aby nie tracić czasu na wymawianie „Montesquiou”. Trudniej zrozumieć, co zyskiwali,

¹²⁵ *Maurycy Saski* (1696–1750) — hrabia saski, wódz i strateg, marszałek Francji. [przypis edytorski]

¹²⁶ *Widor, Charles-Marie* (1844–1937) — francuski organista, kompozytor i nauczyciel akademicki. [przypis edytorski]

¹²⁷ *attaché* (fr.) — dyplomata, będący specjalistą w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

¹²⁸ *Oskar II* (1829–1907) — król Szwecji (od 1872) oraz Norwegii (1872–1905). [przypis edytorski]

zmieniając imię „Ferdynand” jednego z kuzynów na „Dynand”. Nie trzeba zresztą sądzić, że w swoich przydomkach Guermantowie posługiwali się niezmiennie powtórzeniem sylaby. Tak na przykład dwóch siostr, hrabiny de Montpeyroux i wicehrabiny de Vélude (obie były straszliwie otyłe), nigdy nie nazywano inaczej (o co się wcale nie gniewały i co nawet nie budziło niczyjego uśmiechu, taki zwyczaj był dawny) jak „Malańka” i „Kruszynka”. Kiedy pani de Montpeyroux była poważnie chora, pani de Guermantes, która przepadała za nią, ze łzami w oczach pytała jej siostry: „Słyszałam, że Malańka jest bardzo chora?”. Pani de l’Enclin, osoby noszącej nioby¹²⁹ zasłaniające jej całkowicie uszy, nie nazywano nigdy inaczej jak „wilczy głód”. Czasem dla określenia żony zmieniano po prostu końcówkę przy imieniu męża. Pewien człowiek, najbardziej chciwy i nieludzki brudas z całego „towarzystwa”, miał na imię Rafael; otóż jego uroczą żonę, kwiat wyrastający ze skały, podpisywała się „Rafaella”. Ale to są jedynie próbki niezliczonych prawideł, które będziemy może mieli jeszcze sposobność zilustrować.

Poprosiłem księcia, aby mnie przedstawił księciu d’Agrigente.

— Jak to, pan nie zna naszego kochanego Grigri? — wykrzyknął pan de Guermantes i przedstawił mnie panu d’Agrigente.

Nazwisko księcia, tak często cytowane przez Franciszkę, wydawało mi się zawsze ni-
by przezroczyste szkło, pod którym widziałem, smagane skośnymi promieniami złotego słońca, nad brzegiem fioletowego morza, różowe sześciany starożytnego miasta, którego — nie wątpię o tym — książę, przelotnym cudem bawiący w Paryżu, jest we własnej osobie, równie promiennie sycylijski i chlubnie patynowany, faktycznym władcą. Niestety, pospolity chrabąszcz, któremu mnie przedstawiono i który wykręcił pirueta, aby się ze mną przywitać z ciężką dezynwolturą¹³⁰ mającą wyobrażać elegancję, był równie obcy swemu nazwisku, jak byłby obcy dziełu sztuki, które by posiadał, nie biorąc z niego żadnego odblasku, nie spojrzawszy może na nie nigdy. Książę d’Agrigente był tak całkowicie pozbawiony czegoś książęcego i przywodzącego na myśl Agrigente¹³¹, że można było doprawdy przypuszczać, iż jego nazwisko, całkowicie odeń wyodrębnione, niezwiązane niczym z jego osobą, posiadało moc wessania w siebie nieuchwytniej poezji zdolnej się kryć w tym człowieku — jak w każdym innym — i zamknięcia jej po tej operacji w zaczarowanych sylabach. Jeżeli taka operacja miała miejsce, była w każdym razie dobrze wykonana, bo nie zostało już ani atomu czaru w tym krewniaku Guermantów. Tak iż on był zarazem jedynym człowiekiem na świecie, który był księciem d’Agrigente, a zarazem może tym, co nim był najmniej. Był zresztą bardzo rad, że nim jest, ale tak jak bankier jest rad, że ma liczne akcje jakiejś kopalni, nie troszcząc się poza tym, czy ta kopalnia nosi piękne imię „Ivanhoe” lub „Primerose”, lub też po prostu nazywa się „Kopalnia Pierwsza”.

Dobiegały wreszcie końca prezentacje tak długie do opowiedzenia, ale które, rozpoczęte tuż po moim wejściu do salonu, trwały tylko kilka chwil. Pani de Guermantes błagalnym niemal tonem mówiła do mnie:

— Jestem pewna, że Błażej męczy pana, wodząc tak pana od jednego do drugiego; chcemy, żeby pan znał naszych przyjaciół, ale chcemy przede wszystkim nie zmęczyć pana, żeby pan przychodził często.

Wtem książę dość niezręcznym i nieswobodnym gestem spełnił to, co byłby chciał zrobić od godziny wypełnionej przeze mnie oglądaniem Elstirów: dał znak, że można podawać.

Trzeba dodać, że brakowało jeszcze jednego z zaproszonych, pana de Grouchy, którego żona, z domu Guermantes, przyszła sama, gdyż mąż miał przybyć wprost z polowania. Pan de Grouchy, potomek owego Grouchy¹³² z Pierwszego Cesarstwa, o którym fałszywie twierdzono, że jego nieobecność na początku bitwy pod Waterloo stała się główną przyczyną klęski Napoleona, był z doskonałej rodziny, niedostatecznej wszelako dla nie-

¹²⁹nioby (daw.) — pukle włosów na skroniach kobiecych wypukło uczesane na podkładkach; od imienia Niobe, postaci z mit. gr. [przypis edytorski]

¹³⁰dezynwoltura — swobodne, nieco lekceważące podejście do jakiejś kwestii. [przypis edytorski]

¹³¹Agrigente (fr.) — Agrigento, miasto na południowym wybrzeżu Sycylii. [przypis edytorski]

¹³²Grouchy, Emmanuel de (1766–1847) — francuski generał, marszałek Francji (1815) i par Francji; ostatni z marszałków Napoleona Bonaparte; mimo iż słyszał odgłosy bitwy pod Waterloo, wykonał wydane mu uprzednio rozkazy i zaangażował się w walkę z korpusem nieprzyjaciela postawionym celowo przez głównego dowódcę wojsk pruskich z dala od głównego pola bitwy. [przypis edytorski]

których fanatyków szlachectwa. Toteż księżę Gilbert de Guermantes, który w wiele lat później miał być mniej wybredny dla samego siebie, miał zwyczaj mówić siostrzenicom:

— Co za nieszczęście, że ta biedna Guermantes (wicehrabina de Guermantes, matka pani de Grouchy) nie mogła znaleźć mężów dla swoich córek.

— Ależ, wuju, starsza wyszła za pana de Grouchy.

— Ja tego nie nazywam mężem! Ostatecznie, twierdzą, że wuj Franciszek stara się o młodszą; chwała Bogu, nie wszystkie zostaną starymi pannami.

Skoro tylko padł rozkaz, aby podawać do stołu, natychmiast, zakreślając szerokie luki, drzwi do jadalni otwarły się na oścież; marszałek dworu, robiący wrażenie mistrza ceremonii, skłonił się przed księżną Parmy i oznajmił „*Madame est servie*”¹³³, tonem podobnym do słynnego „*Madame se meurt*”¹³⁴ Bossueta¹³⁵, ale nie zasmucając tym bynajmniej zebranych; z wesołą miną, niby w lecie na spacer, pary posunęły kolejno ku jadalni, rozdzielając się, skoro dotarły do swoich miejsc, gdzie lokaje zasuwali za nimi krzesła. Ostatnia, pani de Guermantes podeszła do mnie, abym ją poprowadził; nie odczułem ani cienia lęku, którego mógłbym się obawiać, bo księżna, której nabyta na łowach zręczność fizyczna uczyniła wdzięk czymś łatwym, widząc z pewnością, że się znalazł po niewłaściwej stronie, okręciła się tak zręcznie dookoła mnie, że uczułem jej ramię na swoim, najnaturalniej w świecie oprawne w rytm precyzyjnych i szlachetnych ruchów. Poddawałem się im swobodnie, ile że Guermantowie przywiązywali do tego nie więcej wagi, niż jej przywiązuje do wiedzy prawdziwy uczonec, wobec którego czujemy się mniej onieśmieni niż wobec niedouka. Otwarły się inne drzwi, przez które weszła dymiąca zupa, jak gdyby obiad odbywał się w doskonale urządzonym teatrze marionetek i jak gdyby późne zjawienie się młodego gościa poruszyło, na znak pana domu, wszystkie sprzężyny.

Gest księcia, któremu odpowiedziało puszczenie w ruch tego wielkiego, zmyślnego, posłusznego i wspaniałego mechaniczno-ludzkiego zegara, był raczej nieśmiały, niż majestatyczny i władczy. Niezdecydowanie gestu nie osłabiło mi wrażenia widowiska będącego jego następstwem. Bo czułem, iż w wahaniu się i zakłopotaniu księcia kryła się obawa okazania, że czekano z obiadem tylko na mnie i że czekano długo; tak samo jak pani de Guermantes bała się, aby mnie po oglądaniu tylu obrazów nie zmęczono tyloma prezentacjami i nie przeszkodzono mi wytchnąć. Tak że właśnie brak wspaniałości w geście oddychał prawdziwą wspaniałością. Tak samo jak ta obojętność księcia na własny zbytek, w przeciwieństwie do jego względów dla nieznaczącego gościa, którego chciał uczcić.

Nie przeszkadzało to, iż pan de Guermantes był pod wieloma względami bardzo pospolity, a nawet miał śmieszność człowieka zanadto bogatego, pychę parweniusza, którym nie był. Ale tak samo jak mierne talenty jakiegoś urzędnika lub księdza mnożą się nieskończenie (jak fala mnoży się przez całe morze tłoczące się za nią) przez siły, na których się wspierają — rząd francuski i Kościół katolicki — tak samo pana de Guermantes niosła owa inna siła, najautentyczniejsza grzeczność arystokratyczna. Ta grzeczność wyklucza wiele osób. Pani de Guermantes nie byłaby przyjęła pani de Cambremer ani pana de Forcheville. Ale z chwilą gdy ktoś — w danym wypadku ja — uzyskał prawo wstępu w sferę Guermantów, grzeczność ta odkrywała skarby gościnnej prostoty, wspanialsze jeszcze — o ile to możliwe — niż te stare salony i te cudowne meble, które tam przetrwały.

Kiedy pan de Guermantes chciał komuś zrobić przyjemność, wówczas posiadał prawdziwy kunszt, umiejący wyzyskać miejsce i okoliczności, aby uczynić owego gościa na ten dzień główną osobą. Bez wątpienia w Guermantes „wyróżnienia” jego i „łaski” przybrałyby inną formę. Kazałby zaprząć, aby mnie zabrać we dwójkę na spacer przed obiadem. Człowiek czuł się wzruszony jego przyjęciem, tak jak czytając stare pamiętniki, czuje się wzruszony przyjęciem Ludwika XIV, kiedy król, uśmiechnięty i z lekkim ukłonem, odpowiada z dobrocią jakiemuś petentowi. Bądź co bądź, trzeba w obu wypadkach zrozumieć, że owa dworność nie wychodziła poza ścisłe znaczenie tego słowa.

¹³³*Madame est servie* (fr.) — Panią podano. [przypis edytorski]

¹³⁴*Madame se meurt* (daw. fr.) — Pani umarła; wykrzyknienie z najbardziej znanej mowy żałobnej słynnego francuskiego mówcy Bossueta, wygłoszonej po śmierci Henrietty Anny Stuart (1644–1670), żony Filipa I Burbona, księcia Orleanu (brata króla Ludwika XIV). [przypis edytorski]

¹³⁵*Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

Ludwik XIV (któremu fanatycy szlacheństwa z owej epoki zarzucają przecie jego nie-dbałość o etykietę, tak iż — powiada Saint-Simon — był to król bardzo niskiej rangi w porównaniu z Filipem Walezym¹³⁶, z Karolem V¹³⁷ itd.) każe układać szczegółowe instrukcje, iżby książęta krwi i ambasadorowie wiedzieli, którym panującym mają dawać krok przed sobą. W pewnych wypadkach, wobec niemożności uzgodnienia, ceremoniał woli uznać, że syn Ludwika XIV, *Monseigneur*, przyjmie jakiegoś zagranicznego królika tylko poza domem, w szczerym polu, aby nie było powiedziane, że wchodząc do pałacu, jeden miał krok przed drugim; a elektor Palatynatu, przyjmując księcia de Chevreuse na obiedzie, udaje — aby mu nie dać kroku przed sobą — że jest chory, i je z nim, ale leżąc, co przecina trudności. Kiedy *Monsieur le Duc*¹³⁸ unika sposobności obsłużenia *Monsieur*¹³⁹, ten, za radą króla — swego brata, który go zresztą serdecznie kocha — znajduje jakiś pretekst, aby kazać kuzynowi zjawić się u niego podczas wstawania i zmusza go tym do podania mu koszuli. Ale z chwilą gdy chodzi o głębokie uczucie, o względy serca, wówczas powinność — tak nieugięta, dopóki chodziło o formę grzeczności — zmienia się całkowicie. W kilka godzin po śmierci brata, jednego z ludzi, których król najbardziej kochał, kiedy *Monsieur*, wedle wyrażenia księcia de Montfort, jest jeszcze ciepły, Ludwik XIV śpiewa aryjki z opery, dziwi się, że księżna burgundzka, która z trudem ukrywa bolesć, ma taką smutną minę, i chcąc, by wesołość wróciła natychmiast, każe księciu burgundzkiemu rozpocząć partię brełana¹⁴⁰, iżby dworacy siedli do gry. Otóż nie tylko w światowych i celowych postępkach pana de Guermentes, ale w jego najbardziej odruchowych słowach, zajęciach, zabawach spotykało się ten sam kontrast. Guermentowie nie odczuwali zmartwień bardziej niż inni śmiertelnicy, można nawet powiedzieć, że ich istotna wrażliwość była mniejsza; ale za to czytało się co dzień ich nazwisko w światowej kronice „*Gaulois*”¹⁴¹, z okazji niesłychanej mnogości pogrzebów, na których mieliby sobie za grzech nie zapisać się na liście. Jak podróżnik odnajduje domy kryte ziemią, tarasy, prawie takie same jak te, które mogli znać Ksenofont¹⁴² lub święty Paweł, tak samo w obejściu pana de Guermentes, człowieka wzruszającego uprzejmością i oburzającego twardością, niewolnika najdrobniejszych obowiązków i zwalniającego się od najświętszych paktów, odnajdowałem — jeszcze nietkniętą po upływie przeszło dwóch wieków — ową deformację właściwą życiu dworu za Ludwika XIV, która przesuwając skrupuły sumienia z dziedziny uczuć i moralności w sferę czysto formalną.

Druga racja uprzejmości, jaką mi okazała księżna Parmy, była bardziej specjalna. Dama ta była przekonana z góry, że wszystko, co widzi u księżnej de Guermentes, w zakresie rzeczy i ludzi, wyższe jest od tego, co ona ma u siebie. Co prawda, wobec wszystkich innych osób zachowywała się podobnie; przy najzwyklejszej potrawie, przy najpospolitszych kwiatach, nie poprzestawała na zachwycie, prosiła o pozwolenie przysłania nazajutrz po przepis lub sprawdzenia na miejscu przez kucharza lub naczelnego ogrodnika; a ten kucharz lub ogrodnik to były figury pobierające grube pensje, mające swój powóz, a zwłaszcza swoje zawodowe ambicje, i wielce upokorzone, kiedy im przychodziło informować się o banalny przysmak lub kopiować odmianę goździków ani w połowie tak piękną, tak pstro nastrojoną, tak imponującą rozmiarami, jak egzemplarze dawno osiągnięte w ogrodach księżnej. Ale jeżeli owe zachwyty księżnej Parmy wszystkim u wszystkich, owo jej zdumienie wobec najdrobniejszych rzeczy, były sztuczne i miały dowieść, że księżna z przewag swego stanowiska i swoich bogactw nie czerpie pychy zabronionej jej przez dawnych preceptorów¹⁴³, ukrywanej przez jej matkę i nieznośnej

¹³⁶ *Filip VI Walezjusz* (1293–1350) — pierwszy król Francji z dynastii Walezjuszów (od 1328). [przypis edytorski]

¹³⁷ *Karol V Mądry* (1338–1380) — król Francji (od 1364) z dynastii Walezjuszów. [przypis edytorski]

¹³⁸ *Monsieur le Duc* (fr.) — pan książę; używany na dworze królewskim tytuł męża nieślubnej córki Ludwika XIV, księcia Ludwika III de Bourbon-Condé (1668–1710), później także jego najstarszego syna, Ludwika IV Henryka de Bourbon-Condé (1692–1740). [przypis edytorski]

¹³⁹ *Monsieur* (fr.) — pan; tu jako tytuł używany na określenie Filipa I Orleańskiego (1640–1701), brata francuskiego króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *brełan* — dawna francuska hazardowa gra karciana, popularna w XVII–XIX w. [przypis edytorski]

¹⁴¹ „*Les Gaulois*” — francuski dziennik literacki i polityczny, zał. w 1868, publikowany do 1929, kiedy został połączony z „*Le Figaro*”. [przypis edytorski]

¹⁴² *Ksenofont z Aten* (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

¹⁴³ *preceptor* (z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

Bogu, w zamian za to salon pani de Guermantes uważała księżna Parmy najszczerzej za miejsce wybrane, wróżące jej bezustanne niespodzianki i rozkosze. Na ogół (co jednak nie wystarczyłoby do wytłumaczenia tego stanu ducha) Guermantowie byli dość różni od reszty arystokratycznego towarzystwa, byli cenniejsi, rzadsi. Z pierwszego wejrzenia sprawili na mnie wrażenie przeciwne, wydali mi się pospolici, podobni do wszystkich mężczyzn i do wszystkich kobiet, ale to dlatego, że uprzednio widziałem w nich — jak w Balbec, jak we Florencji, w Parmie — nazwisko. Oczywiście w tym saloni, wszystkie damy, któremu sobie wyobrażał jako statuetki z saskiej porcelany, podobne były bądź co bądź raczej do większości kobiet. Ale tak samo jak Balbec i Florencja, tak i Guermantowie, rozczarowawszy wyobraźnię, bo byli podobniejsi do równych sobie niż do swego nazwiska, mogli później, mimo iż w mniejszym stopniu, uderzyć pewnymi odrębnościami. Ich strona fizyczna, różowy koloryt cery dochodzący niekiedy fioletu, specjalny, jak gdyby świecący kolor blond ich delikatnych włosów, nawet u mężczyzn układających się w złociste i miękkie pukle, mające coś z mchu i coś z sierści kota (blaskowi temu odpowiadała błyskotliwość inteligencji, o ile bowiem mówiło się „cera i włosy Guermantów”, mówiło się także „dowcip Guermantów”, jak niegdyś Mortemartów¹⁴⁴ — pewna szczególnie delikatna właściwość towarzyska sprzed Ludwika XIV — i tym bardziej uznana przez wszystkich, iż głosili ją oni sami), wszystko to sprawiało, że w samej choćby najszacowniejszej materii arystokratycznego świata, gdzie się odnajdywało tu i ówdzie Guermantów, można ich było rozróżnić, można ich było poznać i śledzić, jak owe jasne żyłki biegnące w jaspisie i onyksie¹⁴⁵, lub raczej jak miękkie falowanie jasnych kędziarów, których mierzwiłone kosmyki biegną na kształt gibkich promieni w łonie mszystego agatu.

Guermantowie — przynajmniej ci, co byli godni tego nazwiska — posiadali nie tylko wyborną jakość ciała, włosów, przezroczystego spojrzenia, ale mieli sposób trzymania się, chodzenia, kłaniania się, spoglądania przed podaniem ręki, sposób ściskania dłoni — równie odmienni w tym wszystkim od jakiegokolwiek „człowieka z towarzystwa” jak ten od wieśniaka w siermiedze. I mimo ich uprzejmości myślało się: czy oni w istocie — mimo że to kryją — nie mają prawa, widząc nas, jak chodzimy, jak się kłaniamy, wychodzimy, jak robimy wszystkie te rzeczy, które, wykonywane przez nich, stają się pełne wdzięku niby lot jaskółki lub pochylenie się róży — czy oni nie mają prawa myśleć: „To są ludzie innej rasy niż my, a my jesteśmy królowie ziemi”. Zrozumiałem później, że Guermantowie uważali mnie w istocie za człowieka z innej rasy, ale z rasy, która budziła ich zazdrość, bo posiadałem wartości, których nie byłem świadom, a które oni mienili czymś jedynie ważnym. Jeszcze później uczulem, że to ich wyznanie wiary jest tylko na wpół szczere i że wzgarda lub zdziwienie istnieją w nich równocześnie z podziwem i zazdrością. Wrodzona Guermantom fizyczna gibkość była podwójna: dzięki jednej — wciąż i w każdej chwili, kiedy na przykład któryś z nich składał ukłon przed damą — Guermantes komponował własną sylwetę, stworzoną z chwiejnej równowagi asymetrycznych i cudownie zharmonizowanych ruchów, z jedną nogą powłóczącą trochę, bądź umyślnie, bądź dlatego że, często łamana na polowaniu, dociągając się do drugiej nogi, dawała torsowi skrzywienie, zrównoważone podniesieniem ramienia, podczas gdy monokl tkwił w oku, podnosząc brwi, w chwili gdy czub zniżał się dla ukłonu; druga gibkość — niby kształt fali, wiatru lub prądu, jaki zachowuje na zawsze muszla lub statek — wystylizowała się poniekąd w rodzaj stężalego ruchu, zakrzywiając orli nos, który, pod wypukłymi niebieskimi oczami, nad zbyt cienkimi wargami, skąd wychodził u kobiet chrapliwy głos, przypominał (głoszone w XVI wieku przez gorliwość pieczeniarczy i hellenizujących heraldyków) bajeczne początki tej rasy, dawnej niewątpliwie, ale nie tak, jak oni utrzymywali, dając jej za początek mitologiczne zapłodnienie nimfy przez boskiego Ptaka¹⁴⁶.

Guermantowie byli nie mniej specjali pod względem intelektualnym niż pod fizycznym. Z wyjątkiem księcia Gilberta (zacoфанego małżonka Marii Bawarskiej, który sadzał

¹⁴⁴*Mortemart* — francuska rodzina znana z *esprit des Mortemart*, szczególnego rodzaju błyskotliwego humoru, uważanego za dziedziczny. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*jaspis i onyks* — skały z wstęgopatymi pasmami, cenione jako materiał jubilerski. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*mitologiczne zapłodnienie nimfy przez boskiego Ptaka* — odniesienie do greckiego mitu o Ledzie, królowej Sparty, uwiedzonej przez Zeusa, który przybrał postać ląbedzia; z ich związku zrodziła się piękna Helena, małżonka Menelaosa, oraz dwaj synowie, Kastor i Polluks. [przypis edytorski]

zonę po lewej ręce, kiedy jechali na spacer, bo mimo iż z krwi królewskiej, była gorzej urodzona od niego; ale on stanowił wyjątek i — poza oczy — stawał się przedmiotem drwin rodziny i wciąż świeżych anegdot) Guermantowie, żyjąc w najczystszej „śmietance” arystokracji, udawali, że nie przypisują szlachectwu najmniejszej wagi. Poglądy księżnej Oriany (która, prawdę mówiąc, była tak bardzo Guermantes, że stawała się poniekąd czymś innym i miłszym) tak dalece stawiały ponad wszystko inteligencję i były w sferze polityki tak socjalistyczne, że można było zapytać, gdzie się kryje w jej pałacu geniusz, mający za zadanie strzec form arystokratycznego życia — geniusz, który, zawsze niewidzialny, ale najoczywiściej przycupnięty to w przedpokoju, to w salonie, to w gotowni, przypominał służącym tej kobiety niewierzącej w tytuły, aby ją nazywali „księżną panią”, tak jak jej samej, lubiącej tylko lekturę i niedbającej o ludzkie względy, przypominał, aby z uderzeniem ósmej jechała na obiad do bratowej i aby się odpowiednio wydekoltowała w tym celu.

Ten sam geniusz rodu narzucał pani de Guermantes tryb życia wielkich dam (przynajmniej największych i jak ona wielomilionowych), nudne herbaty, obiady prozzone, rauty w miejsce owych godzin, kiedy mogłaby czytać rzeczy interesujące! To były przykre konieczności, podobnie jak deszcz, i pani de Guermantes poddawała się im, chłoscząc je swoją buntowniczą werwą, ale nie dociekając przyczyn swojej rezygnacji. Ten szczególny traf, że marszałek dworu pani de Guermantes zawsze mówił „księżna pani” do kobiety wierzącej tylko w inteligencję, nie zdawał się jej razić. Nigdy nie przyszło jej na myśl poprosić go, aby mówił po prostu „pani”. Posuwając dobrą wolę do ostatnich granic, można by przypuścić, że ona w swoim roztargnieniu słyszała tylko „pani” i że owo wzmocnienie tego słowa nie dochodziło jej świadomości. Ale o ile mogła być na tym punkcie głucha, nie była niema. Otóż za każdym razem, kiedy miała jakieś zlecenie do męża, mówiła kamerdynerowi: „Proszę przypomnieć księciu panu...”

Geniusz rodu miał zresztą inne zatrudnienia, na przykład kazać mówić o moralności. Z pewnością byli Guermantowie specjalnie inteligentni i Guermantowie specjalnie moralni — i zazwyczaj nie byli to jedni i ci sami. (Był nawet jeden Guermantes, który fałszował weksle i oszukiwał w karty, i ten był najmilszy ze wszystkich, dostępny wszelkiej nowej i sprawiedliwej myśli). Ale owi pierwsi rozprawiali o moralności jeszcze lepiej od owych drugich i w ten sam sposób jak pani de Villeparisis w chwilach, gdy geniusz rodu wyrażał się przez usta starej damy. W identycznych momentach widziało się nagle Guermantów przybierających ton niemal równie stareńki, równie pocziwy — a z przyczyny ich większego uroku bardziej wzruszający od tonu margrabiny — kiedy mówili o pokojówce: „Czuje się, że ona ma dobry grunt; ta dziewczyna nie ma nic pospolitego, musi być córką zacnych rodziców, z pewnością szła w życiu zawsze prostą drogą”. W tych momentach geniusz rodu mieścił się w intonacji. Ale czasem krył się we wzięciu, w wyrazie twarzy, tak samo u księżnej Oriany, jak u jej dziadka marszałka, w jakimś nieuchwytnym skurczu (podobnym do skurczu Węża, kartagińskiego geniusza rodziny Barka¹⁴⁷), wskutek czego niejedną raz dostawałem bicia serca w czasie swoich rannych spacerów, kiedy zanim poznałem panią de Guermantes, uczułem, że ona patrzy na mnie z głębi małej mleczarni. Ten geniusz wmieszał się w okoliczność zgoła nieobojętną nie tylko dla Guermantów, ale dla Courvoisierów, drugiej części rodu, równej Guermantom krwią, ale stanowiącej ich przeciwieństwo. (Guermantowie tłumaczyli nawet babką Courvoisier zaciekłość księcia Gilberta na punkcie szlachectwa i urodzenia jako jedynej ważnej rzeczy w świecie). Nie tylko Courvoisierowie nie przyznawali inteligencji tyle miejsca co Guermantowie, ale nawet mieli o niej wręcz inne pojęcie. Dla Guermanta (choćby był głupi) być inteligentnym to znaczyło mieć ostry język, umieć mówić złośliwości, znajdować pod ręką argumenty; to znaczyło także móc rozprawić równie dobrze o malarstwie, o muzyce, o architekturze, mówić po angielsku. Courvoisierowie tworzyli sobie o inteligencji mniej pochlebne pojęcie; i o ile ktoś nie należał do ich świata, „być inteligentnym” było pojęciem niedalekim od „być zdolnym zamordować ojca i matkę”.

¹⁴⁷ Węża, kartagińskiego geniusza rodziny Barca — Hannibalowi z rodu Barkidów, wielkiemu kartagińskiemu wodzowi z czasów wojen z Rzymianami, ukazał się we śnie boski młodzieniec, który miał go prowadzić do Italii, a za nim olbrzymi wąż, niszczący wszystko na swojej drodze; wąż ten miał oznaczać samego Hannibala (Liwiusz, *Dzieje Rzymu*, XXI, 22); w powieści Flauberta *Salambô* (1862) wąż jest godłem rodu Barka. [przypis edytorski]

Dla nich inteligencja była rodzajem łomu, dzięki któremu ludzie niewiodący się od Adama i Ewy włamywali się do najwybrańszych salonów; wiedzano u Courvoisierów, że się zawsze wpada w końcu, przyjmując tego rodzaju „figury”. Najobojętniejsze twierdzenia ludzi inteligentnych, a nienależących do „towarzystwa” przyjmowali Courvoisierowie z systematyczną nieufnością. Kiedy ktoś powiedział raz: „Swann jest przecież młodszy od Palamedy”. — „Przynajmniej on tak powiada, a skoro on tak powiada, bądźcie pewni, że ma w tym jakiś interes” — odpowiedziała pani de Gallardon. Co więcej, kiedy mówiono o dwóch bardzo eleganckich cudzoziemkach, które Guermantowie przyjmowali, i że posadzono jedną wyżej, bo była starsza: „Ale czy ona jest bodaj starsza?” — spytała pani de Gallardon; nie jak gdyby ten rodzaj osób nie miał w ogóle wieku, ale jak gdyby te panie, pozbawione prawdopodobnie stanu cywilnego, religii, tradycji, były czymś w rodzaju małych kotek z tego samego miotu, między którymi sam chyba weterynarz mógłby się wyznaczyć. Courvoisierowie utrzymywali zresztą (lepiej od Guermantów) w pewnym sensie czystość szlachectwa, zarówno dzięki ciasności umysłu, jak oschłości serca. Podobnie Guermantowie (dla których, poniżej rodzin królewskich i paru innych, jak Ligne, La Trémoille itd., wszystko inne mieszało się na kształt drobnego narybku) byli impertynency z ludźmi starego rodu mieszkającymi w sąsiedztwie Guermantes, właśnie dlatego, że nie zwracali uwagi na te drugorzędne wartości, tak bardzo zaprzatające Courvoisierów; brak tych wartości miał dla nich niewielkie znaczenie. Niektóre kobiety, nieposiadające zbyt wysokiego kursu w swoich stronach, ale świetnie wydane za mąż, bogate, ładne, ulubienice największego świata, były dla Paryża, który jest mało świadomy, „kto zacz i kto cię rodzi”, wybornym i eleganckim artykułem importu. Mogło się zdarzyć, choć rzadko, że takie kobiety dostawały się, przez księżnę Parmy lub siłą własnych uroków, do salonu niektórych Guermantów. Ale nigdy nie udało się im ułagodzić oburzenia Courvoisierów. Spotkać na „fajfie”¹⁴⁸ u kuzynki osoby, z których krewnymi ich krewni nie lubili stykać się kędyś w le Perche¹⁴⁹, stawało się dla nich motywem rosnącej wściekłości, tematem niewyczerpanych rozpraw. Z chwilą na przykład, gdy urocza hrabina G... wchodziła do Guermantów, twarz pani de Villebon przybierała ściśle taki wyraz, jaki musiałaby przybrać, gdyby miała zadeklamować ów wiersz:

A gdy zostanie jeden, ja tym jednym będę,¹⁵⁰

wiersz, którego zresztą nie znała. Ta Courvoisier spożywała prawie co poniedziałek ciastko z kremem o kilka kroków od hrabiny G..., ale bez skutku. I pani de Villebon wyznawała w cichości, że nie może pojąć, jak jej kuzynka Oriana może przyjmować kobietę, która w Châteaudun nie należy nawet do drugiego towarzystwa. „Doprawdy, ta Oriana, niby tak wybredna na punkcie stosunków, ona chyba kpi sobie ze świata” — konkludowała pani de Villebon z innym wyrazem twarzy, tym razem uśmiechniętym i drwiącym w swej rozpacz, i w który, bawiąc się w zagadki, można by wpisać raczej inny wiersz, również, oczywiście, nieznaną hrabinie:

Nieszczęście własne moje przewyższa nadzieje.¹⁵¹

Upředźmy zresztą wypadki, powiadając, że wytrwałość, z jaką pani de Villebon tępiła panią G..., nie była zupełnie bezużyteczna. W oczach pani G... dała ona pani de Villebon taki blask — zresztą czysto urojony — że kiedy córka pani G..., najładniejsza i najbogatsza z dziewcząt pojawiających się na balach, była panną na wydaniu, dziwiono się, widząc, jak odrzuca wszystkich książąt i diuków. Bo jej matka, pamiętając cotygodniowe awanse, jakie znosiła przy ulicy de Grenelle przez wspomnienie Châteaudun, pragnęła szczerze dla córki tylko jednego męża: młodego Villebon.

¹⁴⁸*fajff* (daw., z ang. *five o'clock*: godzina piąta) — popołudniowe spotkanie towarzyskie, połączone z piciem herbaty. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*le Perche* (fr.) — dawna prowincja w pn. Francji, znana ze swoich lasów. [przypis edytorski]

¹⁵⁰*A gdy zostanie jeden, ja tym jednym będę* — ostatni wers wiersza Wiktora Hugo *Ultima verba*, napisanego, kiedy autor po zamachu stanu Napoleona III i utworzeniu Drugiego Cesarstwa udał się na wygnanie. [przypis edytorski]

¹⁵¹*Nieszczęście własne moje przewyższa nadzieje* — Racine, *Andromacha*, akt V, scena 5. [przypis edytorski]

Jedyny punkt, w którym typ Guermantes i typ Courvoisier spotykały się, polegał na sztuce — nieskończenie urozmaiconej zresztą — markowania dystansów. Wzięcie Guermantów nie było całkowicie wspólne wszystkim. Ale na przykład wszyscy Guermantowie — ci, co nimi byli naprawdę — kiedy cię im przedstawiano, dopełniali pewnego ceremoniału; fakt, że ci podają rękę, zdawał się równie ważny, co gdyby chodziło o pasowanie cię na rycerza. W chwili gdy jakiś Guermantes, choćby miał tylko dwadzieścia lat, ale już kroczący w ślady starszych, usłyszał twoje nazwisko, wpijał w ciebie — tak jakby wcale nie miał zamiaru przywitać się z tobą — spojrzenie przeważnie błękitne, zawsze zimne jak stal, jak gdyby się gotował zatopić je w najgłębsze zakątki twego serca. Guermantom wydawało się zresztą, że w istocie to robią: wszyscy uważali się za pierwszorzędnych psychologów. Co więcej, sądzą, że taka inspekcja zwiększa uprzejmość mającego nastąpić ukłonu, którego chcieli wam użyć jedynie z pełną świadomością. Wszystko to działo się na dystans, który, nieznaczny, gdyby chodziło o skrzyżowanie broni, zdawał się olbrzymi dla uścisku ręki, mroził cię tak, jakby szło w istocie o pojedynek. Tak iż kiedy jakiś Guermantes, po szybkiej rewizji dokonanej w ostatnich zaułkach twojej duszy i twoich kwalifikacji, uznał cię odtąd godnym swojej znajomości, ręka jego, zwrócona do ciebie na końcu wyciągniętego w całość długości ramienia, robiła wrażenie, że ci podaje floret dla spotkania wręcz; i w rezultacie ręka ta znajdowała się w tej chwili tak daleko od Guermanta, że kiedy równocześnie schylał głowę, trudno było zgadnąć, czy on się kłania tobie, czy własnej ręce. Niektórzy Guermantowie, wyzuci z poczucia miary lub niezdolni nie powtarzać się ustawicznie, przesadzali, wznawiając tę ceremonię za każdym razem, kiedy cię spotkali. Wobec tego, że już nie potrzebowali podejmować uprzedniej ankiety psychologicznej, do której wydelegował ich „geniusz rodu”, a której rezultaty musieli pamiętać, natarczywość badawczego spojrzenia przed uściskiem dłoni można było tłumaczyć jedynie nabytym automatyzmem lub wiarą ich we własny dar jakiejś fascynacji.

Courvoisierowie, posiadający odmienne warunki fizyczne, daremnie silili się przyswoić sobie ten badawczy ukłon; trzeba im było poprzestać na wyniosłej sztywności lub na lekceważącym pospiechu. W zamian za to, zdawałoby się, iż niektóre rzadkie egzemplarze żeńskie Guermantów przejęły od Courvoisierów ukłon damski. W chwili gdy cię przedstawiano jednej z tych Guermantek, darzyła cię głębokim ukłonem, w którym zbliżała do ciebie głowę i biust mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gdy dół ciała (bardzo u nich długi), aż do pasa tworzącego oś, pozostawał nieruchomy. Ale zaledwie pochylila tak ku tobie górę swojej osoby, natychmiast odrzucała ją wstecz od pionu nagłym cofnięciem jej na równą mniej więcej odległość. Ten wtórny rzut neutralizował to, co ci na pozór przyznano; nie tylko nie zdobyłeś terenu, ale nawet nie zyskałeś go w sensie pojedynekowym: wracało się do pierwotnych pozycji. To samo zamilowanie uprzejmości przez odzyskanie dystansu (wynalazek Courvoisierów, mający dowiedzieć, że awanse uczynione w pierwszym odruchu były jedynie chwilową fintą) objawiało się równie jasno — tak u Courvoisierów, jak u Guermantów — w listach, jakie się od nich otrzymywało, przynajmniej w pierwszych czasach znajomości. „Korpus” listu mógł zawierać zdania, które napisałoby się chyba tylko do przyjaciela; ale na próżno łudziłbyś się, że jesteś przyjacielem owej damy; list zaczynał się od „Łaskawy panie”, a kończył się na „Niech pan raczy przyjąć wyrazy szacunku”. Z tą chwilą, między tym zimnym początkiem a lodowatym końcem, które zmieniały sens całej reszty, mogły się cisnąć (jeśli to była odpowiedź na twoje kondolencje) najbardziej wzruszające obrazy smutku, w jakim pograżyła Guermantkę strata siostry, obrazy istniejącej między nimi zażyłości, uroków okolicy, gdzie spędzała lato, pociechy, jaką znajdowała we wdzięku swoich wnucząt — wszystko to był już tylko list taki, jaki się spotyka w listownikach, a poufny jego charakter stwarzał między tobą a twoją korespondentką nie większą zażyłość, niż gdyby to był Pliniusz Młodszy¹⁵² lub pani de Simiane¹⁵³.

Prawda, że niektóre Guermantki pisały do ciebie od pierwszego razu „Mój drogi panie”, „Drogi przyjacielu”; nie były to konieczne najnaturalniejsze spośród nich, ale raczej te, które, żyjąc jedynie w świecie koronowanych głów, a z drugiej strony będąc „lekkie”,

¹⁵²Pliniusz Młodszy (ok. 61–ok. 113) — rzymski mówca i pisarz, znany ze swoich licznych listów (*Epistulae*). [przypis edytorski]

¹⁵³Simiane, Pauline de (1674–1737) — wnuczka pani de Sévigné, odegrała ważną rolę w redagowaniu korespondencji swojej babki. [przypis edytorski]

czerpały w swojej dumie pewność, że wszystko, co pochodzi od nich, sprawia przyjemność, tak jak znów w swoim zepsuciu czerpały nawyk nieskądienia żadnej przyjemności, jakiej mogą użyć. Zresztą, ponieważ wspólna praszczurka¹⁵⁴ za Ludwika XIII¹⁵⁵ wystarczała, aby młody Guermantes, mówiąc o margrabinie de Guermantes, nazywał ją „ciotka Adamowa”, Guermantowie byli tak liczni, że nawet w tych prostych obrzędach — w ukłonie przy prezentacji na przykład — istniało wiele odmian. Każda nieco wybrańsza grupka miała swój ukłon, który przekazywało się z rodziców na dzieci, niby receptę na maść lub na konfitury. Tak widzieliśmy, że uścisk dłoni Roberta de Saint-Loup rozpoczynał się jakby mimo woli, w chwili gdy usłyszał twoje nazwisko, bez udziału spojrzenia, bez towarzyszącego mu ukłonu. Nieszczęśliwy plebejusz, którego z jakiejś specjalnej racji — co zdarzało się zresztą dość rzadko — przedstawiono komuś z grupki Saint-Loup, łamał sobie głowę wobec tego, tak gwałtownego minimum przywitania, chętnie przybierającego pozór automatyzmu, dociekając, co jakiś Guermantes lub Guermantka mogą mieć przeciwko niemu. I bardzo był zdziwiony, dowiadując się, że on lub ona pokwapili się napisać specjalnie do tego, kto im cię przedstawił, aby wyrazić, jak bardzo się im podobał i że mają nadzieję ujrzeć cię znów niebawem. Równie specjalny charakter, jak mechaniczny gest Roberta de Saint-Loup, miały skomplikowane i szybkie podrygi margrabiego de Fierbois (z których dworował sobie pan de Charlus) lub poważne i odmierzone kroki księcia Gilberta. Ale niepodobna tu opisać choreografii Guermantów w całym jej bogactwie, dla samej mnogości tego *corps de ballet*¹⁵⁶.

Aby wrócić do antypatii Courvoisierów do księżnej Oriany, powiedzmy, iż Courvoisierowie mogli znaleźć pociechę w ubolewaniu nad nią, dopóki była panną, bo była wówczas niebogata. Na nieszczęście, zawsze jakies jak gdyby sadzowate i specyficzne opary skrywały i przesłaniały oczom bogactwo Courvoisierów, które choćby było najznaczniesze, pozostawało w cieniu. Choćby bardzo bogata Courvoisierka wyszła najbogaciej za mąż, zawsze zdarzało się, że młode małżeństwo nie miało w Paryżu własnego mieszkania, „stawało” u teściów, a przez resztę roku żyło na prowincji w towarzystwie bez skazy, ale i bez blasku. Podczas gdy Saint-Loup, mający już prawie same długi, olśniewał Doncières swymi zaprzęgami, w tym samym mieście bardzo bogaty Courvoisier jeździł tylko tramwajem. Na odwrót (zresztą wiele lat przedtem), panna de Guermantes (Oriana), mająca bardzo niewiele, więcej zadawała szyku swoimi toaletami niż wszystkie Courvoisierki razem. Nawet skandale jej różnych powiedzeń były rodzajem reklamy dla jej sposobu ubierania się i czesania. Ośmieliła się powiedzieć do wielkiego księcia rosyjskiego: „I co, wasza wysokość, podobno wy chcecie zakażać zamordować Tolstoja?”, a powiedziała to na obiedzie, na który nie zaproszono Courvoisierów, zresztą mało biegłych w Tolstoju. Nie o wiele byli bieglijsi w autorach greckich, o ile sądzić po starej diuszecie de Gallardon (teściowej księżnej de Gallardon, wówczas jeszcze panny), która, w ciągu pięciu lat nie zaszczycona ani jedną wizytą Oriany, odpowiedziała komuś, kto jej pytał o przyczynę tego bojkotu: „Zdaje się, że ona recytuje Arystotelesa (chciała powiedzieć Arystofanesa¹⁵⁷) w salonie. Ja tego u siebie nie toleruję!”

Można sobie wyobrazić, jak bardzo ten „wyskok” panny de Guermantes na temat Tolstoja, o ile oburzał Courvoisierów, zachwycał Guermantów, a poprzez nich wszystko, co było z nimi bliżej lub dalej związane. Starsza hrabina d’Argencourt, z domu Seineport (która przyjmowała po trosze wszystkich, bo była sawantką, mimo że jej syn był straszliwy snob), powtarzała to powiedzenie w obecności literatów, mówiąc: „Oriana de Guermantes, hoho! sprytna, złośliwa jak małpka, utalentowana do wszystkiego, maluje akwarele godne wielkiego malarza, a pisze wiersze mogące rywalizować z wielkimi poetami; a wiecie państwo, jako rodzina to jest, co tylko może być najlepszego: jej babka była Montpensier, a ona jest osiemnąstą Orianą de Guermantes bez jednego mezaliansu;

¹⁵⁴praszczurka (neol.) — żyjąca w dawnych czasach kobieta, od której pochodzi jakaś osoba; żeński odpowiednik pojęcia *praszczur*. [przypis edytorski]

¹⁵⁵Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*corps de ballet* (fr.) — zespół tancerek i tancerzy danego baletu lub teatru, z wyjątkiem solistów, występujący na scenie jako jedna grupa. [przypis edytorski]

¹⁵⁷Arystofanes (ok. 445–ok. 385 p.n.e.) — grecki komediopisarz, najwybitniejszy z twórców komedii starożytnej. [przypis edytorski]

to najczystsza, najstarsza krew Francji”. Toteż ci quasi-literaci, półintelektualiści, jakich przyjmowała pani d’Argencourt, wyobrażali sobie Oriane de Guermantes, której nigdy nie mieliby sposobności poznać osobiście, jako coś cudowniejszego i niezwyklejszego od księżniczki Badrul Budur¹⁵⁸; i nie tylko byliby gotowi umrzeć dla niej, dowiadując się, że osoba tak szlachetnie urodzona wielbi ponad wszystko Tolstoja, ale czuli wręcz, iż czerpią w jej duchu nową siłę, swoją własną miłość do Tolstoja, żądę opierania się caratowi. Te liberalne poglądy mogłyby w nich zwiędnąć, mogłyby zwątpić o ich uroku, nie śmiejąc ich już wyznawać, kiedy nagle sama panna de Guermantes, to znaczy osoba tak bezspornie wartościowa i miarodajna, nosząca włosy płasko nad czołem (na co nigdy nie zdobyłaby się żadna Courvoisier), przybywała im z odsieczą! Różnym (dobrym lub złym) sprawom zdarza się w ten sposób bardzo zyskać na sukursie osób cieszących się powagą w naszych oczach. Na przykład u Courvoisierów formy uprzejmości na ulicy składały się z pewnego ukłonu, bardzo brzydkiego i raczej nieuprzejmego; ale wiadano, że to jest dystygowany sposób powitania, tak że wszyscy silili się naśladować tę martwą gimnastykę z wykluczeniem uśmiechu i wszelkiego przyjaznego gestu. Ale Guermantowie w ogóle, a w szczególności Oriana, mimo iż lepiej od kogokolwiek znając ten ceremonial, nie wahali się, spostrzegłszy cię z powozu, pozdrowić cię przyjaźnie ręką; w salonie zaś, zostawiając Courvoisierom ich sztywne i sztuczne ukłony, improwizowali czarujące reweranse, wyciągali do ciebie rękę jak do kolegi, uśmiechając się swymi błękitnymi oczami, tak że nagle dzięki Guermantom w istotę „szyku”, dotąd nieco pustą i suchą, wchodziło wszystko to, co by człowiek z natury lubił, a co silono się wygnać: życzliwość, wylanie¹⁵⁹, szczerą uprzejmość, swoboda. W ten sam sposób, ale w drodze rehabilitacji, tym razem mniej usprawiedliwionej, osoby mające wrodzony pociąg do złej muzyki i do melodii, bodaj najbanalniejszych, ale słodkich i łatwych, dochodzą dzięki kulturze muzycznej do tego, aby zdławić w sobie ten gust. Ale skoro raz to osiągnęli, naraz, słusznie zachwyceni olśniewającą instrumentacją Ryszarda Straussa¹⁶⁰, widzą, że ten muzyk, z pobłażaniem godnym jakiegoś Auber¹⁶¹, korzysta z najpospolitszych motywów; i to, co sami z dawna lubili, znajduje nagle w dostojnym autorytecie szczęśliwe usprawiedliwienie, tak iż obecnie, słuchając *Salome*, bez skrupułu i z podwójną wdzięcznością, zachwycają się tym, co im było wzbronione lubić w *Diamencie korony*.

Rozmówka panny de Guermantes z wielkim księciem, autentyczna czy nie, obnoszona od domu do domu, dawała sposobność sławienia „szyku”, jaki Oriana roztoczyła na tym obiedzie. Ale o ile zbytek (co właśnie czyniło go niedostępnym dla Courvoisierów) rodzi się nie z bogactwa, lecz z rozrzutności, niewątpliwie rozrzutność może trwać dłużej, jeżeli ją wspiera bogactwo, pozwalające jej wówczas lśnić wszystkimi ogniami. Otóż przyjąwszy zasady głoszone jawnie nie tylko przez Oriane, ale przez panią de Villeparisis, że urodzenie nie znaczy nic, że tytuły są śmieszne, że majątek nie daje szczęścia, że jedynie inteligencja, serce, talent są czymś istotnym, Courvoisierowie mogli przypuszczać, że na zasadzie wychowania margrabiny, Oriana zaślubi kogoś spoza „świata”, artystę, kryminalistę, włóczęgę, wolnomyśliciela, że się osunie bezapelacyjnie w kategorię tych, których Courvoisierowie nazywali „wykolejeńcami”. Mogli się tego spodziewać tym bardziej, ile że pani de Villeparisis, przebywając w tej chwili — ze światowego punktu widzenia — trudny moment (jeszcze nie odzyskała żadnej z nielicznych świetnych osób, które spotykałem u niej), afiszowała głęboki wstręt do towarzystwa, które ją trzymało na pokucie. Nawet kiedy mówiła o swoim bratanku księciu Gilbercie, z którym zachowała stosunki, nie miała dlań dość szyderstw, dlatego że był przejęty swoim urodzeniem. Ale w chwili gdy szło o to, aby znaleźć męża dla Oriany, już nie zasady głoszone przez ciotkę i przez siostrzenicę pokierowały sprawą, ale tajemniczy „geniusz rodu”. Równie niechybnie, co gdyby pani de Villeparisis i Oriana zamiast mówić o wartościach literackich i zaletach ser-

Bogactwo

¹⁵⁸ *Badrul Budur*, właśc. *Badr al-Budur* — postać literacka, księżniczka, która poślubił Aladyn, bohater jednej z opowieści *Księgi tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ *wylanie* (przestarz.) — wylewność, żywiołowa szczerłość, serdeczność. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ *Strauss, Richard* (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego; autor m.in. opery *Salome* (1905), według dramatu Oscara Wilde’a. [przypis edytorski]

¹⁶¹ *Auber, Daniel* (1782–1871) — francuski kompozytor, twórca licznych oper, m.in. *Les diamants de la couronne* (*Diamenty korony*, 1841). [przypis edytorski]

ca rozprawiały wyłącznie o lokatach pieniężnych i o genealogiach, i co gdyby margrabina na przeciąg kilku dni (jak się to miało stać później) leżała w trumnie umarła, w kościele w Combray — gdzie każdy członek rodziny był już tylko Guermantem, wyzutym z osobowości i z imion własnych, o czym świadczyło na wielkich czarnych oponach¹⁶² samotne purpurowe G..., uwieńczone mitrą księżęcą — tym, na którego geniusz rodu skierował wybór intelektualistki, buntownicy, ewangelicznej pani de Villeparisis, był człowiek najbogatszy i najlepiej urodzony, najlepsza partia z całego Faubourg Saint-Germain, starszy syn diuka de Guermantes, książę des Laumes. I przez dwie godziny, w dniu ślubu, pani de Villeparisis miała u siebie wszystkie owe wysoko urodzone osoby, z których sobie drwiła; drwiła z nich sobie nawet z paroma bliskimi osobami „nieurodzonymi”, które zaprosiła i którym książę des Laumes rzucił wówczas karty, zanim „przeciął komunikację” z nimi od następnego roku.

Na domiar nieszczęścia Courvoisierów, maksymy uznające wyłączną supremację inteligencji i talentu odzyskały kurs u księżnej des Laumes natychmiast po ślubie. I pod tym względem, powiedzmy mimochodem, punkt widzenia, którego bronił Saint-Loup, kiedy żył z Rachelą, kiedy był u przyjaciół Racheli, kiedy się omal chciał żenić z Rachelą, zawierał — mimo całej zgrozy, jaką budził w rodzinie — mniej kłamstwa niż poglądy panien de Guermantes w ogólności, sławiących inteligencję, niedopuszczających niemal, aby ktoś wątpił o równości ludzi, wówczas gdy wszystko to zmierzało w danym momencie do tego samego rezultatu, co gdyby głosiły wręcz przeciwne maksymy, mianowicie do możliwie arystokratycznego i możliwie najbogatszego małżeństwa. Saint-Loup natomiast działał zgodnie ze swymi zapatrywaniami, wskutek czego mówiono, że jest na złej drodze. Zapewne, z punktu widzenia moralności dużo można było Racheli zarzucić. Ale nie jest dowiedzione, w razie gdyby jakaś osoba była warta nie więcej od niej, ale była księżną lub posiadała dużo milionów — czy pani de Marsantes nie sprzyjałaby takiemu małżeństwu.

Otóż, aby wrócić do pani des Laumes (wkrótce potem diuszesy de Guermantes wskutek śmierci teścia), największym cierpieniem Courvoisierów był fakt, że teorie młodej księżnej, wyładowując się w ten sposób w słowach, nie wpływały w niczym na jej postępowanie; dzięki czemu filozofia ta (jeżeli można ją tak nazwać) w niczym nie szkodziła arystokratycznej elegancji salonu Guermantes. Niewątpliwie wszystkie osoby, których pani de Guermantes nie przyjmowała u siebie, wyobrażały sobie, że dzieje się to dlatego, iż nie są dość inteligentne; niejedna młoda Amerykanka, która nie posiadała żadnej książki poza starym i nigdy nie otwieranym egzemplarzem poezji Parny’ego¹⁶³, leżącym (dlatego że był z „epoki”) na stoliku w jej buduarze, wyrażała swój kult inteligencji żarłocznymi spojrzeniami, jakie wpijała w Oriane de Guermantes, gdy ta zjawiała się w Operze. Bez wątpienia również pani de Guermantes była szczera, kiedy wyróżniała jakąś osobę dla jej inteligencji. Kiedy mówiła o jakiejś kobiecie: „Zdaje się, że jest »uroczą«,” lub o mężczyźnie, że jest niesłychanie inteligentny, nie sądziła, aby miała inne przyczyny do przyjmowania ich niż ten urok lub inteligencję, ile że geniusz Guermantów nie interweniował w tej minucie; ale ów czujny geniusz, usadowiony głębiej, u tajnych wrót strefy, w której Guermantowie sądzili, nie pozwalał Guermantom uznać mężczyzny za inteligentnego, a kobiety za uroczą, o ile nie mieli obecnych lub przyszłych walorów światowych. Wówczas nazywano mężczyznę uczonym, ale na kształt encyklopedii, lub, przeciwnie, pospolitym, dowcipnym jak komiwojażer; ładna kobieta miała fatalny ton lub była zbyt gadatliwa. Co do ludzi pozbawionych światowej sytuacji — okropność, snoby! Pan de Bréauté, którego zamek sąsiadował z Guermantes, żył z samymi książętami krwi. Ale podrwiwał z nich i marzył jedynie o muzeach. Toteż pani de Guermantes była oburzona, kiedy nazywano pana de Bréauté snobem. „Snob, Babal? Ależ pan oszalał, drogi panie! Wręcz przeciwnie, on nienawidzi ludzi modnych, nie można go zmusić do nowej znajomości. Nawet do mnie, kiedy go zaproszę z kimś nowym, przychodzi tak niechętnie!”

Nie znaczy to, aby nawet w praktyce Guermantowie nie szacowali inteligencji inaczej niż Courvoisierowie. Różnica między Guermantami a Courvoisierami wydawała w prak-

¹⁶²opona (daw.) — zasłona; ozdobna tkanina okrywająca coś. [przypis edytorski]

¹⁶³Parny, *Évariste de* (1753–1814) — francuski poeta epoki oświecenia. [przypis edytorski]

tyce dość piękne owoce. I tak, księżna Oriana, otaczając się zresztą tajemnicą pobudzającą z dala marzenia tylu poetów, wyprawiła ową fetę, o której jużśmy mówili, gdzie król angielski czuł się lepiej niż kiedykolwiek, bo Oriana wpadła na pomysł (czyżby to przyszło do głowy Courvoisierom?) i zdobyła się na odwagę (przed którą byliby się wzdrygnęli wszyscy Courvoisierowie), aby, poza cytowanymi już osobami, zaprosić muzyka Gastona Lemaire¹⁶⁴ oraz autora dramatycznego Grandmougin¹⁶⁵. Ale intelektualizm jej wyrażał się zwłaszcza negatywnie. O ile wymagany współczynnik inteligencji i wdzięku zniżał się, w miarę jak się wznosiła pozycja osoby pragnącej bywać u księżnej Oriany, zbliżał się zaś do zera, kiedy chodziło o koronowane głowy, w zamian za to im bardziej się schodziło poniżej tego monarszego poziomu, tym bardziej współczynnik się podnosił. Na przykład u księżnej Parmy bywało sporo osób, które jej wysokość przyjmowała dlatego, że je znała dziećmi lub że były spowinowacane z jakąś diuszesa, lub stały blisko jakiegoś panującego, choćby te osoby były poza tym brzydkie lub głupie; otóż, dla jakiegoś Courvoisiera, racja, że ktoś jest „faworytem księżnej Parmy”, „przyrodnią siostrą księżnej d’Arpajon”, że „spędza co rok trzy miesiące u królowej hiszpańskiej”, wystarczyłaby, aby zaprosić takich ludzi; ale pani de Guermantes, która od dziesięciu lat wymieniała grzecznie z tymi osobami ukłon u księżnej Parmy, nigdy nie wpuściła ich za swój próg, uważając, że z salonem w sensie towarzyskim jest tak samo jak w sensie materialnym: wystarczy trochę mebli, których się nie lubi, ale które się zostawia jako zapchanie kątów i dowód zamożności, aby uczynić salon czymś okropnym. Taki salon podobny jest do książki, w której autor nie umiał się wstrzymać od zdań świadczących o wiedzy, o świetności umysłu, łatwości stylu. Jak książka, jak dom, tak i wartość salonu — słusznie myślała pani de Guermantes — ma za kamień węgielny ofiarę.

Wiele przyjaciółek księżnej Parmy, z którymi księżna Oriana ograniczała się od lat do tego samego grzecznego przywitania lub do wymiany biletów, nie zapraszając ich nigdy ani nie chodząc na ich przyjęcia, skarżyło się dyskretnie jej wysokości, która w dni, kiedy pan de Guermantes zachodził do niej sam, natrącała księciu o tym. Ale ten szczywany bywalec, zły mąż w stosunku do księżnej o tyle, że miał kochanki, ale lojalny współnik we wszystkim, co się tyczyło dobrego funkcjonowania jej salonu (a także dowcipu Oriany, będącego głównym tego salonu powabem), odpowiadał: „Ale czy moja żona ją zna? Och, w takim razie tak, powinna była. Ale ja powiem waszej wysokości prawdę: Oriana nie lubi towarzystwa kobiet. Otacza ją elita wyższych duchów; ja — jak mnie wasza wysokość widzi — ja nie jestem jej mężem, jestem tylko jej pierwszym kamerdynerem. Kobiety nudzą ją, z wyjątkiem małej liczby wyjątkowo inteligentnych. No, a wasza wysokość, która ma tyle poczucia tych rzeczy, nie powie mi przecie, aby margrabina de Souvré była inteligentna! Tak, rozumiem, księżna przyjmuje ją przez dobroć. A przy tym księżna ją zna. Powiada księżna, że Oriana ją spotykała; to możliwe, ale bardzo mało, upewniam waszą wysokość. A przy tym, ja powiem księżnej, w tym jest też trochę mojej winy. Moja żona jest bardzo zmęczona, a tak lubi być uprzejma, że gdybym jej tylko pozwolił, nie byłoby końca wizytom. Nie dalej jak wczoraj wieczór miała podwyższoną temperaturę; ale cóż, bała się, że zrobi przykrość księżnej de Bourbon, jeśli do niej nie pójdzie. Musiałem wkroczyć; zabroniłem zaprzęgać. Ot, wie księżna, doprawdy, ja mam ochotę nie mówić nawet Orianie, że księżna wspomniała o pani de Souvré. Oriana tak kocha waszą wysokość, że pobiegnie od razu zaprosić panią de Souvré, to będzie jedna wizyta więcej, to nam ściągnie stosunki z jej siostrą, której męża ja znam bardzo dobrze. Ja myślę, że ja nic nie powiem Orianie, jeżeli wasza wysokość mnie upoważni do tego. W ten sposób oszczędzimy Orianie wiele zmęczenia i wzruszeń. A ja ręczę waszej wysokości, że to nie będzie z krzywdą pani de Souvré. Ona bywa wszędzie, w najświetniejszych domach. A my właściwie wcale nie prowadzimy domu, ot mały obiadek od czasu do czasu, pani de Souvré znudziłyby się śmiertelnie”.

Księżną Parmy — naiwnie przekonaną, że książę de Guermantes nie powtórzy jej prośby żonie, i zbolełą, że nie może uzyskać upragnionego zaproszenia dla pani de Souvré — tym milej poglaskało, że jest jednym z filarów tak zamkniętego salonu. Bez wątpienia, to zadowolenie nie było wolne od trosk. I tak za każdym razem kiedy księżna

¹⁶⁴Lemaire, Gaston (1854–1928) — francuski kompozytor. [przypis edytorski]

¹⁶⁵Grandmougin, Charles (1850–1930) — francuski poeta, dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

Parmy zapraszała Orianę, łamała sobie głowę, aby nie zaprosić nikogo, kto by mógł być nie w smak pani de Guermantes i wystraszyć ją z jej domu.

W zwyczajne dni (po obiedzie, który jadła zawsze w towarzystwie kilku osób, bardzo wcześnie, przestrzegając dawnego obyczaju) salon księżnej Parmy był otwarty dla stałych gości i w ogóle dla całej francuskiej i cudzoziemskiej arystokracji. Przyjęcie odbywało się tak, że opuściwszy jadalnię, księżna siadała na kanapie za dużym okrągłym stołem, rozmawiała z dwiema najznaczniejszymi damami z tych, które były na obiedzie, lub przeglądała jakieś ilustrowane pismo; grała w karty (lub udawała, że gra, obyczajem dworu niemieckiego) bądź kładąc pasjansa, bądź też biorąc za prawdziwego lub rzekomego partnera jakąś wybitną osobistość. Około dziewiątej drzwi do wielkiej sali otwierały się bez przerwy na oścież, zamykały się, otwierały kolejno, aby wpuścić gości, którzy zjedli obiad na *lap-cap* (lub o ile byli na proszonym obiedzie, opuszczali kawę, powiadając, że wrócą niebawem, licząc w istocie na to, że „wejdą jednymi drzwiami, a wyjdą drugimi”), aby się nagiąć do godzin księżnej Parmy. Wśród tego księżna, pochłonięta grą lub rozmową, udawała, że nie widzi przybywających; aż w chwili gdy się znaleźli o dwa kroki, wstawiała z wdziękiem, uśmiechając się z dobrocią do kobiet. Te znowuż składały przed stojącą wysokością głęboki ukłon, dochodzący aż do przykłonienia, tak iż ukłon ten zbliżał ich wargi do poziomu pięknej ręki, zwisającej bardzo nisko. Ale w tej chwili księżna Parmy, tak jakby ją za każdym razem zaskoczył ceremoniał, który znała przecież bardzo dobrze, podnosiła przykłąkającą damę jak gdyby przemocą, z niezrównaną słodyczą i wdziękiem, i całowała ją w policzki. Wdźwięk i słodycz, które — powie ktoś — miały za warunek pokorę, z jaką nowo przybyła zgięła kolano. Oczywiście; i zdaje się, że w społeczeństwie zdemokratyzowanym grzeczność znikłaby, nie — jak by ktoś mniemał — z braku wychowania, ale dlatego, że u jednych znikłoby uszanowanie należne prestiżowi, który może być urojony, aby był skuteczny, a zwłaszcza u drugich uprzejmość, którą się roztacza i która się wysubtelnia, kiedy się czuje, że ona ma dla zaszczyconej nią osoby nieskończoną cenę, która w świecie opartym na równości spadłaby natychmiast do zera, jak wszystko, co miało wartość jedynie umowną. Ale ten zanik grzeczności w nowym społeczeństwie nie jest pewny; czasami nazbyt jesteśmy skłonni mniemać, że obecne warunki i stan rzeczy są jedynie możliwe. Bardzo bystre umysły przypuszczały, że republika nie mogłaby mieć dyplomacji ani sojuszków i że chłopci nie zniesliby rozdziału Kościoła od państwa. Ostatecznie, grzeczność w społeczeństwie opartym na równości nie byłaby większym cudem niż sukces kolei żelaznych i wojskowe spożytkowanie samolotów. Gdyby nawet grzeczność znikła, nic nie dowodzi, aby to było nieszczęście. Przy tym, czyż społeczeństwo nie hierarchizowałoby się sekretnie, w miarę jakby się stawało realnie bardziej demokratyczne? To wielce możliwe. Władza polityczna papieża bardzo wzrosła od czasu, jak papieństwo nie ma już państwa ani armii; katedry miały o wiele mniejszy czar dla dewota w XVII wieku, niż go mają dla ateusza w wieku XX; gdyby zaś księżna Parmy była panującą, z pewnością miałbym o niej do mówienia mniej więcej tyle, co o prezydencie Republiki, to znaczy nic.

Skoro księżna Parmy podniosła i uściskała przybyłą, siadała z powrotem i wracała do swojego pasjansa; o ile nowo przybyła była wielką figurą, jej wysokość rozmawiała z nią chwilę, posadziwszy gościa na fotelu.

Kiedy w salonie robiło się za pełno, dama dworu, mająca za zadanie utrzymywanie porządku, robiła trochę luzu, prowadząc stałych gości do sąsiadującego z salonem ogromnego hallu, pełnego portretów i osobliwości związanych z rodem Burbonów. Stali goście księżnej Parmy pełnili wówczas chętnie rolę przewodników i mówili rzeczy interesujące, niecierpliwie słuchane przez młodych ludzi, bardziej łakomych oglądania żywych wysokości (a w potrzebie przedstawienia się im za pośrednictwem dam i panien dworu) niż podziwiania relikwii zmarłych królowych. Zbyt pochłonięci możliwością stosunków i zaproszeń, jakie spodziewali się zławić, nie mieli, nawet po latach, „najmniejszego pojęcia, co się mieściło w tym szacownym muzeum monarchii; przypominali sobie jedynie mglisto, że było ono strojne kaktusami i olbrzymimi palmami, czyniącymi to centrum elegancji podobnym do palmarium w Ogrodzie Zoologicznym.

Zapewne, księżna Oriana zachodziła czasami, dla umartwienia, na te wieczory księżnej Parmy z tzw. „dizestią”¹⁶⁶. Jej wysokość trzymała księżną Orianą cały czas przy sobie, żartując równocześnie z jej mężem. Ale kiedy pani de Guermantes przychodziła na obiad, księżna Parmy strzegła się zapraszać swoich zwykłych gości i kasowała poobiednie przyjęcie z obawy, że jej goście, nie dość przesiani przez sito, nie przypadną do smaku wymagającej Orianie. W te wieczory, jeżeli jakiś nieświadomy wierny zjawił się u bram księżnej Parmy, odzwierny odpowiadał: „Jej królewska wysokość nie przyjmuje dziś wieczór” i gość zabierał się, skąd przyszedł. Wielu przyjaciół księżnej wiedziało zresztą z góry, że tego dnia nie będą proszeni. Była to specjalna seria — zamknięta dla tylu osób, które pragnęłyby się w niej znaleźć! Wykluczeni mogli z zupełną niemal pewnością wyliczyć wybranych i mówili kwaśno między sobą: „Wicie przecie, że Oriana nie rusza się bez swojego sztabu”. Przy pomocy tego sztabu księżna Parmy starała się odgrodzić panią de Guermantes niby murem ochronnym od osób, które mniej by jej mogły przypaść do smaku. Ale w stosunku do wielu wybranych przyjaciół Oriany, do wielu członków tego świetnego „sztabu” z pewną trudnością przychodziło księżnej Parmy stosować ten specjalny ceremoniał, ile że te osoby traktowały ją dosyć bezceremonialnie. Bez wątplenia księżna Parmy rozumiała doskonale, że ktoś może woleć towarzystwo pani de Guermantes niż jej własne. Musiała widzieć, że się tłoczono na „żurach”¹⁶⁷ Oriany i że ona sama spotykała tam często kilka królewskich wysokości poprzestających na rzucaniu biletów jej samej. Próżno notowała sobie w pamięci powiedzonka Oriany, próżno naśladowała jej suknie i podawała u siebie na herbacie ten sam torcik z truskawkami; bywały dni, że siedziała cały wieczór sama z damą dworu i z jakimś radcą zagranicznej ambasady. Toteż kiedy ktoś (jak niegdyś Swann) nie umiał skończyć dnia, nie spędziwszy dwóch godzin u pani de Guermantes, a raz na dwa lata składał wizytę księżnej Parmy, ta nie miała zbytej ochoty, nawet dla przyjemności Oriany, robić temu jakiemuś Swannowi „awansów”, zapraszając go na obiad.

Krótko mówiąc, zaprosić panią de Guermantes było dla księżnej Parmy emocjonującym przejściem, tak ją dręczyła myśl, że Orianie wszystko się może nie podobać. Ale w zamian — z tej samej przyczyny — kiedy księżna Parmy przychodziła na obiad do pani de Guermantes, z góry była pewna, że wszystko będzie dobrze, rozkosznie; bała się tylko o jedno: że nie potrafi wszystkiego zrozumieć, zapamiętać, być dość miłą, że nie potrafi przyswoić sobie myśli i ludzi. Z tego tytułu moja obecność podsycala jej uwagę i jej zachłanność, tak jakby to sprawił nowy sposób strojenia stołu girlandami owoców; niepewna, który szczegół — dekoracja stołu czy moja obecność — stanowi specjalnie jeden z uroków, sukces przyjęć Oriany, i w wątpliwości tej zdecydowana na swoim najbliższym obiedzie spróbować jednego i drugiego. Zachwyconą ciekawością, jaką księżna Parmy wносиła do pani de Guermantes, usprawiedliwiał zresztą w całej pełni ów element komiczny, niebezpieczny, podniecający, w którym wysokość ta zanurzała się z odcieniem obawy, wzruszenia i rozkoszy (jak nad morzem w czasie mocnej fali, której niebezpieczeństwa sygnalizują kąpielowi po prostu dlatego, że żaden z nich nie umie pływać); skąd wychodziła zelektryzowana, szczęśliwa, odmłodzona. Element ów zwał się „dowcipem Guermantów”. Dowcip Guermantów (wedle księżnej — uważającej się za jedyną Guermantes, która go posiada — istność równie nieistniejąca jak kwadratura koła¹⁶⁸) był kwestią reputacji, jak paszteciki z Tours lub biszkopty z Reims. Że jednak właściwość duchowa nie udziela się tymi samymi sposobami co farba na włosy lub szminka, niektórzy bliscy pani de Guermantes, ale nie krewni, posiadali niewątpliwie dowcip, który w zamian nie zdołał nawiedzić pewnych Guermantów, zbyt opornych dla wszelkiego dowcipu. Niespokrewnieni z Orianą dzierzawcy „dowcipu Guermantów” mieli zazwyczaj tę cechę, że byli to niegdyś ludzie świetni, mający widoki kariery, nad którą — czy to była sztuka, dyplomacja, polityka, wojskowość — przełożyli życie salonowej koterii. Wybór

¹⁶⁶„dizestia” (neol.) — z fr. *digestion*: trawienie, przemyślenie. [przypis edytorski]

¹⁶⁷„żur” (neol.) — z fr. *jour*: dzień. [przypis edytorski]

¹⁶⁸kwadratura koła — jeden z trzech wielkich problemów geometrycznych postawionych w starożytności, polegający na skonstruowaniu metodą klasyczną (przy użyciu wyłącznie cyrkla i linijki bez podziałki) takiego kwadratu, którego pole jest równe polu danego koła; przez setki lat tego trudnego problemu nie udało się rozwiązać ani wykazać, że rozwiązanie nie istnieje; w 1882 udowodniono, metodą niegeometryczną, że taka konstrukcja jest niewykonalna; dziś pot.: zadanie niewykonalne. [przypis edytorski]

ten dałoby się może wytłumaczyć jakimś brakiem indywidualności lub inicjatywy, lub woli, lub zdrowia, lub szczęścia — albo też snobizmem.

U niektórych (trzeba zresztą przyznać, że to były wyjątki), jeżeli salon Guermantów stał się grobem ich kariery, to wbrew ich woli. I tak pewien lekarz, pewien malarz i pewien dyplomata — wszystko ludzie z wielką przyszłością — nie zrobili kariery, mimo iż wyjątkowo uzdolnieni, dlatego że dzięki swojej zażyłości z Guermantami dwaj pierwsi zyskali opinię bawidamków, a trzeci wstecznika, co ich zgubiło w oczach kolegów po fachu. Starodawna toga i czerwony biret, strojące jeszcze ciała Fakultetu¹⁶⁹, nie są — lub przynajmniej nie były jeszcze do niedawna — jedynie czystym przeżytkiem zacofanej i ciasnej kastowości. Pod biretem ze złotymi galkami, jak arcykapłani żydowscy pod wysoką czapką, „profesorowie” tkwili jeszcze — mówię tu o latach sprzed sprawy Dreyfusa — w pojęciach ściśle faryzejskich¹⁷⁰. Du Boulbon był w gruncie artystą, ale ocaliło go to, że nie lubił „świata”. Cottard bywał u Verdurinów, ale pani Verdurin była pacjentką; przy tym ratowała Cottarda jego pospolitość; wreszcie u siebie w domu przyjmował wyłącznie Fakultet, biesiadami, nad którymi unosił się opar karbolu¹⁷¹. Ale w silnych organizacjach, gdzie zresztą ostracyzm przesądów wynagrodzony jest nieskazitelną uczciwością, wysokimi pojęciami moralnymi, bardziej nieugiętymi niż w środowiskach liberalnych — swobodniejszych i rychło ulegających rozkładowi — profesor, w swojej szkarłatnej atłasowej czerwonej szacie podbitej gronostajami jak u weneckiego doży¹⁷² (doża — diuk), rezydującego w pałacu dożów, był równie cnotliwy, równie oddychający szlachetnymi zasadami, ale równie nieubłagany dla wszelkiego obcego elementu, jak ów inny diuk, zacny, ale groźny — Saint-Simon. Obcy — to dla nich był lekarz światowy, mający inny sposób bycia, inne stosunki. Aby z tego wybrnąć, nieszczęśliwiec, o którym tutaj mowa, bojąc się ściągnąć podejrzenie kolegów, że nimi gardzi (cóż za światowy punkt widzenia!), gdyby przed nimi taił księżnę de Guermantes, miał nadzieję rozbroić ich, wyprawiając obiady „mieszane”, na których element lekarski rozpuszczony był w elemencie światowym. Nie wiedział, że podpisał tym swoją zgubę, a raczej dowiedział się o tym, kiedy Rada Dziesięciu¹⁷³ (trochę liczniejsza niż dziesięciu) miała obsadzić wakuującą katedrę i kiedy zawsze nazwisko „normalniejszego” (choćby mierniejszego) lekarza wychodziło z fatalnej urny, a w starożytnym Fakultecie rozlegało się „veto”, równie uroczyste, równie śmieszne, równie straszliwe, jak „iuro”, przy którym umarł Molier¹⁷⁴. To samo było z malarzem na zawsze opatrzonym etykietą światowca, podczas gdy światowcy uprawiający sztukę zdołali uzyskać etykietkę artystów; toż samo wreszcie z dyplomata mającym za wiele reakcyjnych stosunków.

Ale to były najrzadsze wypadki. Typem dystyngowanych ludzi składających salon Guermantów byli ci, którzy dobrowolnie (bodaj we własnym mniemaniu) wyrzekli się reszty, wyrzekli się wszystkiego niedającego się pogodzić z duchem Guermantów, grzecznością Guermantów, z tym nieokreślonym czarem, wstrętem dla wszelkiego „ciała”, bodaj trochę scentralizowanego.

I ci, co wiedzieli, że niegdyś jeden z tych stałych gości księżnej dostał złoty medal w Salonie¹⁷⁵; że drugi, sekretarz kongresu adwokatów, zabłysnął swego czasu w parlamencie; że trzeci oddał usługi Francji jako dyplomata, mogliby uważać za skrachowanych owych ludzi, którzy nie działali już nic od dwudziestu lat. Ale ci „poinformowani” byli nieliczni; samym zaś zainteresowanym nie pozostałoby w głowie przypominać o tym, ile

¹⁶⁹Fakultet — tu: Fakultet (Wydział) Medyczny Paryża (*Faculté de Médecine de Paris*), w 1896 roku zgrupowany z czterema innymi wydziałami paryskimi w nowy Uniwersytet Paryski. [przypis edytorski]

¹⁷⁰faryzejski — taki jak u faryzeuszów; *faryzeusze*: polityczno-religijne konserwatywne stronnictwo żydowskie w Palestynie, odznaczające się formalistycznym stosunkiem do starych praw i obyczajów religijnych. [przypis edytorski]

¹⁷¹karbol — wodny roztwór fenolu; środek odkażający o silnym, nieprzyjemnym zapachu, dawniej szeroko używany w lecznictwie do dezynfekcji pomieszczeń i przedmiotów. [przypis edytorski]

¹⁷²doża — naczelnik państwa w Wenecji. [przypis edytorski]

¹⁷³Rada Dziesięciu — urząd Republiki Weneckiej odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa i tajną dyplomację, często działający potajemnie. [przypis edytorski]

¹⁷⁴„iuro”, przy którym umarł Molier — gdy Molier grał jako aktor w swojej sztuce *Chory z urojenia*, przy słowie „iuro” zemadł i kilka godzin po przedstawieniu zmarł. [przypis edytorski]

¹⁷⁵Salon Paryski — organizowana cyklicznie oficjalna wystawa sztuki, na której prezentowano publicznie prace artystów Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby; pierwszą wystawę zorganizowano po raz pierwszy w 1667 w Salon Carré w Luwrze (stąd nazwa). [przypis edytorski]

że — właśnie na zasadzie „ducha Guermantów” — uważali te dawne tytuły za bezwartościowe; czyż ten duch nie mienił „piłą”, „belfrem” lub, przeciwnie, „komiwojażerem” wybitnych ministrów, z których jeden był trochę uroczystry, a drugi miał słabość do kalamburów? Dzienniki śpiewały ich chwałę, ale pani de Guermantes ziewała i okazywała zniecierpliwienie, o ile nieuwaga gospodyni domu dała jej któregoś z nich za sąsiada. Skoro być wybitnym mężem stanu nie stanowiło dla księżnej żadnej rekomendacji, ci spośród jej przyjaciół, którzy zrezygnowali z dyplomacji lub z armii, którzy poniechali ubiegania się o mandat poselski, przychodząc co dzień na śniadanie i na gawędy ze swoją dostojną przyjaciółką, odnajdując ją w salonie królewskich wysokości (mało zresztą przez nich cenionych, przynajmniej tak powiadali), sądzili, że wybrali lepszą część, mimo że ich wyraz twarzy — melancholijny nawet wśród wesołości — przeczył nieco słuszności tego sądu.

Bądź co bądź, trzeba przyznać, że subtelności towarzyskie, finezja rozmowy były u Guermantów czymś realnym — mimo iż wątłym. Żaden oficjalny tytuł nie był tam wart tyle, co uznanie niektórych ulubieńców pani de Guermantes, których najpotężniejsi ministrowie nie zdołaliby ściągnąć do siebie. Jeżeli w tym salonie pogrzebano na zawsze tyle ambicji intelektualnych, a nawet tyle szlacheckich aspiracji, z pyłu ich zrodził się bodaj najpiękniejszy kwiat światowości. Niewątpliwie, ludzie dowcipni, jak na przykład Swann, uważali się za coś wyższego od wartościowych ludzi, którymi gardzili; dlatego że wartością, którą księżna de Guermantes ceniła ponad wszystko, była nie inteligencja, ale to, co wedle niej było wyższą, wyborniejszą formą inteligencji, wzniesionej aż do słownej odmiany talentu — dowcip. I kiedy niegdyś u Verdurinów Swann uznał Brichota i Elstira jednego pedantem, drugiego bufonem, mimo całej wiedzy jednego, a geniuszu drugiego, klasyfikacja ta płynęła z ducha Guermantów. Nigdy Swann nie ośmieliłby się przedstawić żadnego z nich księżnej, czując, z jaką miną przyjęłaby tyrady Brichota i kalambury Elstira, ile że „duch Guermantów” mieścił pretensjonalne i przydługie popisy „serio” lub „buffo”¹⁷⁶ w kategorii najnieznośniejszego kretynstwa.

Co się tyczy Guermantów z krwi i kości, o ile „duch Guermantów” nie opanował ich tak zupełnie, jak się to zdarza na przykład w kółkach literackich, gdzie wszyscy mają wspólną manierę dykcji, stylu, a w następstwie i myśli, nie znaczy to z pewnością, aby oryginalność była w kołach światowych silniejsza i aby przeszkadzała tam naśladownictwu. Ale warunkiem naśladownictwa jest nie tylko brak bezwzględnej oryginalności, lecz także pewna subtelność ucha, pozwalająca najpierw rozpoznać to, co się imituje potem. Otóż niektórym Guermantom brakło tego zmysłu muzycznego w równym stopniu co Courvoisierom.

Weźmy za przykład ćwiczenie, które się zwie w innym znaczeniu słowa „imitacja” — „robieniem imitacji” (co u Guermantów nazywało się „parodią”). Mimo iż pani de Guermantes robiła je cudownie, Courvoisierowie równie byli niezdolni ocenić tego, co gdyby byli gromadą królików; po prostu dlatego, że nigdy nie umieli zauważyć wady lub akcentu, które księżna starała się parodiować. Kiedy „imitowała” księcia de Limoges, Courvoisierowie protestowali: „Och, nie, przecież on tak nie mówi; byłem z nim wczoraj na obiedzie u Bebetki, rozmawiał ze mną cały czas, nie mówił wcale w ten sposób”; podczas gdy nieco bardziej wyrobieni Guermantowie wykrzykiwali: „Boże, jaka ta Oriana jest cudowna! Najlepsze jest, że, kiedy go udaje, robi się do niego podobna! Zdaje mi się, ależ tak, że go słyszę! Oriano, jeszcze trochę Limoges!” Otóż ci Guermantowie (nie sięgając nawet do najwybitniejszych, którzy kiedy księżna imitowała księcia de Limoges, wykrzykiwali z podziwem: „Och, można powiedzieć, że pani go *chwyciła*” albo że „tyś go chwyciła”), mimo iż nie grzeszyli dowcipem wedle pani de Guermantes (w czym miała słuszność), przez osłuchanie się z powiedzeniami księżnej i powtarzanie ich nauczyli się, lepiej lub gorzej, naśladować jej sposób mówienia, formowania myśli, tego, co Swann, zarówno jak książę Błazej, nazwałby jej sposobem „redagowania”. W rezultacie mieli w swojej rozmowie coś, co Courvoisierom wydawało się okropnie pokrewne z dowcipem Oriany i co stało się dla nich mitycznym „dowcipem Guermantów”. Ponieważ ci Guermantowie byli nie tylko jej krewnymi, ale i wielbicielami, Oriana — która bardzo

¹⁷⁶ „serio” lub „buffo” — serio lub żartobliwie; odniesienie do dwóch podstawowych gatunków opery: *opera seria* to opera poważna, zaś *opera buffa* to opera komiczna. [przypis edytorski]

trzymała resztę rodziny na uboczu, mszcząc się obecną wzdardą za dokuczliwość, jakie od niej cierpiała, będąc panną — odwiedzała ich od czasu do czasu, zazwyczaj z mężem, korzystając z pięknego dnia. Te wizyty stanowiły ewenement. Serce biło szybciej księżnej d'Épinay, przyjmującej gości w wielkim parterowym salonie, kiedy spostrzegała z daleka, niby pierwsze blaski niegroźnego pożaru lub rekonesans niespodzianego najazdu, Oriane, mijającą wolno dziedziniec, w czarującym kapeluszu, z pochyloną umbrellką, z której ociekał zapach lata. „O! Oriana” — wołała niby „baczość”, mające przezornie ostrzec gości, iżby mieli czas wyjść w ordynku i bez paniki ewakuować salony. Połowa obecnych nie ważyła się zostać, zrywała się. „Ale nie, czemu? niechże pani siada, bardzo mi będzie miło” — mówiła pani domu swobodnym i niedbałym tonem (aby robić wielką damę), ale głosem mającym coś sztucznego. — „Nie, nie, z pewnością macie do pomówienia ze sobą”. — „Doprawdy, spieszysz się, kochanie? Odwiedzę cię niedługo” — odpowiadała pani domu tym, których wołałaby widzieć za drzwiami.

Księstwo Błażejowie kłaniali się bardzo grzecznie osobom, które widywali tam od lat, nie dopuszczając do bliższych stosunków, a które ledwo się z nimi witały przez delikatność. Zaledwie ci goście wyszli, książę wypytywał się o nich uprzejmie, aby się wydawało, że on się żywo interesuje tymi osobami, mimo że ich nie zaprasza do siebie wskutek niegodziwości losu lub nerwów Oriany.

— Kto to była ta mała w różowym kapelusiku?

— Ależ, kuzynie, widziałeś ją nieraz; to wicehrabina de Tours, z domu Lamarzelle.

— Wiecie państwo, że ona jest ładna, wygląda bardzo inteligentnie; gdyby nie drobna wada w górnej wardze, byłaby po prostu czarująca. Jeżeli istnieje wicehrabia de Tours, można mu powinszować. Oriano, wiesz, kogo mi przypominają te brwi i ta linia czoła? Twoją kuzynkę, Jadzię de Ligne.

Księżna de Guermantes, która wiedziała, z chwilą gdy się mówiło o piękności innej kobiety, nie podejmowała tego tematu. Nie doceniała dobrej woli swego małżonka w okazywaniu, że się bardzo interesuje osobami, które u niego nie bywają, przez co, jak sądził, robił wrażenie człowieka bardziej serio niż jego żona.

— Kuzynko! — wykrzykiwał nagle z siłą. — Powiedziała kuzynka: Lamarzelle. Przypominam sobie, kiedy byłem posłem, bardzo niepospolitą mowę, którą wygłosił...

— To był właśnie wuj tej młodej kobietki.

— A, co za talent! Nie, kochanie — rzekł książę do wicehrabiny d'Égremont, której pani de Guermantes nie mogła znieść, ale która, nie ruszając się z domu księżnej d'Épinay, gdzie zniżała się dobrowolnie do roli subretki (wynagradzała to sobie biciem własnej subretki za powrotem do domu), tkwiła tam zmieszana, zafrasowana, ale siedziała, kiedy książęca para wkraczała do salonu, zdejmowała płaszcz, starała się być użyteczna, przez dyskrecję proponowała, że przejdzie do sąsiedniego pokoju — nie trzeba dla nas robić herbaty, rozmawiajmy sobie spokojnie, my jesteśmy ludzie prości, bez pretensji. Zresztą — dodawał, zwracając się do księżnej d'Épinay, a opuszczając panią d'Égremont, zarumienioną, pokorną, ambitną i gorliwą — mamy tylko kwadrans czasu.

Ten kwadransik wypełniało całkowicie cytowanie dowcipów, które Oriana popełniła w ciągu ubiegłego tygodnia; ona sama nie byłaby ich z pewnością cytowała, ale książę, niby to łącząc żonę z powodu wydarzeń, które je wywołały, bardzo zręcznie doprowadzał ją do powtórzenia konceptu.

Księżna d'Épinay, która lubiła kuzynkę i wiedziała, że Oriana ma słabość do komplementów, rozplywała się nad jej kapeluszem, parasolką, dowcipem.

— Niech kuzynka chwali jej toaletę, ile się kuzynce podoba — rzekł książę niby to opryskliwym tonem, który łagodził figlarnym uśmiechem, iżby nie wzięto poważnie jego niezadowolenia — ale na miłość boską nie jej dowcip; obszedłbym się chętnie bez posiadania tak dowcipnej żony. Kuzynka myśli zapewne o lichym kalamburze Oriany na mojego brata Palamedę — dodał, wiedząc doskonale, że księżna d'Épinay, wraz z resztą rodziny, nie znała jeszcze tego kalamburu, i ciesząc się, że może zareklamować żonę. — Po pierwsze, uważam za niegodne osoby, której, przyznając, udało się nieraz powiedzieć coś bardzo ładnego, popełniać liche kalambury, zwłaszcza na mego brata, który jest bardzo drażliwy. Jeżeli to ma mieć ten skutek, że nas poróżni z Palamedem, to w istocie piękny rezultat!

— Ależ my nic nie wiemy! Kalambur Oriany? To musi być coś uroczonego. Och, niech kuzyn powie.

— Ale nie, ale nie — odparł księżę jeszcze nadąsany, mimo iż bardziej uśmiechnięty — niezmiernie się cieszę, żeście tego nie słyszeli. Serio, ja bardzo kocham mojego brata.

— Słuchaj, Błażeju — rzekła księżna, na którą przyszedł moment wmieszania się do dialogu — nie wiem, czemu ty mówisz, że to może pogniewać Palamedę; wiesz doskonale, że wcale nie. On jest zbyt inteligentny, aby się obrazić o ten niemądry żarcik, w którym nie ma nic przynoszącego ujmę. Gotów kto uwierzyć, że ja powiedziałam coś złośliwego; odpowiedziałam po prostu coś, w czym nie ma nic zabawnego, ale czemu ty nadajesz wagę przez swoje oburzenie. Nie rozumiem cię.

— Intrygujecie nas, o cóż więc chodzi?

— Och, oczywiście o nic poważnego — wykrzyknął pan de Guermantes. — Słyszeliście może, że mój brat chciał darować Brézé, zamek, który ma po żonie, swojej siostrze Marsantes.

— Tak, ale mówiono nam, że ona nie pragnie tego prezentu, że nie lubi tych stron, że jej klimat nie odpowiada.

— No więc właśnie ktoś mówił to wszystko mojej żonie, dodając, że jeżeli brat darowuje ten zamek naszej siostrze, to nie po to, aby jej zrobić przyjemność, ale żeby ją „takinować”¹⁷⁷. „Charlus jest taki spryka” — mówił ów ktoś. Otóż wiecie państwo, Brézé to jest kąsek królewski, to może być warte kilka milionów, dawna siedziba królewska, jeden z najpiękniejszych lasów we Francji. Jest wiele osób, które by się zgodziły, aby je „takinować” w podobny sposób. Toteż słysząc to wyrażenie w zastosowaniu do Charlusa, dlatego że chciał darować tak wspaniały zamek, Oriana nie mogła się wstrzymać, aby nie wykrzyknąć — mimo woli, przynaję, bez złej myśli, bo jej to przyszło nagle jak błyskawica. „Takinować, takinować... w takim razie to jest Takiniusz pyszny!” Rozumiecie — dodał księżę przybierając z powrotem nadąsaną minę, a zarazem spoglądając wkoło, aby ocenić wrażenie dowcipu żony (przy czym księżę był raczej sceptyczny co do biegłości pani d'Épinay w historii starożytnej); rozumie kuzynka, to aluzja do Tarkwiniusza Pysznego, króla rzymskiego; idiotyczna zresztą, licha gra słów, niegodna Oriany. A przy tym ja, który, mniej wprawdzie dowcipny od Oriany, jestem taktowniejszy od niej, ja myślę o następstwach; jeżeli fatalność zechce, aby to ktoś powtórzył bratu, będzie cała historia! Tym więcej — dodał — że ponieważ właśnie Palamed jest bardzo wyniosły, bardzo dumny i drażliwy, skłonny do komeraży¹⁷⁸, trzeba przyznać, że nawet pomijając kwestię zamku, „Takiniusz Pyszny” wcale dobrze go maluje. To ratuje powiedzonka mojej pani, że nawet kiedy się chce zniżyć do dość pospolitej gry słów, pozostaje „inteligentna mimo woli” i niezgorzej charakteryzuje ludzi.

Tak więc, raz „Takiniuszem Pysznym”, drugi raz innym dowcipem, owe familijne wizyty państwa de Guermantes odnawiały repertuar anegdot, a wzruszenie, jakie wносиły, trwało długo po odejściu dowcipnej pani i jej impresaria. Najpierw dzielono się powiedzonkami Oriany z wybranymi osobami, które zostawszy w salonie, brały udział w tej biesiadzie.

— Pani nie znała „Takiniusza Pysznego”? — pytała księżna d'Épinay.

— Owszem — odpowiadała, rumieniąc się, margrabina de Baveno. — Księżna de Sarsina (La Rochefoucauld) mówiła mi o tym, mimo iż trochę w innej formie. Ale to musiało być o wiele zabawniejsze opowiedziane przy samej Orianie — dodała tak, jakby mówiła: „z akompaniamentem autora”.

— Mówiliśmy o ostatnim dowcipie Oriany, która była tu przed chwilą — powiadano jakiejś damie, zrozpaczonej, że nie przyszła o godzinę wcześniej.

— Jak to, Oriana była tutaj?

— Ależ tak, gdybyś była przyszła trochę wcześniej! — odpowiadała księżna d'Épinay bez wyrzutu, ale dając do zrozumienia, ile niezręczna straciła. To jej wina, jeżeli nie była świadkiem stworzenia świata lub ostatniego występu pani Carvalho¹⁷⁹.

¹⁷⁷„takinować” (neol.) — z fr. *taquiner*: drażnić, dokuczać. [przypis edytorski]

¹⁷⁸komeraż (daw.) — złośliwa plotka, obgadywanie. [przypis edytorski]

¹⁷⁹Miolan-Carvalho, Caroline (1827–1895) — francuska śpiewaczka operowa, sopran. [przypis edytorski]

„Co powiadacie o ostatnim dowcipie Oriany? Wyznaję, że bardzo mi się podoba Takiniusz Pyszny!” — powtarzano, podając dowcip jeszcze na zimno nazajutrz przy śniadaniu specjalnie na to zaproszonym gościom i odgrzewając go w różnych sosach przez cały tydzień. Nawet księżna d'Épinay, będąc w tym tygodniu z doroczną wizytą u księżnej Parmy, skorzystała z tego, aby spytać jej wysokość, czy znała już ten kalambur, po czym opowiadała go.

„A! Takiniusz Pyszny” — powiadała księżna Parmy z oczami z góry rozszerzonymi podziwem, błagając o dodatkowe wyjaśnienia, których nie odmawiała jej pani d'Épinay. „Przyznaję, że Takiniusz Pyszny nieskończenie mi się podoba jako redakcja” — konkludowała księżna. Ściśle biorąc, słowo „redakcja” nie nadawało się wcale do tego kalamburu, ale pani d'Épinay, która miała pretensję do dowcipu Guermantów, przejęła od Oriany wyrażenia „redakcja, redagować” i używała ich trochę po omacku. Otóż księżna Parmy, która nie bardzo lubiła panią d'Épinay, znajdując, że jest brzydka, wiedząc, że jest skąpa, i sądząc — na wiarę Courvoisierów — że jest zła, poznała to słowo „redakcja”, które słyszała w ustach pani de Guermantes, a którego nie umiałaby zastosować sama. Miała wrażenie, że to w istocie „redakcja” stanowi wdzięk Takiniusza Pysznego i nie zapominając całkowicie swojej antypatii do brzydkiej i skąpej damy, nie mogła się obronić uczuciu podziwu dla kobiety, posiadającej w tym stopniu ducha Guermantów. Posunęła się tak daleko, że chciała zaprosić panią d'Épinay do Opery; powstrzymała ją jedynie myśl, że wypadaloby się może poradzić wprzód Oriany. Co do pani d'Épinay, która — bardzo w tym różna od Courvoisierów — umizgała się na tysiąc sposobów do Oriany i lubiła ją, ale była zazdrosna o jej stosunki i nieco podrażniona publicznymi żarcikami księżnej na temat jej skąpstwa, opowiadała za powrotem do domu, z jakim trudem przyszło księżnej Parmy zrozumieć Takiniusza Pysznego i jaka Oriana musi być snobka, aby wciąż przedstawać z podobną gęsią. „Nie mogłabym bywać u księżnej Parmy, choćbym chciała — mówiła pani d'Épinay do osób będących u niej na obiedzie. — Mąż nie pozwoliłby mi z powodu jej życia — dodała, czyniąc aluzję do pewnych najzupełniej urojonych wybryków księżnej Parmy. — Ale nawet gdybym miała męża mniej surowego, wyznaję, że bym nie mogła. Nie rozumiem, jak Oriana może z nią wytrzymać. Ja tam chodzę raz na rok i z trudem mogę dotrzeć do końca wizyty”.

Co się tyczy Courvoisierów, którzy się znajdowali u Wiktoryny d'Épinay w chwili wizyty pani de Guermantes, przybycie pani de Guermantes dawało im na ogół hasło do ucieczki, bo ich drażniły przesadne „salamaleki” wyprawiane dla Oriany. Jeden jedyny Courvoisier został tam w dniu Takiniusza Pysznego. Nie zrozumiał żartu całkowicie, ale zrozumiał go bądź co bądź w połowie, bo był wykształcony. I Courvoisierowie opowiadali wszędzie, że Oriana nazwała wuja Palamedę „Tarkwiniuszem Pyszny”, co go malowało, ich zdaniem, dosyć dobrze, ale po co robić tyle historii z Orianą? — dodawali. Nie robiono by więcej hec z królową! „Ostatecznie, co to jest Oriana? Nie powiadam, aby »Guermantes« nie było stare nazwisko, ale »Courvoisier« nie ustępuje mu w niczym ani jako znakomitość, ani jako dawność, ani jako parantele. Nie trzeba zapominać, że kiedy raz w obozie król angielski spytał Franciszka I¹⁸⁰, który z obecnych panów jest najszlachetniejszy rodem, ów odpowiedział: „Courvoisier, Sire”. Zresztą, choćby wszyscy Courvoisierowie zostali w salonie, dowcipy Oriany zrobiłyby na nich niewielkie wrażenie, ile że wydarzenia, które je zazwyczaj rodziły, przedstawiały się ich oczom zgoła odmiennie. Jeżeli na przykład któreś Courvoisierce zbrakło krzesel na jej przyjęciu lub jeśli się pomyliła w nazwisku gościa, którego nie poznała, albo jeżeli ktoś ze służby głupio się do niej odezwał, Courvoisierka, zrozpaczona, pąsowa, trzęsąc się z emocji, bolała nad tym wypadkiem. I kiedy miała u siebie jakiegoś gościa, a Oriana miała przyjść, mówiła niepokojnie, trwożliwie i rozkazująco pytającym tonem: „Czy pan ją zna?”, obawiając się — o ile gość jej nie zna — aby jego obecność nie sprawiła na Orianie złego wrażenia. Pani de Guermantes natomiast czerpała z takich wypadków temat do opowiastek, które śmieszyły Guermantów do łez, tak iż trzeba było jej zazdrościć, że jej zbrakło krzesel,

¹⁸⁰ Franciszek I Wależjusz (1494–1547) — król Francji (od 1515); w czerwcu 1520 spotkał się z Henrykiem VIII, królem Anglii, chcąc sobie zapewnić jego przychylności w zbliżającym się konflikcie z Karolem V Habsburgiem. [przypis edytorski]

że sama strzeliła lub pozwoliła swemu służącemu strzelić bąka, że miała u siebie kogoś, kogo nikt nie znał, tak jak trzeba się cieszyć, że wielkiego pisarza upokarzali mężczyźni, a zdradzały kobiety, skoro ich upokorzenie i cierpienia stały się, jeżeli nie źródłem ich geniuszu, to bodaj tematem ich dzieł.

Courvoisierowie nie byli również zdolni wzbić się do nowatorstwa, które pani de Guermantes wnosila w życie światowe i które — stosując je nieomylnym instynktem do potrzeb chwili — czynila czymś artystycznym tam, gdzie sztywne zastosowanie reguł dałoby równie złe rezultaty, co gdyby ktoś, chcąc osiągnąć sukcesy w miłości lub w polityce, skopiował dosłownie własnym życiem czyny jakiegoś Bussy d'Amboise¹⁸¹. Jeżeli Courvoisierowie wydawali obiad rodzinny lub obiad dla koronowanej głowy, zaproszenie jakiegoś utalentowanego człowieka, przyjaciela ich syna, zdawało się im anomalią zdolną wyrzucić najgorsze wrażenie. Jedna Courvoisierka, której ojciec był za Cesarstwa ministrem, mając wydać herbatkę na cześć księżniczki Matyldy¹⁸², wyciągnęła stąd matematyczny wniosek, że może zaprosić jedynie samych bonapartystów. Otóż nie znała prawie żadnego. Wszystkie eleganckie kobiety z jej świata, wszyscy mili mężczyźni zostali bezlitośnie wykluczeni, ponieważ — jako legitymiści z przekonania lub z tradycji — musieliby, wedle logiki Courvoisierów, razić jej cesarską wysokość. Księżniczka Matylda, która przyjmowała u siebie kwiat Faubourg Saint-Germain, zdziwiła się, zastając u pani de Courvoisier jedynie słynną pieczeniarkę¹⁸³, wdowę po eks-prefekcie Cesarstwa, dalej wdowę po dyrektorze poczty oraz kilka osób, znanych zarówno ze swej wierności dla Napoleona III, jak ze swej głupoty i nudy. Niemniej księżniczka Matylda rozlała szczodry i łaskawy strumień swego monarszego wdzięku na tych żalonych brzydaków, których pani de Guermantes ani w głowie było prosić, kiedy jej z kolei przyszło gościć księżniczkę Matyldę. Zamiast nich, nie wdając się w bonapartystyczne dociekania, uwiła najbogatszy bukiet wszystkich piękności, talentów, sław, w których swoisty węż, takt i spryt księżnej Oriany pozwolił jej odgadnąć, że sprawią przyjemność bratanicy Cesarza, nawet gdy należały bodaj do rodziny króla. Nie brakowało nawet księcia d'Aumale¹⁸⁴, a kiedy księżniczka Matylda, podnosząc panią de Guermantes — która, pochylając się głęboko, chciała ją pocałować w rękę — ucałowała ją w oba policzki, mogła z głębi serca zapewnić Oriane, że nigdy nie spędziła miłszego dnia ani nie oglądała udatniejszej fety.

Księżna Panny była Courvoisierką przez swój brak inwencji towarzyskiej; ale w przeciwieństwie do Courvoisierów niespodzianka, jaką jej bez ustanku sprawiała pani de Guermantes, rodziła w niej nie — jak w Courvoisierach — antypatię, lecz zachwyty. Zdumienie owo pogłębiał jeszcze fakt niezmiernie zaniedbanej kultury księżnej Parmy. Sama pani de Guermantes była o wiele mniej „awangardowa”, niż przypuszczała. Ale wystarczyło jej być nią więcej od księżnej Parmy, aby zdumieć tę królewską wysokość; że zaś każde pokolenie krytyków poprzestaje na postawieniu na głowie prawd poprzedników, wystarczyło Orianie powiedzieć, że Flaubert¹⁸⁵, ten wróg mieszczaństwa, sam był na wskroś mieszcuchem, lub że w Wagnerze jest dużo włoszczyzny, aby otworzyć księżnej Parmy — za cenę wciąż nowego zmęczenia, podobnego uczuciu człowieka pływającego w czasie burzy — horyzonty, które się jej wydawały niesłychane i pozostawały dla niej mgliste. Odczuwała zdumienie wobec tych paradoksów, rzucanych nie tylko na temat dzieł sztuki, ale i na temat znajomych osób i wydarzeń towarzyskich. Bez wątpienia, księżniczka Parmy niezdolna była odróżnić „ducha Guermantów” od prymitywnie przyswojonych form tego ducha, co rodziło jej wiarę w wysoką wartość intelektualną pewnych Guermantów, a zwłaszcza Guermantek, o których ku własnemu zdumieniu słyszała później z ust Oriany, że są proste gęsi; i to było jedną z przyczyn zdumienia, w jakie wprawiła

¹⁸¹*Bussy d'Amboise, Louis de* (1549–1579) — szlachcic francuski, sławny pojedykowiec na dworze króla Henryka III, faworyt brata królewskiego Franciszka d'Alençon, kochanek królowej Małgorzaty Walezjuszki. [przypis edytorski]

¹⁸²*Matylda Letycja Bonaparte* (1820–1904) — księżniczka francuska, córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, i jego drugiej żony, Katarzyny Wirtemberskiej. [przypis edytorski]

¹⁸³*pieczeniarka* — kobieta mająca skłonności do żywienia się cudzym kosztem, lubiąca dobrze zjeść na cudzy koszt. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*Henryk Orleański, książę d'Aumale* (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*Flaubert, Gustave* (1821–1880) — francuski pisarz, wybitny realista, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu. [przypis edytorski]

zawsze jej wysokość sądy Oriany o ludziach. Była jeszcze inna przyczyna, którą ja, znając w owej epoce więcej książek niż ludzi i lepiej literaturę niż świat, tłumaczyłem sobie na swój sposób. Sądziłem, że księżna Oriana — żyjąc owym światowym życiem, którego czczość i próżniactwo są w stosunku do życia czynu tym, czym w sztuce krytyka wobec tworzenia — rozciąga na swoje otoczenie zmienność perspektyw, niezdrowe pragnienie mędrka, który aby napoić swój oschły umysł, szuka jakiegokolwiek niezbyt jeszcze zużytego paradoksu, gotów chwycić się orzeźwiającego poglądu, że najpiękniejszą *Ifigenią* jest *Ifigenia* Picciniego, a nie Glucka¹⁸⁶, a w potrzebie iż prawdziwą *Fedra* jest *Fedra* Pradona¹⁸⁷.

Kiedy jakaś inteligentna, wykształcona dowcipna kobieta zaślubiła niezgułę, którego widywało się rzadko, a nie słyszało nigdy, pani de Guermites zafundowała sobie pewnego dnia duchową rozkosz, nie tylko zohydżając żonę, ale „odkrywając” męża. Wobec małżeństwa Cambremer na przykład (gdyby Oriana żyła wówczas w tym kole) orzekłaby, że pani de Cambremer jest głupia, natomiast człowiekiem zapoznanym, uroczym, skazanym na milczenie przez żonę terkotkę, ale tysiąc razy wartościowszym od niej jest margrabia. I w takim wyroku znalazłaby pani de Guermites ten sam rodzaj orzeźwienia, co krytyk, który po siedemdziesięciu latach zachwyty nad *Hernanim*¹⁸⁸ wyznaje, że woli *Zakochanego lwa*¹⁸⁹. A ta sama chorobliwa potrzeba arbitralnych przewartościowań sprawiała, iż jeżeli od czasu młodości księżnej ubolewano nad jakąś wzorową żoną, istną świętą, że ją wydano za mąż za łajdaka, pani de Guermites twierdziła pewnego dnia, że ten łajdak jest człowiekiem lekkomyślnym, ale pełnym serca, którego oschła pruderia żony pchnęła na złe drogi.

Wiedziałem, że nie tylko między dziełami w długim szeregu wieków, ale nawet w tym samym dziele krytyka lubi grażyć w cieniu to, co błyszczało zbyt długo, a wydobywa na jaw to, co się zdawało skazane na ostateczne mroki. Widziałem nie tylko Belliniego¹⁹⁰, Winterhaltera¹⁹¹, architektów-jezuitów, pewnego snycerza z czasów Restauracji¹⁹² windowanych na miejsce geniuszów, o których powiadano, że się zużyli, po prostu dlatego że znużyli się nimi jałowi esteci, skłonni — jak wszyscy neurastenicy — do znużenia i zmienności. Widziałem, jak Sainte-Beuve bywał kolejno to krytykiem, to poetą, jak przekreślano poezję Musseta¹⁹³, z wyjątkiem drobiazgów. Bez wątpienia, niektórzy eseści błądzą, ponad najślawniejsze sceny z *Cyda* lub *Polyeucte*¹⁹⁴ wynosząc jakąś tyradę z *Kłamcy*¹⁹⁵ Corneille’a, dającą, niby stary plan, wskazówki co do życia ówczesnego Paryża; ale ich wybór — usprawiedliwiony jeżeli nie racjami artystycznymi, to bodaj wartością dokumentu — jeszcze jest zbyt racjonalny dla niepoczytalnej krytyki. Ta oddaje całego

Twórczość

¹⁸⁶*Piccini i Gluck* — Niccolò Piccinni (1728–1800), włoski kompozytor operowy, oraz Christoph Willibald Gluck (1714–1787), kompozytor niemiecki, uważani za rywali; obaj wystawili w Paryżu opery o tytule *Ifigenia w Taurydzie* (*Ifigénie en Tauride*): Gluck w 1779, Piccinni w 1781, opera Glucka odniosła wielki sukces, wersja Picciniego poniosła porażkę. [przypis edytorski]

¹⁸⁷*Pradon, Jacques* (1632–1698) — francuski dramaturg, rywal Jeana Racine’a; 1 stycznia 1677 Racine wystawił swoją tragedię *Fedra*, Pradon dwa dni później przedstawił swoją własną sztukę na ten sam temat, pt. *Fedra i Hippolit* (*Phèdre et Hippolyte*). [przypis edytorski]

¹⁸⁸*Hernani* — przełomowy dramat Wiktora Hugo z 1830, stanowiący praktyczną realizację zasad dramatu romantycznego; wzbudził kontrowersje, podzielił ówczesnych starszych i młodszych krytyków i odbiorców (tzw. „bitwa o Hernaniego”). [przypis edytorski]

¹⁸⁹*Zakochany lew* (fr. *Le Lion amoureux*) — popularna komedia historyczna Francois Ponsarda z 1866; Ponsard otrzymał w 1845 nagrodę Akademii Francuskiej za „postawienie tamy fali romantyzmu”, w 1855 został wybrany członkiem Akademii. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*Bellini* — rodzina włoskich malarzy epoki renesansu: Jacopo Bellini i dwóch jego synów, Giovanni i Gentile; trudno powiedzieć, którego z nich ma na myśli autor. [przypis edytorski]

¹⁹¹*Winterhalter, Franz Xaver* (1805–1873) — niemiecki malarz i twórca litografii, znany głównie z portretów przedstawiających członków europejskich rodów królewskich i arystokratycznych; w 1824 przybył do Paryża, gdzie stał się bardzo popularny. [przypis edytorski]

¹⁹²*Restauracja* — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej, która ponownie obaliła ich rządy. [przypis edytorski]

¹⁹³*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*Cyd, Polyeucte* — tragedie Pierre’a Corneille’a. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*Kłamca* (fr. *Le menteur*) — komedia Pierre’a Corneille’a z 1644; w scenie 5 aktu II jej bohater, Dorante, zdumiewa się szybkimi zmianami w Paryżu. [przypis edytorski]

Moliera za jeden wiersz z *Wartogłowa*¹⁹⁶; a nawet, uważając Wagnerowskiego *Tristana*¹⁹⁷ za nudziarstwo, ocali z niego „ładny motyw rogu” w scenie przeciągania myśliwych. Owa deprawacja krytyki pomogła mi zrozumieć tę, której dowód dawała pani de Guermantes, orzekając, że pewien osobnik z jej sfery, uznany na ogół za poczciwego głupca, jest, przeciwnie, potworem egoizmu, sprytniejszym, niż się mniema; że inny, znany z hojności, jest wcieleniem skąpstwa; że dobra matka nie dba o dzieci, kobieta zaś, którą uważano za zepsutą, ma najszlachetniejsze instynkty. Jak gdyby skażone czczością światowego życia, inteligencja i wrażliwość pani de Guermantes były zbyt chwiejne, aby niesmak nie zastępował szybko entuzjazmu (luzując się z nim kolejno w stosunku do tych samych przejawów ducha). Sympatia, jaką w niej budził wartościowy człowiek, ustępowała miejsca irytacji, o ile ten człowiek zbyt często szukał jej towarzystwa, a zwłaszcza o ile szukał w niej kierunku, którego nie była zdolna mu udzielić. Sądziła, iż irytację tę spowodował jej wielbiciel, w istocie zaś przyczyną była jedynie niemożność znalezienia przyjemności — niepodobnej do pochwylenia, o ile się wyłącznie jej szuka. Kaprys sądów księżnej nie oszczędzał nikogo, wyjąwszy męża. On jeden nigdy jej nie kochał; w nim czuła zawsze charakter z żelaza, obojętny na jej grymasy, niedbający o jej piękność, gwałtowny, o nieugiętej woli — jedynej, pod której władzą nerwowe natury zdolne są znaleźć spokój. Z drugiej strony, pan de Guermantes, ścigając wciąż jeden typ kobiecej piękności, ale szukając go w zmienianych często kochankach, miał tylko jedną trwałą i niezmienną współniczkę, która go drażniła często gadulstwem, ale o której wiedział, że ją cały świat ma za najpiękniejszą, najcnotliwszą, najinteligentniejszą, najwykształceńszą w arystokracji; za żonę, z której posiadania on, książę de Guermantes, powinien być szczęśliwy; która pokrywała wszystkie jego szaleństwa, umiała przyjmować jak nikt i utrzymywała dom na stopie pierwszego salonu Faubourg Saint-Germain. Tę opinię świata podzielał i książę: wściekły często na żonę, był jednakże z niej dumny. O ile, będąc równie skąpy jak próżny, odmawiał jej najdrobniejszej sumki na dobroczynność lub dla służby, dbał o to, aby księżna miała najwspanialsze toalety i najpiękniejsze zaprzęgi.

Za każdym razem kiedy pani de Guermantes wymyśliła, na temat gwałtownie przez nią przewartościowanych zalet i wad jednego z przyjaciół, nowy i smakowity paradoks, płonęła żądzą wypróbowania go wobec osób zdolnych go ocenić, olśnienia ich oryginalnością psychologiczną paradoksu i błysnięcia jego lapidarną zjadliwością. Zapewne, te nowe poglądy mieściły najczęściej nie więcej prawdy niż dawne, często mniej; ale właśnie ta ich dowolność i niespodzianość dawały im coś intelektualnego, podniecającego samą ich autorkę. Tyle tylko, że pacjent, na którym ćwiczyła się psychologiczna bystrość Oriany, był zazwyczaj bliskim przyjacielem, ci zaś, z którymi ona pragnęła podzielić się swoim odkryciem, nie wiedzieli nic o tym, że on już wypadł z łaski; toteż reputacja pani de Guermantes jako nieporównanej przyjaciółki, serdecznej i wiernej, utrudniała rozpoczęcie ataku; księżna mogła co najwyżej dorzucić słówko później, jak gdyby zniewolona, mieszając się do rozmowy po to, aby łagodzić, aby powstrzymać na pozór, w istocie zaś, aby wspomagać partnera mającego za zadanie sprowokowanie jej; i w tej właśnie roli celował pan de Guermantes.

Co się tyczy spraw „świata”, była to znów inna przyjemność, samowładnie teatralna, jaką odczuwała pani de Guermantes, wygłaszając w tych sprawach owe nieoczekiwane sądy, smagające księżnę Parmy nieustanną i rozkoszną niespodzianką. Tę przyjemność pani de Guermantes próbowałam sobie wytłumaczyć nie tyle analogiami z krytyką literacką, ile z życiem politycznym i kroniką parlamentarną. Kiedy zmienne i sprzeczne edykty, jakimi pani de Guermantes wciąż wywracała hierarchię osób swojego świata, nie wystarczały już, aby ją rozerwać, starała się kosztować owych sztucznych emocji również we własnym postępowaniu, w sposobie, w jaki notyfikowała¹⁹⁸ swoje najdrobniejsze światowe wyroki; starała się być w nich posłuszna owym sztucznym obowiązkom, pobudzającym temperaturę zgromadzeń i sugestionującym umysły polityków. Wiadomo,

¹⁹⁶ *Wartogłów* — wczesna komedia Moliera z 1655, wzorowana na komediach włoskich. [przypis edytorski]

¹⁹⁷ *Tristan i Izolda* — opera Richarda Wagnera z roku 1859, dramat muzyczny na podstawie średniowiecznej legendy o tragicznej miłości rycerza Tristana i księżniczki Izoldy Jasnowłosej; „ładny motyw rogu” w scenie *przeciągania myśliwych*: na początku II aktu tej opery. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *notyfikować* — w stosunkach dyplomatycznych: oficjalnie powiadamiać inne państwo lub grupę państw o ważnym fakcie lub postanowieniu. [przypis edytorski]

że kiedy minister tłumaczy Izbie intencje, jakie miał, trzymając się pewnej linii postępowania, która w istocie wydaje się całkiem prosta rozsądnemu człowiekowi czytającemu nazajutrz w swoim dzienniku sprawozdanie z tego posiedzenia, ów rozsądny czytelnik odczuwa nagły wstrząs i zaczyna wątpić, czy słusznie aprobował ministra, kiedy widzi, że mowy jego słuchano wśród żywego podniecenia i punktowano ją słowami nagany, jak: „To bardzo poważne”, rzuconymi przez posła o tak długim nazwisku i tytułach i mającymi za następstwo poruszenia tak wymowne, iż w całym incydencie słowa: „To bardzo poważne!” zajmują mniej miejsca niż hemistych¹⁹⁹ w aleksandrynie²⁰⁰. Swojego czasu na przykład, kiedy pan de Guermantes, jako książę des Laumes, zasiadał w Izbie, czytywało się w dziennikach paryskich, mimo że to było zwłaszcza obliczone na okręg Méséglise, aby dowieść wyborcom, że nie oddali głosów na gnuśnego lub niemego kandydata:

Pan de Guermantes-Bouillon, książę des Laumes: „To bardzo poważne!” — („Słusznie! Bardzo słusznie!” — w centrum i na niektórych ławkach prawicy; żywe okrzyki skrajnej lewicy).

Rozsądny czytelnik zachowuje jeszcze cień wierności dla roztropnego ministra, ale serce jego wstrząsają nowe uderzenia przy pierwszych słowach nowego mówcy, odpowiadającego ministrowi:

„Zdumienie, osłupienie — to nie będzie za silnie powiedziane (żywe poruszenie po prawej stronie sali) — z jakim słuchałem słów tego, który jest jeszcze, przypuszczam, członkiem rządu...” (grzmot oklasków; kilku posłów ciśnie się do ławy ministrów; podsekretarz stanu poczt i telegrafu daje ze swego miejsca twierdzący znak głową).

Ten „grzmot oklasków” zwalcha ostatni opór rozsądnego czytelnika; widzi obelgę dla Izby, potworność w postępku najzupełniej pozbawionym znaczenia, ewentualnie w jakimś normalnym fackie, na przykład: żądać, aby bogaty płacił więcej niż biedny, oświecić jakąś niesprawiedliwość, woleć pokój od wojny; wyda mu się to skandaliczne i dojrzy w tym obrazy pewnych zasad, o których sam nie pomyślał, które nie są wyryte w sercu człowieka, ale które wzruszają silnie z powodu oklasków, jakie rozpętują, oraz zwartych większości, jakie skupiają.

Trzeba zresztą przyznać, że ta subtelność ludzi politycznych, która mi pomogła zrozumieć środowisko Guermantów, a później inne środowiska, jest jedynie nadużyciem pewnej sztuczki w interpretacji, często określanej jako „czytanie między wierszami”. Jeżeli nadużywanie tej finezji jest absurdem zgromadzeń, brak jej znowuż trąci tępotą publiczności, która bierze wszystko dosłownie, nie podejrzewa dymisji, kiedy wysokiego dygnitarza zwalniają z jego obowiązków „na własne żądanie”, i powiada sobie: „Nie dostał przecież dymisji, skoro to on sam prosił o nią”; która nie podejrzewa klęski, kiedy Rosjanie ruchem strategicznym cofają się przed Japończykami na „silniejsze i z góry przygotowane pozycje”; nie podejrzewa odmowy, kiedy jakaś prowincja żądała od cesarza Niemiec niezawisłości, a ten użycza jej autonomii religijnej. Możliwe zresztą jest (aby wrócić do posiedzeń Izby), że z początku sami posłowie podobni są do owego rozsądnego człowieka, który będzie czytał sprawozdanie. Dowiadując się, że strajkujący robotnicy wysłali delegatów do ministra, może pytać się naiwnie: „A, to ciekawe, co oni tam sobie powiedzieli; miejmy nadzieję, że wszystko się ułożyło” — może tak sobie powiadają w chwili, gdy minister wstępuje na trybunę wśród głębokiego milczenia, już zaostrażającego sztucznie emocje. Pierwsze słowa ministra: „Nie potrzebuję mówić Izbie, że mam zbyt wysokie poczucie obowiązków rządu, abym mógł przyjąć delegację, której powaga mego urzędu nie pozwoliła mi uznać”, są istnym efektem teatralnym, była to bowiem jedyna hipoteza, której zdrowy rozsądek posłów nie byłby przypuścił. Ale właśnie dlatego, że to jest efekt teatralny, przyjęty jest takimi oklaskami, że dopiero po upływie kilku minut może zacząć mówić minister — minister, który wracając na swoje miejsce, spotka

¹⁹⁹hemistych — półwers, w poezji nowożytniej: połówka wersu wiersza wyodrębniona przez średniówkę. [przypis edytorski]

²⁰⁰aleksandryn (lit.) — parzyście rymowany dwunastozgłoskowy wiersz ze średniówką po szóstej sylabie, stosowany w utworach o charakterze heroicznym, np. w epejach lub tragediach, popularny w poezji francuskiej. [przypis edytorski]

się z powinszowaniem kolegów. Wszyscy są równie wzruszeni jak w dniu, kiedy minister nie zaprosił na wielką oficjalną uroczystość prezesa rady gminnej, która była w stosunku do niego w opozycji; i wszyscy oświadczają, że w jednej, jak i w drugiej okazji postąpił jak prawdziwy mąż stanu.

W tej epoce swego życia, ku wielkiemu zgorszeniu Courvoisierów, pan de Guermantes często należał do owych „kolegów winszujących ministrowi”. Słyszałem później, że nawet w momencie, w którym grał dosyć wielką rolę w Izbie, kiedy to myślano dla niego o ministerstwie lub o ambasadzie, był on, kiedy jakiś przyjaciel prosił go o przysługę, nieskończenie prostszy, o wiele mniej robiący ważną figurę polityczną niż wszelki inny, który by nie był księciem de Guermantes. Bo jeżeli książę powiadał, że urodzenie jest rzeczą błahą, że uważa swoich kolegów za równych sobie, nie myślał tego ani trochę. Zabięgał o sytuacje polityczne, udawał, że je ceni, ale gardził nimi; że zaś zostawał dla samego siebie panem de Guermantes, nie przydawały mu one owej dygnitarskiej nadętości, która innych czyni niedostępnymi. I dzięki temu дума księcia chroniła od wszelkich wpływów nie tylko jego ostentacyjną poufałość, ale do pewnego stopnia i szczerą prostotę.

Aby wrócić do tych wyroków pani de Guermantes — sztucznych i emocjonujących niby decyzje polityków — Oriana nie mniej niepokoiła Guermantów, Courvoisierów, całe faubourg, a bardziej niż kogokolwiek księżnę Parmy, swymi nieoczekiwanymi dekretami, kryjącymi zasady, które tym bardziej zaskakiwały, im mniej się ich spodziewano. Kiedy nowy poseł grecki dawał bal maskowy, każdy obmyślał kostium i wszyscy zastanawiali się, jaki będzie kostium Oriany. Jeden myślał, że zechce być księżną burgundzką, drugi stawiał hipotezę księżniczki Dujabaru, trzeci — Psyche²⁰¹. Wreszcie któraś Courvoisier spytała: „Za kogo ty będziesz, Oriano?”, wywołując jedyną odpowiedź, która nie przyszlaby jej na myśl: „Ależ za nikogo!”, co wprawiło w ruch języki, jak gdyby odsłaniając pogląd Oriany na istotną światową pozycję nowego posła i na postępowanie, jakiego się należy trzymać wobec niego, to znaczy opinię, którą powinno się było przewidzieć; mianowicie, że księżna „jako taka” nie ma co robić na balu maskowym u tego nowego posła.

— Nie widzę konieczności chodzenia do posła greckiego, którego nie znam; nie jestem Greczynką, po co miałabym się tam tłuc, nie mam tam nic do roboty — mówiła księżna.

— Ależ wszyscy tam idą, zdaje się, że to będzie uroczyste! — wykrzyknęła pani de Gallardon.

— Siedzieć sobie spokojnie przy kominku też jest uroczyste — odpowiedziała pani de Guermantes.

Courvoisierowie nie mogli ochłonąć, ale Guermantowie, mimo iż nie naśladowali Oriany, pochwalali ją:

— Oczywiście, nie wszyscy mają sytuację taką jak Oriana, aby mogli łamać wszelkie zwyczaje. Ale, z drugiej strony, nie można powiedzieć, aby ona nie miała racji, chcąc okazać, że my przesadzamy, płaszcząc się przed tymi cudzoziemcami, o których często się nie wie, skąd się biorą.

Rzecz prosta, iż wiedząc, co za komentarze wywoła niechybnie taki lub inny jej postępek, pani de Guermantes znajdowała tyleż przyjemności w tym, aby się zjawić na balu, gdzie nie śmiano liczyć na jej obecność, co aby zostać w domu lub spędzić wieczór z mężem w teatrze w dniu zabawy, „gdzie będą wszyscy”, lub kiedy myślano, że ona zaćmi najpiękniejsze diamenty historycznym diademem, wejść bez żadnego klejnotu i w stroju odmiennym od tego, jaki uważano niesłusznie za obowiązujący. Mimo że była antydreyfusistką (wierząc w niewinność Dreyfusa, tak samo jak wiodła życie światowe, wierząc tylko w życie myśli), sprawiła ogromne wrażenie na wieczorze księżnej de Ligne najpierw tym, że siedziała, gdy wszystkie damy wstały na wejście generała Mercier²⁰², a potem wstając i wołając ostentacyjnie swoją służbę, kiedy nacjonalistyczny orator rozpoczął wykład, przez co księżna okazała, że nie uważa salonu za miejsce odpowiednie do uprawiania polityki. Podobnie wszystkie głowy obróciły się ku niej na wielkopiątkowym

²⁰¹ *Psyche* (mit. gr.) — ukochana Erosa, boga miłości, wyobrażana w postaci dziewczyny o skrzydłach motyla; oznaczała też duszę ludzką. [przypis edytorski]

²⁰² *Mercier, Auguste* (1833–1921) — francuski generał, minister wojny (1893–1895) w czasach sprawy Dreyfusa; zdecydował o winie Dreyfusa; pozbawiony stanowiska po tym, gdy zażądał zniszczenia tajnych akt w tej sprawie. [przypis edytorski]

koncercie, skąd, mimo iż wolterianka, wyszła, bo uważała za nieprzyzwoite wprowadzanie na scenę Chrystusa. Wiadomo, czym jest, nawet dla największych dam, moment, kiedy się zaczynają zabawy; tak dalece, że margrabina d'Amoncourt, która z potrzeby paplania, z manii psychologizowania, a także z braku serca często dogadywała się do głupstwa, mogła odpowiedzieć komuś, kto przyszedł do niej z kondolencją z powodu śmierci jej ojca, pana de Montmorency: „Tak, to bardzo smutne: takie nieszczęście w chwili, gdy człowiek ma na biurku setkę zaproszeń!”. Otóż w tym momencie, kiedy zapraszano księżnę de Guermantes na jakiś obiad, spiesząc się, aby nie była już zajęta, ona odmawiała dla tej jednej przyczyny, o której światowiec nigdy by nie pomyślał: puszczała się jachtem zobaczyć fiordy norweskie, które ją interesowały. Światowcy osłupieli; mimo iż nie zamierzali naśladować księżnej, postępek jej sprawił im rodzaj ulgi, podobnej do tej, jaką nam daje Kant²⁰³, kiedy po najściślejszym dowodzie determinizmu stwierdza, iż ponad światem konieczności istnieje świat wolności. Wszelki pomysł, na który by się nigdy nie wpadło, podnieca nawet tych, co z niego nie umieją korzystać. Wynalazek statków parowych był drobniactwem wobec korzystania ze statków parowych we wrogim turystyce okresie *seasonu*²⁰⁴. Myśl, że można się dobrowolnie wyrzec stu obiadów lub śniadań, dubeltowej liczby „herbatek”, potrójnej rautów, najświetniejszych poniedziałków w Operze i wtorków w Komedi Francuskiej po to, aby oglądać fiordy, wydała się Courvoisierom równie niepojęta jak *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*²⁰⁵, ale dała im to samo wrażenie swobody i uroku. Toteż nie było dnia, w którym by się nie rozlegało nie tylko: „Czy znasz ostatnie powiedzenie Oriany?”, ale: „Czy znasz ostatni pomysł Oriany?”. I o ostatnim pomysle Oriany, jak o ostatnim powiedzeniu Oriany, powtarzano: „To cała Oriana!”, „To wykapana Oriana” albo: „To najczystsza Oriana”. Ostatnim pomysłem Oriany było na przykład to, że mając odpowiedzieć imieniem²⁰⁶ jakiegoś towarzystwa patriotycznego kardynałowi X..., biskupowi Mâcon (którego, mówiąc o nim, pan de Guermantes nazywał stale: „pan de Mascon”, bo to się wydawało księciu bardzo *vieille France*²⁰⁷), kiedy każdy starał się sobie wyobrazić, jak list będzie zredagowany, i z łatwością znajdował pierwsze słowa: „Eminencjo” lub „Wasza Dostojność”, ale nie umiał wybrnąć z reszty, list Oriany ku zdumieniu wszystkich zaczynał się od: „Panie Kardynale”, z racji starego akademickiego obyczaju, lub od: „Mój Kuzynie”, ile że ten termin praktykowany był między książętami Kościoła, Guermantami i panującymi, przy czym prosili Boga, aby miał adresata „w swojej świętej i godnej pieczy”. Na to, by mówiono o „ostatnim pomysle Oriany”, wystarczyło, aby na przedstawieniu, gdzie był cały Paryż i gdzie grano bardzo ładną sztukę, kiedy szukano pani de Guermantes w łoży księżnej Parmy, księżnej Gilbertowej lub w tyłu innych łożach, do których ją proszono, odkryto ją samotnie, w czarnej sukni i w małym kapelusiku, w fotelu, gdzie siedziała już od *lever du rideau*²⁰⁸. „Lepiej stamtąd słyhać, więc skoro zdarza się sztuka, która jest tego warta...” — tłumaczyła się wobec zgorznięcia Courvoisierów, a zachwytu Guermantów i księżnej Parmy, którzy odkrywali nagle, że „styl” słuchania sztuki od początku jest bardziej nowy, wyraża więcej oryginalności i inteligencji (co nie mogło zbytnio dziwić ze strony Oriany) niż przychodzenie na ostatni akt po wielkim obiedzie oraz raucie odrobionym po drodze.

Takie były rozmaite rodzaje zdumienia, jakich księżna Parmy mogła się spodziewać, jeśli zagadnęła panią de Guermantes o jakąś kwestię światową lub literacką, co sprawiało, że podczas tych obiadów u księżnej Oriany jej królewska wysokość puszczała się na najbłahszy temat jedynie z niespokojną i zachwyconą ostrożnością osoby kąpiącej się przy silnej fali.

Wśród elementów odróżniających salon pani de Guermantes od paru innych mniej więcej równorzędnych i tworzących szczyty Faubourg Saint-Germain (jak Leibniz przyjmuje, że każda monada, odbijając cały wszechświat, przydaje mu coś osobistego) jeden z najmniej sympatycznych składników stanowiło zazwyczaj parę bardzo pięknych kobiet,

²⁰³ Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *season* (ang.) — pora roku; sezon. [przypis edytorski]

²⁰⁵ *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* — powieść przygodowa i fantastyczno-naukowa Juliusza Verne'a, wyd. 1869–1870. [przypis edytorski]

²⁰⁶ *odpowiedzieć imieniem* — tu: odpowiedzieć w imieniu. [przypis edytorski]

²⁰⁷ *vieille France* (fr.) — stara Francja. [przypis edytorski]

²⁰⁸ *lever du rideau* (fr.) — podniesienie kurtyny. [przypis edytorski]

niemających innego tytułu obecności prócz swojej urody i sposobu, w jaki z niej korzystał pan de Guermantes. Obecność ich zdradzała natychmiast — jak w innych salonach podejrzane obrazki — że w tym domu mąż jest gorącym miłośnikiem wdzięków niewieścich. Wszystkie te damy były do siebie trochę podobne, bo książę miał gust do kobiet dużych, majestatycznych i swobodnych zarazem, coś pośredniego między *Wenus miłoską*²⁰⁹ a *Wiktoria z Samotrake*²¹⁰; często blondynki, rzadko brunetki, czasem rude, jak najświeższa zdobycz znajdująca się na tym obiedzie, owa wicehrabina d'Arpajon, którą książę kochał tak namiętnie, że przez długi czas zmuszał ją do dziesięciu depesz dziennie (co trochę drażniło księżnę), korespondował z nią za pomocą gołębi pocztowych, kiedy był w Guermantes, i bez której przez długi czas tak był niezdolny się obejść, że pewnej zimy, którą musiał spędzić w Parmie, wracał co tydzień do Paryża, spędzając dwa dni w podróży, aby ją zobaczyć.

Zazwyczaj te piękne figurantki były kochankami księcia dawniej, ale nie były już nimi w tej chwili (to była właśnie sytuacja pani d'Arpajon) lub miały niebawem przestać być nimi. Może urok, jaki miała w ich oczach księżna Oriana, oraz nadzieja znalezienia się w jej salonie (mimo iż same należały do sfer bardzo arystokratycznych, ale drugoplanowych) kazały im, bardziej jeszcze niż uroda i hojność księcia, ulec jego pragnieniom. Zresztą księżna nie przeciwstawiała się absolutnie wpuszczeniu ich do swego domu; wiedziała, że w niejednej z tych kobiet znalazła sprzymierzeńca, że dzięki niej uzyskiwała tysiąc rzeczy, na które miała ochotę, a których pan de Guermantes odmawiał bezlitośnie żonie, póki nie był zakochany w innej. Toteż fakt, iż panie te dostawały się do salonu księżnej dopiero w późnej fazie swego miłosnego stosunku, tłumaczył się tym, że książę za każdym razem, kiedy się rzucił w wielką miłość, uważał to raczej za zwykłą miłośćkę, dla której zaproszenie do salonu żony zdawało mu się zbyt wysoką ceną. Zdarzało się zresztą, że ofiarowywał tę cenę za znacznie mniej; za pierwszy pocałunek, bo się spotkał z nieoczekiwanym oporem lub bo, przeciwnie, wcale nie znalazł oporu. Wdzięczność, chęć zrobienia przyjemności każą w miłości często obdarzać ponad to, co przyrzekły nadzieja i interes.

Ale wówczas ziszczeniu tego daru stawały na przeszkodzie inne okoliczności. Po pierwsze, wszystkie kobiety, które odwzajemniły miłość pana de Guermantes (czasem nawet zanim mu jeszcze uległy), były kolejno przez niego internowane. Nie pozwalał im widywać nikogo, spędzał przy nich prawie wszystek czas, zajmował się wychowaniem ich dzieci, którym czasami, jeżeli sądzić o tym z krzyżących podobieństw, zdarzało się księciu przydać brata lub siostrę. Następnie, o ile w początkach stosunku miłosnego zbliżenie z panią de Guermantes — bynajmniej niezamierzone przez księcia — odegrało jakąś rolę w intencjach kochanki, sam stosunek zmienił jej punkt widzenia; książę stawał się dla niej już nie mężem najmodniejszej kobiety w Paryżu, ale człowiekiem, którego świeża kochanka kochała; człowiekiem również, który często dostarczał jej środków zbytku oraz obudził zamięłowanie do zbytku; który przewrócił dawny porządek pierwszeństwa w sprawach snobizmu i interesu; czasami wreszcie wszelkiego rodzaju zazdrość o panią de Guermantes trawiła kochanki księcia. Ale ten wypadek był najrzadszy; zresztą, kiedy dzień prezentacji nadszedł wreszcie (zazwyczaj w chwili gdy dana osoba była już dość obojętna księciu, którego uczynki, jak bywa u wszystkich ludzi, częściej dyktowane były uczynkami poprzednimi niż właściwym bodźcem, który już nie istniał), zdarzało się często, że to pani de Guermantes pragnęła zbliżenia z kochanką, w której spodziewała się znaleźć ceną, a tak bardzo potrzebną aliantkę przeciw swemu straszliwemu małżonkowi. Nie znaczy to, aby — z wyjątkiem rzadkich chwil, w których kiedy księżna mówiła za dużo, księciu wymykały się w domu słowa, a zwłaszcza milczenia, które ją piorunowały — pan de Guermantes chybiał w stosunku do żony tak zwanym formom. Ludzie, którzy nie znali księstwa, mogliby się omylić. Czasami w jesieni, między wyścigami w Deauville, wodami a wyjazdem do Guermantes w okresie polowań, w czasie kilku tygodni, które

²⁰⁹ *Wenus miłoska*, dziś zwykle: *Wenus z Milo* — hellenistyczna marmurowa rzeźba z II w. p.n.e., przedstawiająca grecką boginię miłości Afrodytę (rzymska *Wenus*), znaleziona na wyspie Milos w 1820; od 1821 znajduje się w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

²¹⁰ *Wiktoria z Samotrake*, dziś zwykle: *Nike z Samotraki* — hellenistyczna marmurowa rzeźba z III lub II w. p.n.e., przedstawiająca uskrzydloną Nike, grecką boginię zwycięstwa, znaleziona w 1863 na wyspie Samotraka; od 1884 eksponowana w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

spędza się w Paryżu, książę towarzyszył żonie do *café-concert*, które lubiła. Publiczność spostrzegła natychmiast w jednej z owych łózek, gdzie jest miejsce tylko na dwoje, tego Herkulesa w „smokingu” (skoro we Francji daje się wszelkiej rzeczy, mniej lub więcej brytyjskiej, nazwę, jakiej ta rzecz nie nosi w Anglii), z monoklem w oku, puszczającego od czasu do czasu kłęb dymu z wielkiego cygara tkwiącego w grubej, ale pięknej ręce, na której obrączkowym palcu błyszczał szafir. Spojrzenie księcia zazwyczaj zwracało się ku scenie, ale kiedy je kierował na salę, gdzie nie znał zresztą absolutnie nikogo, łagodził je wyraz słodczy, dyskrecji, uprzejmości, poważania. Kiedy kuplet²¹¹ wydał mu się zabawny, a niezbyt sprośny, obracał się z uśmiechem do żony, aby, z wyrazem porozumiewawczej dobroci, podzielić z nią niewinną wesołość czerpaną z nowej piosenki. Kiedy księżna czuła się zmęczona, pan de Guermantes wstawał, podawał jej płaszcz, poprawiając naszyjniki, aby się nie zahaczyły o podszewkę, torował jej drogę z pełnymi szacunku względami, które ona przyjmowała z chłodem światowej lali, widzącej w tym jedynie prostą formę, czasem nawet z ironiczną nieco goryczą zawiedzionej małżonki, która nie ma już żadnych złudzeń; ale widzowie mogli przypuszczać, że nie ma w świecie lepszego męża niż książę ani osoby godniejszej zazdrości niż ta kobieta, poza którą on mieścił wszystkie zainteresowania swego życia, której nie kochał, której nigdy nie przestawał zdradzać. Mimo tych pozorów (będących inną fizjonomią owej grzeczności, która przesunęła obowiązki z głębi na powierzchnię w pewnej epoce już odległej, ale żywej jeszcze dla jej potomków) życie księżnej bywało ciężkie. Pan de Guermantes stawał się z powrotem szczodry i ludzki jedynie dla miłości nowej kochanki, która brała najczęściej stronę księżnej; znów otwierały się przed Orianą widoki hojności dla niższych, miłosierdzia dla ubogich, a nawet później, dla niej samej, nowego i wspaniałego samochodu. Nie znaczy to, aby kochanki księcia były zabezpieczone od irytacji rodzącej się zazwyczaj dość szybko w pani de Guermantes z oswojenia z osobami, które były w stosunku z nią nazbyt uległe. Niebawem księżna brzydziła je sobie. Otóż w tej chwili właśnie stosunek księcia z panią d'Arpajon zbliżał się ku końcowi. Nowa kochanka była na horyzoncie.

Niewątpliwie, miłość, jaką pan de Guermantes płonął kolejno do wszystkich tych kobiet, dochodziła pewnego dnia znów do głosu. Miłość ta, umierając, zapisywała te kobiety, niiby piękne marmury — piękne dla księcia, który stawał się w ten sposób po trosze artystą, ponieważ je niegdyś kochał, a teraz był wrażliwy na formy, których nie byłby ocenił bez miłości — grupujące w salonie księżnej swoje kształty, długo wrogie, pożerane zazdrościami i kłótniami, wreszcie pojednane w pokoju przyjaźni. I sama ta przyjaźń była następstwem miłości, która pozwoliła panu de Guermantes spostrzec w swoich kochankach przymioty istniejące w każdym człowieku, ale wyczuwalne jedynie dla rozkoszy; tak iż dawna kochanka, przeobrażona w „najlepszego kolegę, który zrobiłby dla nas wszystko”, jest istnym frazesem, jak lekarz lub ojciec niebędący lekarzem ani ojcem, ale przyjacielem. Ale w pierwszym okresie kobieta, którą pan de Guermantes zaczynał zaniedbywać, skarżyła się, robiła sceny, była wymagająca, niedyskretna, swarliwa. Książę zaczynał mieć jej dość. Wówczas pani de Guermantes miała możliwość wydobywać na światło prawdziwe lub urojone wady osoby, która ją drażniła. Znana ze swej dobroci, pani de Guermantes przyjmowała telefony, zwierzenia, lzy opuszczonej i nie skarżyła się na to. Śmiała się z tego z mężem, potem z paroma bliskimi; sądziła, iż współczucie, jakie okazuje nieszczęśliwej, daje jej prawo bawić się trochę jej kosztem, nawet w jej obecności. I za każdym odezwaniem się tej kobiety, o ile ono potwierdzało charakter śmieszności, w jaką oboje księstwo świeżo ją ustroił, pani de Guermantes, nie krępując się, wymieniała z mężem ironiczne i porozumiewawcze spojrzenia.

Siadając do stołu, księżna Parmy przypomniała sobie, że miała zaprosić do Opery księżnę d'Heudicourt; chcąc wiedzieć, czy to nie wystraszy Oriany, starała się ją wy badać.

W tej chwili wszedł pan de Grouchy, którego pociąg wskutek jakiegoś wypadku spóźnił się o godzinę. Wy tłumaczył się, jak mógł. Gdyby jego żona była z domu Courvoisier, umarłaby ze wstydu. Ale pani de Grouchy nie darmo była Guermantką. Kiedy mąż tłumaczył się ze spóźnienia, rzekła:

— Widzę, że spóźniać się nawet w drobnych rzeczach jest tradycją w waszej rodzinie.

²¹¹kuplet — żartobliwa, satyryczna piosenka o budowie zwrotkowej z wyrazistym refrenem, występująca jako element wodewilu i operetki a. samodzielna forma kabaretowa. [przypis edytorski]

— Siadaj, Grouchy, nie daj się zbić z pantalyku — rzekł książę.

— Idąc z duchem czasu, zmuszona jestem uznać, że bitwa pod Waterloo²¹² miała swoje dobre strony, skoro przywróciła Francji Burbonów, co więcej, w sposób, który im zapewnił niepopularność. Ale widzę, że pan jest prawdziwy Nemrod²¹³!

— Ustrzeliłem w istocie parę ładnych sztuk. Pozwolę sobie przesłać jutro książęcej tuzin bażantów.

Zdawało się, że jakaś myśl odbiła się w oczach pani de Guermites. Prosiła, aby pan de Grouchy nie trudził się przysyłaniem bażantów. Dając znak owemu zaręczonemu lokajowi, z którym rozmawiałem, wychodząc z sali z Elstirami, rzekła:

— Poullein, pojedziesz jutro po bażanty do pana hrabiego i przywieziesz je zaraz tutaj. Prawda, panie Grouchy, pan nie ma nic przeciw temu, abym zrobiła grzeczność paru osobom. Nie zjemy we dwójkę z Błażem dwunastu bażantów na raz.

— Ależ pojutrze zupełnie wystarczy — rzekł pan de Grouchy.

— Nie, wolę jutro — zdecydowała księżna.

Poullein zbladł: schadzka z narzeczoną spaliła na panewce. To wystarczyło, aby ściągnąć uwagę księżnej, która dbała, aby wszystko zachowało znamiona ludzkości.

— Wiem, że jutro jest twój wolny dzień — rzekła do Poulleina — zamienisz się po prostu z Jerzym, który wyjdzie jutro, a zostanie pojutrze.

Ale pojutrze narieczona Poulleina nie była wolna, nie zależało mu na tym dniu. Z chwilą gdy Poullein opuścił pokój, wszyscy zaczęli komplementować księżnę za jej dobroć dla służby.

— Ależ ja postępuję z nimi tylko tak, jak chciałabym, aby ludzie postępowali ze mną.

— Właśnie! To fakt, że oni mają tu dobre miejsca!

— Nie takie nadzwyczajne. Ale sądzę, że mnie lubią. Ten chłopak jest trochę nieznośny, bo jest zakochany; czuje się w obowiązku stroić melancholijne miny.

W tej chwili Poullein wrócił.

— W istocie — rzekł pan de Grouchy — nie robi wrażenia zbytniej pogody ducha. Z nimi trzeba być dobrym, ale nie za dobrym.

— Uznaję, że ja nie jestem tyranka; w ciągu całego dnia ma tylko pojechać po pańskie bażanty, siedzieć tu po próżnicy i zjeść swoją porcję.

— Dużo ludzi chciałoby być na jego miejscu — rzekł pan de Grouchy, bo zawiść jest ślepa.

— Oriano — rzekła księżna Parmy — miałam któregoś dnia wizytę twojej kuzynki d'Heudicourt; trzeba przyznać, że to jest kobieta o niepospolitej inteligencji; prawdziwa Guermites, to mówi wszystko; ale powiadają, że ma zły język.

Książę spojrział na żonę z rozmyslnym zdziwieniem. Pani de Guermites zaczęła się śmiać. Księżna Parmy spostrzegła to w końcu.

— Ależ... czy ty nie jesteś... mojego zdania?... — spytała, niespokojna.

— Doprawdy, jej wysokość jest zbyt łaskawa, aby się zajmować minami Błażeja. Słuchaj, Błażeju, nie podsuwaj złych myśli o naszych krewnych.

— Uważa, że jest taka zła? — spytała żywo księżna Parmy.

— Och, wcale nie. Nie wiem, kto waszej wysokości opowiedział, że ona ma zły język. To, przeciwnie, wyborna istota, która nigdy źle nie mówiła o nikim ani nie zrobiła nikomu nic złego.

— A! — rzekła księżna Parmy z ulgą. — Ja także nie zauważyłam niczego podobnego. Ale ponieważ wiem, że często trudno jest nie być trochę złośliwą, kiedy się jest tak dowcipną...

— Dowcipną? To chyba jeszcze mniej.

— Jeszcze mniej?... — spytała księżna Parmy, zdumiona.

— Słuchaj, Oriano — przerwał książę bolesciwym tonem, rzucając na prawo i lewo rozbawione spojrzenia — słyszysz przecie, jej wysokość powiada, że to jest kobieta niepospolita.

²¹²bitwa pod Waterloo (18 czerwca 1815) — stoczona na terenie Belgii ostatnia bitwa cesarza Napoleona Bonapartego, w której armia francuska została zniszczona przez koalicyjne wojska angielskie Wellingtona i wojska pruskie Blüchera; w wyniku klęski Napoleon abdykował, co zakończyło okres rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

²¹³Nemrod (bibl.) — biblijny prawnuk Noego, sławny myśliwy. [przypis edytorski]

— Czyż nie jest?...

— Jest co najmniej niepospolicie gruba.

— Niech go księżna nie słucha, on nie jest szczerzy, ona jest głupia jak gęś (gęś) — rzekła mocnym i zachrypłym głosem pani de Guermantes, która, jeszcze bardziej *vieille France* niż książkę, kiedy się na to nie siliła, starała się często przybierać ten ton, nie w przestarzałym stylu żabotów i koronek swego męża, ale w istocie o wiele subtelniejszy przez akcent niemal chłopski, mający ostrą i rozkoszną woń ziemi. — Ale to najlepsza kobieta pod słońcem. I nie wiem nawet, czy głupota w tym stopniu może się jeszcze nazywać głupotą. Nie sądzę, abym kiedy widziała coś podobnego: to *casus*²¹⁴ lekarski, coś patologicznego, rodzaj idiotki, kretynki, niedorozwiniętej, jak w melodramach albo jak w *Arlésienne*²¹⁵. Kiedy ona jest tutaj, pytam się zawsze, czy nadeszła chwila, w której jej inteligencja się zbudzi, co zawsze przeraża trochę.

Księżna Parmy była olśniona tymi określeniami, zarazem zdumiona wyrokiem:

— Cytowała mi, zarówno jak pani d'Épinay, twojego Takiniusza Pysznego. To rozkoszne — powiedziała.

Pan de Guermantes objaśnił ten dowcip. Miałem ochotę zwierzyć się mu, że jego brat, który twierdził, że mnie nie zna, czeka na mnie o jedenastej. Ale nie spytałem się Roberta, czy mogę mówić o tej schadzce, że zaś fakt, iż pan de Charlus niemal mi ją naznaczył, był w sprzeczności z tym, co powiedział księżnej, uznałem za właściwsze zachować milczenie.

— Takiniusz Pyszny jest niezły — rzekł pan de Guermantes — ale pani d'Heudicourt nie opowiedziała prawdopodobnie waszej wysokości czegoś o wiele ładniejszego, co Oriana powiedziała jej innym razem, w odpowiedzi na zaproszenie na śniadanie.

— Och, nie, proszę opowiedzieć!

— Słuchaj, Błażeju, siedź cicho; po pierwsze, to jest idiotyczne; księżna gotowa przypuszczać, że jestem jeszcze głupsza niż ta idiotka, moja kuzynka. A potem, nie wiem, czemu ja mówię: „moja kuzynka”. To jest kuzynka Błażeja. No, jest zarazem trochę i moją krewną.

— Och! — wykrzyknęła księżna Parmy przerażona myślą, że mogłaby uważać panią de Guermantes za głupią, i zaklinając się, że nic nie zdołałoby pozbawić Oriany miejsca, jakie zajmuje w jej podziwiewie.

— A przy tym jużemy jej odjęli zalety ducha; ponieważ ta anegdota grozi odjęciem jej niektórych zalet serca, wydaje mi się nie na czasie.

— „Grozi odjęciem”! „Nie na czasie”! Jak ona się dobrze wyraża! — rzekł książkę z udaną ironią, aby wzbudzić podziw dla Oriany.

— Słuchaj, Błażeju, nie kpj sobie ze swojej żony.

— Trzeba powiedzieć waszej królewskiej wysokości — podjął książkę — że kuzynka Oriany jest niepospolita, dobra, gruba, wszystko, co kto chce, ale nie jest specjalnie... jak by to powiedzieć... rozrzutna.

— Tak, wiem, jest straszliwa kutwa — wtrąciła księżna Parmy.

— Nie byłbym sobie pozwolił na to określenie, ale jej wysokość trafiła w sedno. To się wyraża w trybie jej domu, a w szczególności w jej kuchni, która jest wyborna, ale ściśle odmierzona.

— To daje nawet powód do scen dosyć komicznych — przerwał pan de Bréauté. — Wiesz, Błażeju, pojechałem raz do Heudicourt w dniu, gdy spodziewano się tam Oriany i ciebie. Poczyniono wspaniałe przygotowania, kiedy w ciągu popołudnia lokaj przyniósł depeszę, że nie przyjedziecie.

— To mnie nie dziwi — rzekła księżna Oriana, która nie tylko niełatwo się udzielała, ale lubiła, aby to wiedziano.

— Twoja kuzynka czyta telegram, martwi się, po czym natychmiast, nie tracąc przytomności umysłu i powiadając sobie, że nie potrzeba zbytecznych szyków dla faceta bez znaczenia jak ja, odwołuje lokaja: „Powiedz kucharzowi, żeby wstrzymał kurczętą”, krzyczy. A wieczorem słyszałem, jak pytała kamerdynera: „No i co, a resztki wczorajszej wółowiny? Nie podajecie ich?”.

²¹⁴*casus* (łac.) — przypadek; sprawa. [przypis edytorski]

²¹⁵*L'Arlésienne* (fr.) — *Arlieżjanka*, opowiadanie Alphonse Daudeta (1840–1897), francuskiego pisarza i poety z Prowansji; w 1872 przerobione przez autora na dramat, wystawiony z muzyką Georges'a Bizeta. [przypis edytorski]

— Zresztą trzeba przyznać, że strawa jest tam doskonała — rzekł książę, który sądził, iż używając tego wyrażenia, okaże się *ancien régime*. — Nie znam domu, gdzie jadłoby się lepiej.

— I mniej — przerwała księżna.

— To bardzo zdrowo i bardzo wystarczająco dla takiego prostaka jak ja; człowiek zachowuje apetyt.

— A, jeżeli kuracja, to co innego. Jest to niewątpliwie bardziej higieniczne niż luksusowe. Zresztą nie je się tam wcale tak dobrze — dodała pani de Guermantes, która nie bardzo lubiła, aby tytuł „najlepszej kuchni w Paryżu” przyznawano innej kuchni niż jej własnej. — Z moją kuzynką to jest po trosze tak jak z autorami cierpiącymi na obstrukcję²¹⁶, którzy rodzą co piętnaście lat jednoaktówkę lub sonet. Wówczas nazywa się to „małe arcydzieło”, istny „klejnocik”, słowem, rzecz, której najbardziej nie znoś. Kuchnia u Zenajdy nie jest zła, ale nie wydawałaby się tak wykwintna, gdyby była mniej oszczędna. Są rzeczy, które jej kucharz robi dobrze, i inne, które partoli. Trafiłam tam, jak gdzie indziej, na bardzo liche obiady, ale mniej mi zaszkodziły niż gdzie indziej, bo żołądek jest w gruncie wrażliwszy na ilość niż na jakość.

— Słowem — zakonkludował książę — Zenajda nalegała, aby Oriana przyszła do niej na śniadanie; że zaś żona nie bardzo lubi wychodzić z domu, broniła się, wypytywała, czy pod pozorem małego śniadania nie wpakują jej podstępnie w wielkie tralala, i starała się na próżno wywiedzieć, kto tam właściwie ma być. „Przyjdź, przyjdź — nalegała Zenajda, zachwalając menu. — Dostaniesz purée z kasztanów, paluszki lizać, a przedtem będzie siedem małych *bouchées à la reine*²¹⁷”. „Siedem! — krzyknęła Oriana — w takim razie będzie nas co najmniej ośmioro”.

Po upływie kilku chwil księżna Parmy, zrozumiałwszy, parsknęła śmiechem podobnym do grzmotu.

— A, „będzie nas ośmioro”, to cudowne! Jak to dobrze zredagowane! — rzekła, odnalazłszy w swojej ekstazie wyrażenie, którego użyła pani d'Épinay i które lepiej się nadało tym razem.

— Oriano, to bardzo ładne, co powiada jej wysokość; mówi, że to jest dobrze zredagowane.

— Ależ, mój drogi, nie powiadasz mi nic nowego; ja wiem, że księżna Parmy jest inteligentna — odparła pani de Guermantes, która łatwo uznawała jakieś powiedzenie, kiedy zarazem padło z ust królewskiej wysokość i podkreślało jej własny dowcip. — Jestem bardzo dumna, że jej wysokość aprobejuje moje skromne redakcje. Zresztą, nie przypominam sobie, abym to powiedziała. A jeżeli powiedziałam, to po to, aby pochlebić kuzynce, bo skoro ona powiedziała siedem *bouchées*²¹⁸, ilość gąb, o ile wolno się tak wyrazić, przekraczałyby dwanaście.

Tymczasem hrabina d'Arpajon, od której przed obiadem usłyszałem, że jej ciotka tak byłaby rada widzieć mnie u siebie w Normandii, mówiła mi teraz ponad głową księcia d'Agrigente, że bardzo by chciała ugościć mnie w Côte d'Or, bo tam, w Pont-le-Duc, ma swoją rodową siedzibę.

— Bardzo by pana zainteresowało archiwum zamkowe. Znajdują się w nim niesłychanie ciekawe zbiory listów pisanych przez najwybitniejsze osobistości siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Spędzam nad nimi cudowne godziny. Ja żyję przeszłością — zapewniła mnie hrabina, którą pan de Guermantes scharakteryzował mi jako wielką znawczynię literatury.

— Posiada wszystkie rękopisy pana de Bornier — podjęła księżna Parmy, która starała się zgromadzić słuszne racje, usprawiedliwiające jej zażyłość z panią d'Heudicourt.

— Musiało się jej przyśnić; sądzę, że go nawet nie znała — rzekła pani de Guermantes.

— Co jest zwłaszcza interesujące, to, że ta korespondencja pochodzi od ludzi z różnych krajów — dodała hrabina d'Arpajon, która, spokrewniona z pierwszymi domami książęcymi, a nawet panującymi Europy, szczęśliwa była, że może to przypomnieć.

²¹⁶obstrukcję (med.) — zatwardzenie. [przypis edytorski]

²¹⁷*bouchées à la reine* (fr.) — dosł.: przekąski królowej; paszteciki z ciasta francuskiego faszzerowane mięsem. [przypis edytorski]

²¹⁸*bouchée* (fr.) — kęs, kąsek. [przypis edytorski]

— Ależ tak, Oriano — rzekł pan de Guermantes nie bez intencji. — Przypominasz sobie ten obiad, na którym pan de Bornier²¹⁹ siedział koło ciebie.

— Ach, Błażeju — przerwała pani de Guermantes — jeżeli chcesz mi powiedzieć, że znała pana de Bornier, oczywiście, że go znałam, parę razy nawet odwiedził mnie, ale nigdy się nie mogłam zdobyć na to, aby go zaprosić, bo trzeba by mi za każdym razem dezynfekować salon formaliną. Co do tego obiadu, przypominam go sobie bardzo dobrze; to nie było wcale u Zenajdy, która w życiu nie widziała na oczy pana de Bornier i która musi przypuszczać, kiedy ktoś mówi o *Córce Rolanda*, że chodzi o księżniczkę Bonaparte, o której mówiono, że się zaręczyła z synem króla greckiego²²⁰; nie, to było w ambasadzie austriackiej. Przemily Hoyos myślał, że mnie uszczęśliwi, sadzając obok mnie tego zapowietrzonego akademika. Musiałam sobie zatykać nos, jak mogłam, przez cały obiad; odważyłam się odetchnąć aż przy rokforze²²¹.

Pan de Guermantes, który osiągnął swój tajemny cel, badał ukradkiem na twarzy gości efekt dowcipu żony.

— Korespondencja ma zresztą dla mnie szczególny urok — ciągnęła, oddzielona ode mnie twarzą księcia d'Agrigente, znawczyni literatury, posiadająca tak ciekawe listy w swoim zamku.

— Czyście państwo nie zauważyli, że listy pisarza są często więcej warte niż cała jego twórczość? Jakże się nazywał ten, co napisał *Salammbô*²²²?

Nie miałem ochoty odpowiedzieć, żeby nie przedłużać tej rozmowy, ale zdałem sobie sprawę, że dotknąłbym księcia d'Agrigente, który zrobił minę, jak gdyby doskonale wiedział, kto jest autorem *Salammbô*, i tylko przez grzeczność czekał, żebym to ja wymienił jego nazwisko, sam jednak zdradzał straszliwe zakłopotanie.

— Flaubert — odparłem wreszcie, ale przytakujący ruch głowy, jaki jednocześnie zrobił książę, sprawił, że powiedziałem to niewyraźnie i moja rozmówczyni sama nie wiedziała dokładnie, czy usłyszała Paul Bert, czy też Flaubert, i ani jedno, ani drugie nazwisko nie zadowoliło jej całkowicie.

— W każdym razie — powiedziała — jaka ciekawa jest ta korespondencja i o ile więcej warta od jego książek! Ona poza tym pozwala go zrozumieć, bo z tego, co on mówi o trudnościach, jakie miał przy pisaniu książek, widać, że to nie był prawdziwy pisarz, człowiek z talentem.

— Mówicie państwo o korespondencji, mnie się wydają urocze listy Gambetty — rzekła pani de Guermantes, która nie obawiała się interesować proletariuszem i radykałem.

Pan de Bréauté zrozumiał całą wartość tej odwagi, powiódł dokoła okiem równocześnie zamglonym i rozczulonym, po czym przetarł monokl.

— Mój Boże, to diabelnie nudne, ta *Córka Rolanda* — rzekł książę de Guermantes, który nadal tkwił przy panu de Bornier, z zadowoleniem, jakie mu dawało poczucie własnej wyższości nad dziełem, przy którym się tak nudził; może także przez *suave mari magno*²²³, jakiego doświadczamy przy dobrym obiedzie, wspominając sobie tak straszliwe wieczory. — Ale jest tam parę niezłych wierszy, jest poczucie narodowe.

Wtrąciłem, że się przynajmniej nie zachwyam panem de Bornier.

— A, ma pan coś przeciw niemu? — spytał ciekawie książę, który ilekroć się mówiło źle o mężczyźnie, przypuszczał, że to musi płynąć z jakiejś osobistej urazy, a kiedy dobrze o kobiecie, że to jest początek miłości. — Widzę, że pan go ma na wątrobce. Co on panu takiego zrobił? Niech nam pan to opowie. Ależ tak, musicie mieć z sobą na pieńku, skoro pan go krytykuje. To długie, ta *Córka Rolanda*, ale to ma swój zapaszek.

²¹⁹Bornier, Henri de (1825–1901) — francuski poeta i dramatopisarz; autor m.in. dramatu *La Fille de Roland* (*Córka Rolanda*, 1875). [przypis edytorski]

²²⁰księżniczkę Bonaparte, o której mówiono, że się zaręczyła z synem króla greckiego — Maria Bonaparte (1882–1962), jedyna córka księcia Rolanda Napoleona Bonaparte'go; od 1907 żona księcia Jerzego, syna greckiego króla Jerzego I. [przypis edytorski]

²²¹rokfor a. roquefort — gatunek owczego sera o ostrym smaku. [przypis edytorski]

²²²*Salammbô* (fr.), pol. *Salambo* — powieść Gustawa Flauberta z 1862, której akcja rozgrywa się podczas wojny Kartagińczyków z najemnikami w III w. p.n.e. [przypis edytorski]

²²³*suave mari magno* (łac.) — „miło wielkie morze” (wzburzone wichrem obserwowac z brzegu, patrząc na trudy żeglarsza), cytat z poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy* (*De rerum natura*) II, 1–2. [przypis edytorski]

— „Zapaszek” to dobrze powiedziane jak na tak pachnącego autora — przerwała ironicznie pani de Guermantes.

— Jeżeli nasz biedny mały znalazł się kiedyś w jego towarzystwie, dość zrozumiałe jest, że go ma w... nosie.

— Muszę się zresztą przyznać waszej wysokości — podjął książę, zwracając się do księżnej Parmy — że, pomijając *Córkę Rolanda*, ja jestem w literaturze, nawet w muzyce, straszliwie zacofany; nie ma tak starego rupiecia, który by mi się nie podobał. Nie uwierzyłaby księżna, ale wieczorem, kiedy żona siądzie do fortepianu, często zdarza mi się prosić ją o jakąś starą melodię Aubera, Boieldieu²²⁴, nawet Beethovena! Oto, co lubię! W zamian za to, co się tyczy Wagnera, ten usypia mnie natychmiast.

— Nie masz racji — rzekła pani de Guermantes. — Przy swoich niemożliwych dłużyznach Wagner miał rzeczy genialne. *Lohengrin* jest arcydziełem. Nawet w *Tristanie* znajdują się tu i ówdzie jakieś ciekawe momenty. A *Chór prządek z Latającego Holendra* to istne чудо.

— Prawda, Babal — rzekł pan de Guermantes, zwracając się do pana de Bréauté — my wolimy:

*Les rendez-vous de noble compagnie
Se donnent tous en ce charmant séjour.*²²⁵

— To urocz. A *Fra Diavolo*²²⁶, a *Flet zaczarowany*²²⁷, a *Chatka*²²⁸, a *Wesele Figara*²²⁹, a *Diamenty korony*²³⁰: oto muzyka! W literaturze tak samo. Na przykład ja uwielbiam Balzaca, *Bal w Sceaux*, *Mobikanie Paryża*²³¹.

— Och, mój drogi, jeżeli wsiądziesz na Balzaca, nie skończymy tak prędko. Wiesz, zachowaj to na dzień, kiedy będzie Mémé. On jest jeszcze lepszy, umie Balzaca na pamięć.

Zirytowany przerywaniem żony, książę wytrzymał ją parę chwil pod ogniem groźnego milczenia. I jego myśliwskie oczy robiły wrażenie pary nabitych pistoletów. Tymczasem pani d'Arpajon wymieniła z księżną Parmy, w przedmiocie poezji tragicznej i innej, poglądy, które doszły do mnie wyraźniej, dopiero kiedy usłyszałem, jak pani d'Arpajon mówi:

— Och, wszystko, co wasza wysokość zechce; przyznaję, że on nam pokazuje świat od brzydkiej strony, bo nie umie rozróżniać piękna i brzydoty, lub raczej, bo jego nieznośna próżność każe mu sądzić, iż wszystko, co mówi, jest piękne; godzę się z waszą wysokością, że w utworze, o którym mowa, są rzeczy śmieszne, niezrozumiałe, niesmaczne, że to jest trudne do zrozumienia, że to jest ciężkie do czytania, tak jakby było pisane po rosyjsku lub po chińsku, bo rzeczywiście tam jest wszystko z wyjątkiem francuskiego; ale kiedy sobie zadać ten trud, jakże się to oplaca: on ma tyle wyobraźni.

Nie słyszałem początku tej tyrady. Zrozumiałem w końcu nie tylko to, iż poetą „niezdolnym rozróżnić piękna od brzydoty” jest Wiktor Hugo, ale i to, że utworem tak trudnym do zrozumienia jak język rosyjski lub chiński jest:

Lorsque l'enfant paraît, le cercle de famille

²²⁴Boieldieu, François-Adrien (1775–1834) — francuski kompozytor, autor popularnych oper. [przypis edytorski]

²²⁵*Les rendez-vous de noble compagnie...* (fr.) — Wszystkie spotkania w szlacheckim towarzystwie odbywają się w tym uroczym miejscu (z opery komicznej *Le pré aux clercs* Ferdinanda Hérolda, z librettem François-Antoine-Eugène de Planarda, z 1832). [przypis edytorski]

²²⁶*Fra Diavolo* — opera komiczna z muzyką Daniela Aubera oraz librettem Eugène'a Scribe'a, z 1831. [przypis edytorski]

²²⁷*Flet zaczarowany* — dziś najczęściej: *Czarodziejski flet*, opera z niemieckim librettem Emanuela Schikanedera i muzyką Wolfganga Amadeusa Mozarta, z 1791. [przypis edytorski]

²²⁸*Chatka* — fr. *Le Chalet* (Chatka w górach), opera francuskiego kompozytora Adolpha Adama z librettem Eugène'a Scribe'a i Anne Honoré Josepha Mélesville'a, z 1834. [przypis edytorski]

²²⁹*Wesele Figara* — opera komiczna z 1786, z muzyką Wolfganga Amadeusza Mozarta i librettem Lorenza Da Ponte na podstawie sztuki Pierre'a Beaumarchais'go. [przypis edytorski]

²³⁰*Diamenty korony* — fr. *Les diamants de la couronne*, opera komiczna francuskiego kompozytora Daniela Aubera z librettem Eugène'a Scribe'a, z 1841. [przypis edytorski]

²³¹uwielbiam Balzaca, *Bal w Sceaux*, *Mobikanie Paryża* — *Bal w Sceaux* jest jednym z najbliższych drobiazgowów Balzaca, *Mobikanie Paryża* nie są Balzaca [to powieść Aleksandra Dumasa, wydawana w odcinkach w latach 1854–1859; red. WL]. [przypis tłumacza]

Utwór z pierwszej epoki poety, bliższy może pani Deshoulières²³³ niż Wiktora Hugo z *Legendy wieków*²³⁴. Daleki od tego, aby uważać panią d'Arpajon za śmieszna, ujrzałem ją (ją pierwszą przy tym stole, tak realnym, tak banalnym, gdzie usiadłem z takim rozczarowaniem), ujrzałem ją — oczami ducha — w koronkowym czepeczku, z którego wymykają się kręte pukle, jak je nosiły panie de Rémusat²³⁵, de Broglie²³⁶, de Saint-Aulaire²³⁷, wszystkie niepospolite kobiety, które w swoich uroczych listach tak uczenie i tak dorzecznie cytują Sofoklesa²³⁸, Schillera²³⁹ i *Naśladowanie Chrystusa*²⁴⁰, ale w których pierwsze poezje romantyków budziły owo przerażenie i znużenie, o jakie przyprawiły moją babkę ostatnie wiersze Mallarmégo²⁴¹.

— Pani d'Arpajon bardzo kocha poezję — rzekła do pani de Guermantes księżna Parmy, uderzona zapalem tej apostrofy²⁴².

— Nie, nie rozumie się na niej absolutnie nic — odparła cicho pani de Guermantes, która skorzystała z tego, że pani d'Arpajon, odpowiadając na jakieś obiekcje generała de Beautreillis, zbyt była zajęta własnymi słowami, aby słyszeć to, co szepcze Oriana. — Robi się literatką, odkąd została na lodzie. Powiem waszej wysokości, że to ja dźwigam ciężar tego wszystkiego, bo ona przychodzi płakać na moim łonie za każdym razem, kiedy Błażej nie był u niej, to znaczy prawie co dzień. Ostatecznie, to nie jest moja wina, jeżeli ona go nudzi; nie mogę go zmusić, żeby do niej chodził, mimo iż wolałabym raczej, żeby był jej trochę wierniejszy, bo wówczas widywałam ją trochę mniej. Ale ona go nudzi i nie ma w tym nic dziwnego. To nie jest zła osoba, ale jest nudna w stopniu, o jakim księżna nie może mieć pojęcia. Przyprawia mnie codziennie o takie bóle głowy, że za każdym razem muszę brać proszek piramidonu. A wszystko dlatego, że Błażewi przyszło do głowy zdradzać mnie z nią w ciągu roku. I mieć do tego lokaja, który zakochał się w podfruwajce i stroi miny, kiedy nie prosi tej młodej osoby, aby porzuciła na chwilę swój rentowny trotuar i przyszła do mnie na herbatę. Och, życie jest rozpaczliwe — zakończyła smętnie Oriana.

Pani d'Arpajon męczyła zwłaszcza księcia de Guermantes dlatego, że był od niedawna kochankiem innej; dowiedziałem się, że ową inną jest margrabina Surgis-le-Duc. Właśnie ów lokaj pozbawiony wychodnego podawał przy stole. I pomyślałem, że, jeszcze widać smutny, usługuje bardzo niepewnie, bo zauważyłem, że kiedy podawał panu de Châtellerault, wywiązywał się tak niezręcznie z zadania, że łokieć księcia kilka razy potrzącił łokieć służącego. Młody książę nie pognewał się bynajmniej na rumieniącego się

²³²*Lorsque l'enfant paraît...* (fr.) — Kiedy zjawia się dziecko, krąg rodzinny wiwatuje głośnie krzykami; początek wiersza *Kiedy zjawia się dziecko* z wczesnego tomu poezji Wiktora Hugo *Liście jesienne* (*Les Feuilles d'automne*, 1831). [przypis edytorski]

²³³*Deshoulières* a. *Des Houlières*, *Antoinette du Ligier de la Garde* (1638–1694) — poetka francuska, autorka listów, znana jako pani Deshoulières (*Madame Deshoulières*), dla odróżnienia od swojej córki Antoinette-Thérèse Deshoulières (1659–1718), także poetki, określanej jako panna Deshoulières (*Mademoiselle Deshoulières*). [przypis edytorski]

²³⁴*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

²³⁵*Rémusat*, *Claire Élisabeth Jeanne Gravier de Vergennes* de (1780–1821) — francuska pisarka i pamiętnikarka, dama dworu cesarzowej Józefiny. [przypis edytorski]

²³⁶*Broglie*, *Albertine de* (1797–1838) — córka pani de Staël, francuskiej publicystki i powieściopisarki, żona polityka Achillesa Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

²³⁷*pani de Saint-Aulaire* — Louise Charlotte Victoire de Grimoard de Beauvoir du Roure de Beaumont-Brison (1791–1874), która w 1806 poślubiła Louis-Clair de Beaupoila, hrabiego de Saint-Aulaire (1778–1854), szambelana Napoleona i członka Akademii Francuskiej (1841); autorka pamiętników wyd. w 1875. [przypis edytorski]

²³⁸*Sofokles* (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

²³⁹*Schiller*, *Friedrich* (1759–1805) — czołowy niemiecki poeta, dramatopisarz, teoretyk sztuki; przyjaciel Goethego; początkowo przedstawiciel preromantycznego nurtu burzy i naporu (niem. *Sturm und Drang*), później tworzył w stylu klasycznym; znany z dramatu historycznego (np. *Dziewica Orleańska*) i romantycznych ballad (np. *Rękawiczka*), a także z *Ody do radości* (1785). [przypis edytorski]

²⁴⁰*Naśladowanie Chrystusa*, właśc. *O naśladowaniu Chrystusa* (łac. *De imitatione Christi*) — bardzo popularna książka religijna, poradnik życia chrześcijańskiego, napisany ok. 1418–1427, przypisywany Tomaszowi à Kempis. [przypis edytorski]

²⁴¹*Mallarmé*, *Stéphane* (1842–1898) — francuski poeta, krytyk literacki, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli symbolizmu, uważany za prekursora liryki współczesnej. [przypis edytorski]

²⁴²*apostrofa* (z gr.) — tu: przemówienie do kogoś lub przeciw komuś. [przypis edytorski]

lokaja; przeciwnie, popatrzył na niego ze śmiechem swymi jasnoblękitnymi oczami. Ten dobry humor zdawał mu się dowodem dobroci. Ale uporczywość jego śmiechu kazała mi przypuszczać, że, świadomy goryczy służącego, czuje może, przeciwnie, złośliwą radość.

— Ależ, moja droga, wiesz, że to, co nam powiadasz o Wiktorze Hugo, to nie jest odkrycie — ciągnęła Oriana, zwracając się tym razem do pani d'Arpajon, która obróciła głowę z dosyć niespokojną miną. — Nie licz na ten zaszczyt, że lansujesz debiutanta. Wszyscy wiedzą, że on ma talent. Co jest okropne, to Wiktor Hugo z ostatnich lat, *Legenda wieków*, nie wiem już tytułów. Ale w *Jesiennych liściach*, w *Pieśniach zmierzchu* to jest często poeta, prawdziwy poeta. Nawet w *Kontemplacjach* — dodała księżna, której obecni nie śmieli przeczyć (i mieli po temu powody!) — są jeszcze ładne rzeczy. Ale przyznaję, że wolę już nie zapuszczać się w to po *Zmierzchu*! A przy tym w pięknych poezjach Wiktora Hugo, a są takie, spotyka się często myśl, nawet głęboką myśl.

I ze szczerym poczuciem, całą siłą intonacji uwypuklając melancholijną myśl, wyodrębniając ją niejako ze swego głosu i wlepiając przed siebie marzące i urocze spojrzenie, księżna powiedziała wolno:

— O, na przykład:

Ból to owoc, Bóg tego owocu nie rodzi
Na gałęzi zbyt wątłej jeszcze, by mu sprostać...²⁴³

albo to:

Umarli trwają krótko, krótko,
Niestety, w trumnie w pył się rozsypują
Mniej szybko niż w naszych sercach!²⁴⁴

I z uśmiechem rozczarowania, marszczącym wdzięcznie jej bolesne usta, księżna zwróciła na panią d'Arpajon marzące spojrzenie jasnych i czarujących oczu. Zaczynałem znać te oczy, zarówno jak jej głos, wlokący się tak ociężale, tak cierpko soczysty. W tych oczach i głosie odnajdywałem wiele z przyrody Combray. Z pewnością w afektacji, z jaką ten głos uwydatniał chwilami szorstkość ziemi, było wiele rzeczy: czysto prowincjonalne pochodzenie tej gałęzi Guermantów, która pozostała dłużej lokalna, śmielszej, dzikszej, bardziej wyzywającej; następnie nawyk ludzi naprawdę dystygowanych i inteligentnych, świadomych, że dystynkcja nie polega na cedzeniu słówek; a równocześnie coś z wielkich panów, chętniej fraternizujących ze swymi chłopami niż z mieszczaństwem. Królewskie stanowisko, jakie miała pani de Guermantes, łatwiej pozwoliło jej dawać wyraz tym cechom, podkreślać je. Zdaje się, że ten sam głos miały jej siostry, których nie cierpiała i które, mniej inteligentne i wydane za mąż prawie po mieszczańsku — jeżeli można się posłużyć tym przysłówkiem, gdy chodzi o pokątną arystokrację zagrzebaną gdzieś na prowincji albo w Paryżu w szarzynach Faubourg Saint-Germain — miały również ten głos, ale poskromiły go, poprawiły, złagodziły, ile mogły. Tak rzadko się zdarza, aby człowiek miał odwagę swojej oryginalności i nie siłił się upodobnić do najbardziej renomowanych wzorów! Ale Oriana była o tyle inteligentniejsza, bogatsza, zwłaszcza modniejsza od siostr, tak dobrze umiała, jako księżna des Laumes, zmienić swój salon w kwatery księcia Walii, iż zrozumiała, że te dysonanse jej głosu stanowią urok. Z całą odwagą oryginalności i sukcesu zrobiła w wielkim świecie z tego głosu to, co w teatrze jakaś Réjane²⁴⁵ lub Jeanne Granier²⁴⁶ (nie zestawiam tu zresztą wartości i talentu tych dwóch artystek) zrobiły ze swego; coś cudownego i odrębnego, co może siostry pań Réjane i Granier — na wieki nieznanie nikomu — próbowały pokryć jako wadę.

²⁴³Ból to owoc, Bóg tego owocu nie rodzi... — Wiktor Hugo, *Les contemplations* (Kontemplacje). [przypis edytorski]

²⁴⁴Umarli trwają krótko, krótko... — Wiktor Hugo, *À un voyageur* (Do podróżnego) z tomu poezji Wiktora Hugo *Les Feuilles d'automne* (Liście jesienne, 1831). [przypis edytorski]

²⁴⁵Réjane, Gabrielle (1856–1920) — jedna z najpopularniejszych francuskich aktorek początku XX w. [przypis edytorski]

²⁴⁶Granier, Jeanne (1853–1939) — francuska piosenkarka i aktorka, jedna z największych gwiazd muzyki w Paryżu. [przypis edytorski]

Do tyłu źródeł jej lokalnej oryginalności ulubieni pisarze pani de Guermantes — Mérimée²⁴⁷, Meilhac²⁴⁸ i Halévy²⁴⁹ — dodali, wraz z kultem prostoty, pasję prozajizmu, w której Oriana sięgała poezji, oraz czysto towarzyską swadę, która wskrzeszała dla mnie krajobrazy. Zresztą, bogacąc te wpływy inwencją artystki, księżna umiała dobrać dla większości słów wymowę, która jej się zdawała najbardziej „Ile-de-France”, najbardziej „Champagne”. Mimo iż nie tak całkowicie jak jej bratowa Marsantes, posługiwała się prawie wyłącznie czystym słownictwem, którego mógłby użyć stary autor francuski. I kiedy się było zmęczonym komplikacją i pstrokacizną współczesnej gwary, doznawało się — mimo iż wiedząc, że to słownictwo jest znacznie uboższe — uczucia wypoczynku, słuchając pani de Guermantes. Kiedy się z nią było sam na sam i kiedy ona jeszcze zwężyła i klarowała swój strumyczek, miało się to samo uczucie, co kiedy się słucha starej piosenki. Wówczas, patrząc na panią de Guermantes, słuchając jej, widziałem — uwięzione w wiekuistym i spokojnym popołudniu jej oczu — błękitne niebo Ile-de-France lub Szampanii, nachylone pod tym samym kątem co u Roberta de Saint-Loup.

Tak więc w tych różnych formacjach pani de Guermantes wyrażała równocześnie najstarszą feudalną Francję; następnie — o wiele później — sposób, w jaki księżna de Broglie mogłaby chwalić i ganić Wiktora Hugo za monarchii lipcowej²⁵⁰; wreszcie żywe poczucie literackie zrodzone z Mériméego i Meilhaca. Pierwsza z tych formacji bardziej mi się podobała od drugiej, lepiej mogła mi wynagrodzić zawody podróży i przybycia do tego Faubourg Saint-Germain, tak odmiennego od moich nadziei; ale wołałem jeszcze drugą od trzeciej. Otóż, o ile pani de Guermantes była Guermantes prawie mimo woli, jej „pailleronizm”²⁵¹, jej admiracja dla Dumasa-syna²⁵² były rozmyślnie i dobrowolne. Ponieważ ten smak był całkowicie sprzeczny z moim, księżna zasilala moją inteligencję literacko, kiedy mówiła o Faubourg Saint-Germain, nigdy zaś nie wydawała mi się równie głupio „Faubourg Saint-Germain”, co kiedy mówiła o literaturze.

Wzruszona ostatnimi wierszami, pani d’Arpajon wykrzyknęła:

Serca relikwie też mają swe prochy!²⁵³

— Musi mi to książkę wypisać na wachlarzu — rzekła do pana de Guermantes.
— Biedna kobieta, żal mi jej! — szepnęła księżna Parmy do pani de Guermantes.
— Nie, niech się księżna nie rozczula; ma tylko to, na co zasłużyła.
— Ale... przepraszam, że tobie to mówię... ale ona go naprawdę kocha!
— Ale wcale nie, niezdolna jest do tego; myśli, że kocha, tak jak myśli w tej chwili, że cytuje Wiktora Hugo, dlatego że przytoczyła wiersz Musseta. Och — dodała księżna melancholijnym tonem — nikt bardziej ode mnie nie wzruszyłby się prawdziwym uczuciem. Ale ja dam księżnej przykład. Wczoraj zrobiła Błażejowi straszliwą scenę. Wasza wysokość myśli może, że to dlatego, że on kocha inną, że już nie kocha jej; wcale nie: dlatego, że nie chce przedstawić jej synów do Jockey Clubu! Czy wasza wysokość sądzi, że tak postępuje kochająca kobieta? Nie, ja powiem więcej — zakonkludowała pani de Guermantes — to jest osoba o rzadkim braku serca.

Tymczasem pan de Guermantes z okiem błyszczącym radością słuchał, jak żona mówi *ex abrupto*²⁵⁴ o Wiktorze Hugo i cytuje zeń parę wierszy. Mimo iż Oriana drażniła go często, w takich chwilach był z niej dumny. „Oriana jest doprawdy nadzwyczajna. Może

²⁴⁷ Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz. [przypis edytorski]

²⁴⁸ Meilhac, Henri (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

²⁴⁹ Halévy, Ludovic (1834–1908) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor sztuk teatralnych i librett operetkowych, współpracował z Henrim Meilhakiem. [przypis edytorski]

²⁵⁰ monarchia lipcowa (1830–1848) — monarchia konstytucyjna we Francji za panowania króla Ludwika Filipa I, okres od obalenia Karola X przez rewolucję lipcową i ogłoszenia Ludwika Filipa królem Francuzów do rewolucji lutowej, która wprowadziła ustrój republikański. [przypis edytorski]

²⁵¹ pailleronizm (neol.) — cechy typowe dla twórczości Edouarda Paillerona (1834–1899), francuskiego poety i dramatopisarza, autora satyrycznych komedii obyczajowych, m.in. bardzo popularnej sztuki *Le Monde où l’on s’ennuie* (1881), wyśmiewającej klasę wyższą. [przypis edytorski]

²⁵² Dumas, Alexandre, syn (1824–1895) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor powieści obyczajowych, komedii moralistycznych. [przypis edytorski]

²⁵³ Serca relikwie też mają swe prochy! — Alfred de Musset, *La Nuit d’octobre* (Noc październikowa). [przypis edytorski]

²⁵⁴ *ex abrupto* (łac.) — bez przygotowania, od razu, nagle. [przypis edytorski]

mówić o wszystkim, wszystko czytała. Nie mogła przecież zgadnąć, że rozmowa zejdzie dziś na Wiktora Hugo. Na jaki bądź temat ją zagadnąć, gotowa jest; może stawić czoło najuczciwsiemu. Ten młody człowiek musi być olśniony”.

— Ale odmieńmy rozmowę — szepnęła pani de Guermantes do księżnej Parmy — bo ona jest strasznie podejrzliwa. Musi mnie pan znajdować bardzo niemodną — rzekła, zwracając się do mnie — ja wiem, że to dziś uchodzi za słabość kochać w poezji idee, poezję, w której jest myśl.

— Niemodne? — rzekła księżna Parmy z lekkim dreszczykiem, o jaki ją przyprawiała ta nowa fala, której się nie spodziewała, mimo iż wiedziała, że rozmowa Oriany gotuje jej zawsze te kolejne i rozkoszne uderzenia, te zapierające oddech wstrząsy, to zdrowe znużenie, po których instynktownie przychodziła jej ochota na kąpiel nożną i na szybki spacer „dla wywołania reakcji”.

— Co się mnie tyczy, nie, Oriano — rzekła pani de Brissac — ja nie mam pretensji do Wiktora Hugo, że ma idee, przeciwnie; raczej o to, że ich szuka w tym, co jest potworne. W gruncie rzeczy to nas przyzwyczaił do szpetoty w literaturze. Dostatek już jest brzydkich rzeczy w życiu. Czemu nie zapomnieć o nich bodaj wówczas, gdy czytamy? Przykry widok, od którego odwróciłibyśmy oczy w życiu, oto, co pociąga Wiktora Hugo.

— Wiktor Hugo nie jest przecież tak realistyczny jak Zola? — spytała księżna Parmy.

Nazwisko Zoli nie poruszyło ani jednego mięśnia w twarzy pana de Beautreillis. Antydreyfusizm generała był zbyt głęboki, aby czuł potrzebę wypowiedzania się. I życzliwe milczenie generała, kiedy ktoś poruszył owe tematy, ujmowało profanów tą samą delikatnością, jaką okazuje ksiądz, nie mówiąc nam o obowiązkach religijnych, finansista starający się nie zachwalać interesów, które prowadzi, siłacz okazując się łagodnym i nie częstując nas pięścią.

— Wiem, że pan jest krewny admirała Jurien de la Gravière²⁵⁵ — rzekła do mnie ze świadomą miną pani de Varambon, dama dworu księżnej Parmy, kobieta zacna, ale ograniczona, ulokowana u księżnej Parmy niegdyś przez matkę pana de Guermantes. To były jej pierwsze słowa do mnie; i nigdy później, mimo upomnień księżnej Parmy i własnych moich protestów, nie mogłem jej wytłumaczyć, że nie mam absolutnie nic wspólnego z admirałem-akademikiem, którego nawet nie znałem. Upór tej damy dworu, aby we mnie widzieć bratanek admirała, miał coś komicznego. Ale błąd jej był jedynie krańcowym i schematycznym typem tylu lżejszych, delikatniejszych, mimowolnych lub rozmyślnych błędów towarzyszących naszemu nazwisku w „fiszce”, jaką świat z nas sporządza. Przypominam sobie, że pewien przyjaciel Guermantów, objawiwszy żywą chęć poznania mnie, podał mi jako przyczynę fakt, że ja bardzo dobrze znam jego kuzynkę, panią de Chaussegros: „Uroczą jest, przepada za panem”. Przez czczy zaiste skrupułem czułem się w obowiązku stwierdzić, że zachodzi pomyłka, że ja nie znam pani de Chaussegros. „W takim razie zna pan jej siostrę, to na jedno wychodzi. Spotkała pana w Szkocji”. Nigdy nie byłem w Szkocji i przez uczciwość starałem się to daremnie wytłumaczyć owemu panu. To sama pani de Chaussegros powiedziała mu, że mnie zna, i wierzyła w to z pewnością szczerze, na skutek jakiejś pierwotnej omyłki, bo zawsze wyciągała do mnie rękę, ilekroć mnie spotkała. Że zaś w sumie świat, w którym bywałem, był ten sam, co świat pani de Chaussegros, pokora moja była ni w pięć, ni w dziewięć. To, że żyłem blisko z Chaussegrosami, było omyłką; ale z towarzyskiego punktu widzenia było ekwiwalentem mojej sytuacji, o ile można mówić o „sytuacji” tak młodego człowieka, jakim byłem wówczas. Mimo zatem iż przyjaciel Guermantów opowiadał o mnie same rzeczy fałszywe, nie obniżył mnie ani mnie nie wywyższył (ze światowego punktu widzenia) w pojęciu, jakie nadal sobie tworzył o mnie.

W sumie dla tych, co nie grają w teatrze, nuda pędzenia życia wciąż w jednej osobowości rozprasza się na chwilę — tak jakby się wstąpiło na deski sceniczne — kiedy inna osoba stworzy sobie o nas fałszywe pojęcie, uwierzy, że jesteśmy blisko z jakąś damą, której wcale nie znamy, i że stwierdzone jest, żeśmy ją poznali w czasie ślicznej podróży, którejśmy nigdy nie odbyli. Takie błędy bogacą życie, uroczą są, o ile nie posiadają niewzruszonej sztywności błędu, jaki popełniała i miała popełniać całe życie idiotyczna

²⁵⁵Jurien de La Gravière, Edmond (1812–1892) — francuski admirał, autor obszernych prac dotyczących historii marynarki wojennej; członek Akademii Francuskiej (1866). [przypis edytorski]

dama dworu księżnej Parmy, skostniała na zawsze w przeświadczeniu, że ja jestem krewnym nudnego admirała Jurien de la Gravière.

— Ona nie jest zanadto mądra — rzekł do mnie książę — a przy tym nie trzeba jej zbyt wielu libacji, sądzę, że jest leciutko pod znakiem Bachusa²⁵⁶.

W rzeczywistości pani de Varambon piła tylko wodę, ale książę lubił lokować swoje ulubione wyrażenia.

— Ależ, wasza wysokość, Zola nie jest realistą, to poeta! — rzekła pani de Guermantes, czerpiąc natchnienie i w studiach krytycznych, czytanych w ciągu ostatnich lat, i zaprawiając je osobistym akcentem.

Księżna Parmy, przyjemnie wstrząsana dotąd, w czasie pełnej wzruszeń kąpieli duchowej, jaką brała tego wieczora, uważając ją dla siebie za szczególnie zbawienną, dając się nieść paradoksom, które rozbryzgiwały się jeden po drugim, tu, wobec tego paradoksu potworniejszego od innych, aż skoczyła z obawy, aby jej fala nie przewróciła. I przerywanym głosem, tak jakby traciła oddech, rzekła:

— Zola poetą!

— Ależ tak — rzekła, śmiejąc się księżna, uszczęśliwiona tą zadyszka. — Niech wasza wysokość zauważy, jak on wyolbrzymia wszystko, czego dotknie. Powie mi księżna, że on dotyka jedynie tego, co... przynosi szczęście! Ale robi z tego coś olbrzymiego: to epik gnojówki, Homer kloaki! Nigdy mu dość wielkich liter, aby wypisać słowo generała Cambronne²⁵⁷.

Mimo ogromnego zmęczenia, jakie zaczynała odczuwać, księżna Parmy była zachwycona; nigdy się nie czuła lepiej. Tych boskich obiadów, które pani de Guermantes uczyniła czymś tak tonizującym od nadmiaru soli, nie oddałaby za pobyt w Schönbrunn²⁵⁸, jedyną rzecz, która jej pochlebiała.

— Pisz je przez wielkie „C” — wykrzyknęła pani d’Arpajon.

— Raczej, sądzę, przez wielkie „G”, kochanie — odparła pani de Guermantes, wymieniając równocześnie z mężem wesołe spojrzenie, mające znaczyć: „Czy nie idiotka?” — O właśnie — rzekła do mnie pani de Guermantes, darząc mnie uśmiechniętym i słodkim spojrzeniem, i dlatego że jako doskonała gospodyni domu chciała okazać swoją wiedzę w przedmiocie artysty, który mnie szczególnie interesował, i aby mi dać w potrzebie sposobność okazania mojej wiedzy — o — rzekła, poruszając lekko wachlarzem z piór, tak była świadoma w tej chwili, że wykonuje w całej pełni obowiązki gościnności, i aby nie chybić żadnemu z nich, dała znak, aby mi jeszcze raz podano szparagi *sauce mousseline*²⁵⁹ — o, zdaje mi się, że właśnie Zola napisał studium o Elstirze, tym malarzu, którego obrazy oglądał pan przed chwilą; jedyne zresztą obrazy tego malarza, które lubię — dodała.

W rzeczywistości księżna Oriana nie cierpiała malarstwa Elstira; ale uważała za cenne i jedyne wszystko, co się znajdowało w jej domu. Spytałem pana de Guermantes, czy zna nazwisko owego pana figurującego w cylindrze na zabawie ludowej: utożsamilem go z panem, którego Guermantowie posiadali tuż obok wielki portret, datujący się mniej więcej z tej samej epoki, kiedy indywidualność Elstira nie wyraziła się jeszcze całkowicie i pozostawała nieco pod wpływem Maneta.

— Mój Boże — odparł — wiem, że to jest człowiek do pewnego stopnia znany i niepozbawiony talentu w swojej specjalności, ale doprawdy nie mam pamięci do nazwisk. Mam go na końcu języka; pan... pan... ostatecznie, pał sześć, nie pamiętam. Swann by to panu powiedział; to Swann namówił moją żonę na kupno tych rzeczy, a Oriana jest zawsze zbyt uprzejma, zanadto się boi urazić kogoś, jeżeli odmówi; mówiąc między nami, sądzę, że kochany Swann ubrał nas w tęgie knoty. Tyle mogę panu powiedzieć, że ten jegomość był dla Elstira czymś w rodzaju mecenasa, lansował go i niejeden raz wydobyl go z tarapatów, zamawiając u niego płótna. Przez wdzięczność (jeżeli pan to nazwie

²⁵⁶Bachus (mit. rzym.) — bóg winnej latorośli i wina. [przypis edytorski]

²⁵⁷Cambronne, Pierre (1770–1842) — francuski generał wojen napoleońskich; wg tradycji podczas bitwy pod Waterloo na propozycję poddania się miał odpowiedzieć: „Gwardia umiera, ale nie się poddaje”, według innej wersji odpowiedział jednym wulgarnym słowem: „Merde!”, tj. „gówno”; we Francji funkcjonuje do dziś określenie *mot de Cambronne* (słowo Cambronne’a). [przypis edytorski]

²⁵⁸Schönbrunn — pałac wraz z parkiem w Wiedniu, powstały na przełomie XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

²⁵⁹*sauce mousseline* (fr.) — sos muslinowy: sos holenderski (emulsja żółtek jaj i masła) z dodatkiem bitej śmietany; podawany do szparagów. [przypis edytorski]

wdzięcznością, to zależy od gustu) malarz wpakował go w ten interes, gdzie wystrojony jak łyk na niedzielę, robi dosyć zabawne wrażenie. To może być bardzo tęgi fachowiec, ale najoczywściej nie wie, w jakich okolicznościach wkłada się cylinder. Sam jeden w tym cylindrze, pośród tych wszystkich dziewcząt bez kapeluszy, robi wrażenie prowincjonalnego rejenta, który się puszcza. Ale ja widzę, że pan jest bardzo bity w tych obrazach. Gdybym wiedział, byłbym się i ja obkuł, żeby panu móc stawiać czoło. Zresztą, dla zgłębienia malarstwa pana Elstir nie ma co się zapuszczać tak głęboko, co gdyby chodziło o *Źródło Ingres* lub o *Dzieci Edwarda* pana Delaroche²⁶⁰. Ot, można przyznać, że to jest zręcznie pochwycone, sprytnie, paryskie i... do widzenia! Nie ma potrzeby być erudytą²⁶¹, aby to oglądać. Wiem, że to są proste szkice, ale nie wydaje mi się, aby to było dość wypracowane. Swann miał ten tupet, że chciał nam wmówić jakąś *Wiązkę szparagów*. Stały nawet tutaj te szparagi przez kilka dni. Było na obrazie tylko tyle: wiązka szparagów, ściśle podobna do tych, które właśnie pan łyka. Ale ja nie połknąłem szparagów pana Elstir. Żądał za nie trzysta franków. Trzysta franków wiązka szparagów! Jednego ludwika, oto co mogą być warte, nawet jako nowalia! To był za gruby kawał. A skoro do tych rzeczy dodaje figury, osoby, nabiera to jakiegoś akcentu gminnego, pesymistycznego, którego nie lubię. Dziwi mnie, że człowiek tak subtelny, umysł tak wyborny jak pański, ceni te rzeczy.

— Doprawdy nie wiem, czemu ty to mówisz, Błażeju — rzekła księżna, która nie lubiła, aby deprecjonowano coś, co się mieściło w jej salonach. — Daleka jestem od uznawania bez różnicy wszystkiego w obrazach Elstira. Trzeba umieć wybierać. Ale to nie zawsze jest bez talentu. I trzeba przyznać, że te rzeczy, które ja kupiłam, są rzadkiej piękności.

— Oriano, w tym rodzaju wolę tysiąc razy małe studium pana Vibert²⁶², któreśmy oglądali na wystawie akwarelistów. To drobiazg, przyznaję, zmieściłby się w tej dłoni, ale jest w tym sens, myśl! Ten misjonarz chudy jak szkielec, brudny, obok tego tłusciutkiego pralata, który bawi się z piaskiem, to cały poemacik finezji, nawet głębi.

— Zdaje się, że pan zna pana Elstir — rzekła do mnie księżna. — Jako człowiek jest miły.

— Nawet inteligentny — rzekł książę. — Kiedy się z nim rozmawia, człowiek dziwi się, że jego malarstwo jest takie pospolite.

— Jest więcej niż inteligentny, jest nawet wcale dowcipny — rzekła księżna z wyrazem smakosza.

— Czy nie zaczął twojego portretu, Oriano? — spytała księżna Parmy.

— Tak, na czerwono *à la rak* — odparła pani de Guermantes. — Ale nie to przekaże jego imię potomności. To ohyda, Błażej chciał to zniszczyć.

Zdanie to powtarzała pani de Guermantes często. Ale kiedy indziej sąd jej bywał inny. „Nie lubię jego malarstwa, ale swego czasu zrobił mój ładny portret”. Jeden z tych sądów zwracał się zwykle do osób, które wspominały księżnej o jej portrecie, drugi do osób, które jej o nim nie mówiły, a które chciała powiadomić o jego istnieniu. Pierwszy jej sąd rodziła kokieteria, drugi próżność.

— Zrobić ohydę z twojego portretu! Ależ w takim razie to nie portret, to kłamstwo: ja, która ledwie umiem trzymać pędzel w ręce, mam wrażenie, że gdybym cię malowała, po prostu oddając to, co widzę, zrobiłabym arcydzieło — rzekła naiwnie księżna Parmy.

— Widzi mnie zapewne tak, jak ja widzę siebie, to znaczy wyprutą z wdzięku — rzekła pani de Guermantes ze spojrzeniem zarazem melancholijnym, skromnym i przymilnym, najspodobniejszym, aby ją pokazać inną, niż to uczynił Elstir.

— Ten portret musi się dosyć podobać pani de Gallardon — rzekł książę.

— Dlatego że się nie zna na malarstwie? — spytała księżna Parmy, która wiedziała, że Oriana ma liche pojęcie o kuzynce. — Ale to dobra kobieta, nieprawdaż?

Książę de Guermantes przybrał wyraz głębokiego zdumienia.

— Ależ, Błażeju, czy nie widzisz, że jej wysokość żartuje sobie z ciebie (jej wysokości ani się śniło). Wie równie dobrze jak ty, że Gallardonka to stara żmija — odparła

²⁶⁰ Delaroche, Paul (1797–1856) — francuski malarz, przedstawiciel akademizmu. [przypis edytorski]

²⁶¹ erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

²⁶² Vibert, Jehan Georges (1840–1902) — francuski malarz akademicki. [przypis edytorski]

pani de Guermites, której słownik, zazwyczaj ograniczony do wszystkich tych antycznych wyrażen, był smaczny jak owe dostępne w rozkosznych książkach Pampille'a²⁶³, ale w rzeczywistości dziś tak rzadkie potrawy, gdzie auszpik, masło, sok z mięsa, pulpety są autentyczne, bez żadnej podejrzonej domieszki, a nawet sól sprowadza się ze słonych bagien Bretanii; z akcentu, z doboru słów czuło się, że grunt rozmowy księżnej pochodzi wprost z Guermites. Przez to księżna różniła się głęboko od swego siostrzeńca Saint-Loup, zarażonego tyłoma nowymi pojęciami i wyrażeniami; trudno jest, kiedy się jest zmaconym ideami Kanta i nostalgią Baudelaire'a²⁶⁴, pisać wyborną francuszczyzną z czasu Henryka IV, tak iż sama czystość mowy księżnej była znakiem ograniczenia oraz tego, że inteligencja i wrażliwość pozostały w niej zamknięte dla wszystkich nowości. Umysłowość pani de Guermites podobała mi się i przez to, co wykluczała (a co było właśnie substancją mojej własnej myśli), i przez to wszystko, co właśnie z tej przyczyny mogła zachować, tę powabną krzepkość gibkiego ciała, której nie skaziła żadna wyczerpująca refleksja, żadna troska moralna ani zaburzenie nerwowe. Dusza jej, formacją o tyle dawniejsza od mojej, była dla mnie czymś bliskim tego, co mi dał chód dziewcząt z „małej bandy” nad brzegiem morza. Pani de Guermites ukazywała mi — obłaskawione i ujarzmione przez uprzejmość, przez kult walorów duchowych — energię i wdzięk okrutnej dziewczynki wielkiego rodu z okolic Combray, która od dzieciństwa dosiadała konia, łamała krzyże kotom, wylupiała oczy królikom i równie dobrze jak została kwiatem cnoty, mogła (tak dalece posiadała ten sam typ elegancji) zostać, sporo lat przedtem, najświetniejszą kochanką księcia de Sagan²⁶⁵. Ale niezdolna była pojąć, czego w niej szukałem — uroku nazwy „Guermites” — i tej prowincjonalnej resztki Guermites, którą w niej znalazłem. Nasze stosunki wspierały się na nieporozumieniu, które musiałyby się ujawnić, z chwilą gdy moje hołdy zamiast się zwracać do kobiety stosunkowo wyższej, za jaką uważała się księżna, skierowałyby się do jakiejś innej, równie miernej, a wydzielającej ten sam bezwiedny czar. To tak naturalne nieporozumienie zawsze będzie istniało między młodym marzycielem a światową kobietą; ale jest mu ono bolesne, dopóki jeszcze nie pojął charakteru swojej wyobraźni i nie pogodził się z nieuniknionymi zawodami, jakich musi doznawać w stosunkach z ludźmi, podobnie jak w teatrze, w podróży, nawet w miłości.

Pan de Guermites oświadczył (dalszy ciąg szparagów Elstira i tych, które właśnie podano po kurczętach *financière*), że szparagi zielone, wyrosłe na powietrzu i — jak zabawnie powiedział uroczy autor podpisujący się: „E. de Clermont-Tonnerre”²⁶⁶ — „nie-mające niepokojącej sztywności swoich braci”, powinno się jeść z jajkami.

— To, co się podoba jednym, nie podoba się drugim, i *vice versa* — odparł pan de Bréauté. — W prowincji Kantonu w Chinach nie mogą wam ofiarować delikatniejszej uczy niż kompletnie zgniłe jajka ortolana²⁶⁷.

Pan de Bréauté, autor studium o mormonach²⁶⁸ w „Revue des Deux Mondes”, był jedynie w najwyższej arystokracji, ale wśród niej był jedynie w sferach posiadających pewną renomę inteligencji. Tak iż po jego wizytach (przynajmniej częstych) u jakiejś kobiety poznawało się, czy ona ma „salon”. Utrzymywał, że nie cierpi świata, i zapewniał oddzielnie każdą diuszese, że jeżeli szuka jej towarzystwa, to dla jej inteligencji i urody. Wszystkie były o tym przekonane. Za każdym razem kiedy, z rozpaczą w duszy, decydował się iść na wielki raut do księżnej Parmy, zwoływał wszystkie te panie, aby mu dodawały odwagi, tak iż nie pojawiał się inaczej, jak w intymnym kółku. Chcąc, aby reputacja intelektualisty przetrwała jego światowość, stosował pewne zasady „ducha Guermitów”:

²⁶³ Pampille (pseud.), właśc. *Marthe Allard Daudet* (1878–1960) — autorka książki kucharskiej *Les Bons plats de France. Cuisine régionale* (Dobre dania Francji. Kuchnia regionalna), wyd. w 1913. [przypis edytorski]

²⁶⁴ Baudelaire, *Charles* (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, dekadent; uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”; jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytucja, życie marginesu społecznego itd. [przypis edytorski]

²⁶⁵ *Boson de Talleyrand-Périgord, książę de Sagan (Żagania)* (1859–1937) — słynny francuski salonowiec; w 1858 poślubił Jeanne Seillière (1839–1905), która zaszłyła z wdzięku i wpływów we francuskim życiu towarzyskim XIX w. [przypis edytorski]

²⁶⁶ *Élisabeth de Gramont, księżna Clermont-Tonnerre* (1875–1954) — francuska pisarka. [przypis edytorski]

²⁶⁷ *ortolan* — mały ptak wędrowny z rodziny trznadli. [przypis edytorski]

²⁶⁸ *mormoni* — członkowie wspólnoty religijnej powstałej w poł. XIX w. w Stanach Zjednoczonych w wyniku działalności Josepha Smitha, uznawanego przez wiernych za proroka. [przypis edytorski]

puszczał się na przykład w towarzystwie wytwornych dam w karnawale na długie podróże naukowe; a kiedy jakaś snobka, tym samym osoba niemająca jeszcze sytuacji, zaczynała szeroko „bywać”, wkładał dziki upór w to, aby się z nią nie zapoznać, aby się jej nie dać przedstawić. Nienawiść pana de Bréauté do snobów płynęła z jego snobizmu, ale pozwalała wierzyć naiwnym — to znaczy całemu światu — że jest wolny od tej przywary.

— Babal wie zawsze wszystko! — wykrzyknęła pani de Guermantes. — Uroczy wydaje mi się ten kraj, gdzie ludzie chcą mieć gwarancję, że im mleczarz sprzedaje jajka dostatecznie zgniłe, jajka z roku komety. Widzę się w Chinach, jak w tym maczam swoją bułeczkę z masłem. Muszę powiedzieć, że to się zdarza u ciotki Magdaleny (pani de Villeparisis) podają tam rzeczy kompletnie zgniłe, nawet jajka. (Tu pani d’Arpajon okrzyknęła się). Ależ daj spokój, Fili, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kurczątka już się lęgnie. Nie wiem nawet, jak one mogą tak grzecznie wysiedzieć. To nie jest omlet, ale kurnik, ale przynajmniej nie mówi się o tym w menu. Dobrześ zrobiła, żeś nie przyszła na obiad przedwczoraj, była tam fładra w formalinie. To już robiło wrażenie nie obiadu, ale kwarantanny. Doprawdy, Norpois posunął wierność aż do heroizmu: dobrał drugi raz!

— Zdaje się, że pana spotkałem tam w dniu, kiedy ona tam wpadła na pana Bloch — pan de Guermantes, może aby dać izraelickiemu nazwisku bardziej cudzoziemski charakter, nie wymawiał w nazwisku Bloch „ch” jak „k”, ale jak w niemieckim *hoch* — gdy oświadczył, nie wiem już o jakim poecie, że jest boski. Daremnie Châtellerault kopał pod stołem pana Bloch; nic nie rozumiał i myślał, że te trącania siostrzeńca przeznaczone są dla jakiejś ładnej kobiety siedzącej obok — tu pan de Guermantes zarumienił się lekko. — Nie zdawał sobie sprawy, że drażni naszą kochaną ciotkę swoimi „boskościami”, rozdawanymi na prawo i lewo. Krótko mówiąc, ciotka Magdalena, która ma ostry języczek, odpaliła Blochowi: „Och, drogi panie, co pan w takim razie zachowa dla pana de Bossuet²⁶⁹”. — Pan de Guermantes sądził, że przydatek „pan” oraz „de” przed sławnym nazwiskiem są na wskroś *ancien régime*. — To było nieopłacone!

— A co odpowiedział ów pan Bloch? — spytała z roztargnieniem pani de Guermantes, która nie znajdując pod ręką żadnej oryginalności, czuła się w obowiązku kopiować germańską wymowę męża.

— Och, ręczę ci, że pan Bloch nie czekał na więcej, wziął nogi za pas.

— Ależ tak, przypominam sobie wybornie, że pana widziałam owego dnia — rzekła z naciskiem pani de Guermantes, tak jakby ta jej pamięć zawierała coś, co by mi mogło szczególnie pochlebić. — Zawsze jest bardzo interesująco u ciotki. Na ostatnim wieczorze, gdzie pana właśnie spotkałam, chciałam pana spytać, czy ten stary pan, co przeszedł koło nas, to nie był François Coppée²⁷⁰? Pan musi znać wszystkie nazwiska — rzekła, szczerze zazdroszcząc mi moich stosunków poetyckich, a także przez uprzejmość, aby tym lepiej „postawić” w oczach swoich gości młodego człowieka tak biegłego w literaturze.

Upewniłem księżnę, że nie widziałem żadnej sławnej twarzy na wieczorze u pani de Villeparisis.

— Jak to! — rzekła nieopatrznie pani de Guermantes, okazując przez to, że jej szacunek dla literatury, a wgarda dla świata są bardziej powierzchowne, niż mówiła, a może nawet, niż sama przypuszczała. — Jak to! Nie było wielkich pisarzy? Zdumiewa mnie pan, były tam przecież facjaty wręcz niemożliwe!

Przypomniałem sobie bardzo dobrze ów wieczór z powodu nader błahego wypadku. Pani de Villeparisis przedstawiła pani Alfonsowej Rotszyldowej²⁷¹ Blocha, który nie dosłyszał jej nazwiska. Sądząc, że ma do czynienia ze starą i trochę pomyloną Angielką, odpowiadał jedynie półsłówkami na obfite wynurzenia eks-piękności; gdy naraz pani de Villeparisis, przedstawiając ją komuś innemu, powiedziała, tym razem bardzo wyraźnie: „baronowa Alfonsowa de Rotszyld”. Wówczas w tętnice Blocha wdarło się nagle i naraz tyle obrazów milionów i stosunków (obrazów, które należałoby rozważyć dawkowo), że

²⁶⁹ Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

²⁷⁰ Coppée, François (1842–1908) — francuski poeta i dramaturg; członek Akademii Francuskiej (1884). [przypis edytorski]

²⁷¹ pani Alfonsowa Rotszyldowa — Leonora de Rothschild (1837–1911), urodzona w Londynie, od 1857 żona swego kuzyna, barona Alphonse’a de Rothschild, przeniosła się do Paryża. [przypis edytorski]

uczul jakby ściśnięcie serca, uderzenie na mózg, i w obecności sympatycznej starej damy wykrzyknął: „Gdybym był wiedział!”. Głupota tego wykrzyknika przyprawiła go o bezsenność przez tydzień. Te słowa Blocha były czymś niezbyt ważnym, ale zapamiętałem je jako dowód, że czasem w życiu pod wpływem wyjątkowego wzruszenia mówi się to, co się myśli.

— Zdaje się, że pani de Villeparisis nie jest osobą bardzo... moralną — rzekła księżna Parmy, która wiedziała, że się nie bywa u ciotki pani de Guermantes, z tego zaś, co sama Oriana natrąciła przed chwilą, odgadła, że można mówić o tej damie swobodnie. Widząc w twarzy pani de Guermantes jakby dezaprobatę, dodała: — Ale inteligencja, kiedy jest tak wysokiej klasy, okupuje wszystko.

— Wasza wysokość tworzy sobie o mojej ciotce pojęcie, jakie ma o niej świat — odparła księżna — pojęcie w sumie bardzo fałszywe. To samo właśnie, nie dalej niż wczoraj, powiedział mi Mémé.

Zarumieniła się, jakies nieznanne mi wspomnienie zamglilo jej oczy. Przyszło mi na myśl, że może pan de Charlus nalegał na księżnę, aby mnie odprosiła, tak jak mnie nakłaniał przez Roberta, abym do niej nie szedł.

Miałem wrażenie, że rumieniec — niezrozumiały zresztą dla mnie — jakim wprzód oblał się książę, mówiąc w pewnej chwili o swoim bracie, nie może płynąć z tej samej przyczyny.

— Moja dobra ciotka — ciągnęła księżna — zachowa reputację osoby *ancien régime*, olśniewającej inteligencji i szalonego zepsucia. Otóż nie ma umysłowości bardziej mieszczkańskiej, poważnej, szarej. Będzie uchodziła za protektorkę sztuki, co znaczy, że była kochanką wielkiego malarza, który nigdy nie zdołał jej wytłumaczyć, co to jest obraz. Co zaś do jej życia, nie tylko nie była osobą zepsutą, ale była tak stworzona do małżeństwa, tak dalece urodziła się połowicą, że nie mogąc zatrzymać męża, który był zresztą wielką kanalia, każdy ze swoich romansów brała równie serio, co gdyby to był legalny związek, z tymi samymi podejrzliwościami, z tymi samymi kwasami i z tą samą wiernością. Zauważcie, że to są czasem najszczęśliwsze związki; w sumie jest w świecie więcej niepokieszonych kochanków niż mężów.

— Jednak, Oriano, spójrz na swego szwagra Palameda, o którym wspomniałaś; nie ma kochanki, która by mogła marzyć o tym, aby być tak opłakiwaną, jak on opłakiwał swoją biedną żonę.

— Och — odparła pani de Guermantes — niech mi wasza wysokość pozwoli nie dzielić w tym całkowicie jej zdania. Nie każdy lubi być opłakiwany w ten sam sposób; każdy ma swoje predylekcje.

— To fakt, że on żywi dla niej prawdziwy kult od czasu jej śmierci. Prawda, że czasem robi się dla umarłych rzeczy, których nie zrobiłoby się dla żywych.

— Po pierwsze — rzekła pani de Guermantes tonem zadumy, tworzącej kontrast z jej żartobliwą intencją — idzie się na ich pogrzeb, czego się nie robi nigdy dla żyjących.

Pan de Guermantes popatrzył z chytrą miną na pana de Bréauté, jakby chcąc go sprowokować do śmiechu z dowcipu żony.

— Ale w sumie, przyznając szczerze — podjęła pani de Guermantes — że jeźlibym lubiła być opłakiwana przez człowieka, którego bym kochała, to niekoniecznie na sposób mego szwagra.

Twarz księcia spochmurniała. Nie lubił, aby żona rzucała sądy na prawo i lewo, zwłaszcza o panu de Charlus.

— Wymagająca jesteś. Jego żal zbudował wszystkich — rzekł surowo.

Ale księżna miewała z mężem rodzaj zuchwałstwa pogromców lub ludzi żyjących z wariatem i nie lękających się go podrażnić:

— Powiadam, że nie! Cóż chcesz, to jest budujące, nie mówię; chodzi co dzień na cmentarz opowiadać jej, ile osób miał na śniadaniu, żałuje jej niezmiernie, ale tak jak kuzynki, jak babki, jak siostry. To nie jest żałoba męża. Prawda, że to było dwoje świętych, co daje żałobie charakter nieco specjalny.

Pan de Guermantes, podrażniony paplaniną żony, wlepił w nią ze straszliwą nieruchomością źrenice nabite jak lufy dubeltówki.

— Nie mówię tego, aby obmawiać pocziwego Mémé, który, nawiasem mówiąc, nie był wolny dziś wieczór — podjęła księżna. — Uznaję, że on jest dobry jak nikt,

jest rozkoszny, delikatny, serce ma takie, jak się mężczyznom nie zdarza mieć zazwyczaj. Mémé to serce kobiety.

— To, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu — przerwał żywo pan de Guermantes. — Mémé nie ma w sobie nic zniewieściałego, nikt nie jest bardziej męski.

— Ależ ja nie twierdzę, że jest bodaj trochę zniewieściały. Zrozumię choć, co ja mówię — odparła księżna. — Och, ten Błażej, skoro tylko ruszyć jego brata! — dodała, obracając się do księżnej Parmy.

— To bardzo ładne, to urocze. Nie ma nic piękniejszego niż dwaj bracia, którzy się kochają — rzekła księżna Parmy tak, jak by powiedziało wiele osób z ludu, bo można należeć do rodziny monarszej krwią, a zarazem duchem do rodziny bardzo ludowej.

— Skoro mówimy o twojej rodzinie, Oriano — ciągnęła — widziałam wczoraj twego siostrzeńca Saint-Loup; zdaje mi się, że on chce cię prosić...

Książę de Guermantes zmarszczył jowiszowe²⁷² brwi. Kiedy nie miał ochoty wyświadczyć jakiejś przysługi, nie chciał, aby się żona tego podejmowała; wiedział, że to wyszłoby na jedno i że osoby, których księżna musiałaby o coś prosić, zapisałyby to na wspólne konto małżeństwa, tak samo jakby prosił on sam.

— Czemu mi sam nie powiedział — rzekła Oriana. — Siedział tutaj dwie godziny wczoraj, a Bóg wie, jaki on potrafi być nudny. Nie byłby głupszy od innych, gdyby miał, jak tylu ludzi z towarzystwa, ten rozum, aby umieć pozostać głupim. Tylko ten pokost wiedzy jest u niego straszny. Chce mieć głowę otwartą... otwartą dla wszystkich rzeczy, których nie rozumie. Gada o Maroku, to okropne!

— Nie chce tam wracać z powodu Racheli — rzekł książę de Foix.

— Ale przecież to już zerwane — przerwał pan de Bréauté.

— Tak dalece nie zerwane, żem ją zastał dwa dni temu w garsonierze Roberta; nie robili wrażenia ludzi pokłóconych, ręczę państwu — odpowiedział książę de Foix, który chętnie rozpowszechniał wszystkie pogłoski zdolne udaremnić małżeństwo Roberta, przy czym mogły go zresztą omylić dorywcze nawroty zakończonego w istocie stosunku.

— Ta Racheli mówiła mi o panu, widuję ją czasem, przechodząc rano przez Pola Elizejskie; trochę pomyłona, jak wy to nazywacie, to, co się u was mówi „ładacznica”, rodzaj „Damy kameliowej”²⁷³, w przenośni, rozumie się. — Mówił to do mnie Prinz Von, który lubił się okazywać człowiekiem *au courant*²⁷⁴ francuskiej literatury i paryskich finezji.

— To właśnie z powodu Maroka... — wykrzyknęła księżna Parmy, starając się nawiązać.

— Czego on może chcieć z tym Marokiem? — spytał surowo pan de Guermantes. — Wie dobrze, że Oriana nie może nic w tym zakresie.

— Myśli, że on wynalazł strategię — ciągnęła pani de Guermantes — przy tym on używa niemożliwych słów dla najmniejszych rzeczy, co nie przeszkadza, że robi kleksy w listach. Któregoś dnia mówił mi, że jadł *boskie* kartofle i że dostał *boską* łóżę do teatru.

— Mówi po łacinie — podlicytował książę.

— Jak to po łacinie? — spytała księżna Parmy.

— Słowo honoru! Niech wasza wysokość spyta Oriany, czy ja przesadzam.

— Ależ tak! Kiedyś powiedział mi w jednym zdaniu, jednym haustem: „Nie znam bardziej wzruszającego przykładu *Sic transit gloria mundi*²⁷⁵”; powtarzam to zdanie waszej wysokości, bo po dwudziestu pytaniach, uciekając się do *lingwistów*, zdołaliśmy je zrekonstruować; ale Robert wyrzucił to na jednym oddechu, ledwie można było poznać, że

²⁷²jowiszowy — taki jak u rzymskiego boga Jowisza, gromowładnego władcy bogów i ludzi: surowy, groźny, władczy. [przypis edytorski]

²⁷³Dama kameliowa — tytułowa bohaterka powieści Aleksandra Dumasa (syna) z 1848: kurtyzana Małgorzata Gautier; pierwowzór bohaterki opery Giuseppe Verdiego *La Traviata* powstałej na podstawie tej powieści. [przypis edytorski]

²⁷⁴*au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

²⁷⁵*Sic transit gloria mundi* (łac.) — Tak przemija sława świata. [przypis edytorski]

to łacina, robił wrażenie figury z *Chorego z urojenia*²⁷⁶. I wszystko zmierzało do śmierci cesarzowej austriackiej!

— Biedna kobieta! — wykrzyknęła księżna Parmy. — Cóż to była za rozkoszna istota!

— Tak — odparła pani de Guermantes — trochę postrzelona, trochę zwariowana, ale to była bardzo dobra kobieta, pocziwa wariatka, bardzo miła, nigdy tylko nie mogłam zrozumieć, czemu ona sobie nie sprawi sztucznej szczęki lepiej dopasowanej, zawsze odklejała się jej przed końcem zdania i biedactwo musiało przerywać, aby nie połączyć szczęki.

— Ta Rachel wspominała mi o panu, mówiła, że młody Saint-Loup uwielbia pana, że woli nawet pana od niej — rzekł do mnie Prinz Von, jedząc równocześnie jak smok, z cerą czerwoną jak ćwikła, odsłaniając wszystkie zęby w ciągłym śmiechu.

— Ale w takim razie musi być zazdrosna o mnie i nie cierpieć mnie — przerwałem.

— Wcale nie, mówiła o panu dużo dobrego. Kochanka księcia de Foix byłaby może zazdrosna, gdyby on pana wołał od niej. Nie rozumie pan? Niech mnie pan odprowadzi do domu, wytłumaczę to panu.

— Nie mogę, idę o jedenastej do pana de Charlus.

— O, wczoraj zapraszał mnie na dziś na obiad, ale żebym nie przychodził po trzech kwadransach na jedenastą²⁷⁷. Ale jeżeli pan ma zamiar być u niego, może mnie pan odprowadzić choć do Komedii Francuskiej, będzie pan w peryferii²⁷⁸ — rzekł książę, który myślał z pewnością, że to znaczy „w pobliżu” albo „w centrum”.

Ale rozszerzone oczy Prinza Von na szerokiej i pięknej czerwonej twarzy przestraszyły mnie; odmówiłem, powiadając, że przyjaciel ma po mnie wstąpić. Ta odpowiedź nie wydawała mi się niczym obrażającym. Prinz osądził zapewne inaczej, bo nigdy od tego czasu nie odezwał się do mnie.

— Muszę właśnie zajść do królowej Neapolu²⁷⁹, jaka ona musi być zmartwiona! — rzekła lub przynajmniej zdawało mi się, że rzekła księżna Parmy. Bo słowa jej doszły mnie jedynie poprzez owe inne, bliższe, skierowane do mnie (ale bardzo cicho) przez Prinza Von, który bał się może, że jeżeli będzie mówił głośniej, usłyszy go pan de Foix.

— Och, nie — odparła pani de Guermantes — ani trochę.

— Ani trochę! Ty zawsze wpadasz w ostateczności, Oriano — rzekł pan de Guermantes, wracając do roli skalistego brzegu, który przeciwstawiając się fali, zmusza ją, aby wyżej rzucała pióropusz piany.

— Błazej wie jeszcze lepiej ode mnie, że ja mówię prawdę — odparła Oriana — ale czuje się w obowiązku robić surowe miny z powodu jej wysokości i boi się, że ją ją gorsze.

— Och, nie, proszę cię — wykrzyknęła księżna Parmy, bojąc się, aby z jej powodu nie naruszono w czymkolwiek tych rozkosznych obiadów księżnej de Guermantes, zakazanego owocu, którego sama królowa szwedzka²⁸⁰ nie miała jeszcze prawa pokosztować.

— Ależ ona samemu Błazejowi odpowiedziała, kiedy jej mówił z miną banalnie smutną: „Wasza królewska mość jest w żałobie: po kim, czy to jakieś wielkie zmartwienie?”. Odparła: „Nie, to nie jest wielka żałoba, to mała, malutka żałoba, to po siostrze”. To fakt, że ona jest zachwycona, Błazej wie bardzo dobrze; zaprosiła nas na wieczór tego samego dnia i dała mi dwie perły. Chciałabym, żeby traciła siostrę co dzień! Nie oplakuje śmierci siostry, ośmiewa ją do rozpuku. Powiada prawdopodobnie jak Robert, że: *Sic transit*, wreszcie sama już nie wiem — dodała przez skromność Oriana, mimo że wiedziała bardzo dobrze.

²⁷⁶*Chory z urojenia* — komedia Moliera z 1673, ostatnie jego dzieło, opowiadające historię hipochondrycznego Argana; w scenie ceremonii promocji na doktora medycyny, wyśmiewającej pozory uczoności, wypowiedzi postaci są gęsto naszpikowane łacińskimi słowami, niekiedy z dodanymi rodzimymi końcówkami gramatycznymi. [przypis edytorski]

²⁷⁷trzy kwadransy na jedenastą (daw.) — trzy kwadransy po dziesiątej, czyli za piętnaście minut jedenasta. [przypis edytorski]

²⁷⁸peryferia (z łac., lm) — zewnętrzna część czegoś, krańce; odległe od centrum, dzielnice na krańcach miasta. [przypis edytorski]

²⁷⁹królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

²⁸⁰królowa szwedzka — Zofia Wilhelmina Nassau (1836–1913), królowa Szwecji i Norwegii (od 1873). [przypis edytorski]

Zresztą pani de Guermantes mówiła to tylko dla konceptu, i to bardzo lichego, bo królowa Neapolu, jak księżna d'Alençon, również tragicznie zmarła, miała wielkie serce i szczyrze opłakiwała swoich. Pani de Guermantes za dobrze знаła szlachetne siostry bawarskie, swoje kuzynki, aby tego nie wiedzieć.

— Chciałby nie wracać do Maroka — rzekła księżna Parmy, znów chwytając się imienia Roberta, które jej, bardzo mimo woli, podawała na kształt żerdzi pani de Guermantes. — Sądzę, że ty znasz generała de Monserfeuil.

— Bardzo mało — rzekła Oriana, która znała nader blisko tego wojskowego.

Księżna Parmy wytłumaczyła, o co chodzi Robertowi.

— Mój Boże, jeśli go zobaczę... może się zdarzyć, że go spotkam — odparła księżna, aby się nie wydawało, że odmawia; zdawałoby się, że jej stosunki z generałem de Monserfeuil rozluźniły się nagle, odkąd chodziło o to, aby go o coś poprosić. Ta niepewność nie wystarczyła jeszcze księciu, który przerywając żonie, rzekł:

— Wiesz dobrze, że go nie zobaczysz, Oriano; a potem, już go prosiłaś o dwie rzeczy, których nie zrobił. Moja żona ma szal usłużności — dodał coraz bardziej wściekły, aby zmusić księżną Parmy do cofnięcia swojej prośby tak, aby to nie zostawiło wątpliwości co do usłużności Oriany i aby księżna Parmy złożyła rzecz na jego nieużyteczność. — Robert mógłby uzyskać, co chce, od MonserfeUILa. Tylko ponieważ sam nie wie, czego chce, prosi go przez nas, bo wie, że nie ma lepszego sposobu, aby rzecz pogrzebać. Oriana za często prosiła o coś generała. Teraz jej prośba to najpewniejsza gwarancja odmowy.

— Och, w tych warunkach lepiej, żeby Oriana nie tykała tego — rzekła księżna Parmy.

— Oczywiście — zakończył książę.

— Biedny generał, znowu przepadł przy wyborach — rzekła księżna Parmy, aby odmienić rozmowę.

— Och, to nic poważnego, to dopiero siódmy raz — rzekł książę, który, sam zmuszony zrezygnować z polityki, dosyć lubił niepowodzenia wyborcze innych.

— Pocieszył się, robiąc nowe dziecko swojej żonie.

— Jak to! Ta biedna pani de Monserfeuil jest znów w ciąży! — wykrzyknęła księżna Parmy.

— Ależ tak — odparła pani de Guermantes — to jedyny okręg, gdzie biedny generał ani razu się nie poszkapił.

Miałem być w przyszłości stałym gościem — bodaj w bardzo małym kółku — tych obiadów, których uczestników wyobrażałem sobie niegdyś niby apostołów w Sainte-Chapelle²⁸¹. Zbierali się tam w istocie, jak pierwsi chrześcijanie, nie tylko aby dzielić pokarm materialny (zresztą wyborny), ale dla rodzaju biesiady towarzyskiej; tak iż w niewiele obiadów przyswoilem sobie znajomość wszystkich przyjaciół moich gospodarzy, przyjaciół, którym mnie przedstawiali z odcieniem życzliwości tak wymownej (jak kogoś, kogo by od wszech czasów po ojcowsku kochali), że nie było ani jednego pośród nich, który by nie sądził, że obraziłby księżną i księcia, gdyby wydając bal, nie pomieścił mnie na liście; równocześnie zaś, spijając Yquem²⁸² z piwnicy Guermantów, delektowałem się ortolanami przyrządzanymi wedle rozmaitych recept, które książę wypracował i roztropnie odmieniał. Jednakże dla kogoś, kto już niejedną raz zasiadał przy mistycznym stole, gryzienie tych ptaków nie było nieodzowne. Starzy przyjaciele księstwa de Guermantes zachodzili po obiedzie — *en cure-dents*²⁸³, powiedziałyby pani Swann — bez zaproszenia i wypijali w zimie filiżankę kwiatu lipowego w blaskach wielkiego salonu, w lecie zaś szklankę oranżady w mroku prostokątnego ogródka.

Nigdy u państwa de Guermantes w ciągu tych poobiednich sjest w ogrodzie nie widziano nic innego prócz oranżady. Miała ona coś rytualnego. Przydać do niej inne

²⁸¹ *Sainte-Chapelle* (fr.: Święta Kaplica) — dwukondygnacyjna gotycka kaplica zamkowa w centrum dawnej siedziby królewskiej na wyspie Cité w Paryżu; ściany górnej kondygnacji zdobią figury apostołów. [przypis edytorski]

²⁸² *Château d'Yquem* — francuskie słodkie wino z Sauternes, w pld. części Akwitarii. [przypis edytorski]

²⁸³ *en cure-dents* (fr.) — dosł.: na wykałaczki; zaraz po posiłku. [przypis edytorski]

chłodniki zdawałoby się spaceniem tradycji, tak jak wielki raut w Faubourg Saint-Germain nie jest już rautem, jeżeli będzie komedia lub muzyka. Trzeba, aby się zdawało — choćby było pięćset osób — że się przyszło po prostu odwiedzić księżnę de Guermantes. Podziwiano moje wpływy, bo zdołałem zdublować oranżadę karafką soku z wiśni lub z gruszek. Znienawidziłem z tej przyczyny księcia d'Agrigente; był jak wszyscy ludzie pozbawieni wyobraźni, ale nie zachłanności, którzy dziwią się temu, co pijecie, i chcą też trochę. Tak iż za każdym razem pan d'Agrigente, uszczuplając moją porcję, psuł mi przyjemność. Bo tego soku owocowego nigdy nie jest dość dużo, aby ugasić pragnienie. Nigdy się nie uprzykrzy ta smakowa transpozycja koloru owocu, który, ugotowany, cofa się niejako w porę kwiatów. Sok taki, purpurowy jak sad na wiosnę lub bezbarwny i świeży jak wietrzyk pod drzewami owocowymi, można wdychać i oglądać kropla po kropli, a pan d'Agrigente regularnie przeszkadzał mi się nim nasycić.

Mimo tych kompotów tradycyjna oranżada przetrwała, zarówno jak kwiat lipowy. Pod tą skromną postacią dopełniała się komunია²⁸⁴ towarzyska. I w tym z pewnością przyjaciele państwa de Guermantes zostali jednak — jak ich sobie wyobrażałem zrazu — bardziej rozmaici, niżby mi kazało przypuszczać moje rozczarowanie co do nich. Wielu starców kosztowało u księżnej, wraz z niezmiennym napojem, przyjęcia często niezbyt milego. Otóż jeżeli to znosili, to nie przez snobizm, sami będąc z tych, ponad których nikt nie mógł być wyższy, ani przez miłość zbytku; o ile lubili zbytek, w niższych regionach socjalnych znaleźliby jeszcze wspanialszy, bo tegoż samego wieczora urocza i przebogata bankierowa dałaby wszystko, aby ich mieć na olśniewającym polowaniu, które przez dwa dni wyprawiała dla króla hiszpańskiego²⁸⁵. Odmówili przecież i przyszli na los szczęścia dowiedzieć się, czy pani de Guermantes jest w domu. Nie byli nawet pewni, czy znajdują tam opinie absolutnie zgodne z własnymi lub uczucia szczególnie gorące; pani de Guermantes rzucała czasem w przedmiocie sprawy Dreyfusa, republiki, praw antyrelijnych — lub nawet pod adresem ich samych, ich niedomagań, nudy ich rozmowy — uwagi, które trzeba im było przelknąć, udając, że nic nie zauważyli. Bez wątpienia, o ile się trzymali jej salonu, przyczyną tego był wyrafinowany nawyk światowych smakoszków, świadomość doskonałej i nienagannej jakości społecznego menu, o smaku znanym, bezpiecznym i soczystym, bez zapraw i bez fałszu; menu, którego początek i historię znali równie dobrze jak ta, która ich nim raczyła, będąc w tej mierze bardziej „urodzeni”, niż przypuszczali sami.

Otóż między tymi gośćmi, którym mnie przedstawiono po obiedzie, przypadkowo znalazł się ów generał de Monserfeuil, o którym mówiła księżna Parmy, a którego pani de Guermantes, mimo że był jednym z wiernych jej salonu, nie spodziewała się tego wieczora. Skłonił się, usłyszawszy moje nazwisko, tak jakbym był przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej. Sądziłem, że jeżeli księżna Oriana niemalże odmówiła polecenia swego siostrzeńca panu de Monserfeuil, było to skutkiem jakiejś wrodzonej nieużytości, w której książę — jak w dowcipie, byle nie w miłości — był partnerem żony. Obojętność ta zdawała mi się tym bardziej naganna, ile że z pewnych słów, które się wymknęły księżnej Parmy, odniosłem wrażenie, że posterunek Roberta jest niebezpieczny i że przeczorniej byłoby postarać się o jego zmianę. Ale tu oburzyła mnie już istotna niegodziwość pani de Guermantes; kiedy bowiem księżna Parmy ofiarowała się, że ona sama, na własny rachunek, pomówi z generałem, Oriana zrobiła wszystko, aby odwrócić jej wysokość od tego zamiaru.

— Ale nie — wykrzyknęła — Monserfeuil nie ma najmniejszego wpływu w nowym rządzie. Szkoda zachodu.

— Boję się, że on nas może usłyszeć — szepnęła księżna Parmy, starając się skłonić Oriane, aby mówiła ciszej.

— Niech się wasza wysokość nie boi, głuchy jest jak pień — rzekła, nie zniżając głosu księżna, którą generał słyszał doskonale.

— Bo zdaje mi się, że posterunek pana de Saint-Loup jest nie bardzo bezpieczny — rzekła księżna Parmy.

²⁸⁴komunia (z łac.) — tu: uczestnictwo, wspólność; emocjonalne utożsamienie się z czymś. [przypis edytorski]

²⁸⁵król hiszpański — Alfons XIII (1886–1941), król Hiszpanii do 1931. [przypis edytorski]

— Cóż wasza wysokość chce, jest w tym położeniu co wielu innych, z tą różnicą, że on sam prosił, aby go tam wysłano. A przy tym tak nie jest, nie ma żadnego niebezpieczeństwa; inaczej, księżna rozumie, że sama bym się w to wdała. Byłabym o tym pomówiła z generałem Saint-Joseph w czasie obiadu. On jest o wiele wpływowszy, i co za pracowitość! Widzi wasza wysokość, już odszedł. Zresztą to byłoby o wiele mniej drażliwe niż z tym, który ma trzech synów właśnie w Maroku i nie chciał się starać o ich przeniesienie; mógłby się na to powołać. Skoro waszej wysokości zależy na tym, pomówię z generałem Saint-Joseph... jeżeli go zobaczę, albo z Beautreillis. Ale jeżeli ich nie zobaczę, niech wasza wysokość zanadto nie biada nad Robertem. Wytłumaczono nam kiedyś, gdzie to jest. Ja myślę, że nigdzie nie mogłoby mu być lepiej.

— Co za ładny kwiat, nigdy nie widziałam podobnego, tylko u ciebie, Oriano, zdarzają się podobne cuda — rzekła księżna Parmy, która z obawy, aby generał de Monserfeuil nie usłyszał księżnej, chciała odmienić rozmowę.

Poznałem roślinę z gatunku tych, które Elstir malował przy mnie.

— Zachwycona jestem, że się podobają waszej wysokości; są urocze, proszę popatrzeć na tę aksamitną obwódkę lila na szyi; tylko, jak się to zdarza osobom bardzo ładnym i bardzo dobrze ubranym, brzydko się nazywają i śmierzdzą. Mimo to lubię je bardzo. Toteż zasmuca mnie trochę, że muszą umrzeć.

— Ależ one są w doniczce, to nie są cięte kwiaty — rzekła księżna.

— Nie — odparła Oriana, śmiejąc się — ale to na jedno wychodzi, skoro to są damy! To gatunek kwiatów, gdzie damy i panowie nigdy nie znajdują się na jednej łodydze. Jestem w położeniu ludzi, którzy mają suczkę. Trzeba by mi męża dla moich kwiatów, inaczej nie będę miała młodych!

— Jakie to ciekawe. Ale w takim razie w naturze...

— No tak! Są pewne owady, które się trudnią dopełnianiem małżeństwa, jak u koronowanych głów, przez prokurację²⁸⁶; tak że oblubieniec i oblubienica nie widzieli się na oczy. Toteż niech mi księżna wierzy, że zalecam służącemu, aby wystawiał tę roślinę, ile tylko może, w oknie, od dziedzińca czy od ogrodu, w nadziei, że się zjawi nieodzowny owad. Ale to wymagałoby takiego trafu! Niech wasza wysokość pomyśli, trzeba by, aby właśnie wracał od osoby tego samego gatunku, a odmiennej płci, i aby mu przyszło na myśl rzucić bilet wizytowy u mnie. Nie zjawił się dotąd; zdaje mi się, że moja roślinka wciąż ma swój wianek dziewiczy; przyznaję, że wolałabym trochę więcej rozpusty. O, to tak jak to piękne drzewo, tam w dziedzińcu; umrze bezdzietnie, bo to jest gatunek bardzo rzadki w naszych krajach. U niego zadanie dopełniania związku bierze na siebie wiatr; ale mur jest trochę za wysoki.

— W istocie — rzekł pan de Bréauté — powinna by księżna zniżyć mur bodaj o kilka centymetrów, to by wystarczyło. Trzeba w tych sprawach umieć brać się do rzeczy. Zapach wanilii, którym rozkoszowaliśmy się przed chwilą w pysznych lodach księżnej, pochodzi z rośliny, która się zowie wanilią. Ta wydaje wprawdzie równocześnie kwiaty męskie i żeńskie, ale obecność jakby twardej ścianki między nimi uniemożliwia wszelką komunikację. Toteż nie było sposobu uzyskać z niej owoców aż do dnia, w którym młody Murzyn, rodem z Reunionu i nazwiskiem Albins²⁸⁷ (co, nawiasem mówiąc, jest dosyć komiczne dla czarnego, bo to znaczy „biały”), wpadł na pomysł, aby za pomocą małego cięcia ułatwić stosunki rozdzielonym narządów.

— Babal jest boski — wykrzyknęła księżna Oriana — on wie wszystko.

— Ale i ty, Oriano, nauczyłaś mnie rzeczy, o których mi się nie śniło — rzekła księżna Parmy.

— Powiem waszej wysokości, że to Swann kształcił mnie w botanice. Czasem, kiedy się nam nie chciało iść na jakąś herbatkę lub na jakiś „poranek”, jechaliśmy za miasto; pokazywał mi nadzwyczajne małżeństwa kwiatów, o wiele zabawniejsze niż małżeństwa

²⁸⁶ *prokuracja* (daw.; z łac.) — zastępstwo; pełnomocnictwo; *przez prokurację*: za pośrednictwem pełnomocnika. [przypis edytorski]

²⁸⁷ *Albins* — popr. *Albius*, *Edmond* (1829–1880): ogrodnik z francuskiej wyspy Reunion (na zach. od Madagaskaru); urodzony w niewoli, w wieku 12 lat wynalazł technikę szybkiego, ręcznego zapyłania storczyków waniliowych, co umożliwiło opłacalną uprawę tych roślin z dala od rodzimego dla nich Meksyku, gdzie są zapyłane przez miejscowe owady; kiedy Francja zniosła niewolnictwo w swoich koloniach, przyjął nazwisko „Albius” (łac.: biały), być może od koloru kwiatów storczyka waniliowego; zmarł w nędzy. [przypis edytorski]

ludzi, bez *lunchu* i bez zakrystii. Ale nigdy nie było czasu jechać zbyt daleko. Teraz, kiedy są samochody, to byłoby urocze. Na nieszczęście, wśród tego on sam popełnił małżeństwo, jeszcze bardziej zdumiewające, i to zepsuło wszystko. Och! Wasza wysokość, życie to jest okropna rzecz; człowiek trawi lata na robieniu rzeczy, które go nudzą, a kiedy przypadkowo pozna się kogoś zdolnego nam pokazać rzeczy interesujące, ten ktoś musi się ożenić jak Swann! Mając do wyboru rezygnację z botanicznych spacerów a stosunki z osobą kompromitującą, wybrałam pierwszą z tych niedoli. Zresztą, w gruncie, nie potrzeba by chodzić tak daleko. Zdaje się, że nie dalej niż w moim ogródku dzieje się w biały dzień więcej nieprzyzwoitych rzeczy niż w nocy... w Lasku Bulońskim. Tylko nie dostrzega się tego, bo między kwiatami odbywa się to bardzo po prostu; widzi się drobny pomarańczowy deszczyk albo bardzo zapyloną muchę, która ociera nóżki albo bierze tusz z pyłków, zanim zanurzy się w kwiat. I już po wszystkim, stało się!

— Komoda, na której stoi ta roślina, jest także wspaniała, to *empire*²⁸⁸, o ile mi się zdaje — rzekła księżna Parmy, która, nieobeznana z pracami Darwina²⁸⁹ i jego następców, niezbyt chwyciła sens żarcików Oriany.

— Prawda, to piękne! Szczęśliwa jestem, że się to księżnej podoba — odparła pani de Guermantes. — Wspaniały egzemplarz. Powiem księżnej, że ja zawsze uwielbiałam styl *empire*, nawet wówczas kiedy to nie było w modzie. Przypominam sobie, że w Guermantes naraziłam się na drwiny teściowej, bo kazałam ściągnąć ze strychu wszystkie wspaniałe *empiry*, jakie Błażej odziedziczył po ciotce Montesquiou, i umeblowałam skrzydło pałacu, gdzie mieszkałam.

Pan de Guermantes uśmiechnął się. Musiał sobie przypomnieć, że rzecz odbyła się w sposób bardzo odmienny. Ale żarty księżnej des Laumes na temat złego gustu jej teściowej należały do tradycji sięgającej krótkiego czasu, kiedy książe był zakochany w żonie; kiedy zaś miłość pierzchła, przeżyło ją pewne lekceważenie dla ograniczenia umysłowego starej księżnej — lekceważenie niewykluczające bynajmniej przywiązania i szacunku.

— Państwo Iéna mają taki sam fotel z inkrustacjami Wedgwooda²⁹⁰; piękny, ale ja znacznie wolę mój — rzekła księżna tym samym tonem bezstronności, co gdyby nie posiadała żadnego z tych dwóch mebli. — Uznaję zresztą, że oni mają wspaniałe rzeczy, których ja nie mam.

Księżna Parmy zachowała milczenie.

— Ale prawda, wasza wysokość nie zna ich kolekcji. Och! Powinna by się księżna absolutnie wybrać kiedyś tam ze mną. To jedna z najwspanialszych rzeczy w Paryżu, to jest żywe muzeum.

Propozycja ta była jednym z najbardziej stylowych („styl Guermantes”) zuchwałstw, gdyż księstwo Iéna byli dla księżnej Parmy czystymi uzurpatorami: syn ich nosił, jak jej syn, tytuł księcia de Guastalla! Toteż pani de Guermantes, wymawiając te słowa, mimo woli spojrzała na innych gości rozbawionym i roześmianym wzrokiem, tak dalece kult własnej oryginalności przeważał jeszcze względy, jakie miała dla księżnej Parmy. I oni również silili się na uśmiech, równocześnie przerażeni, zachwyceni, a zwłaszcza uszczęśliwieni tym, że byli świadkami „ostatniego pomysłu Oriany” i że będą go mogli opowiadać „na ciepło”. Zdumienie ich było zresztą umiarkowane; wiedzieli, że Oriana posiada sztukę wyzyskiwania wszystkich przesądów Courvoisierów dla tym pikantniejszych i miłszych sukcesów. Toż nie dawniej jak przed kilku laty zdołała spiknąć u siebie księżniczkę Matyldę²⁹¹ z księciem d’Aumale²⁹², tym, który niegdyś napisał do rodzzonego brata księżniczki sławny list: „W mojej rodzinie wszyscy mężczyźni są odważni, a kobiety

²⁸⁸*empire* (fr.) — styl cesarstwa; styl w sztuce, meblarstwie, modzie itp., odmiana późnego klasycyzmu związana z rządami Napoleona I we Francji; wykorzystywał wzory i motywy sztuki staroż. Grecji, Rzymu i Egiptu, np. sfinksy, gryfy, kariatydy, a także motyw łabędzia (ulubionego ptaka cesarzowej Józefiny), inicjał Napoleona w wieńcu laurowym, motyw pszczoły, gwiazdy, orłów cesarskich. [przypis edytorski]

²⁸⁹*Darwin*, *Charles Robert* (1809–1882) — angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucji biologicznej. [przypis edytorski]

²⁹⁰*Wedgwood* — angielskie przedsiębiorstwo produkujące porcelanę, ceramikę i luksusowe akcesoria, założone w 1759 przez Josiaha Wedgwooda (1730–1795), dziadka Charlesa Darwina. [przypis edytorski]

²⁹¹*księżniczka Matylda* — Matylda Letycja Bonaparte (1820–1904), córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, i jego drugiej żony, Katarzyny Wirtemberskiej. [przypis edytorski]

²⁹²*Henryk Orleański, książę d’Aumale* (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

czyste”. Otóż książęta krwi pozostają książętami nawet w chwili, gdy zdają się zapominać o tym; w rezultacie książę d’Aumale i księżniczka Matyllda tak się sobie spodobali u pani de Guermantes, że bywali potem u siebie, z ową zdolnością zapominania przeszłości, jakiej dowiódł Ludwik XVIII²⁹³, robiąc swoim ministrem Fouchégo²⁹⁴, który głosował za śmiercią jego brata. Pani de Guermantes żywiła ten sam zamiar zbliżenia księżnej Murat²⁹⁵ z królową Neapolu²⁹⁶. Na razie księżna Parmy zdawała się równie zakłopotana, jak mogliby być zakłopotani dziedzice korony Niderlandów i Belgii (książę Oranii i książę Brabantu), gdyby im chciano przedstawić pana de Mailly-Nesle, księcia Oranii, oraz pana de Charlus, księcia Brabantu. Ale już Oriana, którą Swann i Charlus (mimo że ten wytrwał w ignorowaniu książąt Iéna) z wielkim trudem nauczyli lubić meble *empire*, wykrzyknęła:

— Całkiem szczerze, nie umiem powiedzieć, jak wasza wysokość będzie zachwycona. Przyznaję, że styl *empire* zawsze robił na mnie głębokie wrażenie. Ale u tych Iéna to doprawdy istna halucynacja. To coś... jak by to księżnej powiedzieć... coś niby przyniesione falą z wyprawy egipskiej²⁹⁷... i ten powiew starożytności, wszystko to, co zalewa nasze domy, sfinksy usadowione w nogach foteli, węże owijające się o kandelabry, olbrzymia muza, która trzyma mały świecznik, aby nam świecić do partyjki *bouillotte*²⁹⁸, lub wdrapała się spokojnie na kominek i opiera się o zegar; a potem te wszystkie lampy pompejańskie, łódeczka w kształcie łodzi, wyglądające tak, jakby je znaleziono w Nilu, gotowe wyłonić małego Mojżesza, te antyczne kwadrygi galopujące po nocnych stolikach...

— Nie siedzi się zbyt dobrze na meblach *empire* — zaryzykowała księżna Parmy.

— Nie — odparła Oriana — ale lubię — dodała z uśmiechem — lubię źle siedzieć na tych mahoniowych fotelach pokrytych wiśniowym aksamitem lub zielonym jedwabiem. Lubię ten brak komfortu wojowników, którzy pojmują tylko krzesło kurulne²⁹⁹, którzy krzyżują różgi liktorskie³⁰⁰ i piętrzą laury na środku salonu. Zapewniam waszą wysokość, że u Iénów nie myśli się ani przez chwilę o tym, jak się siedzi, widząc przed sobą zwałistą Wiktorię³⁰¹ wymalowaną *al fresco*³⁰² na ścianie. Mój małżonek będzie mnie uważał za bardzo złą rojalistkę, ale ja jestem w istocie bardzo nieprawomyślna i ręczę, że u tych ludzi człowiek dochodzi do tego, że kocha wszystkie te „N”, wszystkie te pszczoły. Mój Boże, dosyć długo królowie nie psuli nas zbyt chwały, toteż ci rycerze, którzy znosili tyle wieńców laurowych, że obwieszali nimi nawet poręcze krzesel, uważam, że to ma swój sztyk! Wasza wysokość powinna by tam iść.

²⁹³Ludwik XVIII (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów (od 1814), brat Ludwika XVI, skazanego i ściętego podczas rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

²⁹⁴Fouché, Joseph (1759–1820) — francuski polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, głosował za skazaniem Ludwika XVI na śmierć, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

²⁹⁵księżna Murat — potomkini napoleońskiego marszałka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, najmłodszej siostry Napoleona I; Napoleon I Bonaparte w 1808 nadał Joachimowi Muratowi królestwo Neapolu (z formalnym tytułem króla Neapolu i Sycylii, mimo że nie kontrolował Sycylii); zostało ono utracone w 1815, wraz ze śmiercią Murata, na rzecz jego rywala, Ferdynanda I Burbona, pierwszego z dynastii Burbonów Sycylijskich, rządzących zjednoczonym Królestwem Obojga Sycylii (tj. Sycylii i Neapolu) aż do jego włączenia do zjednoczonych Włoch (1861); potomkowie Murata zaliczani są do najwyższej arystokracji francuskiej. [przypis edytorski]

²⁹⁶królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

²⁹⁷wyprawa egipska (1798–1801) — ekspedycja wojenna Napoleona Bonaparte do Egiptu, mająca na celu odcięcie Anglii od Indii; w wyprawie wzięło udział 167 naukowców; przywiezione z Egiptu zabytki oraz wydane po wyprawie bogato ilustrowane publikacje dały początek fascynacji kulturą starożytnego Egiptu i narodzinom egiptologii w Europie. [przypis edytorski]

²⁹⁸bouillotte — dawna francuska hazardowa gra karciana, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

²⁹⁹krzesło kurulne — składany taboret o wygiętych, nożycowych nogach; w starożytnym Rzymie przysługiwało królom, a w okresie republiki wyższym urzędnikom. [przypis edytorski]

³⁰⁰różgi liktorskie — w starożytnym Rzymie najwyższym urzędnikom państwowym w miejscach publicznych jako asysta towarzyszyli funkcjonariusze zwani *liktorami*, nosząc przed nimi oznaki władzy: przewiązane wiązki różg, między którymi zatknięty był topór. [przypis edytorski]

³⁰¹Wiktorja (mit. rzym.) — bogini zwycięstwa. [przypis edytorski]

³⁰²al fresco (wł.) — dosł.: na świeżo; technika malarstwa ściennego polegająca na malowaniu farbami na świeżym tynku, przed jego zaschnięciem. [przypis edytorski]

— Mój Boże, jeżeli tak uważasz — rzekła księżna Parmy — ale zdaje mi się, że to nie będzie łatwe.

— Ależ zobaczy wasza wysokość, że wszystko się ułoży bardzo dobrze. To są bardzo dobrzy ludzie i wcale niegłupi. Zaprowadziliśmy tam panią de Chevreuse — dodała księżna, znając potęgę przykładu — była zachwycona. Syn jest nawet bardzo miły... To, co powiem, nie jest może bardzo przyzwoite — dodała — ale on ma pokój, a zwłaszcza łóżko, gdzie lubiłoby się spać — bez niego! Jeszcze mniej przyzwoite jest, że byłam go raz odwiedzić, kiedy był chory i w łóżku. Obok niego, na poręczu łóżka była wyrzeźbiona długa wyciągnięta syrena, urocza, z ogonem z perłowej masy, trzymająca w ręku coś w rodzaju lotosu. Ręczę księżnej — dodała pani de Guermites wolniej, aby lepiej jeszcze uwydatnić słowa, które jakby rzeźbiła ruchem pięknych warg, wrzecionem długich wyrazistych rąk, i wlepiając w księżnę Parmy łagodne, uparte spojrzenie — że z tymi gałązkami palmy i z tym wieńcem złotym tuż obok to było wzruszające, to była zupełnie kompozycja *Młodego człowieka i śmierci* Gustawa Moreau³⁰³ (wasza wysokość zna z pewnością to arcydzieło).

Księżna Parmy, która nie знаła nawet nazwiska malarza, potrząsnęła gwałtownie głową i uśmiechnęła się żarliwie, aby wyrazić swój podziw dla tego obrazu. Ale żywość jej mimiki nie zdołała zastąpić tego błysku, którego brakuje naszym oczom, kiedy nie wiemy, o czym ktoś do nas mówi.

— To podobno ładny chłopiec? — spytała.

— Nie, bo jest podobny do tapira³⁰⁴. Czy są trochę niby oczy królowej Hortensji z abażuru. Ale prawdopodobnie uznał, że byłoby trochę śmieszne dla mężczyzny rozwijać to podobieństwo, toteż gubi się to w jego wywoskowanych policzkach, dających mu po trosze minę mameluka³⁰⁵. Czuć, że froter musi je przejeżdżać co rano. Swann — dodała, wracając do łóżka młodego księcia — uderzony był podobieństwem tej syreny do *Śmierci* Gustawa Moreau. Ale zresztą — dodała szybciej, ale poważnie, aby tym lepiej rozśmieszyć — nie mamy się co przejmować, bo to zwykły katar i młodzieniec jest zdrow jak ryba.

— Powiadają, że on jest snob? — spytał pan de Bréauté z niezyczliwą, podnieconą miną, oczekując odpowiedzi równie ścisłej, co gdyby powiedział: „Mówiono mi, że ma tylko cztery palce u ręki, czy to prawda?”

— Mój B... oże, n... ie — odparła pani de Guermites z uśmiechem łagodnego poślazania. — Może troszkę snob z pozoru, bo jest bardzo młody, ale dziwiłabym się, gdyby miał być snob naprawdę, bo on jest inteligentny — dodała tak, jakby dla niej snobizm był czymś nie do pogodzenia z inteligencją. — On jest sprytny, czasem bywał zabawny — rzekła jeszcze, śmiejąc się z miną smakoszki i znawczyni, tak jakby wydanie sądu, że ktoś jest zabawny, wymagało wesołej miny lub jakby jakiś koncept księcia de Guastalla przypomniawszy jej w tej chwili. — Zresztą, ponieważ go nigdzie nie przyjmują, ten snobizm niewiele miałby okazji — dodała, nie zastanawiając się, że nie bardzo zachęca księżną Parmy.

— Myślę, co powie książę Gilbert, który nazywa ją „pani Iéna”, jeśli się dowie, że ja byłam u niej.

— Jak to! — wykrzyknęła żywo pani de Guermites — księżna wie, że to myśmy ustąpili Gilbertowi (żałowała tego gorzko teraz!) cały pokój do gry *empire*, który mieliśmy po Quiou-Quiou i który jest cud wspaniałości! Nie było tutaj miejsca, chociaż zdaje mi się, że tu wyglądało to lepiej niż u niego. To skończenie piękne, pół etruskie³⁰⁶, pół egipskie...

³⁰³ Moreau, Gustave (1826–1898) — francuski malarz i grafik, jeden z czołowych twórców symbolizmu; autor m.in. obrazu *Młody człowiek i śmierć* (*Le Jeune Homme et la mort*, 1865), powstałego w holdzie dla jego zmarłego przyjaciela. [przypis edytorski]

³⁰⁴ tapir — ssak lasów tropikalnych, o niewielkiej trąbie wykształconej z nosa i wargi. [przypis edytorski]

³⁰⁵ mameluk — w dawnych państwach muzułmańskich: państwowy niewolnik-żołnierz, szczególnie służący w gwardii przybocznej władcy; w 1250 mamelucy przejęli władzę w Egipcie, którym rządili do 1517; nazwę mameluków gwardii cesarskiej nosiła również jednostka lekkiej kawalerii pochodzenia egipskiego, stworzona przez Napoleona Bonapartego po powrocie z Egiptu, wchodząca w skład armii francuskiej w latach 1801–1815. [przypis edytorski]

³⁰⁶ etruski — odnoszący się do Etrusków; *Etruskowie*: lud zamieszkujący w starożytności północną Italię (Etrurię), początkowo dominujący nad Rzymianami, w III w. p.n.e. całkowicie przez nich podbity i wchłonięty. [przypis edytorski]

— Egipskie? — spytała księżna Parmy, której słowo „etruskie” niewiele mówiło.

— Tak, oba po trosze. Swann mówił nam to, wytłumaczył mi, tylko że ja, widzi księżna, jestem wielki nieuk. A potem, w gruncie, wie wasza wysokość, trzeba sobie powiedzieć, że Egipt *empire* nie ma żadnego związku z prawdziwym Egiptem ani ich Rzymianie z Rzymianami, ani ich Etruria...

— Doprawdy! — rzekła księżna Parmy.

— Absolutnie, to tak jak to, co nazywano kostiumem Louis XV za Drugiego Cesarstwa, w młodości Anny de Mouchy³⁰⁷ lub matki kochanego Brigode³⁰⁸. Przed chwilą Błażej wspomniał Beethovena. Grano nam któregoś dnia jedną jego rzecz, bardzo ładną zresztą, trochę zimną, gdzie jest temat rosyjski. To doprawdy wzruszające, że on to uważał za rosyjskie. I tak samo malarze chińscy myśleli, że kopią Belliniego. Zresztą nawet w tym samym kraju, za każdym razem, kiedy ktoś spojrzy na rzeczy w sposób nowy, cztery czwarte ludzi nie widzi nic z tego, co on im pokazuje. Trzeba co najmniej czterdziestu lat, aby się nauczyli rozróżniać.

— Czterdziestu lat! — wykrzyknęła księżna Parmy, przerażona.

— Ależ tak — mówiła Oriana, akcentem swoich słów (będących niemal powtórzeniem moich, bo właśnie rozwijałem przed nią pokrewne myśli) stwarzając wrażenie tego, co w drukarstwie nazywa się kursywą — to jest coś niby pierwszy osamotniony egzemplarz gatunku, który jeszcze nie istnieje, a którego będzie pełno, osobnik obdarzony pewnym zmysłem, którego rodzaj ludzki w jego epoce nie posiada. Nie bardzo mogę cytować samą siebie, bo ja, przeciwnie, zawsze kochałam od początku wszystkie interesujące objawy, choćby były nie wiem jak nowe. Ale świeżo byłam z wielką księżną w Luwrze; przechodziliśmy koło *Olimpii* Maneta. Teraz się nikt temu nie dziwi. To wygląda na Ingres! A przecież Bóg wie, ile ja musiałam kopii kruszyć o ten obraz, w którym, nie powiem, żebym lubiła wszystko, ale którego autor to jest jednak ktoś! Jego miejsce nie jest może całkiem w Luwrze...

— Czy dobrze ma się wielka księżna³⁰⁹? — spytała księżna Parmy, której ciotka cara była nieporównanie bardziej znajoma niż model Maneta.

— Tak, mówiłyśmy o waszej wysokości. W gruncie — ciągnęła Oriana, wciąż trwając przy swojej myśli — faktem jest, że jak powiada szwagier Palamed, istnieje pomiędzy nami a wszelką inną osobą ściana różnego języka. Uznaję zresztą, że dla nikogo nie jest to tak bardzo prawdziwe jak dla Gilberta. Jeżeli księżnę bawiłoby iść do Iénów, wasza wysokość ma za wiele rozumu, aby chcieć uzależniać swoje postęпки od tego, co o nich może pomyśleć ten nieborak, który jest bardzo kochanym pocziwiną, ale który, ostatecznie, ma pojęcia z innego świata. Czuję się bliższa, jednogatunkowsza z moim stangretem, z moimi końmi niż z tym człowiekiem normującym wciąż swoje uczynki wedle tego, co by o jakiejś rzeczy pomyślano za Filipa Śmiałego³¹⁰ lub za Ludwika Otyłego³¹¹. Niech wasza wysokość pomyśli, że kiedy on się przechadza na wsi, odsuwa wieśniaków, z dobrotliwą miną, laską, mówiąc: „Precz, hultaje!”. Jestem w gruncie równie zdziwiona, kiedy on do mnie mówi, co gdyby się do mnie zwróciły któreś z owych „zwłok” strojących dawne gotyckie grobowce. Choć ten żywy kamień jest moim kuzynem, przeraża mnie, i mam tylko jedną myśl: zostawić go w jego średniowieczu. Poza tym uznaję, że nigdy nie zamordował nikogo.

— Spotkałem go właśnie na obiedzie u pani de Villeparisis — rzekł generał, ale bez uśmiechu i nie wchodząc w ton księżnej Oriany.

— Czy nie było tam pana de Norpois? — spytał Prinz Von, który wciąż myślał o Akademii.

— Owszem — odparł generał. — Mówił nawet o pańskim cesarzu.

³⁰⁷ *Murat, Anna, księżna de Mouchy* (1841–1924) — córka Luciena Murata, wnuczka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, od 1865 żona Antoine’a de Noailles (1841–1909), księcia Mouchy. [przypis edytorski]

³⁰⁸ *Brigode, Romain-Joseph de* (1775–1854) — francuski polityk. [przypis edytorski]

³⁰⁹ *wielka księżna* — Maria Aleksandra z Meklemburgii-Schwerinu (1854–1920), znana też jako Miechen, która w 1874 wyszła za mąż za syna cara Aleksandra II, wielkiego księcia Włodzimierza Aleksandrowicza Romanowa; po ślubie dodała do swego imienia rosyjski patronimik od imienia swojego przodka, rosyjskiego cesarza Pawła I, i stała się odtąd znana jako wielka księżna Maria Pawłowna. [przypis edytorski]

³¹⁰ *Filip III Śmiały* (1245–1285) — król Francji (od 1270) z dynastii Kapetyngów. [przypis edytorski]

³¹¹ *Ludwik VI Gruby* (1081–1137) — król Franków (od 1108) z dynastii Kapetyngów. [przypis edytorski]

— Zdaje się, że cesarz Wilhelm³¹² jest bardzo inteligentny, ale nie lubi malarstwa Elstira. Nie mam mu tego zresztą za złe — rzekła księżna — podzielam jego punkt widzenia. Mimo że Elstir zrobił mój piękny portret. A, pan go nie zna. To nie jest podobne, ale ciekawe. On sam jest interesujący w czasie pozowania. Zrobił ze mnie coś w rodzaju staruszki. To imituje *Regentki szpitala Halsy*³¹³. Myślę, że pan zna te boskości, aby użyć wyrażenia drogiego memu siostrzeńcowi — rzekła, obracając się do mnie księżna, która mówiąc, poruszała lekko wachlarzem z czarnych piór. Wyprostowana na krześle, odrzucała szlachetnie głowę, bo, będąc wciąż wielką damą, robiła troszeczkę wielką damę. Odpowiedziałem, że byłem swego czasu w Amsterdamie i w Hadze, ale że, mając czas ograniczony, poniechałem Haarlemu, aby nie mieszać wszystkiego.

— A, Haga! Co za muzeum! — krzyknął pan de Guermantes.

Natrąciłem, że z pewnością podziwiał tam *Widok Delft Vermeera*³¹⁴.

Ale książę był mniej wykształcony niż pyszny. Toteż odpowiedział tylko z arogancją miną — jak za każdym razem, kiedy ktoś wspominał jakieś dzieło w muzeum lub w Salonie, którego on sobie nie przypominał:

— Jeżeli jest godny widzenia, widziałem!

— Jak to! Pan był w Holandii, a nie był pan w Haarlemie! — wykrzyknęła księżna Oriana. — Ależ choćby pan nie miał więcej niż kwadrans czasu, to niesłychana rzecz do widzenia, te Halsy. Powiedziałałabym, że gdyby ktoś je mógł oglądać tylko z imperiałki³¹⁵ omnibusu³¹⁶ bez zatrzymania się, gdyby były wystawione na ulicy, powinien by szeroko otwierać oczy.

Te słowa uderzyły mnie niemile, jako coś będącego zaprzeczeniem sposobu, w jaki się w nas kształtują wrażenia artystyczne; można by z powiedzenia księżnej wnosić, że nasze oko jest tu jedynie prostym aparatem do migawkowych zdjęć. Pan de Guermantes, szczęśliwy, że żona mówi tak biegle o rzeczach, które mnie interesują, patrzył na sławną postawę księżnej, słuchał, co mówiła o Halsie, i myślał: „Kuta jest we wszystkim. Ten młody człowiek może sobie powiedzieć, że ma przed sobą wielką damę w dawnym stylu, w całym znaczeniu tego słowa, taką, jakich nie ma dzisiaj”.

I tak widziałem ich oboje, wyrwanych z tego nazwiska „Guermantes”, w którym niegdyś wyobrażałem ich sobie wiodących niepojęte życie, teraz podobnych do innych mężczyzn i kobiet, zapóźnionych jedynie nieco w stosunku do współczesności, ale niejednak, jak tyle małżeństw z Faubourg Saint-Germain, gdy żona miała talent zatrzymać się na wieku złotym, a mąż miał nieszczęście wybrać z przeszłości niewdzięczną epokę: ona została jeszcze Louis XV, gdy mąż kultuwuje pompatycznie styl Louis-Philippe.

To, że pani de Guermantes była podobna do innych kobiet, przyniosło mi zrazu zawód, a potem, przez reakcję i przy współdziałaniu tylu dobrych win, niemal zachwyconie. Jakiś Don Juan d’Austria³¹⁷, jakaś Izabella d’Este³¹⁸, pomieszczeni dla nas w świecie imion, równie mało stykają się z wielką historią jak strona Méséglise ze stroną Guermantes. Izabella d’Este była z pewnością w rzeczywistości bardzo małą księżniczką, podobną do tych, które za Ludwika XIV nie miały żadnego specjalnego stanowiska na dworze. Ale ponieważ nam się ona wydaje czymś jedynym, a przez to nieporównanym, nie umiemy

³¹²Wilhelm II (1859–1941) — cesarz niemiecki w latach 1888–1918. [przypis edytorski]

³¹³Hals, Frans (ok. 1582–1666) — holenderski malarz, przedstawiciel baroku; tworzył głównie portrety indywidualne i grupowe; autor m.in. obrazu *Regentki domu staruszek w Haarlemie*, przedstawiającego grupę ubranych na czarno staruszek. [przypis edytorski]

³¹⁴Vermeer, Johannes (1632–1675) — malarz holenderski, autor głównie scen rodzajowych; *Widok Delft* (ok. 1661) stanowi jeden z jego dwóch obrazów przedstawiających widoki miejskie. [przypis edytorski]

³¹⁵imperiałka (daw.) — wierzch dyliżansu pocztowego lub omnibusu konnego z miejscami pasażerskimi. [przypis edytorski]

³¹⁶omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

³¹⁷Juan de Austria, don (1547–1578) — hiszpański wódz, nieślubny syn cesarza Karola V Habsburga i Barbary Blomberg; od 1568 dowódca floty hiszpańskiej na Morzu Śródziemnym; w 1569 krwawo stłumił bunt ludności muzułmańskiej w Grenadzie; w 1571 dowodził flotą Ligi Świętej w wielkiej bitwie pod Lepanto; jako dowódca floty w 1573 zdobył Tunis. [przypis edytorski]

³¹⁸Izabela d’Este (1474–1539) — włoska arystokratka, jedna z czołowych postaci włoskiego renesansu; córka Herkulesa I d’Este, księcia Ferrary i Modeny, oraz jego żony Eleonory Aragońskiej; od 1490 żona Franciszka II Gonzagi, markiza Mantui, pod jego nieobecność pełniła funkcję regentki; patronowała artystom, wyznaczała wzorce mody we Włoszech i Francji. [przypis edytorski]

jej sobie wyobrazić mniejszą od niego; tak iż kolacja z Ludwikiem XIV byłaby dla nas tylko czymś interesującym, gdy spotkanie z Izabellą d'Este pozwoliłoby nam w sposób nadprzyrodzony oglądać na własne oczy heroinę romansów. Otóż skoro studiując Izabellę d'Este i przeniósłszy ją cierpliwie z tego bajecznego świata w świat historii, stwierdzamy, że jej życie, jej myśli nie zawierały nic z owej tajemniczej dziwności, jaką nam zrazu sugerowało jej imię, raz przełknąwszy ów zawód, jesteśmy nieskończenie wdzięczni tej księżniczce, że miała o malarstwie Mantegny³¹⁹ wiadomości niemal równe wiedzy pana Lafenestre³²⁰, dotąd lekceważonej przez nas i uważanej — jak by powiedziała Franciszka — „gorzej psa”.

Wstąpiwszy na niedostępne wyżyny nazwiska „Guermantes” i schodząc wewnętrznym stokiem życia księżnej Oriany, zdumiewałem się, spotykając tam poufale gdzie indziej nazwiska Wiktora Hugo, Franza Halsa i, niestety, Viberta. Było to owo zdziwienie, jakiego doznaje podróżny, który biorąc miarę dla swoich pojęć o niezwykłości obyczajów w dzikiej dolinie Ameryki Centralnej lub Północnej Afryki z geograficznej odległości i dziwności nazw flory, naraz, przebywszy zasłonę olbrzymich aloesów lub mancenili³²¹, odkrywa (czasem nawet opodal ruin rzymskiego teatru lub kolumny poświęconej Wenerze) mieszkańców, którzy czytają *Meropę* lub *Alzirę*³²². I ta pokrewna kultura, przez którą pani de Guermantes, stojąca tak daleko, tak ustronnie i o tyle wyżej od znajomych mi wykształconych „pań z miasta”, siliła się, bez interesu, bez pobudek ambicji, zstąpić na poziom tych, których nie miała poznać nigdy, miała coś chwalebne, niemal wzruszającego przez swoją bezcelowość, coś niby erudycja w starożytnościach fenickich u męża stanu lub u lekarza.

— Mogłabym panu pokazać bardzo pięknego Halsa — rzekła uprzejmie pani de Guermantes — najpiękniejszego, jak twierdzą niektórzy. Odziedziczyłam go po kuzynie z Niemiec. Na nieszczęście, przywiązany jest prawem lenna do zamku; nie zna pan tego wyrażenia, ja także nie — dodała, wierna swemu stylowi żartowania (w czym uważała się za osobę nowoczesną) z dawnych zwyczajów, do których jednak była nieświadomie i niezłomie przywiązana. — Cieszę się, że pan widział moje Elstiry, ale byłabym jeszcze bardziej rada, gdybym mogła pana uczyć swoim Halsem, tym właśnie obrazem „lennym”.

— Znam go — rzekł Prinz Von — był u wielkiego księcia heskiego.

— Właśnie, jego brat ożenił się z moją siostrą — rzekł pan de Guermantes. — Zresztą matka jego była cioteczną siostrą matki Oriany.

— Ale co się tyczy Elstira — dodał Prinz Von — pozwolę sobie zauważyć (mimo że nie mam zdania o jego dziełach, których nie znam), że nienawidzę, jaką go ściga cesarz, nie powinna świadczyć przeciw niemu. Cesarz to wspaniała inteligencja.

— Tak, jadłam z nim dwa razy obiad, raz u ciotki Sagan, drugi raz u ciotki Radziwiłłowej, i muszę powiedzieć, że mi się wydał ciekawy. Nie powiem, aby był łatwy! Ale ma coś zajmującego, coś „osiągniętego” — rzekła księżna, biorąc to słowo w cudzysłów — coś niby zielony goździk: to znaczy, rzecz, która mnie zdumiewa, a która nie bardzo mi się podoba; rzecz zadziwiająca tym, że ją ktoś mógł zrobić, ale co do której uważam, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby jej nie zrobił. Mam nadzieję, że pana nie gorszę.

— Cesarz jest fantastycznie inteligentny — odparł Prinz Von — kocha namiętnie sztukę, ma w rzeczach sztuki smak poniekąd niezawodny, nie myli się nigdy. Jeżeli jakaś rzecz jest piękna, pozna to natychmiast i nienawidzi jej. Jeżeli jakiejś rzeczy nie cierpi, nie można mieć żadnej wątpliwości, że jest wyborna.

Wszyscy się uśmiechnęli.

— Uspokoił mnie pan — rzekła księżna.

— Porównałbym chętnie cesarza — podjął niemiecki książę, który nie umiejac wymówić poprawnie po francusku słowa „archeolog” (wymawiał „arszeolog”), nie tracił nigdy sposobności posłużenia się nim — do starego archeologa — (i książę powiedział:

³¹⁹Mantegna, Andrea (ok. 1430–1506) — włoski malarz i rytownik, prekursor miedziorytu. [przypis edytorski]

³²⁰Lafenestre, Georges (1837–1919) — francuski poeta, krytyk sztuki i historyk sztuki; konserwator muzeum w Luwrze, członek Akademii Sztuk Pięknych Instytutu Francji. [przypis edytorski]

³²¹mancenilia (łac. *Hippomane mancinella*) — tropikalne drzewo amerykańskie osiągające do 15 m wysokości; jedno z najbardziej trujących drzew na świecie. [przypis edytorski]

³²²Meropa oraz Alzira — tragedie Woltera; akcja pierwszej rozgrywa się w czasach mitycznych w Mesenii na Peloponezie, zaś drugiej toczy się w Peru w czasach konkwistadorów hiszpańskich. [przypis edytorski]

„arszeolog”) — którego mamy w Berlinie. Przed zabytkami asyryjskimi³²³ stary arszeolog płacze. Ale jeżeli to jest fałszyfikat, jeżeli nie jest naprawdę starożytny: nie płacze. Zatem jeżeli się chce wiedzieć, czy jakiś arszeologiczny kawałek jest naprawdę stary, niesie się go do starego arszeologa. Jeżeli płacze, kupuje się tę rzecz do muzeum. Jeżeli oczy arszeologa pozostaną suche, odsyła się przedmiot kupcowi i skarży się o fałszerstwo. Otóż za każdym razem, kiedy jestem na obiedzie w Poczdamie, ilekroć cesarz mówi mi: „Trzeba, żebyś to, książę, zobaczył, to genialne”, notuję sobie w pamięci, żeby się wystrzegać obejrzenia tego; a kiedy słyszę, że piorunuje na jakąś wystawę, pędzę tam co prędzej.

— Czy Norpois nie jest za zbliżeniem anglo-francuskim? — rzekł pan de Guermantes.

— Na co by się wam to zdało? — spytał z niechętną wraz i chytrą miną Prinz Von, który nie mógł znieść Anglików. — Oni są tacy klupi. Ja wiem, że nie na wojskową pomoc liczyacie u nich. Ale można ich i tak osądzić z tępoty ich generałów. Jeden z moich przyjaciół rozmawiał świeżo z Bothą³²⁴, wie pan, wodzem Boerów³²⁵. Botha mówił: „To przerażające taka armia. Ja raczej dość lubię Anglików, ale niech pan pomyśli, że ja, prosty chłop, natłukłem ich we wszystkich bitwach. I w ostatniej, gdzie uległem liczbie nieprzyjaciół dwadzieścia razy wyższej od nas, poddając się z musu, jeszcze potrafiłem wziąć im dwa tysiące jeńców! A przecież ja dowodziłem tylko chłopami, ale gdyby kiedy ci idioci zmierzyl się z prawdziwą armią europejską, strach bierze, co by się z nimi stało!”. Zresztą wystarczy, że ich król, którego państwo znacie równie dobrze jak ja, uchodzi za wielkiego człowieka w Anglii.

Puszczając mimo uszu te opowiadki w stylu pana de Norpois; nie dostarczały one żadnego pokarmu moim ulubionym marzeniom! Gdyby zresztą i posiadały te składniki, musiałyby je mieć w szczególnie ożywczym gatunku, aby obudzić moje wewnętrzne życie w czasie tych światowych godzin, przez które mieszkalem w swoim naskórku, w swoich starannie uczesanych włosach, w gorsiej koszuli, to znaczy, kiedy nie był zdolny odczuć nic z tego, co było dla mnie w życiu przyjemnością.

— Och, nie jestem pańskiego zdania — rzekła pani de Guermantes, która uważała, że niemiecki Prinz okazuje brak taktu — mnie się wydaje król Edward³²⁶ uroczy, taki prosty, a o wiele sprytniejszy, niż się mniema. A królowa jest jeszcze teraz najpiękniejszym stworzeniem, jakie znam.

— Ależ, pani — rzekł Prinz Von, podrażniony, nie spostrzegając, że sam drażni innych — jednak gdyby książę Walii był sobie prywatnym człowiekiem, nie ma klubu, z którego by go nie wyrzucono, i nikt nie chciałby mu podawać ręki. Królowa jest czarująca, niezmiernie słodka i ograniczona. Ale ostatecznie jest coś rażącego w tej parze królewskiej, która jest dosłownie na utrzymaniu swoich poddanych, każe grubym żydowskim finansistom opłacać wszystkie wydatki, do jakich jest zobowiązana, i robi ich w zamian baronetami. To tak jak książę Bułgarii³²⁷...

— To nasz kuzyn — rzekła księżna — bardzo inteligentny człowiek...

— I mój kuzyn także — odparł Prinz Von — ale nie uważam przez to, aby to był poszątny człowiek. Nie, powinni byćście się zbliżyć do nas, to jest najgorętsze pragnienie cesarza, ale on chciałby, żeby to wyszło z serca. Powiada: „Chcę uścisku dłoni, a nie machnięcia kapeluszem”. W ten sposób byłibyście niezwycczeni. To byłoby praktyczniejsze niż sojusz anglo-francuski, na który dzwoni pan de Norpois.

³²³asyryjski — odnoszący się do Asyryjczyków, semickiego ludu, który w XXI w. p.n.e. utworzył w północnej Mezopotamii (ob. pln. Irak) państwo (Asyrie), istniejące do 612 p.n.e. [przypis edytorski]

³²⁴Botha, Louis (1872–1919) — południowoafrykański polityk i wojskowy, pierwszy premier utworzonego w 1910 Związku Południowej Afryki (ob. RPA). [przypis edytorski]

³²⁵Burawie a. Boerowie — biały naród afrykański, wywodzący się od holenderskich kolonistów w Afryce Południowej; na przełomie XIX i XX w. walczyli o niezależność z Brytyjczykami (tzw. wojny burskie), zostali pokonani, a z ich republik w 1910 utworzono dominium brytyjskie pod nazwą Związek Południowej Afryki. [przypis edytorski]

³²⁶Edward VII (1841–1910) — od 1901 król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i dominiów brytyjskich oraz cesarz Indii; syn królowej Wiktorii, od 1841 książę Walii; jego żoną była Aleksandra Duńska (1844–1925). [przypis edytorski]

³²⁷książę Bułgarii — Ferdynand I Koburg (1861–1948), książę Bułgarii (od 1887), w 1908 ogłosił niezależność Bułgarii od tureckiego Imperium Osmańskiego i przyjął tytuł cara; w 1918 zmuszony do abdykacji. [przypis edytorski]

— Pan zna pana de Norpois, wiem — rzekła do mnie pani de Guermantes, aby mnie nie zostawiać poza kręgiem rozmowy.

Przypomniałem sobie, że pan de Norpois opowiadał, iż robiłem wrażenie, że go chcę pocałować w rękę. Myśląc, że z pewnością opowiedział to pani de Guermantes, a w każdym razie musiał jej mówić o mnie w sposób złośliwy, skoro mimo przyjaźni z ojcem nie wahał się mnie ośmieszać, nie zrobiłem w tej chwili tego, co by zrobił człowiek światowy. Powiedziałby, że nie znosi pana de Norpois i że mu to dał uczuć; a powiedziałby to w tym celu, aby się zdawało, że jest dobrowolną przyczyną złośliwości ambasadora, które to złośliwości stałyby się tym samym jedynie kłamliwym i interesownym odwetem. Rzekłem, przeciwnie, iż, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, sądzę, że mnie pan de Norpois nie lubi.

— Zupełnie się pan myli — odparła pani de Guermantes. — Bardzo pana lubi. Może pan spytać Błażeja: o ile ja uchodzę za nazbyt uprzejmą, on nie grzeszy wcale tą wadą. Powie panu, że o nikim nie słyszeliśmy z ust pana de Norpois tyle miłego co o panu. A w ostatnich czasach chciał panu dać w ministerstwie świetne stanowisko. Ponieważ się dowiedział, że pan jest cierpiący i że nie mógłby pan przyjąć tego stanowiska, miał tę delikatność, aby o swojej dobrej intencji nie wspominać nawet pańskiemu ojcu, którego niezmiernie ceni.

Pan de Norpois był ostatnią osobą, od której bym się spodziewał przysługi. Faktem jest, że on był złośliwy, a nawet zjadliwy; ci, co dali się, jak ja — sądząc go z łatwych rozczuleń i zbyt harmonijnych dźwięków głosu — wziąć na jego pozory świętego Ludwika³²⁸ wymierzającego sprawiedliwość pod dębem, pomawiali go o prawdziwą perfidię, kiedy się dowiadawali o jakimś złośliwym wybryku na ich temat, pochodzącym od człowieka, który zdawał się kłaść serce w słowa. Te złośliwości były u niego dość częste. Ale to nie przeszkadzało mu mieć swoje sympatie, chwalić tych, których lubił, i znajdować przyjemność w tym, aby im oddać przysługę.

— To mnie nie dziwi zresztą, że on pana ceni — rzekła pani de Guermantes — to człowiek inteligentny. I rozumiem doskonale — dodała dla innych, czyniąc aluzję do projektów małżeńskich, których nie znałem — że moja ciocia, która go już nie bardzo bawi jako stara kochanka, wydaje mu się tym bardziej zbyteczna jako młoda małżonka. Zwłaszcza, iż sądzę, że i kochanką przestała być od dawna, zamarynowała się w dewocji. Booz-Norpois³²⁹ może powiedzieć, jak w wierszach Wiktora Hugo:

Od dawna już kobieta, z którą sypiał społem,
Zmieniła moje łożo, o Panie, na Twoje!³³⁰

Doprawdy, moja biedna ciocia jest jak ci artyści z awangardy, którzy grzmieli całe życie przeciw Akademii, a u schyłku formują swoją własną akademię; lub renegaci, którzy fabrykują sobie prywatną religię. W takim razie lepiej było zatrzymać habit lub nie wchodzić w dzikie związki. Kto wie — dodała księżna z marzącym wyrazem oczu — może ona tego pragnie w przewidywaniu wdowieństwa. Nie ma nic smutniejszego niż żałoba, której nie wolno nosić.

— Ba, gdyby pani de Villeparisis została panią de Norpois, sądzę, że kuzyn Gilbert przechorowałby to — rzekł generał de Saint-Joseph.

— Książę Gilbert jest uroczy, ale w istocie jest bardzo przywiązany do spraw urodzenia i etykiety — rzekła księżna Parmy. — Spędziłam u niego dwa dni na wsi, w czasie gdy na nieszczęście Maria była chora. Była ze mną Małeńka (przydomek dawany pani d'Hunolstein dlatego, że była olbrzymia). Książę czekał na mnie przed gankiem, ofiarował mi ramię, udając, że nie widzi Małeńkiej. Zaszliśmy na pierwsze piętro aż pod drzwi salonu; wówczas, usuwając się, aby mnie przepuścić, rzekł: „A, dzień dobry, pa-

³²⁸Ludwik IX Święty (1214–1270) — król Francji; usprawnił administrację, system monetarny, zorganizował dwie wyprawy krzyżowe. [przypis edytorski]

³²⁹Booz a. Boaz (bibl.) — postać z biblijnej *Księgi Rut*: bogaty krewny wdowy Noemi, której towarzyszką w biedzie była jej synowa Rut, również owdowiała; na polecenie teściowej Rut próbowała nocą uwieść Boozą, który odrzucił jej zaloty, ale ostatecznie się z nią ożenił. [przypis edytorski]

³³⁰*Od dawna już kobieta, z którą sypiał społem...* — z poematu Wiktora Hugo *Booz endormi* (Śpiący Booz), z tomu *La Légende des siècles* (Legenda wieków). [przypis edytorski]

ni d'Hunolstein" (zawsze ją tylko tak nazywa od czasu jej separacji), udając, że dopiero wówczas spostrzegł Malańką, aby okazać, że nie schodziłby dla jej przywitania na dół.

— To mnie wcale nie dziwi. Nie potrzebuję waszej wysokości mówić — rzekł pan de Guermantes, który się miał za człowieka nadzwyczaj nowoczesnego, bardziej niż ktokolwiek gardzącego urodzeniem, a nawet za republikanina — że niewiele mam wspólnych poglądów z moim kuzynem. Łatwo wasza wysokość zgodnie, że w przeważnej ilości rzeczy zgadzamy się jak dzień z nocą. Ale muszę powiedzieć, że gdyby ciotka zaślubiła starego Norpois, na ten raz byłbym zdania Gilberta. Być córką Florymonda de Guise i zrobić taką partię, to, jak powiadają, koń by się uśmieł; cóż jeszcze mam powiedzieć?

Ten ostatni zwrot, który książę wsuwał przeważnie w połowie zdania, był tutaj zupełnie niepotrzebny. Ale czuł ustawiczną potrzebę wtrącania go, co mu kazało przenosić go na koniec okresu³³¹, o ile nie znalazł sobie miejsca gdzie indziej. Była to dla niego, między innymi rzeczami, kwestia rytmiki.

— Trzeba zresztą stwierdzić — dodał — że Norpois to wyborna szlachta, dobra krew, z dobrego gniazda.

— Słuchaj, Błażeju, nie warto sobie żartować z Gilberta po to, aby mówić jak on — rzekła pani de Guermantes, dla której „dobroć” urodzenia, zarówno jak dobroć wina, ściśle polegała, jak dla Gilberta i Błażeja de Guermantes, na jego dawności. Ale, mniej szczerą niż jej kuzyn, a sprytniejszą od męża, pilnowała się, aby w rozmowie nie zadać kłamu „duchowi Guermantów”; gardziła urodzeniem w słowach, poprzestając na uznawaniu go w uczynkach.

— Ale czy państwo nie jesteście trochę skuzynowani? — spytał generał de Saint-Joseph. — Zdaje mi się, że Norpois ożenił się z panną de La Rochefoucauld.

— Z tej strony ani trochę: ona była z gałęzi książąt de La Rochefoucauld, a moja babka jest z książąt Doudeauville. To rodzona babka Edzia Koko, najrozumniejszego człowieka w rodzinie — odparł książę, który miał co do rozumu poglądy nieco powierzchowne — a te dwie gałęzie nie zeszyły się od Ludwika XIV; to by było trochę dalekie.

— A, to ciekawe, nie wiedziałem o tym — rzekł generał.

— Zresztą — dodał pan de Guermantes — matka jego była, zdaje mi się, siostrą księcia de Montmorency i zaślubiła najpierw jakiegoś La Tour d'Auvergne. Że jednak ci Montmorency ledwie że są Montmorency, a ci La Tour d'Auvergne wcale nie są La Tour d'Auvergne, nie widzę, aby mu to mogło przydać wiele chwały. Powiada, i to by było ważniejsze, że on pochodzi od Saintrailles'a³³², a że my się wiemy od niego w prostej linii...

Była w Combray ulica Saintrailles'a, o której nigdy już od owych czasów nie myślałem. Wiodła od ulicy de la Bretonnerie do ulicy Ptasiej. A że Saintrailles, ów towarzysz Joanny d'Arc, zaślubiając pannę de Guermantes, wniósł w tę rodzinę hrabstwo de Combray, herb jego widniał między herbami Guermantów pod witrażem w kościele Św. Hilariego. Ujrzałem stopnie z czarniawego kamienia, kiedy jakiś akcent przywrócił nazwisku „Guermantes” zapomnianą tonację, w jakiej słyszałem je niegdyś, tak różną od tej, w której oznaczało uprzejmych gospodarzy podejmujących mnie dziś obiadem. Jeżeli nazwisko księżnej de Guermantes było dla mnie nazwiskiem zbiorowym, proces ten spełnił się nie tylko w historii przez zsumowanie wszystkich kobiet, które je nosiły, ale także w ciągu mojej krótkiej młodości, widzącej kolejno w tej jednej księżnej de Guermantes tyle warstw różnych kobiet, z których każda znikala z chwilą, gdy następna zdołała się utrwalić. Słowa nie zmieniają tak znaczenia w ciągu wieków, jak zmieniają je dla nas nazwiska na przestrzeni kilku lat! Nasza pamięć i nasze serce nie są dość przestronne na to, aby mogły być wierne. Nie mamy w swojej obecnej myśli dosyć miejsca, aby zachować tam umarłych obok żywych. Trzeba nam budować na tym, co było przedtem, a co odnajdujemy jedynie wedle przypadku wykopalisk, w rodzaju tego, jakiego dokonało nazwisko Saintrailles.

Wydawało mi się bezcelowe wyjaśniać to wszystko i nawet trochę przedtem dopuściłem się biernego kłamstwa, nie odpowiadając panu de Guermantes, kiedy mnie spytał:

³³¹okres — retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

³³²Saintrailles, właśc. Xaintrailles, Jean Poton de (ok. 1390–1461) — szlachcic gaskoński, zasłużony uczestnik wojny stuletniej, towarzysz broni Joanny d'Arc; od 1454 marszałek Francji. [przypis edytorski]

„Czy pan nie zna naszych stron?”. Może nawet wiedział, że je znam, i jedynie przez dobre wychowanie nie nalegał.

Pani de Guermantes wyrwała mnie z mojego marzenia.

— Mnie się to wszystko wydaje mordercze. Wie pan, nie zawsze jest u mnie tak nudno jak dziś. Mam nadzieję, że pan niedługo znów przyjdzie na obiad dla kompensaty, tym razem już bez genealogii — rzekła półgłosem księżna, niezdolna zrozumieć uroku, jaki mogłem znajdować w jej domu, i niezdolna wznieść się do tej pokory, aby mnie czarować jedynie jako zielnik pełen niemodnych roślin.

To, czym pani de Guermantes bała się mnie rozczarować, to, przeciwnie, pod koniec — bo książę i generał nie przestawali rozprawiać o genealogiach — ratowało mój wieczór od kompletnego zawodu. Jakimż cudem nie doznałbym go dotąd! Każdy z gości przy obiedzie, wypełniając tajemnicze nazwisko, pod jakim go jedynie znałem i pod jakim marzyłem o nim na odległość, ciałem i inteligencją w najlepszym razie równymi ciału i inteligencji wszystkich znajomych mi osób, dał mi wrażenie tej samej płaskiej pospolitości, jaką wszelkiemu rozegzaltowanemu czytelnikowi *Hamleta* może dać wjazd do duńskiego portu Elsynor³³³. Bez wątpienia owe strefy geograficzne i owa dawność, wnoszące starodrzew i gotyckie wieżycy w ich nazwiska, ukształtowały poniekąd ich twarze, dusze i przesady, ale istniały w nich jedynie jak przyczyna w skutku, to znaczy możliwe poniekąd do odkrycia dla inteligencji, lecz zgoła nie działające na wyobraźnię.

I te dawne przesady wróciły nagle gościom państwa de Guermantes ich straconą pozycję. Z pewnością wiadomości posiadane przez ludzi szlacheckiego rodu i robiące z nich ludzi uczonych i biegłych w etymologii³³⁴ nie słów, lecz nazwisk (i to jeszcze tylko w stosunku do przeciętnego ciemnego mieszczucha, bo o ile przy równej inteligencji dewot lepiej objaśni was w jakiejś kwestii liturgicznej od wolnomyśliciela, w zamian za to antyklerykalny archeolog zawstydzi swego proboszcza we wszystkim, co się tyczy nawet jego własnego kościoła), te wiadomości — jeżeli chcemy pozostać w sferze prawdy, to znaczy w duchu — nie miały dla wielkich panów nawet tego uroku, jaki miałyby dla plebejusza. Wiedzieli może lepiej ode mnie, że diuszesa de Guise jest księżną de Clèves³³⁵, d'Orléans, de Porcien itd., ale znali, nawet przed wszystkimi tymi nazwiskami, twarz pani de Guise, którą tym samym odbijało im to nazwisko. Ja zacząłem od wróżki, choćby miała niedługo zginąć; oni od kobiety.

W mieszczańskich rodzinach często rodzą się zazdrości, jeżeli młodsza siostra wyjdzie za mąż przed starszą. Podobnie świat arystokratyczny — zwłaszcza Courvoisierowie, ale także Guermantowie — sprowadzał swoją arystokratyczną wielkość do prostych przewag domowych, wskutek dziecinady, którą poznałem (był to dla mnie jedyny jej urok) z książek. Czyż nie mamy wrażenia, że Tallemant des Réaux³³⁶ mówi o Guermantach zamiast o Rohanach, kiedy z widoczną satysfakcją opowiada, że pan de Guéménée wołał do brata: „Możesz wejść, tu nie jest Luwr”, i powiadał o kawalerze de Rohan³³⁷ (dlatego że był naturalnym synem³³⁸ księcia de Clermont): „Ten przynajmniej jest księciem!”.

Jedyną rzeczą sprawiającą mi przykrość w tej rozmowie był fakt, iż niedorzeczne historie dotyczące uroczego wielkiego księcia następcy tronu Luksemburga znajdowały wiarę w tym salonie, podobnie jak wśród przyjaciół Roberta. Stanowczo to była istna epidemia, mająca trwać może nie dłużej niż dwa lata, ale ogarniająca wszystkich. Powtarzano te same bajki i dodawano do nich inne. Zrozumiałem, że nawet sama księżna de Luxembourg, niby broniąc swego bratanka, dostarczała oręża przeciw niemu.

— Niesłusznie go pan broni — rzekł do mnie pan de Guermantes, podobnie jak przedtem Saint-Loup. — Ot, zostawmy nawet opinię naszych krewnych, która jest jed-

³³³*Elsynor* — nazwa zamku w Danii, w którym rozgrywa się akcja tragedii Szekspira *Hamlet*; od nazwy nadmorskiego miasta *Helsingør*, którego zamek faktycznie nazywa się Kronborg. [przypis edytorski]

³³⁴*etymologia* — pochodzenie danego wyrazu; nauka zajmująca się pochodzeniem wyrazów. [przypis edytorski]

³³⁵księżna de Clèves — Katarzyna de Clèves (1548–1633); wdowa po Antoine de Croy, księciu de Porcien, przez małżeństwo z Henrykiem I de Guise w 1570 była diuszesa de Guise do jego śmierci w 1588. [przypis edytorski]

³³⁶*Tallemant des Réaux, Gédéon* (1619–1692) — francuski pisarz; autor zbioru krótkich biografii pt. *Historiettes* (Historyjki, wyd. 1834–1835). [przypis edytorski]

³³⁷kawaler de Rohan, właśc. *Guy Auguste de Roban-Chabot* (1683–1760) — francuski szlachcic, znany głównie z kłótni z młodym Wolterem, po której nasał na niego kilku wynajętych bandytów. [przypis edytorski]

³³⁸naturalny syn — syn urodzony poza małżeństwem; daw. przeciwieństwo syna legalnego. [przypis edytorski]

nomyślna; ale niech pan spyta o niego służby, która ostatecznie zna nas najlepiej. Pani de Luxembourg darowała swemu bratankowi małego Murzynka. Murzynek wrócił, płacząc: „Wielkie książe mnie bić, ja nie łajdak, wielkie książe złe”. To bajeczne. A ja mogę coś o tym wiedzieć, to jest kuzyn Oriany.

Nie sposób zresztą powiedzieć, ile razy w ciągu tego wieczora słyszałem słowa „kuzyn” i „kuzynka”. Z jednej strony, pan de Guermantes za każdym nazwiskiem, które padło, wykrzykiwał: „Ależ to kuzyn Oriany!”, z tą samą radością, z jaką człowiek zgubiony w lesie czyta na końcu dwóch rozbieżnych strzałek na tabliczce informacyjnej, wraz z bardzo nieznaczną cyfrą kilometrów: „Belvédère Casimir-Perier” i „Croix du Grand-Veneur” i upewnia się, że jest na dobrej drodze. Z drugiej strony, tych słów „kuzyn” i „kuzynka” używała w całkiem innym sensie (stanowiącym tutaj wyjątek) ambasadorowa turecka, która przyszła po obiedzie. Pożerana światową ambicją i obdarzona istotną zdolnością asymilacji, ambasadorowa uczyła się równie łatwo historii *Odwrotu dziesięciu tysięcy*³³⁹, jak perwersji seksualnej u ptaków. Niepodobna byłoby złapać ją na jakim błędzie co do najświeższych prac niemieckich, czy traktowały o ekonomii politycznej, o chorobach umysłowych, o rozmaitych formach samogwałtu, czy o filozofii Epikura³⁴⁰. Była to zresztą kobieta niebezpieczna, gdyby ktoś jej zaufał, bo żyjąc w ustawicznym błędzie, wskazywała ci, jako kobiety arcylekkie, nieskazitelne cnoty, ostrzegała cię przed jakimś jegomościem ożywionym najczystszyimi intencjami i opowiadała historie, które zdawały się zaczerpnięte z książki, nie dlatego że takie poważne, ale że tak nieprawdopodobne.

Ambasadorową mało przyjmowano w owej epoce. Bywała w ciągu kilku tygodni u kobiet zupełnie świetnych, jak księżna de Guermantes, ale na ogół trzymała się z konieczności, co się tyczy bardzo arystokratycznych rodzin, skromniejszych gałęzi, z którymi Guermantowie nie utrzymywali stosunków. Łudziła się, iż robi wrażenie kobiety na wskroś światowej, cytując wielkie nazwiska ludzi mało ustosunkowanych, z którymi żyła blisko. Toteż pan de Guermantes, myśląc, iż chodzi o osoby często bywające u niego na obiedzie, drżał radośnie, że się odnajduje między swymi, i wydawał okrzyki: „Ależ to kuzyn Oriany. Znam go jak swoją kieszeń. Mieszka przy ulicy Vaneau. Matka jego była z domu d’Uzes”. Ambasadorowa zmuszona była wyznać, że jej egzemplarz pochodzi z ostatnich gatunków. Starła się nawiązać swoich przyjaciół do przyjaciół pana de Guermantes, dopadając go z ukosa: „Tak, tak, wiem dobrze, o kim pan mówi. Nie, to nie ci, to ich kuzyni”. Ale to desperackie zdanie, rzucone przez biedną ambasadorową, zamierało szybko. Bo pan de Guermantes, zniechęcony, odpowiadał: „A, w takim razie, nie wiem, o kim pani myśli”. Ambasadorowa nie odpowiadała nic, bo o ile znała zawsze jedynie kuzynów tych, których trzeba było znać, często ci kuzyni nie byli nawet krewnymi. Po czym ze strony pana de Guermantes rozległy się nowe: „Ależ to kuzynka Oriany”, które to słowa zdawały się przedstawiać dla pana de Guermantes w każdym jego zdaniu ten sam pożytek co dla poetów łacińskich niektóre epitety, wygodne, bo dostarczały im daktyla lub spondeja³⁴¹ w heksametrze³⁴².

Bądź co bądź, wybuch: „Ależ to kuzynka Oriany”, wydał mi się zupełnie naturalny w zastosowaniu do księżnej Gilbertowej, która była w istocie bardzo bliską krewną Oriany. Zdaje się, że ambasadorowa nie przepadała za księżną Marią. Szepnęła do mnie po cichu:

— To idiotka. Ależ nie, nie jest wcale taka ładna. Przesadzona reputacja. Zresztą — dodała z miną zarazem skupioną, niechętną i stanowczą — ona mi jest zasadniczo antypatyczna.

³³⁹*Odwrot dziesięciu tysięcy* (fr. *La retraite des Dix-Mille*) — francuska wersja tytułu dzieła *Wyprawa Cyrusa*, znanego także jako *Anabaza*, pamiętnika wojkowego Ksenofonta z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.), opisującego liczącą 1000 mil drogę powrotną do ojczyzny armii 10 tysięcy najemników greckich zwerbowanych przez księcia perskiego Cyrusa Młodszego przeciwko jego bratu, królowi Persji Artakserksesowi II. [przypis edytorski]

³⁴⁰*Epikur* (341–270 p.n.e.) — filozof grecki uznający szczęście za najwyższą wartość; podkreślał też, że niczego nie należy przyjmować na wiarę, pierwszeństwo przyznając obserwacji i logicznemu rozumowaniu na jej podstawie. [przypis edytorski]

³⁴¹*daktyl i spondej* — stopy metryczne w poezji: *daktyl* składa się z trzech sylab: jednej długiej i dwóch krótkich, zaś *spondej* z dwóch sylab długich; w heksametrze zamiast daktyli mogły występować spondeje. [przypis edytorski]

³⁴²*heksametr* — miara antycznego wiersza bohaterskiego, składająca się z sześciu stóp daktylicznych; heksametrem napisano *Iliadę* i *Odysję* Homera. [przypis edytorski]

Ale często kuzynostwo rozciągało się o wiele dalej, ile że pani de Guermantes czuła się w obowiązku mówić „ciociu” do osób, z którymi aby znaleźć wspólnego przodka, musiałaby sięgnąć co najmniej do czasu Ludwika XV³⁴³. Toż samo, za każdym razem kiedy niedole epoki sprawiły, że miliardka zaślubiła jakiegoś księcia, którego praszczur ożenił się, jak praszczur pani de Guermantes, z córką ministra Louvois³⁴⁴, największym szczęściem Amerykanki za pierwszą wizytą w pałacu Guermantes, gdzie była zresztą dość lichy przyjęta i gruntownie obmówiona, było mówić „ciociu” do pani de Guermantes, która zezwalała na to z macierzyńskim uśmiechem. Ale było mi dość obojętne, czym było „urodzenie” dla pana de Guermantes i dla pana de Beuserfeuil; w rozmowach, jakie wiedli na ten temat, szukałem jedynie poetyckiej przyjemności. Nie doświadczając jej sami, dostarczali mi jej tak, jakby to robili rolnicy lub rybacy, mówiąc o uprawie roli lub o polowie, realnościach nazbyt zrosniętych z nimi, aby w nich mogli kosztować uroków, które ja osobiście podejmowałem się z nich wydobyć.

Czasem nazwisko przywodziło na myśl nie tyle rasę, ale jakiś szczególny fakt, datę. Słyszając, jak pan de Guermantes przypomina, że matka pana de Bréauté była z domu Choiseul, a babka Lucinge, miałem wrażenie, że pod banalną koszulą ze zwykłymi perłowymi spinkami widzę krwawiące się w dwóch kryształowych kulach te dostojne relikwie: serce pani de Praslin³⁴⁵ i serce księcia de Berry³⁴⁶; inne były bardziej zmysłowe: długie i delikatne włosy pani Tallien³⁴⁷ lub pani de Sabran³⁴⁸.

Czasem dostrzegałem nie tylko zwykłą relikwię. Bardziej oświecony od żony co do przodków, pan de Guermantes posiadał wspomnienia czyniące jego rozmowę czymś na kształt pięknej starej siedziby niezawierającej istotnych arcydzieł, ale pełnej autentycznych obrazów, miernych i majestatycznych, w całości mających wielki styl. Gdy książe d'Agrigente spytał, czemu książe X, mówiąc o księciu d'Aumale, powiedział „mój wuj”, pan de Guermantes odparł: „Dlatego że brat jego matki, książe wirtemberski, zaślubił córkę Ludwika Filipa³⁴⁹”. Wówczas ujrzałem cały relikwiarz, podobny tym, jakie malowali Carpaccio³⁵⁰ lub Memling³⁵¹, od pierwszego kwadratu, gdzie księżniczka na godach weselnych swego brata, księcia Orleanu, zjawia się ubrana w codzienną suknię, okazując tym swoje niezadowolenie, że odtracono posłów wyprawionych, aby prosić dla niej o rękę księcia Syrakuz, aż do ostatniego kwadratu, gdzie rodzi chłopca, księcia wirtemberskiego (rodzonego wuja księcia, z którym jadłem obiad), w tym zamku Wyobraźni³⁵², jednym z miejsc równie arystokratycznych jak niektóre rody. I one także trwają dłużej niż jedno pokolenie, wiążą się z niejedną historyczną osobistością. Tu zwłaszcza żyją obok siebie

³⁴³Ludwik XV (1710–1774) — król Francji (od 1715) z dynastii Burbonów, prawnik i następca Ludwika XIV; pod jego rządami podupadła gospodarka i finanse państwa. [przypis edytorski]

³⁴⁴Louvois, François Michel Le Tellier de (1641–1691) — francuski polityk, wybitny minister wojny Ludwika XIV. [przypis edytorski]

³⁴⁵Choiseul-Praslin, Franciszka de (1807–1847) — francuska księżna; została znaleziona zamordowana, o jej zabójstwo oskarżono jej męża Charles'a, który w oczekiwaniu na proces popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

³⁴⁶Karol Ferdynand d'Artois, książę de Berry (1778–1820) — najmłodszy syn króla Karola X i Marii Teresy Sabaudzkiej; zaatakowany i śmiertelnie raniony, kiedy opuszczał budynek paryskiej opery razem ze swoją żoną; jedną z jego córek była Charlotta Maria Augustyna (1808–1886), która poślubiła Ferdynanda, hrabiego (później księcia) Faucigny-Lucinge. [przypis edytorski]

³⁴⁷pani Tallien — Thérèse Tallien (1773–1835), francuska arystokratka, słynęła z urody i swobodnego trybu życia; wyszła za mąż w wieku 14 lat, po rozwodzie jej kochankiem, a potem drugim mężem został rewolucjonista Jean Tallien; po rozwodzie z Tallienem miała krótki flirt z Napoleonem, dwa kolejne romanse, ostatecznie wyszła za mąż za księcia de Chimay. [przypis edytorski]

³⁴⁸pani de Sabran — Delphine de Sabran (1770–1826), francuska arystokratka, pisarka, prowadziła salony literackie i artystyczne, wolnomyslicielka, znana z urody i inteligencji; podczas rewolucji uwięziona wraz z mężem, którego potem zgilotynowano; uwolniona po upadku Robespierre'a; miała kilku kochanków. [przypis edytorski]

³⁴⁹książe wirtemberski, zaślubił córkę Ludwika Filipa — Aleksander Fryderyk Wirtemberski (1804–1881), książę Wirtembergii, poślubił w 1837 Marię Orleańską (1813–1839), córkę króla Francji Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

³⁵⁰Carpaccio, Vittore (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

³⁵¹Memling, Hans (ok. 1435–1494) — niderlandzki malarz pochodzenia niemieckiego, jeden z najważniejszych przedstawicieli wczesnego odrodzenia. [przypis edytorski]

³⁵²Zamek Wyobraźni (niem. *Schloss Fantaisie*) — niemiecki zamek we wsi Donndorf, w pobliżu miasta Bayreuth. [przypis edytorski]

wspomnienia margrabiny Bayreuth³⁵³, również nieco ekscentrycznej księżniczki (siostry księcia Orleanu), której podobno spodobała się nazwa zamku jej małżonka; dalej króla bawarskiego³⁵⁴ i wreszcie księcia X, którego adres to była właśnie nazwa tej miejscowości: dopiero co prosił pana de Guermantes, aby tam do niego napisał, bo odziedziczył ten zamek i wynajmował go jedynie na czas cykli wagnerowskich innemu rozkosznemu oryginałowi, księciu de Polignac³⁵⁵. Kiedy pan de Guermantes, chcąc wytłumaczyć, w jaki sposób spokrewniony jest z panią d'Arpajon, musiał tak daleko, a tak po prostu wspinać się po łańcuchu, poprzez złożone dłonie trzech czy pięciu prababek, aż do Marii Ludwiki³⁵⁶ lub do Colbert³⁵⁷, to było znów to samo: wielkie wydarzenie historyczne ukazywało się przelotnie, jedynie zamaskowane, wynaturzone, ograniczone, w nazwie miejscowości, w imionach jakiejś kobiety, dobranych w ten sposób, ponieważ była wnuczką Ludwika Filipa i Marii Amelii³⁵⁸, widzianych już nie w charakterze króla i królowej Francji, ale tylko w tej mierze, w jakiej, jako dziadkowie, zostawili spadek. (Widzimy, z innych racji, w skorowidzu do dzieł Balzaca, gdzie najznamienitsze osobistości figurują jedynie wedle swego związku z *Komedią ludzką*, że Napoleon zajmuje o wiele mniej miejsca niż Rastignac i zajmuje je tylko dlatego, że rozmawiał z pannami de Cinq-Cygne³⁵⁹). Podobnie arystokracja, w swojej ciężkiej budowlu o nielicznych oknach skąpo przepuszczających światło, okazując ten sam brak polotu, ale tę samą masywną i ślepą potęgę co architektura romańska, zamyka całą historię, zamurowuje ją, zasępia.

Tak więc przestrzenie mojej pamięci pokrywały się stopniowo nazwiskami, które szeregując się, grupując się w wzajemnym stosunku, wchodząc ze sobą w coraz to liczniejsze związki, naśladowały owe skończone dzieła sztuki, gdzie żadne dotknięcie pędzla nie jest odosobnione, gdzie każda partia czerpie z innych swoją rację bytu, im znowuż narzucając swoją.

Kiedy nazwisko pana de Luxembourg wróciło na tapetę, ambasadorowa turecka opowiedziała, że kiedy dziadek jego żony (ten, co posiadał ów olbrzymi majątek zrobiony na mące i na makaronie) zaprosił pana de Luxembourg na śniadanie, ten odmówił, kreśląc na kopercie adres: „Pan de X, młynarz”, na co dziadek odpowiedział: „Bardzo żałuję, że kochany pan nie mógł przyjść, tym bardziej że byliśmy w małym kółku, sami swoi, i że znaleźliby się przy stole jedynie młynarz, jego syn i pan”. Ta historia wydała mi się wstrętą; nie tylko nie uwierzyłbym nigdy, aby mój drogi de Nassau, pisząc do dziadka swojej żony (po którym zresztą miał dziedziczyć), nazywał go „młynarzem”, ale także niezdarność tej powiastki biła od pierwszych słów, ile że słowo „młynarz” pomieszczono zbyt oczywiście na to, aby sprawdzić tytuł bajki la Fontaine'a³⁶⁰. Ale w Faubourg Saint-Germain głupota — kiedy się z nią połączy — jest taka, iż wszyscy uznali, że to jest cudownie trafione i że dziadek (którego natychmiast na ślepo okrzyknięto niepospolitym człowiekiem) okazał więcej dowcipu od przyżenionego wnuka.

Książę de Châtellerauld chciał skorzystać z tej historyjki, aby opowiedzieć inną, którą słyszałem w kawiarni: „Wszyscy się kładli”, ale od pierwszych słów, kiedy wspomniął o pretensji pana de Luxembourg, aby pan de Guermantes wstawał przed jego żoną, pani de Guermantes przerwała mu i rzekła:

— Nie, on jest bardzo śmieszny, ale jednak nie do tego stopnia.

³⁵³ Bayreuth — miejscowość w Bawarii, gdzie znajduje się Teatr Operowy wybudowany w 1876 specjalnie na potrzeby związane z wykonaniem dzieł Wagnera; do dziś odbywa się w nim coroczny festiwal wagnerowski. [przypis edytorski]

³⁵⁴ król bawarski — Ludwik II Bawarski (1845–1886), król Bawarii (od 1864) z dynastii Wittelsbachów, przyjaciel i mecenas kompozytora Ryszarda Wagnera, budowniczy wystawnych pałaców oraz fantastycznego zamku Neuschwanstein; w 1886 uznany za niepoczytalnego i ubezwłasnowolniony. [przypis edytorski]

³⁵⁵ Polignac, Edmond de (1834–1901) — francuski książę, kompozytor; znajomy Prousta. [przypis edytorski]

³⁵⁶ Maria Ludwika Austriaczka (1791–1847) — arcyksiężniczka austriacka, córka Franciszka II, ostatniego władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, druga żona Napoleona I. [przypis edytorski]

³⁵⁷ Colbert, Jean Baptiste (1619–1683) — francuski polityk, minister finansów i premier na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

³⁵⁸ Ludwik Filip i Maria Amelia — Ludwik Filip I (1773–1850), ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów, oraz jego żona, Maria Amelia Burbon (1782–1866), księżniczka Królestwa Obojga Sycylii. [przypis edytorski]

³⁵⁹ Rastignac i Laurence de Cinq-Cygne — postacie z cyklu powieściowego Balzaca *Komedія Ludzka*. [przypis edytorski]

³⁶⁰ aby sprawdzić tytuł bajki la Fontaine'a — *Młynarz, jego syn i osioł*. [przypis tłumacza]

Byłem święcie przekonany, że wszystkie historyjki odnoszące się do pana de Luxembourg są równie fałszywe i że ilekroć się znajdę w obecności jednego z ich uczestników lub świadków, usłyszę to samo zaprzeczenie. Pytałem jednak sam siebie, czy protest pani de Guermantes płynie z troski o prawdę, czy z pychy. Jeżeli to była pycha, ustąpiła miejsca złościwości, bo księżna dodała, śmiejąc się:

— Zresztą i mnie spotkała mała awania³⁶¹, bo on mnie zaprosił na podwieczorek, chcąc mnie zapoznać z wielką księżną luksemburską: w ten sposób i z tak dobrym smakiem nazywa własną żonę, pisząc do ciotki. Wyraziłam mu swój żal i dodałam: „Co do »wielkiej księżnej luksemburskiej«, w cudzysłowie, powiedz jej, że jeżeli zechce przyjść do mnie, jestem w domu od godziny piątej co czwartek”. Spotkał mnie i drugi afronik. Kiedy byłam w Luksemburgu, zatelefonowałam do niego, prosząc, aby podszedł do telefonu. Jego wysokość szedł na śniadanie, kończył śniadanie, dwie godziny upłynęły bez rezultatu; wówczas użyłam innego środka: „Proszę poprosić hrabiego de Nassau do telefonu”. Dotknięty do żywego, przybiegł w tej chwili.

Wszyscy śmieli się z opowiadania księżnej i z innych analogicznych, to znaczy — jestem o tym przekonany — kłamliwych, bo nie spotkałem człowieka inteligentniejszego, lepszego, subtelniejszego, powiedzmy, wręcz bardziej uroczego niż ten Luxembourg Nassau. Dalszy ciąg okaże, że to ja miałem słuszność. Muszę uznać, że pośród tych wszystkich niegodziwości wymknęło się pani de Guermantes ładne powiedzenie.

— On nie zawsze był taki — rzekła. — Zanim stracił rozum, zanim się zrobił jak ów człowiek z bajki, który myśli, że został królem, nie był głupi, i nawet w pierwszym okresie po swoich zaręczynach mówił o tym w sposób dość sympatyczny, jak o nieoczekiwanym szczęściu. „To istna bajka, muszę odbyć wjazd do Luksemburga w karocy z feerii” — powiadał do swego wuja d’Ornessan, który mu odpowiedział, bo państwo wiecie, że Luksemburg to nie jest duże: „Karoca z feerii! Boję się, że nie zdołasz wjechać; radzę ci już lepiej wózek zaprzężony w kozy”. Nie tylko Nassau nie obraził się, ale pierwszy powtarzał ten żart i śmiał się z niego.

— Ornessan jest bardzo dowcipny i ma po kim być dowcipny; matka jego jest z domu Montjeu. Bardzo jest źle z biednym Ornessan.

To nazwisko miało tę zaletę, że przerwało niestrawne złościwości, które byłyby się ciągnęły w nieskończoność. Po czym pan de Guermantes wytłumaczył, że prababka pana d’Ornessan była siostrą Marii Kastylijskiej de Montjeu³⁶², żony Tymoleona Lotaryńskiego, a tym samym ciotki Oriany. Tak iż rozmowa wróciła do genealogii, podczas gdy idiotka ambasadorowa turecka szeptała mi:

— Robi pan wrażenie, że pan jest bardzo dobrze notowany u księcia de Guermantes; niech się pan ma na baczności. — A kiedy jej prosiłem o wyjaśnienie: — Mam na myśli, pan mnie zrozumie w pół słowa, że to jest człowiek, któremu można by bezpiecznie powierzyć córkę, ale nie syna.

Otóż, przeciwnie, jeżeli był kiedy człowiek kochający namiętnie i wyłącznie kobiety, był nim książę de Guermantes. Ale błąd, przeciwieństwo prawdy, w które naiwnie wierzyła, były dla ambasadorowej jak gdyby elementem, poza którym nie mogła się poruszać.

— Jego brat, Mémé, który mi jest zresztą z innych przyczyn (nie kłaniał się jej) głęboko antypatyczny, bardzo martwi się narowami księcia. Toż samo ich ciotka Villeparisis. Ubóstwiam ją. Oto święta kobieta, prawdziwy typ dawnych wielkich dam! To nie tylko wcielona cnota, ale i fakt. Jeszcze mówi „panie” do ambasadora Norpois, którego widuje co dzień i który, nawiasem mówiąc, zostawił w Turcji wyborne wspomnienie.

Nawet nie odpowiedziałem ambasadorowej, aby dalej słuchać genealogii. Nie wszystkie były ważne. Zdarzyło się nawet w ciągu rozmowy, że jeden z nieoczekiwanych alianców, który mi objaśnił pan de Guermantes, był mezaliansem, ale nie bez wdzięku, kojarząc bowiem za monarchii lipcowej księcia de Guermantes i księcia de Fezensac z dwiema uroczymi córkami znakomitego żeglarza, dawał w ten sposób dwom księżnym nieoczekiwany smak egzotycznie mieszczańskiego, louis-filipicznie indiańskiego wdzięku. Lub,

³⁶¹awania (z fr. *avanie*) — afront, zniewaga, wyrządzona przykrość. [przypis edytorski]

³⁶²Castille Jeannin de Montjeu, Marie Louise Chrétienne de (1680–1736) — francuska arystokratka. [przypis edytorski]

za Ludwika XIV, jakiś Norpois zaślubił córkę księcia de Mortemart³⁶³, którego znamienity tytuł ujął w owej odległej epoce nazwisko „Norpois” (które mi się zdawało szare i które mogłem uważać za świeże) i wyczelował je, dając mu piękność medalu. Zresztą w takich wypadkach nie tylko mniej znane nazwisko zyskiwało na tym zbliżeniu; drugie, zbanalizowane własną świetnością, bardziej uderzało mnie pod tą nową i dyskretniejszą fizjonomią, tak jak wśród portretów olśniewającego kolorysty często najbardziej zaskakuje nas portret robiony na czarno. Nowa ruchliwość, jakiej nabywały wszystkie te nazwiska, zgrupowane obok innych, od których zdawały się tak dalekie, wypływała nie tylko z mojej ignorancji; te same *chassés-croisés*³⁶⁴, jakie robiły w moim pojęciu, wykonywały one nie mniej łatwo w epokach, gdy tytuł, zawsze przywiązany do posiadłości ziemskiej, szedł za nią z jednej rodziny do drugiej, tak iż w pięknej feudalnej budowlu, jaką jest tytuł księcia de Nemours lub księcia de Chevreuse, mogłem odkryć kolejno, osiadłych niby w gościnnym domu Bernarda l’Hermite, jakiegoś Guise’a, księcia sabaudzkiego, Orleana, Luynes’a. Czasem wielu z nich rościło sobie prawa do jednej skorupki: na przykład królewska rodzina Holandii oraz panowie de Mailly-Nesle do księstwa Oranii; baron de Charlus i królewska rodzina belgijska do księstwa Brabancji; tylu innych do tytułów książąt Neapolu, książąt Parmy, książąt Reggio. Czasem było odwrotnie; skorupka była od tak dawna opuszczona przez wymarłych właścicieli, że nigdy nie przyszłoby mi na myśl, iż jakaś nazwa zamku mogła — ostatecznie w epoce niezbyt odległej — być nazwiskiem rodziny. Toteż kiedy na jakies pytanie pana de Monserfeuil pan de Guermantes odpowiedział: „Nie, moja kuzynka była wściekła rojalistka, to była córka margrabiego de Féterne, który odegrał pewną rolę w szuanerii³⁶⁵”, wówczas, widząc, jak ta nazwa „Féterne”, która od czasu Balbec była dla mnie nazwą zamku, staje się (czego bym o niej nigdy nie pomyślał) nazwiskiem rodziny, doznałem tego samego zdumienia, co kiedy w feerii wieże i ganek ożywiają się i stają się osobami. W tym znaczeniu można powiedzieć, że historia, nawet po prostu genealogiczna, wraca życie starym kamieniom. Byli też zapewne w świecie paryskim ludzie, którzy odegrali w nim rolę równie znaczną jak książę de Guermantes lub książę de la Trémoille, równie wysoko urodzeni, a bardziej poszukiwani dla swojej elegancji lub dowcipu. Zapomniano dziś o nich, bo nie mieli potomków, tym samym nazwisko ich, którego się już nie słyszy, wydaje się nieznanne; co najwyżej nazwa rzeczy, pod którą nie spodziewamy się odkryć nazwy ludzi, przeżyła w jakimś zamku, w jakiejś odległej wsi. Maluczko, a podróżny, który kędyś w Burgundii zatrzyma się w małej wiosce Charlus, aby zwiedzić miejscowy kościół, jeżeli nie jest na tyle dokładny lub jeżeli zanadto się spieszy, aby badać nagrobki, nie będzie wiedział, że owo „Charlus” było nazwiskiem człowieka, który trzymał równy krok z największymi.

Refleksja ta przypominała mi, że trzeba iść i że podczas gdy słuchałem wywodów genealogicznych pana de Guermantes, zbliżała się godzina spotkania z jego bratem. Kto wie, myślałem dalej, czy kiedyś samo Guermantes nie stanie się wyłącznie nazwą miejscowości, wyjąwszy dla archeologów, którzy zatrzymawszy się przypadkiem w Combray, będą mieli cierpliwość przed witrażem Gilberta Złego wysłuchać objaśnień następcy naszego Teodora lub odczytać przewodnik proboszcza. Ale dopóki wielkie nazwisko nie wygasło, utrzymuje ono w pełnym blasku tych, co je nosili; i z pewnością zainteresowanie moje świetnością tych rodów płynęło stąd, że wychodząc z dnia dzisiejszego, można iść za nimi, stopień po stopniu, gdzieś daleko poza wiek XIV i odnaleźć pamiątniki i korespondencje wszystkich przodków pana de Charlus, księcia d’Agrigente, księżnej Parmy w przeszłości, w której nieprzenikniona noc skryłaby początki jakiejś mieszczańskiej rodziny i gdzie, pod świetlną i retrospektywną projekcją danego nazwiska, rozpoznajemy początek i trwałość pewnych neuropatycznych cech, przywar i wybryków jakichś Guermantów. Patologicznie niemal podobni do dzisiejszych, z wieku na wiek budzą niespokojną ciekawość swoich

³⁶³*Mortemart, Louis de Rochechouart de* (1663–1688) — francuski książę, mąż Marie-Anne Colbert (1665–1750), córki Jean-Baptiste Colberta, ministra Ludwika XIV. [przypis edytorski]

³⁶⁴*chassé croisé* (fr.; lm *chassés croisés*) — figura w tańcu polegająca na zamianie pozycji, podczas której tancerze mijają się, przechodząc na przeciwne strony. [przypis edytorski]

³⁶⁵*szuaneria* a. *powstanie szuanów* (1794–1795) — rojalistyczne chłopskie powstanie w Bretanii i Mayenne w okresie rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

korespondentów, bądź dawniejszych od księżnej Palatynatu³⁶⁶ i pani de Motteville³⁶⁷, bądź późniejszych od księcia de Ligne³⁶⁸.

Zresztą moje zaciekawienie historyczne było mniejsze od rozkoszy estetycznej. Cytowane nazwiska miały ten skutek, że odcieleśniały gości księżnej, których maska ich ciała oraz nieinteligencji czy miernej inteligencji zmieniała w przeciętnych ludzi; tak iż w sumie słomianka przedpokoju księżnej stała się dla mnie nie — jak w to wierzyłem — progiem, ale kresem zaczarowanego świata nazwisk. Sam książę d’Agrigente, kiedyś usłyszał, że matka jego, z domu Damas, była wnuczką księcia Modeny, wyzbył się — niby przypadkowej chemicznej domieszki — twarzy i słów niepozwalających go rozpoznać i stworzył z Damas i Modeną, które były jedynie tytułami, nieskończenie powabniejszą kombinację. Każde nazwisko, przemieszczone przyciąganiem innego, z którym nie posądzałem go o żadne powinowactwo, opuszczało niezmiennie miejsce, które zajmowało w moim mózgu, gdzie poszarzyło je przyzwyczajenie, i kojarząc się z Mortemartami, Stuartami lub Burbonami, rysowało wraz z nimi pełne wdzięku gałązki o zmiennym kolorycie. Nawet nazwisku „Guermantes” wszystkie te piękne, wygasłe i tym żarliwiej rozpalane nazwiska, z którymi — jak się o tym dowiedziałem świeżo — było ono związane, dawały jakiś nowy, czysto poetycki sens. Co najwyżej na zakończeniu każdego pęczka dumnej lodygi mogłem oglądać, jak ona zakwita jakimś obliczem mądrego króla lub dostojnej księżniczki, jak ojciec Henryka IV³⁶⁹ lub księżna de Longueville³⁷⁰. Ale ponieważ te twarze, różne w tym od twarzy gości, nie były dla mnie zamulone żadnym osadem materialnego poznania i światowej pospolitości, w swoim pięknym rysunku i zmiennych refleksach zachowały jedność z tymi nazwiskami, które, w regularnych odstępach, każde odmiennego koloru, odcinały się od drzewa genealogicznego Guermantów, żadną obcą i nieprzezroczystą materią nie ćmiąc przeświecających, zmiennych i wielobarwnych pączków, które, niby przodkowie Jezusa na starożytnych witrażach z rodowodem Jessego³⁷¹, kwitły po obu stronach szklanego drzewa.

Kilka razy już chciałem się wymknąć, a pobudką moją, bardziej od wszelkiej innej racji, było upośledzenie, jakie moja obecność narzucała temu zebraniu. Tak długo roilem je jako coś tak pięknego, i byłoby z pewnością piękne, gdyby nie miało w mojej osobie krępującego świadka. Nieobecność moja, z chwilą usunięcia się profana, pozwoli uczestnikom ukonstytuować się wreszcie w sekretne ciało. Będą mogli święcić misteria, dla których się zebrali, bo z pewnością nie zeszli się po to, aby rozmawiać o Franzu Halsie i o skąpstwie, i to rozmawiać w ten sam sposób co ludzie nieurodzeni. Mówiono same błahostki, z pewnością dlatego że ja tam byłem; widząc poszczególne wszystkie te piękne kobiety, doświadczałem wyrzutów, że obecnością swoją przeszkadzam im w najwykwintniejszym z salonów wieść tajemnicze życie Faubourg Saint-Germain. Ale mimo że chciałem najszybciej zniknąć, księstwo de Guermantes dawali dowód prawdziwego poświęcenia, przedłużając moją obecność. A co jeszcze ciekawsze, niektóre damy, które przyszły skwapliwie, zachwycone, wystrojone, iskrzące się klejnotami, aby wziąć udział — z mojej winy — po prostu w fecie niewiele się różniącej od wieczorów dawanych poza Faubourg Saint-Germain — tak samo jak człowiek czuje się w Balbec jak w mieście niewiele różniącym się od tego, co nasze oczy przywykły oglądać — niektóre damy odeszły nie tak, jak by powinny odejść, z uczuciem zawodu, ale dziękując entuzjastycznie pani de Guermantes za rozkoszny wieczór, tak jakby w inne dni (w te, kiedy mnie nie było) nie działo się tam nic innego.

³⁶⁶Elżbieta Charlotta z Palatynatu (1652–1722) — niemiecka księżniczka Palatynatu Reńskiego, żona księcia Orleanu; opisywała zdarzenia i osoby z dworu Ludwika XIV w swoich listach do Niemiec. [przypis edytorski]

³⁶⁷Motteville, Françoise de (ok. 1620–1689) — francuska pamiętnikarka, pokojówka Anny Austriaczki. [przypis edytorski]

³⁶⁸Ligne, Charles-Joseph de (1735–1814) — książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, dyplomata i wojskowy w służbie Austrii, pamiętnikarz. [przypis edytorski]

³⁶⁹ojciec Henryka IV — Antoine de Bourbon-Vendôme (1518–1562), król Nawarry (od 1555). [przypis edytorski]

³⁷⁰księżna de Longueville — Anna Genowefa de Bourbon (1619–1679), córka Henryka, księcia Condé, i jego żony, Charlotty Małgorzaty de Montmorency; znana z urody i wpływu na Fronde. [przypis edytorski]

³⁷¹drzewo Jessego — artystyczne przedstawienie drzewa genealogicznego Jezusa z Nazaretu; Jesse był wg Biblii ojcem Dawida, króla Izraela; w *Księdze Izajasza* (Iz 11) mowa o wybitnym potomku Jessego, w czym chrześcijanie widzą prorocstwo dotyczące Chrystusa. [przypis edytorski]

Czy doprawdy na obiady takie jak dzisiejszy wszystkie te osoby stroiły się i nie wpuszczały „pań z miasta” do swoich tak zamkniętych salonów? Na obiady takie jak ten i takie same wówczas, gdy mnie nie było? Na chwilę powziąłem to podejrzenie, ale było ono zbyt niedorzeczne. Prosty rozsądek pozwalał je oddalić. A przy tym, gdybym je przyjął, cóż by zostało z nazwiska „Guermantes”, już tak zdegradowanego od czasów Combray?

Zresztą te żywe kwiaty były szczególnie łatwe do zadowolenia przez inną osobę lub pragnące jej zrobić przyjemność, bo niejedna z tych dam, do której się zaledwo przez cały wieczór odezwałem, i to tak głupio, że się rumienił na samą myśl o tym, postarała się przed opuszczeniem salonu oświadczyć mi, wlepiając we mnie swoje piękne pieścizliwie oczy i poprawiając girlandę storczyków okalającą jej piersi, jaką przyjemnością było dla niej poznanie mnie. Po czym natrącała — dyskretna aluzja do zaproszenia na obiad — o swym pragnieniu „zorganizowania czegoś”, skoro „uloży dzień” z panią de Guermantes.

Zaden z tych żywych kwiatów nie opuścił salonu przed księżną Parmy. Nie wolno wychodzić przed królewską wysokością. Obecność księżnej Parmy była jedną z dwóch, niepodjęzrywanych przeze mnie, przyczyn, dla których pani de Guermantes tak usilnie starała się mnie zatrzymać. Z chwilą gdy księżna Parmy wstała, było to jakby hasło swobody. Wszystkie damy, zgąwszy kolano przed jej wysokością, która podniosła każdą, otrzymały od niej wraz z pocałunkiem — jak gdyby wyblagane na kolanach błogosławieństwo — pozwolenie zakrzętnienia się za okryciem i karetą. Tak że przed bramą odbywał się jakby przegląd wywoływanych kolejno wielkich nazwisk z historii Francji. Księżna Parmy zabroniła pani de Guermantes odprowadzać ją na dół z obawy, aby się nie zaziębiła, a książę dodał:

— No, Oriano, skoro jej wysokość zezwała, przypomnij sobie, co ci powiedział doktor.

„Zdaje mi się, że księżna Parmy była *bardzo rada* z tego obiadu z panem”. Znałem tę formułę. Książę de Guermantes przebył cały salon, aby mi jej udzielić z uprzejmą i ważną miną, tak jakby wręczał dyplom lub podawał ciasteczkę. I z przyjemności, którą zdawał się odczuwać w tej chwili, a która dawała chwilowo tak słodki wyraz jego twarzy, zrozumiałem, że rodzaj obowiązków, jaki to dlań przedstawiało, był z tych, z których się będzie wywiązywał aż po ostatni kres życia, jak z owych honorowych i łatwych funkcji, które zachowuje się nawet będąc ramolem.

W chwili gdy miał odejść, dama dworu księżnej Parmy wróciła do salonu, zapomniawszy zabrać wspaniałych, sprowadzonych z Guermantes goździków, które księżna ofiarowała jej wysokości. Dama dworu była dość czerwona, czuło się, że ją spotkała pucówka³⁷², bo księżna Parmy, tak dobra dla wszystkich, nie mogła powstrzymać zniecierpliwienia wobec głupoty swojej suiwantki³⁷³. Toteż ta biegła szybko, unosząc goździki, ale aby zachować swobodną figlarną minkę, rzekła, przechodząc koło mnie: „Jej wysokość uważa, że ja się zapóźniłam; chciałyby już odejść i mieć równocześnie goździki. Trudno, ja nie jestem mały ptaszek, nie mogę być w kilku miejscach naraz”.

Niestety! Racja niedopuszczająca wstawania przed jej wysokością nie była jedyną. Nie mogłem wyjść natychmiast, bo była i inna racja: było nią to, że sławny zbytek nieznanego Courvoisierom, jakim Guermantowie — bogaci czy na wpół zrujnowani — umieli raczyć swoich przyjaciół, to nie był zbytek jedynie materialny, ale, jak tego często doświadczyłem z Robertem de Saint-Loup, także zbytek uroczych wyrazów, uprzejmych gestów, cała elegancja słowna, podsycana istotnym bogactwem wewnętrznym. Że jednak w próżniactwie światowym bogactwo to pozostaje bez użytku, wyladowywało się ono często, szukając ujścia w jakimś ulotnym i przez to tym lękliwszym wylewie, który u księżnej Oriany mógłby dać złudzenie serdeczności. Czuli ją zresztą w chwili, gdy jej dawała upust, bo wówczas w towarzystwie przyjaciela lub przyjaciółki znajdowała rodzaj upojenia, zgoła niezmysłowego, podobnego temu, jakie w niektórych osobach wzniesła muzyka; zdarzało się jej odpiąć od stanika kwiat, medalion i dać je komuś, z kim pragnęłyby przeciągnąć wieczór, czując z melancholią, że takie przedłużenie doprowadziłoby jedynie do czczych rozmówek, w które nie przeszłoby nic z dreszczu przelotnego wzruszenia; rozmówek podobnych do pierwszych ciepłych dni wiosennych przez wrażenie zmęczenia i smutku, jakie zostawiają. I nie należało zbyt poważnie brać upajających

³⁷²pucówka (daw., pot.) — ostre napomnienie, nagana. [przypis edytorski]

³⁷³suiwantka (neol.) — z fr. *suivante*: dama do towarzystwa. [przypis edytorski]

ponad wszystko przyrzeczeń, wygłaszanych przez owe kobiety, które dlatego że z taką siłą odczuwają słodycz chwili, czynią z niej — z delikatnością i szlachetnością nieznaną normalnym istotom — arcydzieło wzruszające wdziękiem i dobrocią i nie mają już nic do oddania z siebie z nadejściem innej chwili. Serdeczność ich nie trwa dłużej niż egzaltacja, która ją dyktuje; subtelność, która kazała im wówczas odgadnąć, co byśmy chcieli usłyszeć, i powiedzieć nam to wszystko, pozwoli im równie dobrze w kilka dni później podchwycić nasze śmieszności i bawić nimi innego gościa, z którym właśnie będą kosztowały jednego z owych tak ulotnych „momentów muzycznych”.

W przedśionku zażądałem od lokaja moich *snow-boots*, wziętych dla ochrony od śniegu, którego spadło nieco płatków rychło zmienionych w błoto. Nie zdałem sobie sprawy, że to jest nieeleganckie; ale pod wpływem pogardliwego uśmiechu wszystkich uczulem zawstydzenie, które doszło szczytu, kiedy ujrzałem, że księżna Parmy nie wyszła i że mnie widzi, jak wkładam swoje amerykańskie kalosze. Księżna podeszła ku mnie:

— Och, co za wspaniała myśl! — wykrzyknęła. — Jakie to praktyczne: to się nazywa człowiek inteligentny! Wie pani, będziemy musiały kupić takie — rzekła do damy dworu, podczas gdy ironia lokajów zmieniała się w szacunek, goście zaś tłoczyli się dokoła mnie, aby się dowiedzieć, gdzie ja mogłem znaleźć te cuda.

— Dzięki temu nie potrzebuje się pan niczego obawiać, nawet gdyby znów spadł śnieg i gdyby pan szedł daleko, nie ma już pół roku! — rzekła do mnie księżna Parmy.

— Och, co do tego wasza królewska wysokość może być spokojna — przerwała dama dworu ze sprytną miną — nie będzie już śnieg padał.

— Co pani może wiedzieć? — spytała cierpko przezacna księżna Parmy, którą jedynie głupota jej damy dworu umiała wyprowadzić z równowagi.

— Mogę zaręczyć waszej królewskiej wysokości, że nie może śnieg padać, to jest fizyczne niepodobieństwo.

— Ależ czemu?

— Nie może już padać, bo zrobiono, co trzeba, aby temu zapobiec: posypano sól!

Naiwna dama nie spostrzegła gniewu księżnej i wesołości innych osób, bo zamiast zmilczeć, rzekła do mnie z miłym uśmiechem, nie biorąc w rachubę moich zaprzeczeń w przedmiocie admirała Jurien de la Gravière:

— Zresztą cóż to znaczy? Pan musi być zahartowany jak marynarz. Dobra krew nie zawodzi.

Odprowadziwszy księżnę Parmy, pan de Guermantes rzekł do mnie, biorąc moje palto:

— Pomogę panu wdziać kożuch.

Nie uśmiechał się już nawet, używając tego słowa, bo właśnie najpospolitsze wyrażenia stały się, wskutek afektowanej prostoty Guermantów, arystokratyczne.

Egzaltacja kończąca się jedynie melancholią, ponieważ była sztuczna — oto co, mimo iż całkiem odmiennie niż pani de Guermantes, odczuwałem, znalazłszy się w dorożce, która mnie wiozła do pałacu pana de Charlus. Możemy wedle ochoty oddawać się jednej lub drugiej z tych sił: jedna wznosi się z nas samych, promieniuje z naszych głębokich wrażeń, druga nawiedza nas z zewnątrz. Pierwsza w naturalny sposób niesie z sobą radość, tę, którą wydziela życie twórców. Drugi prąd, ten, który próbuje wnieść w nas ruch ożywiający inne osoby, nie jest połączony z przyjemnością; ale możemy ją znaleźć przez odbicie, w ujęciu tak sztucznym, że szybko obraca się w nudę, w smutek; stąd martwa twarz tylu światowców i tyle u nich stanów neurastenicznych, wiodących niekiedy do samobójstwa. Otóż w pojeździe, który mnie wiozł do pana de Charlus, byłem pastwą tego drugiego rodzaju podniecenia, bardzo odmiennego od tego, które czerpiemy z osobistych wrażeń, jak to, które poznałem w innych pojazdach, raz w Combray w kabrioletcie doktora Percepied, skąd widziałem rysujące się w zachodzie słońca wieże Martinville, innego dnia w Balbec, w landzie³⁷⁴ pani de Villeparisis, kiedy się starałem odcyfrować reminiscencję następczoną przez grupę drzew. Ale w tym trzecim pojeździe miałem przed oczyma ducha jedynie rozmówki z obiadu u pani de Guermantes, które mi się wydawały tak nudne, na przykład opowiadanie Prinza Von o cesarzu niemieckim, o generale Botha i o armii angielskiej! Wstawiłem je w wewnętrzny stereoskop, poprzez który z chwilą gdy nie jesteśmy już samymi sobą, gdy, obdarzeni duszą światową, pra-

³⁷⁴lando — rodzaj czteroosobowego powozu konnego z opuszczaną budą. [przypis edytorski]

gniemy czerpać życie jedynie z drugich, dajemy głębię wszystkiemu, co oni powiedzieli, co zrobili. Niby człowiek pijany, pełen tkliwości dla usługującego mu garsona, zachwycałem się swoim szczęściem — nieodczutym co prawda przeze mnie w danej chwili — żem jadł obiad z kimś, kto zna tak dobrze Wilhelma II i opowiada o nim anegdoty, dalibóg, bardzo dowcipne. Przypominając sobie, wraz z niemieckim akcentem Prinza, historię generała Botha, śmiałem się na cały głos, jakby ten śmiech, podobny pewnym oklaskom zwiększającym wewnętrzny podziw, potrzebny był temu opowiadaniu, aby wzmocnić jego komizm. Przez powiększające szkła nawet te opinie pani de Guermantes, które mi się wydały głupie (na przykład o Franzu Halsie oglądanym z tramwaju), nabierały życia, zdumiewającej głębi. I muszę powiedzieć, że to podniecenie — które zresztą opadło szybko — nie było całkiem niedorzeczne. Tak samo jak pewnego pięknego dnia możemy być szczęśliwi, że znamy osobę absolutnie dla nas dotąd bezwartościową, ponieważ osoba ta okaże się przyjaciółką młodej panienki, w której się kochamy i której ona może nas przedstawić, nabierając dla nas w ten sposób pożytku i uroku, których w naszych oczach zdawała się na zawsze pozbawiona, tak samo nie ma słów, zarówno jak stosunków, co do których można by być pewnym, że się nam nigdy na nic nie zdadzą. To, co pani de Guermantes mówiła o obrazach, które byłoby interesujące oglądać nawet z tramwaju, było mylne, ale zawierało część prawdy, która mi się stała cenna kiedyś.

Tak samo zacytowane przez nią wiersze Wiktora Hugo były, trzeba przyznać, z epoki wcześniejszej od tej, w której Hugo stał się więcej niż nowym człowiekiem, kiedy ukazał w pełni rozkwitu nieznanego jeszcze rodzaju literacki, obdarzony subtelniejszymi organami. W tych poezjach Wiktor Hugo jeszcze sam myśli, zamiast poprzestać — jak natura — na tym, aby dawać do myślenia. Wyróżniał wówczas „myśli” w formie najbardziej bezpośredniej, niemal w tym sensie, w jakim brał to słowo książę de Guermantes, kiedy uważając za staromodne i zbyt techniczne, aby uczestnicy wielkich fet w Guermantes wpisywali w album zamkowy, obok swojego podpisu, refleksje filozoficzno-poetyckie, uprzedzał nowo przybyłych błagalnym tonem: „Kochany, tylko nazwisko, bez myśli!”. Otóż te właśnie „myśli” Wiktora Hugo (prawie równie nieobecne w *Legendzie wieków*³⁷⁵ jak „arie” i „melodie” w drugim okresie Wagnera) lubiła pani de Guermantes w „pierwszym” Wiktorze Hugo. I nawet nie całkiem mylnie. Były wzruszające i już dokoła nich — mimo iż forma nie miała jeszcze głębi, jaką miała osiągnąć później — plusk harmonijnych słów i bogatych rymów czynił je czymś innogatunkowym od tych wierszy, jakie można znaleźć na przykład u Corneille’a i gdzie okresowy i powściągnięty romantyzm, tym bardziej może dla nas wzruszający, nie przeniknął jednak aż do fizycznych źródeł życia, nie przeobraził nieświadomego i podatnego uogólnieniom organizmu kryjącego myśl. Toteż źle zrobiłem, żem się zasklepił dotąd w ostatnich tomach Wiktora Hugo. Z owych pierwszych, zapewne, jedynie maleńka część zdobiła rozmowę pani de Guermantes. Ale właśnie cytując tak oderwany wiersz, dziesięciokrotnie się jego siłę atrakcji. Wiersze, które wniknęły w moją pamięć lub odżyły w niej w czasie tego obiadu, przyciągały znowuż magnetycznie utwory, w których przywykły się znajdować, i to z taką mocą, że moje naelektryzowane ręce nie mogły dłużej niż czterdzieści osiem godzin opierać się sile wiodącej mnie do domu, w którym znajdowały się *Orientales* i *Chants du crépuscule*. Przeklinałem młodego lokajczyka, że swojej wiosce uczynił dar z mego egzemplarza *Feuilles d'automne*, i posłałem go bezzwłocznie, aby mi kupił inny. Odczytałem te tomy od deski do deski i odzyskałem spokój dopiero wówczas, kiedy nagle ujrzałem, oczekujące mnie w świetle, w którym je skąpała pani de Guermantes, zacytowane przez nią wiersze. Dla wszystkich tych przyczyn rozmowy z księżną Orianą podobne były do owych wiadomości, jakie czerpiemy w bibliotece pałacowej, przestarzałej, niekompletnej, niezdolnej nasycić inteligencję, pozbawionej prawie wszystkiego, co lubimy, ale nastęrczającej czasem jakąś ciekawą informację, nawet cytat pięknej stronicy, której nie znaleźliśmy i którą radzi przypomnimy sobie później wraz z myślą, że jej poznanie zawdzięczamy wspaniałej pańskiej siedzibie. Wówczas dzięki temu, żeśmy znaleźli przedmowę Balzaca do *Pustelni parmeńskiej* lub niewydane listy Jouberta, gotowi jesteśmy przeceniać wartość życia, któreśmy tam pędzili i o którego jałowości zapominamy na skutek tej gratki jednego wieczora.

³⁷⁵*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

Z tego punktu widzenia, o ile wielki świat nie mógł w pierwszej chwili odpowiedzieć temu, czego oczekiwała moja wyobraźnia, i miał tym samym uderzyć mnie zrazu nie tyle różnicą, ale raczej swoim podobieństwem ze wszystkimi innymi światami, mimo to objawił mi się on pomału jako coś bardzo odrębnego. Wielcy panowie to są prawie jedyni ludzie, od których człowiek się uczy tyle co od chłopów; rozmowa ich bogaci się wszystkim, co dotyczy ziemi, dawnych siedzib, dawnych zwyczajów — wszystkim tym, czego świat pieniądza głęboko jest nieświadom. Przyjawszy, że najumiarkowańszy w swych poglądach arystokrata dogonił wreszcie epokę, w której żyje, matka jego, wujowie, cioteczne babki łączą go, kiedy wspomina swoje dzieciństwo, z tym, czym mogło być życie prawie nieznanne dzisiaj. W śmiertelnym pokoju dzisiejszego nieboszczyka pani de Guermites zauważyłaby natychmiast wszystkie uchybienia zwyczajom, choćby ich nawet nie sformułowała. Raziło ją, gdy na pogrzebie widziała kobiety pomieszane z mężczyznami, gdy istnieje osobne nabożeństwo przeznaczone dla kobiet. Co się tyczy całunu, o którym Bloch myślałby, że użytek jego ograniczony jest do pogrzebów (z powodu „sznurów całunu”, o których mówi się w sprawozdaniach z pogrzebów), pan de Guermites przypomniałby sobie czas, gdy będąc jeszcze dzieckiem widział, jak trzymano sznury przy ślubie pana de Mailly-Nesle³⁷⁶. Podczas gdy Saint-Loup sprzedawał swoje szacowne „drzewo genealogiczne”: stare portrety Bouillonów, listy Ludwika XIII, aby kupić obrazy Carrière’a³⁷⁷ i meble *modern style*³⁷⁸, państwo de Guermites (wiedzeni może uczuciem, w którym namiętna miłość sztuki grała mniejszą rolę i które mniej przynosiło im zaszczytu) zachowali swoje cudowne meble Boulle’a³⁷⁹, przedstawiające całość o ileż szacowniejszą dla artysty! Literat byłby również zachwycony ich rozmową, będącą dlań — bo zgłodniały nie potrzebuje drugiego zgłodniałego — żywym słownikiem wszystkich owych wyrażen, które z każdym dniem coraz bardziej idą w zapomnienie: krawatów *à la Saint-Joseph*, dzieci Marii itd., żyjących już tylko u tych, którzy chcą być miłymi i dobrowolnymi konserwatorami przeszłości. Przyjemność, jakiej doznaje pośród nich — bardziej niż w towarzystwie innych literatów — pisarz, przyjemność ta nie jest bez niebezpieczeństwa, bo ów pisarz gotów jest uwierzyć, iż rzeczy minione mają czar same przez się; gotów jest przenieść je jako takie do swego utworu, martwego wówczas od urodzenia, wydzielającego nudę, w której autor się pociesza, mówiąc: „To ładne, bo to jest prawdziwe, tak właśnie się mówi”.

Owe arystokratyczne rozmowy miały zresztą u pani de Guermites ten urok, że się toczyły w wybornej francuszczyźnie. Z tej racji uprawniały one wesołość księżnej wobec słów takich jak „ezoteryczny”, „kosmiczny”, „pytyjski”, „hiperboliczny”, jakich używał Saint-Loup — tak samo jak wobec jego mebli od Binga³⁸⁰.

Mimo to opowiastki, które słyszałem u pani de Guermites — bardzo różne od tego, co mogłem odczuć wobec krzaka głogów lub jedząc magdalenkę — były mi obce. Można by rzec, iż wszedłszy na chwilę we mnie i wzięwszy mnie w posiadanie jedynie fizyczne (ile że miały charakter socjalny, a nie indywidualny), pragnęły co rychlej wyjść ze mnie. Miotałem się w powozie jak pytonissa³⁸¹. Czekałem nowego obiadu, gdzie bym sam mógł się stać rodzajem Prinza Von..., pani de Guermites i opowiedzieć te historie. Na razie wprawiały one w drżenie moje wargi, które szeptały je, i na próżno starałem się przytrzymać swoją myśl, zawrotnie unoszoną odśrodkową siłą. Toteż z gorączkową żądzą niedźwigania już dłużej tego ciężaru samotnie w powozie, gdzie zresztą zastępowałem brak partnera, mówiąc głośno sam do siebie, zadzwoniłem do bramy pana de Charlus. Długi monolog, w którym powtarzałem sobie wszystko, com miał mu opowiedzieć (nie myśląc już prawie o tym, co on mnie mógłby mieć do powiedzenia), wypełnił mi cały czas pobytu

³⁷⁶Mailly-Nesle, Ferry Paul Alexandre de, (1821–1872) — francuski arystokrata, książę Oranii; w 1851 poślubił Józefinę Odoard du Hazez. [przypis edytorski]

³⁷⁷Carrière, Eugène (1849–1906) — francuski malarz i grafik. [przypis edytorski]

³⁷⁸modern style (ang.) — dosł.: nowoczesny styl; secesja, art nouveau; nurt artystyczny z przełomu XIX i XX w., charakteryzujący się stosowaniem płynnych, falistych linii oraz bogatej ornamentyki, zwłaszcza roślinnej. [przypis edytorski]

³⁷⁹Bouille, Charles André (1642–1732) — francuski projektant i wytwórca mebli; mistrz intarsji, reprezentant stylu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

³⁸⁰Bing, Siegfried (1838–1905) — niemiecko-francuski marszand, kolekcjoner i mecenas sztuki. [przypis edytorski]

³⁸¹pytonissa — w staroż. Grecji: Pytia, wieszczka Apolla w świątyni w Delfach, która siedząc na trójnogu w podziemnym pomieszczeniu, odurzona oparami, w transie udzielała niejasnych przepowiedni na przekazane jej pytania. [przypis edytorski]

w salonie, dokąd mnie lokaj wprowadził. Byłem zresztą zbyt wzruszony, aby cośkolwiek widzieć. Tak bardzo potrzebowałem, aby pan de Charlus wysłuchał opowiadań, które mi pilno było wydzielić z siebie, że odczułem gwałtowny zawód na myśl, że on może śpi i że będę musiał zawrócić do domu, samotnie trawiąc swoje pijaństwo słów.

Spostrzegłem w istocie, że czekam już dwadzieścia pięć minut, że może mnie zapomniano w tym salonie, o którym mimo tak długiego czekania mógłbym co najwyżej powiedzieć, że był olbrzymi, zielonkawy i że były tam jakieś portrety. Potrzeba mówienia przeszkadza nie tylko słyszeć, ale widzieć; w tym wypadku wszelki brak zewnętrznego opisu jest już opisem stanu wewnętrznego. Miałem wyjść z salonu, aby zawołać kogoś, a jeśli nikogo nie znajdę, odszukać drogę do przedpokoju i kazać sobie otworzyć, kiedy, właśnie w chwili kiedy wstałem i postąpiłem kilka kroków na mozaikowej posadzce, wszedł kamerdyner i z zakłopotaną miną oświadczył:

— Pan baron miał ważne sprawy, zajęty był aż do tej pory. Jeszcze kilka osób czeka na niego. Zrobię, co w mojej mocy, aby pan baron przyjął pana, kazałem już dwa razy telefonować do sekretarza.

— Nie, niech się pan nie trudzi; umówiłem się z panem baronem, ale już jest późno i skoro jest dziś zajęty, przyjdę innego dnia.

— Och, nie, niech pan nie odchodzi — wykrzyknął kamerdyner. — Pan baron mógłby się gniewać. Jeszcze raz spróbuję.

Przypomniałem sobie, com słyszał o służących pana de Charlus i o ich przywiązaniu do pana. Nie można było całkowicie powiedzieć o nim tego, co o księciu de Conti³⁸², że stara się podobać tak samo lokajowi jak ministrowi, ale pan de Charlus tak dalece umiał zrobić ze swego najdrobniejszego żądania rodzaj łaski, że wieczorem, kiedy przebiegłszy wzrokiem lokajów zebranych dokoła niego w pełnej szacunku odległości, powiedział: „Coignet, lichtarz!”, albo: „Ducret, koszula!”, inni oddalali się, mruczając z zawiści, zazdrośni o tego, którego spotkało to wyróżnienie. Dwaj nawet, którzy się nie cierpieli, próbowali nawzajem wydrzeć sobie łaski pana, nasuwając mu się pod najgłupszym pretekstem z usługą, w nadziei, że im przypadnie tego wieczora lichtarz lub koszula. Jeżeli się zwrócił do którego z nich wprost z rzeczą nienależącą do jego obowiązków, co więcej, jeżeli w ogrodzie w zimie, wiedząc, że któryś z jego stangretów jest zakatarzony, powiedział mu po upływie dziesięciu minut: „Nakryj głowę”, inni nie odzywali się do tego szczęśliwca przez dwa tygodnie, zazdroszcząc łaski, jaka go spotkała.

Czekałem jeszcze dziesięć minut, po czym, poprosiwszy mnie, żebym nie siedział zbyt długo, ponieważ pan baron jest zmęczony i musiał odprawić kilka bardzo ważnych osób zamówionych od dawna, wprowadzono mnie do niego. Ten ceremoniał dokoła pana de Charlus mniej robił na mnie wrażenie wielkości niż prostota jego brata Guermantes; ale już drzwi się otwarły, ujrzałem barona w chińskim szlafroku, z gołą szyją, wyciągniętego na kanapie. W tej samej chwili uderzył mnie widok błyszczącego cylindra spoczywającego na krześle wraz z futrem, tak jakby baron dopiero co wrócił do domu.

Lokaj wyszedł. Sądziłem, że pan de Charlus podejdzie do mnie. Bez żadnego ruchu wlepił we mnie nieubłagane oczy. Zbliżyłem się, pozdrowiłem go; nie podał mi ręki, nie odpowiedział ani słowa, nie poprosił, abym usiadł. Po chwili spytałem go, tak jakbym się spytał źle wychowanego lekarza, czy muszę koniecznie stać. Zrobiłem to bez złej intencji, ale wyraz zimnego gniewu na twarzy pana de Charlus stał się jeszcze groźniejszy. Nie wiedziałem zresztą, że u siebie na wsi, w zamku w Charlus, baron, który lubił się bawić w króla, miał zwyczaj po obiedzie rozkładać się na fotelu w palarni, pozwalając gościom stać dokoła siebie. Prosił jednego o ogień, drugiemu ofiarowywał cygaro, po czym po upływie kilku chwil mówił: „Ależ, Argencourt, siadaj, proszę, weź sobie krzesło, mój drogi” itd., umyślnie przedłużając ich stanie, jedynie aby pokazać, że to on im pozwala usiąść.

— Siadaj pan na krześle Louis XIV — odparł z rozkazującą miną, raczej aby mnie oddalić od siebie niż aby mi ofiarować krzesło.

Siadłem na fotelu opodal.

³⁸² Bourbon-Conti, Franciszek Ludwik de (1664–1709) — francuski arystokrata, książę Conti (od 1685); w 1697 oficjalnie wybrany królem Polski przez większość sejmową, zmuszony do wycofania się wobec wcześniejszego wkroczenia z armią do Rzeczypospolitej Augusta II Mocnego, kontrkandydata popieranego przez Rosję. [przypis edytorski]

— A, to pan nazywa krzesłem Louis XIV! Widzę, że pan jest wykształcony — wykrzyknął drwiąco.

Byłem tak zdumiony, że nie ruszyłem się, ani by odejść (tak jak by należało), ani aby się przesiąść, jak chciał baron.

— Mój panie — rzekł, wążąc każde wyrażenie i w najbardziej impertynenckich słowach dublując spółgłoski — rozmowa, której zgodziłem się panu udzielić na prośbę osoby nieżyczącej sobie, abym ją wymieniał, będzie końcowym punktem naszych stosunków. Nie będę panu ukrywał, że się spodziewałem czegoś lepszego; spaczyłbym może nawet znaczenie słów — czego, przez prosty szacunek dla samego siebie, nie powinno się czynić nawet z kimś, kto nie zna ich wartości — mówiąc panu, że miał dla niego sympatię. Sądzę jednak, że „życzliwość”, w swoim sensie najoczywściej protekcyjnym, nie przekraczałaby ani tego, com odczuwał, ani tego, co zamierzałem ujawnić. Zawiadomiłem pana tuż po swoim powrocie do Paryża, dałem panu znać jeszcze do Balbec, że pan może liczyć na mnie...

Przypominając sobie scenę, po której pan de Charlus rozstał się ze mną w Balbec, zaprzeczyłem gestem.

— Jak to! — wykrzyknął z gniewem, i w istocie twarz barona, skurczona i blada, tak bardzo się różniła od jego zwyczajnej twarzy, jak morze, na którym w burzliwy poranek zamiast zwykłej promiennej powierzchni ujrzymy tysiąc wężów spienionej śliny. — Pan twierdzisz, żeś nie otrzymał mego zlecenia, oświadczyń niemal, że pan ma o mnie pamiętać? Co zdobyło książkę, którą panu przesłałem?

— Bardzo ładny ornamentek — odparłem.

— A — odparł baron ze wzgardliwą miną — młodzi Francuzi nietęgo znają arcydzieła swojego kraju. Co by się powiedziało o młodym berlińczyku, który by nie znał *Walkirii*! Trzeba zresztą przypuszczać, że pan jesteś ślepy, skoroś mi mówił, żeś spędził dwie godziny przed tym arcydziełem. Widzę, że pan się tak samo nie znasz na kwiatach jak na stylach; niech pan nie protestuje co do stylów — krzyknął baron tonem najwyższej wściekłości — pan nie wiesz nawet, na czym siedzisz! Częstujesz swój zadek kozetką *directoire*³⁸³ jako berżerką Louis XIV! Któregoś dnia weźmiesz pan kolana pani de Villeparisis za sedes i licho wie, co na nie urządzisz. Podobnie nie poznałeś nawet w oprawie książki Bergotte’a ornamentu niezapominajek z kościoła w Balbec. Czy był jaśniejszy sposób powiedzenia panu: „Nie zapomnij o mnie!”?

Patrzyłem na pana de Charlus. Niewątpliwie jego wspaniała i odpychająca głowa biła głowy wszystkich jego bliskich; można by rzec — postarzały Apollo³⁸⁴; ale zdawało się, że oliwkowa wątrobiana ciecz tryśnie z jego złych ust. Co się tyczy inteligencji, niepodobna zaprzeczyć, że dzięki szerokiemu kąтови widzenia ogarniała ona wiele rzeczy, które miały pozostać na zawsze nieznanie księciu de Guermantes. Ale jakimi bądź pięknymi słowy baron barwił swoje nienawiści, czuło się, że nawet jeżeli w nich grała to obrażona duma, to zawiedziona miłość, uraza, sadyzm, przekora, *idée fixe*³⁸⁵, człowiek ten jest zdolny zamordować kogoś i dowodzić potem całą siłą logiki, wymowy, że miał rację to uczynić i że mimo to przerasta o sto głów swego brata, bratową itd., itd.

— Jak we *Włócznikach* Velasqueza³⁸⁶ — ciągnął — zwycięzca posuwa się ku temu, który jest najpokorniejszy (tak jak przystało wszelkiej szlachetnej istocie), tak ja, czując się wszystkim, gdy pan jesteś niczym, zrobiłem pierwszy krok ku panu. Odpowiedziałeś pan głupio na to, co nie mnie przystoi nazwać wielkością. Ale ja się nie dałem zniechęcić. Nasza religia głosi cierpliwość. Cierpliwość, jaką okazałem wobec pana, będzie mi policzona, mam nadzieję; i ów fakt, że się tylko uśmiechnął z tego, co można było poczytać za impertynencję — o ile można mówić o impertynencji ze strony pana wobec kogoś, kto pana przerasta o tyle stóp. Ale dziś, młody panie, nie ma już mowy o tym

³⁸³*directoire* (fr.) — dyktoriał; tu: styl z francuskiego okresu Dyktoriałtu, od obalenia jakobinów na czele z Robespierre’em do zamachu stanu Napoleona (1794–1799). [przypis edytorski]

³⁸⁴*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, opiekun sztuki, przewodnik dziewięciu muz, klasyczny ideał męskiego piękna. [przypis edytorski]

³⁸⁵*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl; obsesja. [przypis edytorski]

³⁸⁶*Velasquez, Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista; jego obraz *Poddanie Bredy* z 1635, przedstawiający poddanie wojskom hiszpańskim niderlandzkiego miasta Breda, znany jest także pod hiszp. tytułem *Las Lanzas* (Piki): nad przedstawionym w prawej części oddziałem hiszpańskim gęsto wznoszą się piki (długa broń drzewcowa piechoty). [przypis edytorski]

wszystkim. Poddałem pana próbie, którą jedyny wybitny człowiek naszego świata bardzo inteligentnie nazywa „próbą nadmiaru uprzejmości”, słusznie określając ją jako najstraszliwszą ze wszystkich, jedyną zdolną oddzielić ziarno od kłokolu. Nie wyrzuciłbym nawet panu, żeś ją przeszedł bez powodzenia, bo rzadcy są ci, co z niej wychodzą zwycięsko. Ale przynajmniej — i to jest konkluzja ostatnich słów, jakie zamienimy na ziemi — chcę być zabezpieczony od pańskich potwarczych urojeń.

Nie przyszło mi dotąd na myśl, że przyczyną gniewu pana de Charlus mogło być jakieś ujemne wyrażenie, które mu powtórzono; sięgałem do swojej pamięci: nie mówiłem o nim z nikim. Jakiś złośliwy język musiał coś zmyślić całkowicie. Zaręczyłem panu de Charlus, że nie mówiłem o nim absolutnie nic.

— Nie sądzę — dodałem — abym mógł pana pogniewać tym, że powiedział pani de Guermantes, iż jesteście w przyjaźni.

Uśmiechnął się ze wzgardą, podniósł głos do najwyższych rejestrów i, tu biorąc łagodnie najostrzejszą i najbardziej arogancką nutę, rzekł, wracając nadzwyczaj powoli do naturalnej intonacji, jakby oczarowany po drodze niezwykłością tej zstępującej gamy:

— Och, drogi panie, sądzę, że pan sam sobie czynisz krzywdę, obwiniając się, żeś powiedział, iż jesteście „w przyjaźni”. Nie spodziewałem się wielkiej ścisłości słownictwa od kogoś, kto wziąłby łatwo mebel Chippendale³⁸⁷ za rokokową³⁸⁸ ambonę, ale ostatecznie, nie sądzę — dodał z coraz to bardziej drwiącą pieszczotą głosu, zakwitającą na jego ustach czarującym uśmiechem — nie sądzę, abys pan powiedział i wierzył, że jesteście w przyjaźni! Co do tego, żeś się pan pochwalił, iż byłeś mi *przedstawiony*, żeś *rozmawiał ze mną*, że *mnie znasz* trochę, żeś uzyskał niemal bez natręctwa nadzieję stania się kiedyś moim *protegowanym*, to uważam, przeciwnie, z pańskiej strony za bardzo naturalne i inteligentne. Znaczna różnica wieku między nami pozwala mi uznać bez ironii, że ta *prezentacja*, te *rozmowy*, ta mglista przynęta *stosunków* były dla pana, nie moją rzeczą jest powiedzieć, *zaszczytem*, ale ostatecznie co najmniej korzyścią. Uważam, że głupstwo pańskie leży nie w tym, żeś to rozgłosił, ale żeś tego nie umiał zachować. Dodam nawet — rzekł nagle, przechodząc na chwilę z wyniosłego gniewu do słodczy tak nasyczonej smutkiem, iż myślałem, że zacznie płakać — że kiedyś pan zostawił bez odpowiedzi propozycję, jaką panu uczyniłem w Paryżu, wydało mi się to czymś tak niesłychanym ze strony pana, tak dobrze zdawałoby się, wychowanego, z dobrej *mieszkańskiej* rodziny — jedynie przy tym przymiotniku głos jego zadrgał świstem impertynencji — że byłem gotów naiwnie uwierzyć we wszystkie bajeczki, które nie zdarzają się nigdy, w zgubione listy, w omyłki w adresie. Uznaję, że to była z mojej strony wielka naiwność, ale święty Bonawentura³⁸⁹ wołał raczej uwierzyć w to, że wół może latać, niż w to, że jego brat mógł skłamać. Ostatecznie, wszystko to jest skończone, propozycja nie nadała się panu, nie ma już o tym mowy. Zdaje się jedynie, że pan mógłbyś — tu doprawdy zadrgały łzy w głosie barona — napisać do mnie, bodaj przez szacunek dla mego wieku. Miałem dla pana na myśli rzeczy nieskończenie pojętne, których panu bynajmniej nie wyjawilem. Woląłem pan odmówić na nieznane: to pańska rzecz. Ale, powtarzam panu, zawsze można *napisać*. Ja na pańskim miejscu, a nawet na swoim, byłbym to zrobił. Wolę nawet z *tego powodu* swoje miejsce niż pańskie; mówię: z tego powodu, ponieważ sądzę, że wszystkie miejsca są równe, i więcej mam sympatii dla inteligentnego robotnika niż dla niejednego księcia. Ale mogę powiedzieć, że wolę swoje miejsce, bo wiem, że w całym swoim życiu, które zaczyna być dosyć długie, nigdy nie zrobiłem tego, coś pan zrobił. — Głowa pana de Charlus odwróciła się w cieniu; nie wiem, czy z oczu jego spłynęły łzy, jak można by przypuszczać z głosu. — Mówiłem, żeś zrobił sto kroków ku panu; to miało ten skutek, żeś pan zrobił dwieście kroków wstecz. Teraz na mnie kolej oddalić się: i koniec znajomości! Nie zapamiętam pańskiego nazwiska, ale zapamiętam postępowanie, aby w dniach, kiedy byłbym skłonny przypuszczać, że ludzie mają serce, delikatność lub że mają bodaj

³⁸⁷ *Chippendale, Thomas* (1718–1779) — brytyjski projektant mebli; jego nazwisko stało się nazwą angielskiego stylu meblarstwa, zapoczątkowanego przez wydaną przez niego pierwszą w historii książkę o projektowaniu mebli. [przypis edytorski]

³⁸⁸ *rokoko* — dekoracyjny styl w sztuce europejskiej w XVIII w., najsilniej rozwinął się we Francji, za panowania Ludwika XV. [przypis edytorski]

³⁸⁹ *Bonawentura z Bagnoregio*, właśc. *Giovanni Fidanza* (ok. 1217–1274) — włoski franciszkanin, teolog, filozof scholastyk; święty katolicki. [przypis edytorski]

na tyle inteligencji, aby nie wypuszczać szansy niełatwo powtarzającej się w życiu, aby sobie przypomnieć, że kto tak mniema, ten szacuje ludzi zbyt wysoko. Nie, to, żeś pan powiedział, że mnie znasz, kiedy to była prawda (bo teraz przestanie być prawdą), mogę uznać jedynie za naturalne; uważam to za hołd, to znaczy za rzecz miłą. Na nieszczęście, gdzie indziej i w innych okolicznościach mówiłeś pan rzeczy zupełnie inne.

— Proszę pana, ja przysięgam, że nie powiedział nic, co by pana mogło obrazić.

— A kto mu powiada, że ja jestem obrażony? — wykrzyknął baron, wściekły, prostując się gwałtownie na szeszlangu, na którym spoczywał dotąd nieruchomo, podczas gdy blade, spienione wężę jego twarzy kurczyły się, a głos stawał się na przemian ostry lub poważny, niby ogłuszająca i rozpetana burza. (Donośny głos, jakim mówił zazwyczaj, sprawiający, że się ludzie na ulicy oglądali, zstokrotnił się na kształt *forte*³⁹⁰, gdy zamiast na fortepianie weźmie się je w orkiestrze, i co więcej, zmieni w *fortissimo*³⁹¹. Pan de Charlus ryczał). Czy pan myśli, że jest w pańskiej mocy obrazić mnie? Nie wie pan, do kogo pan mówi? Czy pan myśli, że zatruta ślina pięciuset pańskich lilipucich przyjaciół, gdyby nawet stanęli jedni na drugich, zdołałyby osiągnąć bodaj moich dostojnych stóp?

Od pewnej chwili chęć przekonania pana de Charlus, że nigdy nie mówiłem ani nie słyszałem o nim nic złego, ustąpiła szalonej wściekłości, wywołanej jego słowami, które, moim zdaniem, dyktowała jedynie potworna pycha. Były może skutkiem, częściowo bodaj, owej pychy. Prawie wszystko inne płynęło z uczucia, którego jeszcze nie znałem; nie było zatem moją winą, że go nie wziął w rachubę. Mógłbym co najwyżej, w braku tego nieznanego uczucia — gdybym pamiętał słowa pani de Guermantes — dumę barona zaprawić domieszką szaleństwa. Ale w tej chwili szaleństwo nie przyszło mi nawet na myśl. Wedle mnie, była w panu de Charlus sama pycha, we mnie sama wściekłość. W chwili gdy pan de Charlus przestał na chwilę ryczeć, aby mówić o swoich „dostojnych stopach”, z majestatyczną miną, niemal wymiotując wzgardą na pokątnych oszczerców, wściekłość moja przestała już panować nad sobą. Czułem odruchową potrzebę walenia w coś, resztką zaś zastanowienia kazała mi szanować człowieka o tyle starszego ode mnie, jak również — dla jej artystycznej wartości — niemiecką porcelanę, stojącą w pobliżu barona. Rzuciłem się na jego nowy cylinder, strąciłem go na ziemię, zdeptałem, sililem się rozgnieść go zupełnie. Zerwałem rondo, przedarłem na pół główkę, nie zważając na krzyki pana de Charlus; po czym, przebiegłszy pokój, otwarłem drzwi. Ku memu zdumieniu po obu stronach drzwi stali dwaj lokaje, którzy oddalili się wolno, aby się mogło zdawać, że znaleźli się tam jedynie przypadkiem. (Dowiedziałem się później ich nazwisk: jeden nazywał się Burnier, drugi Charmel). Nie oszukano mnie ani na chwilę to tłumaczenie podsuwane mi ich niedbałym krokiem. Było nieprawdopodobne; trzy inne hipotezy wydały mi się wiarygodniejsze; jedna, że baron przyjmuje czasem gości, przeciw którym mógłby potrzebować pomocy (ale czemu?); uważa tedy za potrzebne mieć w pobliżu odzież. Druga, że zwabieni ciekawością, podsłuchiwali po prostu, nie przypuszczając, abym wyszedł tak szybko. Trzecia, że cała scena, którą mi zrobił pan de Charlus, była przygotowana i odegrana; że sam polecił im, aby słuchali, przez gust do teatralności, połączonej może z jakimś *Nunc erudimini*³⁹², z którego każdy mógł wyciągnąć naukę.

Gniew mój nie uśmierzył gniewu barona, ale moje wyjście z pokoju najwyraźniej przejęło go szczerą boleścią. Odwołał mnie, kazał mnie zawrócić i w końcu jakby zapomniawszy, że przed chwilą, mówiąc o swoich „dostojnych stopach”, czynił mnie niejako świadkiem własnej deifikacji³⁹³, pobiegnął pędem, dopadł mnie w sieni i zagroził sobą drzwi.

— No — rzekł — nie bądź pan dzieckiem, wróć na minutę; kto mocno kocha, ten mocno karci, jeżeli więc pana skarciłem, to dlatego, że pana bardzo kocham.

Gniew mój opadł, puściłem mimo uszu słowo „karcić” i udałem się za baronem, który przywoławszy lokaja, kazał mu bez żadnej urazy zabrać strzepy cylindra, który zastąpiono innym.

³⁹⁰*forte* (wł., muz.) — mocno, głośno. [przypis edytorski]

³⁹¹*fortissimo* (muz., wł.) — bardzo głośno, bardzo mocno. [przypis edytorski]

³⁹²*Nunc erudimini* (łac.) — Teraz nauczcie się (słowa z Ps 2, 10, w kulturze francuskiej znane z użycia ich przez Bossueta w mowie żałobnej poświęconej Henryce Marii de France, księżniczce francuskiej i królowej Anglii). [przypis edytorski]

³⁹³*deifikacja* — ubóstwienie. [przypis edytorski]

— Jeżeli mi pan zechce zdradzić, kto mnie nikczemnie spotwarzył — rzekłem do pana de Charlus — zostaję, aby się dowiedzieć o tym i aby skarać szalbierza.

— Jak to, więc pan nie wie? Czy pan nie zachowuje w pamięci tego, co pan mówi? Czy pan myśli, że osoby, które mi oddają tę usługę, aby mnie ostrzec, nie proszą na wstępie o sekret? I czy pan myśli, że ja chybię sekretu temu, komu go przyrzekłem?

— Zatem nie może mi pan powiedzieć? — spytałem, ostatni raz szukając w głowie (gdzie nie znajdowałem nikogo), komu mogłem coś mówić o panu de Charlus.

— Czyś pan nie słyszał, że przyrzekł sekret swemu informatorowi — rzekł baron świszczącym głosem. — Widzę, że ze skłonnością do ohydnych paplania łączy pan zwyczaj daremnych nalegań. Powinieneś pan bodaj umieć skorzystać z naszej ostatniej rozmowy i mówić po to, aby coś powiedzieć, a nie kręcić się w kółko dokoła niczego.

— Panie baronie — rzekłem, cofając się — pan mnie znieważa; wobec tego, że mnie pan kilkakrotnie przewyższa wiekiem, jestem bezbronny, gra jest nierówna. Z drugiej strony, nie mogę pana przekonać; przysiągłem panu, że nic nie mówił.

— Zatem ja kłamię! — wykrzyknął straszliwym głosem, robiąc taki skok, że się znalazł o dwa kroki ode mnie.

— Oszukano pana.

Wówczas słodkim, serdecznym, melancholijnym głosem, niby w owych symfoniach granych bez pauzy między częściami, i gdzie lube, idylliczne scherzo³⁹⁴ następuje po gromach pierwszego ustępu, baron rzekł niespodzianie:

— To bardzo możliwe. W zasadzie, powtórzone słowa rzadko bywają prawdziwe. To pańska wina, jeżeli, nie skorzystawszy ze sposobności widzenia mnie, którą panu ofiarowałem, nie dał mi pan, za pomocą szczerých i codzienných słów stwarzających zaufanie, jedynej i stanowczej rękąmi przeciw słowu, które pana czyniło zdrajcą. W każdym razie, prawdziwe czy fałszywe, słowo to zrobiło swoje. Nie mogę się już wyzwolić z wrażenia, jakie na mnie sprawiło. I nie mogę nawet powiedzieć, że kto mocno kocha, mocno karci, bo choć pana mocno skarciłem, nie Kocham już pana.

Mówiąc to, baron zmusił mnie, abym usiadł. Zadzwoił. Nowy lokaj wszedł do pokoju.

— Przynies coś do picia i kaź zaprzęgać.

Powiedziałem, że mi się nie chce pić, że jest późno i że mam zresztą swój powóz.

— Prawdopodobnie zapłacono go i odprawiono — rzekł baron — niech się pan tym nie zajmuje. Kazałem zaprzęgać, aby pana odwiedziono... Jeżeli się pan boi, że jest za późno... mógłbym panu dać pokój tutaj...

Powiedziałem, że matka byłaby niespokojna.

— Och, tak, prawdziwe czy fałszywe, słowa zrobiły swoje. Moja nieco przedwczesna sympatia zakwitła zbyt rychło; i jak te jabłonie, o których pan tak poetycznie mówił w Balbec, nie wytrzymała pierwszego przymrozka.

Gdyby sympatia pana de Charlus wciąż była jeszcze żywa, baron nie mógłby postępować inaczej; powtarzając bowiem, że wszystko między nami skończone, zatrzymywał mnie, dawał mi pić, ofiarowywał nocleg i obiecywał mnie odesłać. Robił nawet wrażenie, że boi się chwili, gdy się ma rozstać ze mną i zostać sam — owym rodzajem nerwowego lęku, jakiego jego bratowa i kuzynka Oriana doświadczała godzinę wprzód, kiedy mnie zmuszała, abym został jeszcze trochę, z tą samą ulotną sympatią do mnie, z tą samą żądzą przedłużenia minuty.

— Na nieszczęście — dodał pan de Charlus — nie mam daru wskrzeszenia tego, co raz szeszło. Moja sympatia dla pana już umarła. Nic jej nie może wrócić życia. Sądzę, iż nie ubliżę samemu sobie, wyznając, że żałuję tego. Czuję się zawsze trochę jak Booz Wiktora Hugo:

Jestem wdowiec, samotny, wieczór na mnie pada.

Szedłem z baronem przez wielki zielony salon. Powiedziałem, na ślepo, że salon jest bardzo piękny.

³⁹⁴schерzo (muz.) — utwór instrumentalny o trójdzielnej budowie i szybkim tempie. [przypis edytorski]

— Prawda? — odparł. — Trzeba coś kochać. Boazerie rzeźbił Bagard³⁹⁵. Dosyć ładnie, jak pan widzi, dostosowano je do krzeseł *beauvais* i do konsoli. Uważa pan: powtarzają ten sam dekoracyjny motyw. Były już tylko dwie rezydencje, gdzie jest coś podobnego: Luwr i dom pana d’Hinnisdal. Ale oczywiście z chwilą gdy postanowiłem zamieszkać przy tej ulicy, znalazł się stary pałac Chimay, którego nikt nigdy nie widział, bo zjawiał się tylko dla mnie. W sumie to niezłe. Mogłoby zapewne być lepiej, ale ostatecznie: niezłe. Prawda, są tu ładne rzeczy; portrety moich wujów, króla polskiego i króla angielskiego: Mignard³⁹⁶. Ale co ja panu mówię, wie pan to równie dobrze jak ja, skoro pan czekał w tym salonie. Nie? A! Widocznie wprowadzono pana do błękitnego salonu — rzekł tonem bądź pogardy dla mego braku ciekawości, bądź tonem osobistej wyższości, jakby się nie zatroszczył o to, gdzie mi kazano czekać. — O, w tym gabinecie są wszystkie kapelusze księżniczki Elżbiety³⁹⁷, księżnej de Lamballe³⁹⁸ i królowej³⁹⁹. To pana nie interesuje; można by rzec, że pan nie widzi. Może pan jest dotknięty zanikiem nerwu optycznego. Jeżeli pan przekłada ten rodzaj piękności, oto *Tęcza* Turnera⁴⁰⁰, która zaczyna błyszczeć między tymi dwoma Rembrandtami na znak naszego pojednania. Słyszy pan: Beethoven przyłącza się do niej.

I w istocie rozległy się pierwsze akordy trzeciej części *Symfonii pastoralnej*, „radość po burzy”, wykonane niedaleko nas, z pewnością na pierwszym piętrze. Spytałem naiwnie, jakim cudem grają to tutaj i co to za muzykanci.

— Ha! Cóż? Nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo. To są harmonie niewidzialne. To ładne, prawda — rzekł tonem lekko impertynenckim, który jednak przypominał trochę wpływ i akcent Swanna. — Ale pan troszczy się o to tyle co gęś o fiołki. Chce pan wracać do domu, choćbyś miał chybić szacunku Beethovenowi i mnie. Wydaje pan sam na siebie sąd i wyrok — dodał baron serdecznie i smutno, kiedy nadeszła chwila pożegnania. — Daruję pan, że go nie odprowadzę, jak by grzeczność nakazywała. Pragnąc nie ujrzyć już pana nigdy, nie dbam o to, aby z nim spędzić jeszcze pięć minut. Zmęczony jestem i mam dużo do czynienia. — Jednakże widząc, że pogoda jest piękna, dodał:

— Zresztą dobrze, odwiozę pana. Jest wspaniały księżyc, pojedę go oglądać do Lasku, skoro pana odstawię na miejsce. Jak to, pan się nie umie golić, nawet kiedy masz proszony obiad, przepuścił pan kilka włosów — rzekł baron, ujmując mój podbródek w dwa jakby namagnesowane palce, które, zawahawszy się chwilę, pobiegły ku moim uszom jak palce fryzjera. — Ha! To byłoby przyjemne oglądać ten „błękitny blask księżycy” w Lasku z kimś takim jak pan — rzekł z nagle i jakby mimowolną słodyczą, po czym smutno dodał: — Bo pan jest i tak bardzo miły, mógłby pan być miłszy niż ktokolwiek — dodał, dotykając po ojcowsku mego ramienia. — Dawniej, muszę to panu powiedzieć, wydawał mi się pan bardzo nieciekawym.

Powinienem być pomyśleć, że wciąż mu się wydaję takim. Wystarczyło mi przypomnieć sobie wściekłość, z jaką mówił do mnie niespełna przed pół godziną. Mimo to miałem wrażenie, że pan de Charlus jest w tej chwili szczery, że jego dobre serce góruje nad tym, co mi się wydało stanem niemal szaleństwa z podejrzliwości i dumy. Powóz stał, a baron przedłużał jeszcze rozmowę.

— No — rzekł — niech pan siada; za pięć minut będziemy u pana. I powiemy sobie dobranoc, które położy kres, i to na zawsze, naszym stosunkom. A skoro się mamy rozstać na zawsze, lepiej, żebyśmy to zrobili, jak w muzyce, na doskonałym akordzie.

Mimo tych uroczystych zapewnień, że się ujrzemy nigdy, przysiągłbym, iż pan de Charlus, niekoment, że się zapomniał przed chwilą, i bojąc się, że mi sprawił przykrość, chętnie ujrzałby mnie jeszcze raz. Nie myliłem się, bo po chwili rzekł:

³⁹⁵ *Bagard, César* (1620–1709) — francuski rzeźbiarz w drewnie i dekorator. [przypis edytorski]

³⁹⁶ *Mignard* — francuski malarz: Pierre Mignard (1612–1695) lub jego brat Nicolas Mignard (1606–1668). [przypis edytorski]

³⁹⁷ *Elżbieta Filipina Maria Helena de France*, zwana *Madame Elisabeth* (1764–1794) — księżniczka francuska, siostra królów Francji: Ludwika XVI, Ludwika XVIII i Karola X. [przypis edytorski]

³⁹⁸ *Marie-Thérèse-Louise de Savoie-Carignan* (1749–1792) — francuska arystokratka, żona Ludwika Aleksandra, księcia Lamballe, przyjaciółka Marii Antoniny, królowej Francji. [przypis edytorski]

³⁹⁹ *królowa* — Maria Antonina Maria Antonina (1755–1793), królowa Francji jako żona Ludwika XVI. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰ *Turner, William* (1775–1851) — wybitny angielski malarz pejzażysta, prekursor impresjonizmu. [przypis edytorski]

— Cha, cha! Ale ja zapomniałem najważniejszego. Przez pamięć pańskiej drogiej babci kazałem oprawić dla pana ciekawe wydanie pani de Sévigné. Drobiazg ten nie pozwala, aby to nasze spotkanie było ostatnim. Trzeba się pocieszyć świadomością, że rzadko się w jednym dniu likwiduje zawikłane sprawy. Niech pan pomyśli, jak długo trwał kongres wiedeński⁴⁰¹.

— Ależ ja mógłbym posłać po to, nie trudząc pana — rzekłem uprzejmie.

— Będziesz ty cicho, głuptasie mały — odparł baron z gniewem — wolałby pan oszczędzić sobie tej śmieszności, aby uważać za małą rzecz honor, iż będziesz prawdopodobnie przyjęty przeze mnie (nie mówię na pewno, bo może po prostu lokaj odda panu te książki).

Opamiętał się:

— Nie chcę się z panem rozstawać na tych słowach. Nie trzeba dysonansu; przed wiekiutą ciszą: akord dominantowy.

Miałem wrażenie, że to dla własnych nerwów baron obawia się powrotu tuż po ostrych słowach zwady.

— Nie chce pan przejechać się ze mną do Lasku — rzekł tonem nie pytającym, lecz twierdzącym i, jak mi się zdawało, nie dlatego, że nie chciał mi tego zaofiarować, ale że jego miłość własna bała się odmowy.

— Więc tak — rzekł, zwołując jeszcze — to chwila, kiedy, jak powiada Whistler, mieszcuchy wracają do domu (może baron chciał mnie wziąć na ambicję), a kiedy należy zacząć patrzeć. Ale pan nawet nie wie, co to jest Whistler.

Zmieniłem temat i spytałem, czy księżna Iéna jest osobą inteligentną. Pan de Charlus zatrzymał mnie i rzekł tonem nieskończonej wzgardy:

— Och, drogi panie, robi pan aluzje do nomenklatury, z którą nie mam nic do czynienia. Jest może arystokracja u mieszkańców Tahiti, ale przyznaję, że jej nie znam. Nazwisko, które pan wymówił, rozległo się jednak, szczególnie rzecz, przed kilku dniami w moich uszach. Zapytano mnie, czybym się zgodził, aby mi przedstawiono młodego księcia de Guastalla. Pytanie zdziwiło mnie; księżę de Guastalla nie potrzebuje mi się przedstawiać z tej prostej racji, że jest moim kuzynem i że mnie zna od wieków. Jest to syn księżnej Parmy i jako bardzo dobrze wychowany młody krewny nigdy nie zaniedbuje przedłożyć mi swoich służb w dzień Nowego Roku. Ale po zasięgnięciu informacji okazało się, że nie chodzi o mego krewniaka, ale o syna osoby, którą pan właśnie wspomniał. Ponieważ nie istnieje księżna tego nazwiska, przypuszczałem, że chodzi o jakąś nędzarkę spijającą pod mostem Iéna, która przybrała malowniczo tytuł „księżnej Iéna”, tak jak się mówi Pantera z Batignolles⁴⁰² albo Król Stali⁴⁰³. Ale nie, chodziło o bogatą osobę, której bardzo piękne meble podziwiałem na wystawie; meble mające nad nazwiskiem posiadacza tę wyższość, że nie są fałszywe. Co do rzekomego księcia de Guastalla, mógłby to być makler giełdowy mojego sekretarza: pieniądze daje tyle rzeczy! Ale nie, to Cesarz, zdaje się, zabawił się w to, aby dać tym ludziom tytuł zgoła niewakujący. Może to był dowód wszechpotęgi albo ignorancji, albo złośliwości; bądź co bądź, uważam, że to był bardzo niemily figiel splewany mimowolnym uzurpatorom. Ale ostatecznie nie mogę panu wyjaśnić tego wszystkiego, moja kompetencja kończy się na Faubourg Saint-Germain, gdzie pośród wszystkich Courvoisierów i Gallardonów znajdzie pan, jeżeli pan zdoła się tam dostać, stare jędze jakby wyrwane z Balzaca, które pana zabawią. Oczywiście, to nie ma nic wspólnego z czarem księżnej Marii de Guermantes, ale beze mnie i bez mojego sezamu jej salon jest niedostępny.

— To podobno bardzo piękne, prawda, proszę pana, pałac księżnej Marii de Guermantes?

— Och, to nie jest bardzo piękne. To jest najpiękniejsze w świecie; po samej księżnej Marii, oczywiście.

— Czy księżna Maria jest czymś więcej od księżnej Oriany?

⁴⁰¹ *kongres wiedeński* (1814–1815) — międzynarodowa konferencja dyplomatyczna, zwołana w celu odtworzenia europejskiego porządku politycznego po upadku francuskiego cesarza Napoleona I Bonaparte. [przypis edytorski]

⁴⁰² *Pantera z Batignolles* — francuska grupa anarchistyczna, zał. w 1882. [przypis edytorski]

⁴⁰³ *Król Stali* — Andrew Carnegie (1835–1919), amerykański przemysłowiec szkockiego pochodzenia, właściciel stalowni; w swoich czasach uważany za największego bogacza na świecie. [przypis edytorski]

— Och, jak można porównywać!

Trzeba zauważyć, że gdy ludzie światowi mają trochę wyobraźni, koronują i detronizują, wedle swoich sympatii i swoich uraz, osoby, których sytuacja zdawała się najtrwalsza i najbardziej ustalona.

— Księżna Błażejowa de Guermantes (nie nazywając jej Orianą, baron chciał może stworzyć większą przepaść między nią a mną) jest urocza, wyższa ponad wszystko, co pan może przeczuwać. Ale, ostatecznie, ona jest czymś niewspółmiernym ze swoją kuzynką. Tamta reprezentuje ściśle to, co przekupki z Hal mogą widzieć w osobie księżnej Metternich⁴⁰⁴, ale Metternichowa myślała, że to ona wylansowała Wagnera, dlatego że знаła Wiktora Maurel⁴⁰⁵. Księżna Maria, lub raczej jej matka, znała prawdziwego Wagnera. To jest urok, nie mówiąc o niezrównanej piękności tej kobiety. I choćby same ogrody Estery⁴⁰⁶!

— Czy nie można ich zwiedzić?

— Ależ nie, trzeba by być zaproszonym, a nie zapraszają nigdy *nikogo* bez mojej interwencji.

I cofając natychmiast wysuniętą na chwilę przynętę nadziei, baron podał mi rękę, bo przybyliśmy pod mój dom.

— Moja rola jest skończona, młody człowieku, dodam tylko kilka tych słów. Kto inny może ofiaruje panu pewnego dnia swoją sympatię, jak ja to uczyniłem. Obecny przykład niechaj panu posłuży za naukę. Niech pan nie zrazi tego człowieka. Sympatia jest zawsze cenna. To, czego nie można zrobić w życiu samemu (bo są rzeczy, których nie można żądać ani dokonać ich, ani pragnąć, ani dowiedzieć się samemu), można zrobić w kompanii, i na to nie potrzeba trzynastu, jak w powieści Balzaca, ani czterech, jak w *Trzech muszkietierach*. Żegnam.

Baron musiał być zmęczony i widocznie wyrzekł się zamiaru oglądania księżycy, bo poprosił mnie, abym kazał stangretowi wracać. W tej samej chwili uczynił żywy ruch, jakby chciał coś zmienić. Ale ja już powtórzyłem rozkaz i aby się nie zapóźniać dłużej, zadzwoniłem do bramy, zapomniawszy, że miałem opowiedzieć panu de Charlus o cesarzu niemieckim, o generale Botha, rzeczy przed chwilą tak naglące, ale przepłoszone nieoczekiwanym i piorunującym przyjęciem barona.

Za powrotem ujrzałem na biurku list, który młody lokaj napisał do jednego ze swoich przyjaciół; widocznie zapomniał go na biurku. Od czasu jak nie było matki, służący ów nie cofał się przed żadną poufalością; zawiniłem niewątpliwie, odpłacając mu to i czytając list bez koperty, szeroko rozłożony i — co było moim usprawiedliwieniem — zapraszający mnie niejako do czytania.

„Drogi przyjacielu i kuzynie!

Mam nadzieję, że zdrowie twoje jest zawsze dobre i że tak samo mie-
wa się cała twoja rodzinka, w szczególności mój młody chrześniak Józef,
którego nie miałem jeszcze okoliczności poznać, ale którego wolę od was
wszystkich jako swojego chrześniaka; relikwie serca też mają swe prochy,
niech świętokradzka ich oszczędzi ręką. Zresztą, drogi przyjacielu i kuzynie,
kto ci mówi, że jutro ty i twoja droga żona, a moja kuzynka Maria, nie
będziecie oboje strąceni na dno morza niby majtek przywiązany do szczytu
masztu, bo to życie jedynie mroczną jest doliną. Drogi przyjacielu, muszę
ci powiedzieć, zdumienie twoje nie zdziwi mnie wcale, że oddaję się teraz
namiętnie poezji, bo trzeba przecie jakoś zabić czas. Toteż, drogi przyjacielu,
nie bądź zanadto oburzony, że jeszcze nie odpowiedziałem na twój ostatni
list; jeśli nie przebaczenie, przybądź, zapomnienie. Jak wiesz, matka naszej
pani zgasła w niewysłowionych cierpieniach, które ją dość utrapily, bo było
do niej aż trzech lekarzy. Pogrzeb był piękny, bo wszystkie stosunki naszego
pana przyszły tłumem, jak również kilku ministrów. Dwie godziny szło się

⁴⁰⁴Paulina von Metternich (1836–1921) — węgierska arystokratka, żona Richarda von Metternicha, słynna z urody i elegancji bywalczyni salonów Wiednia i Paryża, propagatorka muzyki Wagnera. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵Maurel, Victor (1848–1923) — francuski śpiewak operowy, baryton. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶ogrody Estery — scenografia III aktu tragedii Racine’a *Estera* przedstawia wspaniałe ogrody Estery. [przypis edytorski]

na cmentarz, na co wszyscy szeroko otworzyli oczy w waszej wiosce, bo ze starą Michu z pewnością nie będzie takich ceregielów. Toteż moje życie będzie już tylko długim łkaniem. Używam sobie co wlezie na motocyklu, na którym nauczyłem się świeżo jeździć. Co byście powiedzieli, drodzy przyjaciele, gdybym tak przybył do was z błyskawiczną szybkością do Ecorres. Ale zamilczeć o tym nie będzie w mej mocy, bo pijaństwo niedoli nad rozum silniejsze. Bywam u Księżnej de Guermantes, u osób, których nazwiska nigdy nawet nie słyszałeś w naszej ciemnej krainie. Toteż z przyjemnością przyślę wam książki Racine'a, Wiktora Hugo, *Wybór pism Chenedolle'a*⁴⁰⁷, Alfreda de Musset, bo chciałbym ziemię, co mi dała życie, wyleczyć z ciemnoty, która wiedzie nieuchronnie do zbrodni. Nie mam ci już nic do powiedzenia i posyłam ci, jako pelikan, długą zmęczony podróżą, moje pozdrowienia, zarówno jak twojej żonie, memu chrześniakowi i twojej siostrze Róży. Oby można było nie rzec o niej: I różą będąc, żyła, ile żyją róże, jak powiedzieli Wiktor Hugo, sonet Arversa⁴⁰⁸, Alfred de Musset, wszyscy ci wielcy geniusze, którzy z tego powodu zginęli w płomieniach stosu jak Joanna d'Arc. Oczekuję twojej najbliższej wieści, przyjm me całunki jak całunki brata.

Perigot (Józef)”.

Przyciąga nas wszelkie życie ukazujące nam coś nieznanego, ostatnie złudzenie.

W ogóle to, co mi powiedział pan de Charlus, podcięło niby biczem moją wyobraźnię; pozwalając jej zapomnieć, jak bardzo rzeczywistość rozczarowała ją u pani de Guermantes (z nazwiskami osób jest jak z nazwami miejscowości), baron pchnął tę wyobraźnię w stronę księżnej Marii. Zresztą, jeżeli pan de Charlus oszukał mnie na jakiś czas co do urojonych wartości i odmian ludzi światowych, to jedynie dlatego, że sam się łudził w tej mierze. Może tak było dlatego, że baron nic nie robił, nie pisał, nie malował, nie czytał nawet nic w sposób poważny i głębszy. Że jednak przerastał o kilka stopni ludzi światowych, tedy mimo iż czerpał treść rozmowy z nich i ich obrazu, nie rozumiano go. Mówiąc jako artysta, mógł co najwyżej wydobyć zwodniczy urok światowców. Ale mógł go wydobyć jedynie dla artystów, dla których baron mógłby być tym, co ren dla Eskimosów: szacowne to zwierzę wyrywa dla nich na jałowych skałach porosty, mchy, których nie umieliby odkryć ani spożytkować, ale które, przeżute przez rena, stają się dla mieszkańców Dalekiej Północy posilnym pokarmem.

Dodam do tego, że obrazy wielkiego świata, jakie kreślił pan de Charlus, nabierały wiele życia dzięki pomieszaniu jego wściekłych nienawiści i jego żarliwych sympatii. Nienawiści kierowały się zwłaszcza przeciw młodym ludziom, adorację budziły szczególnie niektóre kobiety.

O ile pan de Charlus pomieścił pośród nich księżną Marię de Guermantes na najwyższym tronie, o tyle tajemnicze jego słowa o „niedostępnym pałacu Aladyna”, w jakim mieszka jego kuzynka, nie wystarczają, aby wytłumaczyć moje zdumienie — po którym rychło nastąpiła obawa, że padł ofiarą czyjś figla, zmierzającego ku temu, aby mnie wyrzucono za drzwi z domu, gdzie bym się zjawił bez zaproszenia — kiedy, mniej więcej w dwa miesiące po owym obiedzie u księżnej Oriany i kiedy księżna Oriana była w Cannes, otwórzysz kopertę, niemającą z pozoru nic nadzwyczajnego, wyczytałem na karcie te słowa: „Księżna Maria de Guermantes, z domu księżniczka bawarska, będzie u siebie w domu dnia...” itd.

Bez wątpienia, być zaproszonym do księżnej Marii nie było może ze światowego punktu widzenia czymś trudniejszym niż być na obiedzie u księżnej Oriany, a moje słabe wiadomości heraldyczne pouczyły mnie, że tytuł *prince* nie jest wyższy od tytułu *duc*⁴⁰⁹. Następnie powiadałem sobie, że inteligencja kobiety światowej nie może tak dalece różnić się gatunkiem od inteligencji innych kobiet światowych, jak to utrzymywał pan de

⁴⁰⁷ *Chenedollé, Charles-Julien Lioult de* (1769–1833) — francuski poeta. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ *Arvers, Félix* (1806–1850) — francuski poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ tytuł *prince* nie jest wyższy od tytułu *duc* — zaznaczyliśmy już wyżej, że polska tytulatura nie zna tej różnicy, tym samym zarówno tytuł Oriany de Guermantes (*duchesse*), jak Marii de Guermantes (*princesse*) wypadło tłumaczyć przez „księżna”. [przypis tłumacza]

Charlus. Ale moja wyobraźnia, podobna do Elstira w trakcie oddawania efektu perspektywy bez uwzględnienia wiadomości z fizyki, które mógł skądinąd posiadać, malowała mi nie to, com wiedział, ale to, co ona widziała; to, co ona widziała, to znaczy, co jej ukazywało nazwisko. Otóż nawet kiedy nie znałem diuszesy Oriany, nazwisko „Guermantes” poprzedzone tytułem *princesse*, niby nuta, kolor albo cyfra (głęboko zróżnicowane od otaczających walorów przez właściwy im matematyczny lub estetyczny „znak”), budziło we mnie zawsze coś całkiem odmiennego. Przy tym tytule odnajduje się je zwłaszcza w pamiętnikach z czasów Ludwika XIII i Ludwika XIV; wyobrażałem sobie pałac księżnej Marii mniej lub więcej odwiedzany przez księżnę de Longueville i przez wielkiego Kondeusza⁴¹⁰, których obecność czyniła mało prawdopodobnym, abym się tam dostał kiedyś.

Mimo tego, co w takich sztucznych powiększeniach zależne jest od rozmaitych subiektywnych punktów widzenia (do czego jeszcze powrócę), faktem jest, że przecież istnieje we wszystkich tych istotach jakaś przedmiotowa rzeczywistość, a tym samym różnice między nimi.

W jaki sposób zresztą mogłoby być inaczej? Ludzkość, z którą obcujemy i która tak mało podobna jest do naszych marzeń, jest jednak ta sama, którą widzieliśmy w pamiętnikach, w listach wybitnych ludzi i którą pragnęliśmy poznać. Najzupełniej nieznaczący starzec, z którym sąsiadujemy przy obiedzie, jest tym, który — jak to czytaliśmy ze wzruszeniem w książce o wojnie roku 1870 — napisał ów dumny list do księcia Fryderyka Karola⁴¹¹. Nudzimy się przy obiedzie, bo wygnano zeń wyobraźnię, a bawi nas książka, bo wyobraźnia dotrzymuje nam w niej towarzystwa. Ale i tu, i tam chodzi o te same osoby. Lubilibyśmy znać panią de Pompadour⁴¹², która popierała tak skutecznie sztukę, ale znudzilibyśmy się z nią tak samo jak z nowoczesnymi egeriami⁴¹³, do których nie możemy się wybrać z ponowną wizytą, tak są nieciekawe.

Mimo to faktem jest, że te różnice istnieją. Ludzie nigdy nie są całkiem jednakowi; ich sposób odnoszenia się do nas — przy równej, aby tak rzec, życzliwości — zdradza różnice, które w ostatecznym rachunku wyrównują się. Kiedym poznał panią de Montmorency, lubiła mi mówić rzeczy nieprzyjemne; ale kiedy potrzebowałem jakiejś przysługi, wówczas, aby mi ją wyświadczyć, rzuciła na szalę wszystkie swoje wpływy, nie oszczędzając niczego. Podczas gdy inna dama, jak na przykład pani de Guermantes, nie chciała mi nigdy zrobić przykrości, mówiła o mnie jedynie to, co by mi mogło sprawić przyjemność, zasypywała mnie wszystkimi uprzejmościami stanowiącymi duchowe bogactwo Guermantów, ale gdybym ją prosił o cokolwiek poza tym wszystkim, nie zrobiłaby dla mnie ani kroku, jak w owych pałacach, gdzie gość ma do swojego rozporządzenia samochód, kamerdynera, ale gdzie niepodobna uzyskać szklanki jabłeczniaka nieprzewidzianej programem. Kto był moją prawdziwą przyjaciółką: czy pani de Montmorency, tak rada zawsze, ilekroć mogła mnie drasnąć, a zawsze gotowa mi usłużyć, czy pani de Guermantes, odczuwająca dotkliwie najmniejszą przykrość, jaką mi ktoś zrobił, a niezdolna do najmniejszego wysiłku, aby mi być użyteczną? Z drugiej strony, powiadano, że księżna Oriana mówi jedynie o błahostkach, a kuzynka jej, przy inteligencji zupełnie miernej, o rzeczach zawsze interesujących. Formy intelektu są tak rozmaite, tak sprzeczne, nie tylko w literaturze, ale w „świecie”, że nie sami Baudelaire i Mérimée mają prawo gardzić sobą wzajem. Właściwości te tworzą w każdej osobie całokształt spojrzeń, rozmów, czynów tak zwarty, tak despotyczny, że kiedy jesteśmy w ich towarzystwie, całość ta wydaje się nam czymś wyższym od wszystkiego innego. U pani de Guermantes słowa jej, wyprowadzone niby teoremat⁴¹⁴ z jej umysłowości, wydawały mi się jedynie właściwe w danej chwili. I byłem w gruncie jej zdania, kiedy mi mówiła, że pani de Montmorency

⁴¹⁰Kondeusz — Ludwik II, książę de Condé (1621–1686), z dynastycznej rodziny Bourbonów; marszałek Francji, wybitny dowódca w czasie wojny trzydziestoletniej. [przypis edytorski]

⁴¹¹Fryderyk Karol Hohenzollern (1828–1885) — książę pruski, dowódca armii podczas wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

⁴¹²pani de Pompadour, właśc. Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour (1721–1764) — faworyta francuskiego króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

⁴¹³Egeria (mit. rzym.) — nimfa wodna, doradczyni króla Rzymu Numy Pompiliusza; przen. jako rzecz. popolity egeria oznacza doradczynie, powiernicę męża stanu a. artysty. [przypis edytorski]

⁴¹⁴teoremat (z gr.) — twierdzenie pochodne, wyprowadzone na drodze wnioskowania dedukcyjnego z aksjomatów (pewników, twierdzeń pierwotnych) danego systemu. [przypis edytorski]

jest głupia i że ma umysł otwarty na wszystkie rzeczy, których nie rozumie, lub kiedy, dowiadując się o jakiejś jej złośliwości, księżna mówiła: „Pan ją nazywa dobrym stworzeniem, dla mnie to jest potwór”. Ale ta tyrania rzeczywistości, jaką mamy przed sobą, ta oczywistość lampy, przy której odległa już jutrzienka błędnie jak proste wspomnienie, znikają, kiedy byłem daleko od pani de Guermentes i kiedy inna dama mówiła mi, stawiając się na równej stopie ze mną i sądząc księżnę jako coś będącego o wiele poniżej nas: „Oriana nie interesuje się w gruncie rzeczy niczym ani nikim”, a nawet (co w rozmowie z panią de Guermentes zdawałoby się niepodobne do wiary, tak bardzo ona sama głosiła rzecz przeciwną): „Oriana jest snob”. Ponieważ żadna matematyka nie pozwala zmienić pani d'Arpajon i pani de Montpensier w jednolite wartości, niepodobna by mi odpowiedzieć, gdyby mnie spytano, która z nich wydaje mi się wartościowsza.

Otóż pomiędzy swoistymi rysami salonu księżnej Marii de Guermentes najpowszechniej cytowano ekskluzywizm, wynikający po części z królewskiego urodzenia księżnej, a zwłaszcza z kopalnych niemal, arystokratycznych przesądów księcia Gilberta, przesądów, z których księstwo Błażejowie nieraz żartowali przede mną, a które, rzecz prosta, musiały mi czynić czymś jeszcze nieprawdopodobniejszym owo zaproszenie. Mnie by miał zaprosić człowiek, dla którego istniały jedynie królewskie i książęce wysokości! Trzeba wiedzieć, że książę Gilbert przy każdym obiedzie robił scenę, ponieważ nie dano mu przy stole miejsca, do którego miałby prawo za Ludwika XIV — miejsca, które dzięki swojej nadzwyczajnej erudycji w kwestiach historii i genealogii znał on jeden. Z tej przyczyny wielu ludzi z towarzystwa rozstrzygało na korzyść księstwa Błażejów różnice dzielące ich od kuzynostwa. „Księstwo Błażejowie są o wiele bardziej nowoczesni, inteligentniejsi, nie zajmują się, jak tamci, wyłącznie liczbą pokoleń, ich salon wyprzedza o trzysta lat salon ich kuzyna” — to były potoczne zdania, których wspomnienie przejmowało mnie teraz dreszczem, kiedy patrzyłem na owo zaproszenie, mające w świetle o wiele więcej szans, że mi je przesłał jakiś kawalarz.

Gdyby jeszcze księstwo Błażejowie nie byli w Cannes, spróbowałbym się dowiedzieć przez nich, czy otrzymane zaproszenie jest prawdziwe. Wątpliwość moja nie wynikała nawet (jak sobie pochlebiałem przez chwilę) z uczucia, które byłoby obce człowiekowi światowemu i które tym samym literat, choćby poza tym należał do kasty światowców, powinien by odtworzyć, aby być całkowicie „obiektywnym” i odmalować każdą klasę odmiennie. Niedawno w istocie znalazłem w uroczym tomie pamiętników niepewności analogiczne do tych, w jakie mnie wpędziło zaproszenie księżnej Marii. „Jerzy i ja (albo: „Hély i ja”, nie mam pod ręką książki, aby sprawdzić) płonęliśmy tak bardzo chęcią dostania się do salonu pani Delessert⁴¹⁵, że otrzymawszy zaproszenie, uważaliśmy za ostrożniejsze upewnić się, każdy na swoją rękę, czyśmy nie padli ofiarą jakiegoś figla”. Otóż piszący te słowa jest nie kim innym, tylko hrabią d'Haussonville⁴¹⁶ (później zięciem księcia de Broglie), a drugi młody człowiek, który na „swoją rękę” upewnia się, czy się nie stał igraszką mistyfikacji, to jest — wedle tego, czy się nazywa Jerzy, czy Hély — jeden z dwóch nierozłącznych przyjaciół pana d'Haussonville, pan d'Harcourt albo książę de Chalais.

W dniu, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii, dowiedziałem się, że księstwo Błażejowie przybyli wczoraj do Paryża, i postanowiłem wybrać się do nich rano. Ale księstwo, wyszedłszy wcześniej, jeszcze nie wrócili; czyhałem zrazu z saloniku, który mi się wydał dobrym obserwatorium, na powrót powozu. W rzeczywistości źle wybrałem swoją placówkę, skąd ledwie widziałem nasz dziedziniec, oglądając w zamian inne dziedzińce, co, mimo iż pozbawione pożytku, rozerwało mnie na chwilę. Nie tylko w Wenecji ma się owe widoki na kilka domów naraz, które skusiły tylu malarzy, ale i w Paryżu. Nie jest to przypadek, że wspominam tu Wenecję. Jej dzielnice ubogich przywodzą mi na myśl niektóre ubogie dzielnice paryskie, z ich wysokimi, rozszerzającymi się kominami, którym ranne słońce daje tak żywo różowe i czerwone tony; to cały ogród, kwitnący

⁴¹⁵ *pani Delessert* — Valentine de Laborde (1806–1894), znana też jako Valentine Delessert: od 1824 żona Gabrieli Delessert; w czasach monarchii lipcowej prowadziła słynny salon; znana również jako kochanka pisarza Prospera Mérimée, pisarza i fotografa Maxime'a du Camp oraz polityka i filozofa Charles'a de Remusat. [przypis edytorski]

⁴¹⁶ *d'Haussonville, Joseph* (1809–1884) — francuski polityk i historyk; członek Akademii Francuskiej (1869), od 1836 mąż Luizy d'Haussonville (1818–1882), córki księcia Achille Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

ponad domami i kwitnący w odcieniach tak rozmaitych, iż można by rzec, że nad miastem wznosi się ogród jakiegoś miłośnika tulipanów z Delft czy z Haarlemu. Zresztą nadzwyczajna bliskość domów, których okna wychodzą na wspólny dziedziniec, zmienia każde okno w obraz, gdzie kucharka marzy spoglądając w dół, gdzie nieco dalej młodej dziewczynie czesze włosy stara kobieta z twarzą czarownicy, ledwie dającą się rozróżnić w mroku; i tak, każdy dziedziniec, tłumiąc hałas swoim oddaleniem, pozwalając oglądać milczące gesty w prostokącie umieszczonym pod szkłem zamkniętego okna, tworzy dla sąsiada wystawę stu zawieszonych obok siebie holenderskich obrazów.

Zapewne, z pałacu Guermantes nie miało się widoków tego samego typu, ale też miało się ciekawe, zwłaszcza z osobliwego punktu trygonometrycznego, gdzie się ulokowałem i gdzie nie zatrzymywało nic oka aż do odległych wyżów, które tworzył (poprzedzające je, niezabudowane prawie tereny położone były na dość stromym zboczu) pałac księżnej Sylistrii i margrabiny de Plassac, wielce szlacheckie krewniaczki pana de Guermantes, których zresztą nie znałem. Aż do tego pałacu (należącego do ich ojca, pana de Bréquigny) nic — tylko niewysokie, obrócone w najrozmaitszych kierunkach budynki, które nie zatrzymując wzroku, przedłużały odległość swoimi skośnymi płaszczyznami. Kryta czerwoną dachówką wieżyczka remizy, gdzie margrabia de Frecourt trzymał powozy, kończyła się iglicą wyższą, ale tak cienką, że nie zasłaniała nic i przywodziła na myśl ładne, dawne budowle szwajcarskie, które strzelają w górę, samotne u stóp gór. Wszystkie te niepewne i rozbieżne punkty, na których odpoczywało oko, oddalały — bardziej niż gdyby go od nas dzieliło kilka ulic i mnogie przypory — pałac pani de Plassac, w istocie dość bliski, ale pozornie odległy niby krajobraz alpejski. Kiedy jego szerokie kwadratowe okna, rozświetnione słońcem niby płac miki, otworzono dla sprzątnięcia, wówczas widząc na różnych piętrach niewyraźnych lokajów trzepiących dywany, można było znaleźć tę samą przyjemność, co oglądając na obrazie Turnera lub Elstira podróżnego w dyliżansie lub przewodnika na rozmaitych stopniach wysokości Św. Gotarda⁴¹⁷. Ale groziło mi, że z punktu, gdzie się ulokowałem, mógłbym nie zobaczyć wracających państwa de Guermantes; tak iż kiedy po południu zdołałem wrócić na czaty, umieściłem się po prostu na schodach, skąd miałem oko na wylot wjazdowej bramy. Na tych schodach przycupnąłem, mimo że nie mogłem tam podziwiać alpejskich piękności pałacu pana de Bréquigny, tak olśniewających z ich mikroskopijnymi z powodu odległości, a sprzątającymi w tej chwili lokajami.

Otóż to czekanie na schodach miało mieć dla mnie następstwa tak doniosłe, miało mi odsłonić tak ważny krajobraz już nie Turnerowski, ale moralny, że wolę opóźnić relację o tym o parę chwil, poprzedzając ją wizytą u Guermantów, kiedy się dowiedział, że księstwo wrócili.

Księżę Błażej przyjął mnie sam w bibliotece. W chwili gdy wchodziłem, wyszedł stamtąd mały człowieczek z włosami całkiem białymi, z niepoczesną⁴¹⁸ miną, w czarnym „moytylku”, takim, jakie nosili rejent w Combray i niektórzy przyjaciele mojego dziadka. Człowieczek ów, niepozorny i nieśmiały, skłonił mi się głęboko kilka razy, nie chcąc wyjść, dopóki ja nie wejdę. Księżę krzyknął mu z biblioteki coś, czego nie zrozumiałem, tamten zaś odpowiedział nowymi ukłonami skierowanymi do ściany, bo księżę nie mógł go widzieć, mimo to powtarzanymi bez końca, jak owe zbyteczne uśmiechy ludzi rozmawiających przez telefon. Mówił dyszkantem; odkłonił mi się jeszcze raz z unізonością totumfackiego⁴¹⁹. Mógł to być zresztą jakiś plenipotent⁴²⁰ z Combray, tak dalece miał ową prowincjonalną minę drobnych ludzi, skromnych tamtejszych starców.

— Zaraz zobaczy pan Oriane — rzekł księżę, kiedy wszedłem. — Swann ma przyjść za chwilę, przynieść jej odbitki swojego studium o monetach zakonu maltańskiego i, co gorsza, olbrzymią fotografię, gdzie kazał odbić dwie strony tych monet; toteż Oriana wolała ubrać się najpierw, aby móc z nim być aż do pory obiadu. Jesteśmy już tak zawaleni gratami, że nie wiemy, gdzie je chować; pytam sam siebie, gdzie my wpakujemy tę foto-

⁴¹⁷Przełęcz św. Gotarda — jedna z najbardziej znanych przełęczy w Alpach, położona w pld.-wsch. Szwajcarii na wys. 2108 m n.p.m. [przypis edytorski]

⁴¹⁸niepoczesny (daw.) — następujący w niewłaściwym czasie. [przypis edytorski]

⁴¹⁹totumfacki (przest.) — osoba zaufana, wypełniająca dla kogoś wszelkie zlecenia i załatwiająca sprawy. [przypis edytorski]

⁴²⁰plenipotent (z łac.) — pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu. [przypis edytorski]

grafię? Ale mam żonę nazbyt uprzejmą, która zanadto lubi robić przyjemność. Myślała, że to będzie milusio z jej strony prosić Swanna o pokazanie jej wszystkich tych wielkich mistrzów zakonu, których medale znalazł na Rodos. Bo ja mówiłem panu: Malta, a to jest Rodos; ale to jest ten sam Zakon Świętego Jana z Jerozolimy⁴²¹. W gruncie rzeczy, ona się tym interesuje jedynie dlatego, że Swann się tym zajmuje. Nasza rodzina jest bardzo wmieszana w całą tę historię; nawet dziś jeszcze mój brat, którego pan zna, jest jednym z najwyższych dygnitarzy zakonu maltańskiego. Ale gdybym ja mówił o tym wszystkim Orianie, nawet by mnie nie słuchała. W zamian za to wystarczyło, aby poszukiwania Swanna co do templariuszy⁴²² (niesłychana jest ta pasja ludzi jednej religii do studiowania religii drugich!) zawiodły go do historii kawalerów rodyjskich, spadkobierców templariuszy, a już Oriana z punktu ciekawa jest gąb tych kawalerów! To byli bardzo mali chłoptasie obok takich Lusignanów, królów Cypru, od których my pochodzimy w prostej linii. Ale jak dotąd, Swann się nimi nie zajmował; toteż Oriana nie chce nic wiedzieć o Lusignanach.

Nie mogłem od razu powiedzieć księciu, po co przyszedłem. Kilka krewniaczek lub przyjaciółek, jak księżna Sylistrii⁴²³ i księżna de Montrose⁴²⁴, zaszło z wizytą do pani de Guermantes, która często przyjmowała przed obiadem, a nie zastawszy jej, wstąpiły na chwilę do księcia. Pierwsza z tych dam (księżna Sylistrii), ubrana z wielką prostotą, sucha, ale z miną dość uprzejmą, trzymała w ręce laskę. Bałem się zrazu, czy nie jest ranna lub kaleka. Przeciwnie, była bardzo zwinna. Ze smutkiem mówiła księciu o jakimś jego bliskim kuzynie — nie od strony Guermantów, ale jeszcze świetniejszym, o ile to było możliwe — którego zdrowie, bardzo zagrożone od pewnego czasu, pogorszyło się nagle. Ale widoczne było, iż książę, współczując z losem swego krewniaka i powtarzając: „Biedny Mama! To taki dobry chłopiec”, skłania się ku optymistycznej diagnozie. W istocie, obiad, na który się książę wybierał, bawił go; wielki wieczór u księżnej Marii nie nudził go również; ale zwłaszcza o pierwszej w nocy miał z żoną iść na wielką kolację i na bal kostiumowy: kostiumy Ludwika XI dla księcia, a Izabeli Bawarskiej⁴²⁵ dla księżnej były już gotowe. I książę nie miał ochoty, aby cierpienie dobrego Amaniana d’Osmond zmąciło mu te wszystkie fety.

Dwie inne damy z laską, pani de Plassac i pani de Tresmes, obie córki hrabiego de Bréquigny, zaszły następnie do Błażeja i oświadczyły, że stan kuzyna nie zostawia już żadnej nadziei. Wzruszywszy ramionami i chcąc odmienić rozmowę, książę spytał ich, czy idą wieczór do księżnej Marii. Odpowiedziały, że nie, z powodu Amaniana, który jest konający; odprosiły się nawet z obiadu, na który szedł książę i którego uczestników wliczyły mu: brat króla Teodozjusza, infantka Maria Annunziata itd. Ponieważ margrabia d’Osmond był ich krewnym w dalszym stopniu niż Błażeja, abstynencja ich wydała się księciu pośrednią krytyką jego postępowania i nie był dla nich zbyt miły. Toteż mimo

⁴²¹*Zakon Św. Jana z Jerozolimy* — pot. joannici, szpitalnicy a. kawalerowie maltańscy: zakon rycerski założony w XII w., pierwotnie zajmujący się strzeżeniem bezpieczeństwa wewnętrznego w Królestwie Jerozolimskim. Po upadku Królestwa w 1291 zakon przeniósł się razem z templariuszami na Cypr; w 1309 zajęli wyspę Rodos (odtąd zwani Kawalerami Rodyjskimi). Po likwidacji zakonu templariuszy w 1317 papież przekazał joannitom większość ich dóbr i ziem. W 1522 Rodos została zdobyta przez Imperium Osmańskie, w 1530 cesarz Karol V roku pozwolił Kawalerom Rodyjskim osiedlić się na Malcie, gdzie przyjęli używaną do dziś nazwę Kawalerów Maltańskich. W 1798 Maltę zajęła flota Napoleona; po upadku Napoleona odzyskali część posiadłości, ale trudności finansowe zmusiły zakon do ich porzucenia i przeniesienia siedziby do Rzymu. Funkcjonują jako instytucja dobroczynna, opiekująca się chorymi i rannymi. [przypis edytorski]

⁴²²*templariusze* — zakon rycerski, założony ok. 1120 w Jerozolimie w celu obrony i eskorty pielgrzymów do Ziemi Świętej. Posiadali kilkanaście prowincji w Europie, dzięki licznym nadaniom, przywilejom papieskim i operacjom finansowym zgromadzili wielkie bogactwa, dzięki którym mieli znaczące wpływy polityczne. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego, pozbawieni siedziby templariusze przenieśli się na Cypr, a następnie do Francji. Upadek zakonu spowodowały wysunięte przez króla Francji Filipa IV Pięknego (1268–1314), poważnie zadłużonego u zakonu, oskarżenia o świętokradztwa, herezję i czary. Francuska gałąź zakonu została skasowana w 1311, jej majątki skonfiskowano, a wielu templariuszy, włącznie z wielkim mistrzem Jakubem de Mollay i najwyższymi dostojnikami, spalono na stosie. Ostatecznie zakon został zawieszony przez papieża w 1317. [przypis edytorski]

⁴²³*Sylistria* — miasto w pln.-wsch. Bułgarii. [przypis edytorski]

⁴²⁴*księżna Montrose* — szkocki tytuł szlachecki; zapewne chodzi o Violet Hermione Graham (1854–1940), żonę Douglasa Grahama (1852–1925), księcia Montrose. [przypis edytorski]

⁴²⁵*Izabela Bawarska* (1371–1435) — żona króla Francji Karola VI Szalonego, od 1392 rządziła krajem w jego imieniu jako regentka. [przypis edytorski]

że zstąpiły z wyżyn pałacu Bréquigny, aby zobaczyć księżną (lub raczej aby jej oznajmić niepokojący stan kuzyna, niedający się pogodzić ze światowymi uciechami), nie zostały długo. Uzbrojone w kije alpejskie, Walpurga i Dorota (takie były imiona dwóch siostr) ruszyły stromą drogą na swoją górę. Nigdy nie przyszło mi na myśl spytać państwa de Guermentes, co oznaczały te laski, tak częste w pewnej koterii Faubourg Saint-Germain. Może uważając całą parafię za swoją dziedzinę, a nie lubiąc brać fiaków, damy te robiły dalekie kursy, w których jakieś dawne złamanie nogi, wynikłe z nadużycia polowań i z upadków z konia, lub po prostu reumatyzmy, pochodzące z wilgoci „lewego brzegu” i starych pałaców, zmuszały je do użytku laski. A może, nie zamierzając wyprawy tak dalekiej, zeszedłszy jedynie do ogrodu (niezbyt odległego od ogrodu księżnej Oriany), aby zerwać trochę owoców na kompot, zaszły powiedzieć dobranoc pani de Guermentes, nie przynosząc bądź co bądź z sobą sekatora ani polewaczki.

Księżę zdawał się wzruszony tym, że przybiegł do nich w sam dzień ich powrotu. Ale twarz jego zachmurzyła się, kiedy oznajmił, że przychodzę spytać księżnej, czy jej kuzynka naprawdę mnie zaprosiła. Dotknąłem jednej z usług, jakich państwo de Guermentes nie lubili oddawać. Księżę oświadczył, że jest za późno, że w razie gdyby księżna Maria nie przesłała mi zaproszenia, wyglądałoby, że się przymawia o nie; już raz (powiedział księżę) kuzynostwo odmówili mu tego; toteż nie chce w żadnej mierze, aby się wydawało, że on się miesza do listy ich gości, że się „wtrąca”; a wreszcie nie wie nawet, czy on i jego żona, mając proszony obiad, nie wrócą zaraz potem do siebie, w którym to wypadku, wobec pominięcia rautu księżnej Marii, najlepszą wymówką byłoby ukryć swój powrót do Paryża; gdyby nie to, niechybnie pospieszyłby wyjaśnić moją sprawę, pisząc do niej słówko lub telefonując, z pewnością zresztą za późno, bo najprawdopodobniej lista gości musi być już zamknięta.

— Nie zaszło nic między wami? — rzekł księżę z podejrzliwą miną, bo Guermentowie boją się zawsze i tego, aby nie być *au courant* ostatnich nieporozumień, i tego, aby ktoś nie szukał pojednania ich kosztem. Księżę miał zwyczaj brać na siebie wszystkie decyzje, które mogły mu się wydawać niezbyt przyjemne: — Wie pan co, drogi panie — rzekł nagle, jakby ta myśl przyszła mu niespodzianie do głowy — mam ochotę wcale nawet nie wspominać Orianie, że mi pan o tym mówił. Pan wie, jaka ona jest uprzejma; co więcej, ona pana niezmiernie lubi, chciałaby mimo wszystko, co bym jej mógł powiedzieć, pisać do kuzynki; tym samym, gdyby była zmęczona po obiedzie, nie będzie już wymówki, będzie musiała iść na raut. Nie, stanowczo, nie powiem jej nic. Zresztą zobaczy ją pan za chwilę. Ani słowa o tym, proszę. Jeżeli się pan zdecyduje iść na raut, nie potrzebuję mówić, jak nam będzie miło spędzić wieczór razem.

Względy ludzkości są nazbyt święte, aby ten, wobec którego się ich wzywa, nie skłonił się przed nimi — wierząc lub nie wierząc w ich szczerość; nie chciałem ani na chwilę robić wrażenia człowieka, który kładzie na szali swoje zaproszenie naprzeciw zmęczenia pani de Guermentes; przyrzekłem tedy nie wspomnieć księżnej o celu mojej wizyty, ściśle tak, jakbym wziął za dobrą monetę komedyjkę odegraną przez pana de Guermentes. Spytałem księcia, czy sądzi, iż mogę spotkać u księżnej Marii panią de Stermaria.

— Chyba nie — odparł z miną znawcy. — Znam nazwisko, które pan wymienia, bo widuję je czasem w rocznikach klubów; to nie jest zupełnie typ osób bywających u Gilberta. Spotka pan tam jedynie ludzi nadzwyczaj dystyngowanych i bardzo nudnych, jakieś tytuły, które się miało za wygasłe, a które wydobyto na tę okazję, wszystkich ambasadorów, dużo Koburgów⁴²⁶, zagraniczne altessy⁴²⁷, ale niech się pan nie spodziewa ani cienia Stermaria. Gilbert rozchorowałby się od samego takiego przypuszczenia! O, pan kocha malarstwo, muszę panu pokazać wspaniały obraz, który kupiłem od mego kuzyna, po części w drodze wymiany za Elstiry, których stanowczo nie lubimy. Sprzedano mi go jako Filipa de Champagne⁴²⁸, ale ja sądzę, że to jest jeszcze coś więcej. Mam panu

⁴²⁶ *Koburgowie* — boczna linia niemieckiej dynastii Wettynów, znana także jako dynastia sasko-koburska (od nazwy księstwa Saksonii-Coburg-Gotha). [przypis edytorski]

⁴²⁷ *altessa* (neol.) — z fr.: *altesse*: wysokość, tytuł honorowy nadawany księżtom i księżnom. [przypis edytorski]

⁴²⁸ *Champagne, Philippe de* (1602–1674) — francuski malarz pochodzenia flamandzkiego; nadworny artysta Ludwika XIII i kardynała Richelieu. [przypis edytorski]

zdradzić moją myśl? Myślę, że to jest Velasquez, i to z najlepszej epoki — rzekł książę, patrząc mi w oczy, czy aby poznać moje wrażenie, czy aby je wzmocnić.

Wszedł lokaj.

— Księżna pani każe spytać księcia pana, czy książę zechce przyjąć pana Swann, bo księżna pani jest jeszcze niegotowa.

— Wprowadź pana Swann — rzekł książę, spojrzawszy na zegarek i sprawdziwszy, że jeszcze ma kilka minut, zanim się pójdzie ubierać. — Oczywiście, żona, zamówiwszy go na tę godzinę, jest niegotowa! Nie ma potrzeby mówić przy Swannie o tym wieczorze u Marii Gilbertowej — rzekł książę. — Nie wiem, czy on jest zaproszony. Gilbert bardzo go lubi, bo myśli, że on jest naturalnym wnukiem księcia de Berry, to cała historia! (Inaczej, niech pan pomyśli! Mój kuzyn dostaje ataku, kiedy widzi Żyda o sto kroków!) Ale teraz to się komplikuje sprawą Dreyfusa, Swann mógłby chyba zrozumieć, że bardziej niż ktokolwiek powinien by przeciąć wszystkie kontakty z tymi ludźmi; otóż wręcz przeciwnie, on wygaduje niesłychane rzeczy.

Książę przywołał lokaja, aby się dowiedzieć, czy służący, którego posłano do kuzyrna d'Osmond, wrócił. Plan księcia był następujący: ponieważ słusznie uważał kuzyrna za umierającego, zależało mu na tym, aby mieć o nim nowiny przed śmiercią, to znaczy przed przymusową żałobą. Raz będąc kryty oficjalną pewnością, że Amanian jeszcze żyje, książę drapnąłby na swój obiad, na raut księżnej Marii i na redutę, gdzie wystąpiłby w kostiumie Ludwika XI⁴²⁹ i gdzie miał bardzo pikantną schadzkę z nową kochanką. A po nowiny posłałby dopiero nazajutrz, kiedy już fety byłyby skończone. Wówczas wdziałoby się żałobę, o ile by chory umarł.

— Nie, proszę księcia pana, nie wrócił jeszcze.

— Kroćset diabłów, robi się tutaj wszystko na ostatni moment — rzekł książę na myśl, że Amanian może mieć czas klapnąć przed wieczornym dziennikiem i zepsuć mu redutę. Kazał podać sobie „Temps”⁴³⁰, gdzie nie było nic.

Nie widziałem Swanna od bardzo dawna; zastanawiałem się chwilę, czy on dawniej strzygł wąsy, czy nie nosił włosów „na jeża”, bo wydawał mi się czymś zmieniony; po prostu był bardzo „zmieniony”, bo był bardzo chory, a choroba sprowadza w twarzy zmiany równie głębokie co zapuszczenie brody lub zmiana uczesania. (Swann cierpiał na chorobę, która zabiła jego matkę, a wystąpiła u niej właśnie w wieku, w którym on był obecnie. Nasze egzystencje są w istocie, wskutek dziedziczności, równie pełne kabalistycznych cyfr, rzuconych uroków, co gdyby istniały naprawdę czarownice, i tak jak jest pewne trwanie życia ludzkiego w ogóle, jest również pewne jego trwanie dla poszczególnych rodzin, to znaczy dla tych członków rodziny, którzy są do siebie podobni).

Swann był ubrany z elegancją, która, jak elegancja jego żony, kojarzyła to, czym był teraz, z tym, czym był dawniej. W obcisłym perłowszarym tużurku uwydatniającym jego wysoką postać, smukły, w białych rękawiczkach z czarnymi prążkami, nosił ów szary cylinder rozszerzający się u góry, jaki Delion robił już tylko dla niego, dla księcia de Sagan⁴³¹, dla pana de Charlus, dla margrabiego Modeny, dla Karola Haas⁴³² i dla hrabiego Ludwika de Turenne⁴³³. Zdziwił mnie jego przemiły uśmiech i serdeczny uścisk dłoni, jakim Swann odpowiedział na mój ukłon, bo sądziłem, że po tak długim czasie nie pozna mnie od razu; wyraziłem mu swoje zdziwienie; przyjął je z wybuchem śmiechu, z lekkim oburzeniem i z nowym uściskiem dłoni, tak jakbym, przypuszczając, że on mnie nie poznaje, kwestionował solidność jego mózgu lub szczerść jego uczuć. A jednak tak było: zidentyfikował mnie (dowiedziałem się o tym znacznie później) dopiero w kilka minut potem, słysząc moje nazwisko. Ale żadna zmiana w jego twarzy, w jego słowach, w tym, co mówił do mnie, nie zdradziła odkrycia, na które naprowadziło go jakieś słówko pana de Guermantes — tak mistrzowskie było opanowanie Swanna w formach światowego życia. Wnosił w nie wreszcie tę samą swobodę manier oraz owo coś indywidualnego, nawet w sposobie ubierania się, jakie charakteryzują Guermantów. I tak, ukłon, jakim stary

⁴²⁹ Ludwik XI (1423–1483) — król Francji (od 1461), złamał potęgę wielkich feudalów. [przypis edytorski]

⁴³⁰ „Temps” — paryski dziennik, wydawany w latach 1861–1942. [przypis edytorski]

⁴³¹ książę de Sagan — Bosen I de Talleyrand-Périgord (1832–1910), książę żagański (1898–1906), znany paryski dandys. [przypis edytorski]

⁴³² Haas, Charles (1833–1902) — francuski salonowiec. [przypis edytorski]

⁴³³ Turenne d'Aynac, Gabriel Louis de (1843–1907) — francuski oficer i podróżnik. [przypis edytorski]

clubman powitał mnie (nie poznając), to nie był zimny i sztywny, czysto oficjalny ukłon światowca, ale ukłon pełen szczerzej uprzejmości, prawdziwego wdzięku, jaki rozwijała na przykład księżna de Guermantes (posuwając się aż do uśmiechnięcia się pierwsza, kiedy kogo spotkała, zanim ów zdążył się jej uklonić), w przeciwieństwie do mechanicznych ukłonów, właściwych damom Faubourg Saint-Germain. Tak samo kapelusz, który wedle ginącego już zwyczaju Swann postawił koło siebie na ziemi, miał (czego się nie robiło zazwyczaj) podszewkę z zielonej skóry, dlatego że to się (jak sam mówił) mniej wala, ale w istocie dlatego, że to było bardzo eleganckie (tego jednak nie mówił).

— Słuchaj, Karolu, ty, który jesteś wielki znawca, chodź coś obejrzyć; a potem, moje dzieci, poproszę was o pozwolenie zostawienia was tu na chwilę, gdy ja pójdę włożyć frak; sądzę zresztą, że Oriana zaraz przyjdzie.

I książę pokazał Swannowi swego „Velasqueza”.

— Ależ mnie się zdaje, że ja to znam — rzekł Swann ze skrzywieniem ludzi cierpiących, dla których samo mówienie jest już zmęczeniem.

— Tak — rzekł książę, zaniepokojony tym, że znawca ociąga się z wyrażeniem swego podziwu. — Widziałeś to zapewne u Gilberta.

— A, w istocie, przypominam sobie.

— Jak przypuszczasz, co to jest?

— Ba, skoro to było u Gilberta, to jest prawdopodobnie jeden z waszych *przodków* — rzekł Swann z mieszaniną ironii i szacunku wobec wielkości, którą uważałby za niegrzeczne i śmieszne lekceważyć, ale o której przez dobry smak nie chciał mówić inaczej niż żartem.

— Ależ oczywiście — rzekł szorstko książę. — To Boson, nie wiem już który numer, de Guermantes. Ale takie rzeczy ja mam gdzieś. Wiesz, że ja nie jestem taki feudal jak mój kuzyn. Słyszałem, jak padały przed tym portretem takie słowa, jak: Rigaub⁴³⁴, Mignard⁴³⁵, nawet Velasquez — rzekł książę, wlepiając w Swanna wzrok inkwizytora i kata, starając się wyczytać jego myśl i wpłynąć na odpowiedź. — Zresztą — zakończył książę (kiedy bowiem doprowadził do tego, że wywołał sztucznie sąd, jakiego pragnął, umiał po paru chwilach uwierzyć, że ten sąd jest dobrowolny) — powiedz sam, bez pochlebstw. Czy sądzisz, że to jest jeden z tych wielkich mogółów, których wymieniłem?

— Nnnie — rzekł Swann.

— Ależ w takim razie... ostatecznie, ja się na tym nic nie rozumiem; nie moją rzeczą rozstrzygać, czyj jest ten knot. Ale ty, miłośnik, mistrz w tej materii, komu go przypisujesz?

Swann zawahał się chwilę przed tym płótnem, które mu się najwidoczniej wydawało okropne.

— Złośliwości ludzkiej! — odparł ze śmiechem księciu, który nie mógł powstrzymać odruchu wściekłości.

Uspokoiwszy się, książę rzekł:

— Jesteście bardzo mili obaj, zaczekajcie chwilę na Oriane, ja się tylko wyfraczę i wracam. Powiem mojej połowicy, że wy tu czekacie na nią.

Rozmawiałem chwilę ze Swannem o sprawie Dreyfusa; spytałem, jak to się dzieje, że wszyscy Guermantowie są antydreyfusiści.

— Po pierwsze dlatego, że w gruncie wszyscy ci ludzie są antysemitami — odparł Swann, który wiedział przecie z doświadczenia, że nie wszyscy, ale który, jak wszelcy ludzie mający bardzo żarliwe przekonanie, woła dla wytłumaczenia, że niektóre osoby go nie dzielą, podsunąć im jakąkolwiek rację, przesąd, na który nie ma rady, raczej niż rację nadające się do dyskusji. Zresztą, doszedłszy przedwczesnego kresu życia, nienawidził tych prześladowań niby zmęczone, szczute zwierzę i skłaniał się do religii ojców.

— Co do księcia Gilberta — rzekłem — to prawda, mówiono mi, że on jest antysemitą.

— Och, o tym nawet nie mówię. Jest nim do tego stopnia, że kiedy był oficerem i szalenie go rozboleły zęby, wołał raczej cierpieć niż poradzić się jedyne dentysty w okolicy,

⁴³⁴Rigaub, *Hyacinthe* (1659–1743) — malarz francuski, portrecista Ludwika XIV. [przypis edytorski]

⁴³⁵Mignard — rodzina francuskich malarzy, słynnych w XVII w., należeli do niej Pierre (1610–1695), najbardziej znany dzięki płótnom i freskom o tematyce religijnej, jego brat Nicolas (1606–1668) i bratanek Pierre II (1640–1725). [przypis edytorski]

Żyda. Innym razem zniósł raczej, aby się spaliło całe skrzydło zamku, gdzie się wszczął ogień, niż żeby miał poprosić o sikawkę w sąsiednim zamku, należącym do Rotszyldów.

— Czy pan idzie może dziś wieczór do niego?

— Tak — odparł Swann — mimo że się czuję nieszczególnie. Ale uprzedził mnie, że ma mi coś do powiedzenia. Czuję, że będę zbyt cierpiący w tych dniach, aby iść do niego lub aby go przyjąć, to by mnie zanadto denerwowało, wolę pozbyć się teraz zaraz.

— Ale księżę Błażej nie jest antysemitą.

— Widzi pan, że tak, skoro jest antydreyfusistą — odparł Swann, nie spostrzegając, że popełnia to, co się w logice nazywa *petitio principii*⁴³⁶. — Co nie przeszkadza, iż bardzo mi jest przykro, że m zawiódł tego człowieka... co ja mówię! Tego księcia, nie podziwiająć jego rzekomego Mignarda czy już sam nie wiem czego.

— Ale przynajmniej — rzekłem, wracając do sprawy Dreyfusa — księżna Oriana jest niewątpliwie inteligentna.

— Tak, urocza jest. Moim zdaniem była jeszcze bardziej urocza, kiedy była księżną des Laumes. Intelkt jej nabral czegoś bardziej kanciastego, wszystko to było miększe w młodziutkiej wielkiej damie. Ale wreszcie, młodzi czy mniej młodzi, mężczyźni czy kobiety, cóż pan chce, wszyscy ci ludzie są z innej rasy, nie można mieć bezkarnie tysięcy lat feudalizmu we krwi. Oczywiście, oni uważają, że to nie gra żadnej roli w ich przekonaniach.

— Ale Robert de Saint-Loup jest przecież dreyfusistą.

— Och, tym lepiej; zwłaszcza że pan wie, matka jego jest bardzo *przeciw*. Mówiono mi, że on jest *za*, ale nie byłem pewny. To mnie bardzo cieszy. Nie dziwi mnie to, on jest bardzo inteligentny. To jest dużo.

Dreyfusizm zrobił Swanna zadziwiająco naiwnym i oddział na jego psychikę jeszcze znamiennej niż niegdyś małżeństwo z Odetą; to nowe zdeklasowanie (które można by raczej nazwać powrotem do swojej klasy) było dlań jedynie zaszczytne, skoro go wracało na drogę, którą szli jego bliscy i z której wykoleiły go arystokratyczne stosunki. Ale Swann, właśnie w chwili gdy on, tak jasnowidzący, mógłby dzięki danym odziedziczonym po przodkach widzieć prawdę jeszcze ukrytą światowcom, okazywał się mimo to komicznie zaślepiony. Wszystkie swoje podziwy i wzgardy poddawał próbie nowego kryterium — dreyfusizmu. To, że antydreyfusizm pani Bontemps kazał mu ją uznać za głupią, nie było dziwniejsze niż to, że kiedy się ożenił, odkrył w niej inteligencję. Nie było również bardzo poważne to, że nowa fala dosięgnęła w nim również sądów politycznych, każąc mu zapomnieć, że traktował swego czasu jako człowieka sprzedajnego, angielskiego szpiega (była to niedorzeczność kół Guermantów), tego samego Clemenceau, którego — jak oświadczał teraz — zawsze jakoby uważał za wielkie sumienie, za człowieka że stali, jak Cornély⁴³⁷. „Nie, nigdy nie mówiłem inaczej. Pomyliło się panu”. Ale przekraczając sądy polityczne, fala obalała w Swanna sądy literackie i nawet sposób wyrażania ich. Barrés⁴³⁸ postradał wszelki talent: nawet utwory z czasu jego młodości były słabe, ledwie czytelne. „Próbuj pan, nie doczyta pan do końca. Co za różnica z takim Clemenceau! Osobiście, ja nie jestem antyklerykałem, ale jakże się czuje przy nim, że Barrés nie ma kręgosłupa! To bardzo wielki pan ten Clemenceau. Co za język!”

Zresztą, antydreyfusiści nie mieliby prawa krytykować tych aberracji. Oni znowuż tłumaczyli, że ktoś jest dreyfusistą dlatego, że jest z pochodzenia Żydem. Jeżeli praktykujący katolik, jak Saniette, również był za rewizją procesu, to dlatego (mówiono), że jest na garnuszku u pani Verdurin, która stała się dziką radykałką. Ona była przede wszystkim przeciw „klechom”. Saniette jest bardziej głupi niż zły i nie wie, ile mu krzywdy wyrządza „pryncypałka”. A kiedy ktoś podnosił, że Brichot, też przyjaciel pani Verdurin, jest członkiem Patrie Française, to dlatego (odpowiadano), że jest inteligentniejszy.

— Czy go pan widuje czasem? — rzekłem do Swanna, mówiąc o Robercie de Saint-Loup.

⁴³⁶ *petitio principii* (łac.) — błąd logiczny uzasadnienia, polegający na użyciu tezy, której należy dowieść, jako przesłanki dowodu. [przypis edytorski]

⁴³⁷ *Cornély, Jules* (1845–1907) — francuski dziennikarz. [przypis edytorski]

⁴³⁸ *Barrés, Maurice* (1862–1923) — francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu; od 1889 członek Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

— Nie, nigdy. Napisał do mnie kiedyś, żebym poprosił księcia de Mouchy⁴³⁹ i paru innych, aby głosowali za nim w „Jockeyu”, gdzie przeszedł zresztą śpiewająco.

— Mimo Dreyfusa!

— Nie podnoszono tej kwestii. Zresztą, powiem panu, że od czasu tego wszystkiego nie pokazuję się w tej budzie.

Wszedł pan de Guermantes, a niebawem jego żona, już gotowa, wysoka i wspaniała, w czerwonej atlasowej sukni wyszytej pajetkami. Miała we włosach wielkie purpurowe pióro strusie, a na ramionach tiulową szarfę tegoż koloru.

— Jakie to ładne, ta zielona podszewka w kapeluszu — rzekła księżna, której oku nic nie uchodziło. — Zresztą u Lola wszystko jest ładne, zarówno to, co nosi, jak to, co mówi, co czyta i co robi.

Tymczasem Swann, jak gdyby nie słysząc, patrzył na księżnę tak, jakby patrzył na płótno mistrza; po czym poszukał jej spojrzenia, czyniąc ustami ruch mający znaczyć: „Psiakość!”. Pani de Guermantes parsknęła śmiechem.

— Moja toaleta podoba się panu, uszczęśliwiona jestem. Ale ja muszę powiedzieć, że mnie się ona nie bardzo podoba — ciągnęła z nachmurzoną minką. — Mój Boże, jakie to nudne: ubierać się, iść między ludzi, kiedy by się tak lubiło zostać w domu.

— Co za wspaniałe rubiny!

— Mój drogi Lolo! Widać przynajmniej, że pan się zna na tym, nie jest pan jak to zwierzę Monserfeuil, który się spytał, czy są prawdziwe! Muszę przyznać, że nie widziałam nigdy równie pięknych. To prezent od wielkiej księżnej. Na mój gust są trochę za duże, trochę przypominają pełny po brzegi kieliszek bordo, ale włożyłam je, bo spotkamy dziś wieczór wielką księżnę u Marii Gilbertowej — dodała pani de Guermantes, nie domyślając się, że te słowa obalały twierdzenie jej męża.

— Co tam jest u księżnej Marii? — spytał Swann.

— Prawie nic — pospiesznie odpowiedział książę, którego pytanie Swanna utwierdziło w mniemaniu, że Swann nie jest proszony.

— Ależ, Błażeju, co ty mówisz! Rozesłano wici na wszystkie strony, będzie tłum taki, że się będą zabijali. Co będzie ładne — mówiła, patrząc na Swanna z subtelną minką — o ile nie wybuchnie burza, która wisi w powietrzu, to te cudowne ogrody. Pan je zna. Byłam tam miesiąc temu, w chwili kiedy bzy już kwitły; niepodobna wyobrazić sobie, jakie to było piękne. A przy tym ten wodotrysk to naprawdę Wersal w Paryżu.

— Co to za rodzaj kobiety, księżna Gilbertowa? — spytałem.

— Ależ wie pan już, skoro pan ją widział tutaj, że jest piękna jak dzień, że jest także trochę idiotka, bardzo miła, mimo całej swojej germańskiej dumy, pełna serca i gaf.

Swann był zbyt sprytny, aby nie widzieć, że pani de Guermantes stara się w tej chwili robić *esprit* Guermantes, i to tanim kosztem, bo odgrzewała jedynie, w mniej doskonałej formie, swoje stare słówka. Mimo to, aby dowieść księżnej, że rozumie jej chęć okazania się dowcipną, i tak jakby nią była w tej chwili istotnie, uśmiechnął się nieco wymuszenie, powodując we mnie owym swoistym rodzajem nieszczerości to samo zażenowanie, jakiego doznawałem niegdyś, słysząc rodziców mówiących z panem Vinteuil o zepsuciu pewnych kół (podczas gdy wiedzieli dobrze, iż zepsucie panujące u niego w Montjouvain jest znacznie większe) lub Legrandina wysilającego się dla głupców, dobierającego subtelnych epitetów, o których doskonale wiedział, że nie może ich zrozumieć publiczność bogata lub elegancka, ale ciemna.

— Ej, Oriano, co ty opowiadasz — rzekł pan de Guermantes. — Maria głupia? Ona wszystko czytała, jest muzykalna jak skrzypce.

— Ależ, mój drogi mali Błażejku, ty jesteś jak nowo narodzone dziecko! Jakby nie można było łączyć tego wszystkiego i być trochę idiotką. Idiotka to zresztą przesadzone; nie, ona jest mgławicowa, ona jest Hesse-Darmstadt⁴⁴⁰, Cesarstwo Rzymskie i „och, och, och”! Już sama jej wymowa denerwuje mnie. Ale uznaję zresztą, że to jest urocza wariatka. Zresztą sama ta myśl, aby zstąpić ze swego niemieckiego tronu i wydać się po

⁴³⁹Noaille, Antoine de (1841–1909) — francuski arystokrata, książę Mouchy, polityk. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰Hesse-Darmstadt — Hesja-Darmstadt, dawne niewielkie państwo niemieckie ze stolicą w mieście Darmstadt; powstałe w 1567 wskutek podziału Hesji pomiędzy synów Filipa Wielkodusznego, wchodziło w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego; po likwidacji Cesarstwa w 1806 przekształcone w Wielkie Księstwo Hesji, w 1871 stało się częścią Cesarstwa Niemieckiego. [przypis edytorski]

mieszczkańsku za prywatnego człowieka! To prawda, że go sobie dobrała! A prawda — rzekła, zwracając się do mnie — pan nie zna Gilberta. Dam panu o nim pojęcie: swojego czasu rozchorował się i położył do łóżka, dlatego że ja rzuciłam bilet pani Carnot⁴⁴¹... Ale, mój drogi Lolo — rzekła księżna, aby zmienić rozmowę, widząc, że historia biletu rzuconego pani Carnot wyraźnie drażni pana de Guermantes — wie pan, że mi pan nie przysłał fotografii naszych kawalerów rodyjskich, których kocham dla pana i z którymi tak chciałabym zawrzeć znajomość.

Ale książę nie przestawał się wpatrywać bystro w żonę.

— Oriano — rzekł — trzeba przynajmniej opowiadać prawdę i nie lykac jej połowę. Trzeba powiedzieć — sprostował, zwracając się do Swanna — że ówczesna ambasadorowa angielska (niezła kobieta, ale trochę pomyłona i specjalistka od takich gaf) wpadła na dość dziki concept, aby nas zaprosić z prezydentem Republiki i jego żoną. Byliśmy (nawet Oriana) trochę zdziwieni, zwłaszcza że ambasadorowa dosyć miała z nami wspólnych znajomych, aby nas nie zapraszać właśnie na tak dziwne zebranie. Był tam jeden minister, który coś ukradł, wreszcie nie mówmy o tym, nie byliśmy uprzedzeni, wpadliśmy jak w pułapkę; trzeba zresztą uznać, że wszyscy ci ludzie byli bardzo grzeczni. Ale to już było zupełnie dosyć. Oriana, która nieczęsto robi mi ten zaszczyt, aby zasięgać mojej rady, uznała, iż powinna w ciągu tygodnia rzucić bilet w Pałacu Elizejskim⁴⁴². Gilbert posunął się może za daleko, widząc w tym plamę na nazwisku. Ale nie trzeba zapominać, że, poza wszelką polityką, pan Carnot⁴⁴³, który zresztą wywiązywał się bardzo przyzwoicie ze swoich obowiązków, był wnukiem członka trybunału rewolucyjnego, który w ciągu jednego dnia posłał na śmierć jedenastu naszych.

— W takim razie, Błażeju, czemuś jeździł co tydzień na obiad do Chantilly? Książę d'Aumale był zupełnie tak samo wnukiem członka trybunału rewolucyjnego, z tą różnicą, że Carnot był zacny człowiek, a Filip Egalité⁴⁴⁴ obrzydliwa kanalia.

— Przepraszam, że przerywam księżnej, ale chcę powiedzieć, że ja przysłałem fotografię — rzekł Swann. — Nie rozumiem, że jej nie oddano.

— Mnie to mniej dziwi — rzekła księżna. — Moja służba mówi mi tylko to, co uważa za stosowne. Prawdopodobnie nie lubią Zakonu Świętego Jana.

Pani de Guermantes zadzwoniła.

— Wiesz, Oriano, że kiedyś jeździł na obiad do Chantilly, to bez entuzjazmu.

— Bez entuzjazmu, ale z nocną koszulą, na wypadek gdyby cię książę zatrzymał na noc, co zresztą robił rzadko, jako skończony cham, jak wszyscy Orleanowie... Czy wiesz, kogo dziś spotkamy na obiedzie u pani de Saint-Euverte? — spytała pani de Guermantes męża.

— Poza gośćmi, o których wiesz, zaproszono w ostatniej chwili brata króla Teodorzusza.

Na tę wiadomość rysy księżnej wyraziły radość, a słowa zdudzenie:

— Och, Boże, znowu ci króle!

— Ale ten jest miły i inteligentny — rzekł Swann.

— Tak zupełnie to nie — odparła księżna, robiąc wrażenie, że szuka słów, aby dać więcej oryginalności swojej myśli. — Czy pan zauważył, że najmilszy z królewskich wysokości mimo wszystko nie są całkiem mili? Ależ tak, zapewniam pana! Trzeba im zawsze mieć zdanie o wszystkim. A ponieważ nie mają żadnego, obracają pierwszą część swego życia na to, aby nas pytać o opinie, drugą, aby nas nimi częstować z powrotem. Muszą

⁴⁴¹ *pani Carnot* — Marie Pauline Cecile Dupont-White (1841–1898), żona prezydenta Francji, Sadi Carnota. [przypis edytorski]

⁴⁴² *Pałac Elizejski* — oficjalna siedziba prezydenta Francji, służąca również jako miejsce posiedzeń Rady Ministrów zbierającej się pod przewodnictwem prezydenta. [przypis edytorski]

⁴⁴³ *Carnot, Marie François Sadi*, zwany *Sadi Carnot* (1837–1894) — francuski polityk, od 1881 przewodniczący umiarkowanej lewicy w parlamencie, od 1887 prezydent Francji; zginął zamordowany przez włoskiego anarchistę; był wnukiem Lazare Nicolasa Marguerite Carnota, inżyniera wojskowego i uczestnika rewolucji francuskiej, członka Komitetu Ocalenia Publicznego. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴ *Ludwik Filip II Orleański*, zw. *Philippe Egalité* (1747–1793) — książę Orleanu, polityk z czasów rewolucji francuskiej, kuzyn Ludwika XVI, ojciec króla Ludwika Filipa I; zwolennik rewolucji francuskiej, deputowany do Stanów Generalnych, członek Konstytuanty i Konwentu Narodowego; po obaleniu monarchii zrezygnował z tytułów i przyjął nazwisko *Égalité* (Równość); w styczniu 1793 głosował za wyrokiem śmierci dla Ludwika XVI; dwa miesiące później aresztowany razem z innymi Burbonami, oskarżony o zdradę i stracony. [przypis edytorski]

koniecznie mówić, że to a to było dobrze grane, a to mniej dobrze grane. Nie ma żadnej różnicy. Ot, ten smarkacz wice-Teodozjusz (nie przypominam sobie jego imienia) spytał mnie, jak się nazywa „motyw orkiestralny”. Odpowiedziałam mu — rzekła z błyszczącymi oczami i parszcząc śmiechem pięknymi czerwonymi wargami: — „Nazywa się: motyw orkiestralny”. I cóż! W gruncie nie był zadowolony. Och, mój drogi Lolo — ciągnęła omdlewająco pani de Guermentes — jakież to umie być nudne, te proszone obiady! Są wieczory, że wołaloby się umrzeć. Prawda, że umrzeć to jest może równie nudne, bo nie wiemy przecie, co to jest.

Zjawił się lokaj. Był to ów młody narzeczony, który miewał zatargi z odźwiernym, aż księżna w swojej dobroci zaprowadziła pozorny spokój.

— Czy mam iść dziś wieczór po wiadomości o panu margrabi d’Osmond? — spytał.

— Ależ nigdy w życiu, nie wcześniej aż jutro rano. Nie chcę nawet, abys był w domu dziś wieczór. Lokaj pana margrabiego, którego znasz, mógłby tutaj przyjść z wiadomością i żądać, żebyś poszedł nas szukać. Wyjdź z domu, idź, gdzie chcesz, ladaco, śpij poza domem, ale nie chcę tu ciebie wcześniej niż jutro rano.

Olbrzymia radość trysnęła z twarzy młodego lokaja. Będzie mógł wreszcie spędzić długie godziny ze swoją przyszłą, której prawie wcale nie mógł widywać, od czasu jak po nowej scenie z odźwiernym księżna wytłumaczyła mu przyjaźnie, że lepiej będzie, aby dla uniknięcia konfliktów w ogóle nie korzystał z wychodnego. Na myśl, że będzie miał wreszcie wolny wieczór, pływał w szczęściu, które księżna zauważyła i zrozumiała. Uczuła jakby ułucie w sercu i swędzenie całego ciała na widok tego szczęścia, którego ktoś kosztował bez jej wiedzy, kryjąc się przed nią, które drażniło ją i budziło jej zazdrość.

— Nie, Błażeju, przeciwnie, niech zostanie tutaj i nie rusza się z domu.

— Ależ, Oriano, to nie ma sensu, wszyscy twoi ludzie są w domu; prócz tego będziesz miała o północy krawcową i kostiumera na tę redutę. On nie zda się tu na nic, a ponieważ on jeden jest w przyjaźni z lokajem biednego Mama, tysiąc razy wolę wyprawić go daleko.

— Słuchaj, Błażeju, daj pokój; będę mu miała właśnie coś do polecenia w ciągu tego wieczora, ale nie wiem ściśle, o której godzinie. Nie ruszaj się, pamiętaj, ani na minutę — rzekła do zrozpaczonego lokaja.

Jeżeli były wciąż sprzeczki w domu i jeżeli służba na ogół nie trzymała się długo u księżnej, osoba, której trzeba przypisać tę stałą wojnę, była nie do ruszenia z miejsca; ale osobą tą nie był odźwierny. Bez wątpienia, do „grubszej roboty”, do kłopotliwszych szykan, do awantur, które się kończyły guzami, księżna posługiwała się tym narzędziem; odźwierny, odgrywając swoją rolę, nie podejrzewał zresztą, że mu ją nałożono. Jak cała służba, podziwiał dobroć księżnej; a niezbyt jasnowidzący lokaje, rzuciwszy swoje miejsce, często odwiedzali Franciszkę, powiadając, że dom księcia de Guermentes byłby najlepszy w Paryżu, gdyby nie odźwierny. Księżna posługiwała się nim tak, jak się wygrywało długie czas klerykalizm, masonerię, niebezpieczeństwo żydowskie itd... Wszedł lokaj.

— Czemu mi nie doręczono paczki, którą pan Swann przysłał? Ale słuchaj no (wiesz, Swann, że Mama jest bardzo chory), czy Julian, który poszedł do pana margrabiego d’Osmond po wiadomości, wrócił?

— Wrócił w tej chwili, proszę księcia pana. Oczekują z chwili na chwilę, że pan margrabia odda ducha.

— A, żyje! — wykrzyknął książę z westchnieniem ulgi. — Oczekują, oczekują, oczekują! Dopóki tli się życie, póty jest nadzieja — rzekł do nas książę z radosną miną. — Już mi go malowano umarłym i pogrzebionym. Za tydzień będzie zdrowszy ode mnie.

— To panowie lekarz powiedzieli, że pan margrabia nie przeżyje wieczoru. Jeden chciał wrócić w nocy, ale najstarszy doktor powiedział, że nie ma po co. Pan margrabia już by powinien nie żyć, przetrwał jedynie dzięki enomom⁴⁴⁵ z kamforą.

— Cicho siedź, idioto! — wykrzyknął książę u szczytu wściekłości. — Kto się ciebie pyta o to wszystko? Nie zrozumiałeś nic z tego, co ci mówiono.

— To nie mnie, to Julianowi.

— Będziesz ty cicho! — ryknął książę. Po czym obracając się do Swanna: — Co to za szczęście, że on żyje. Odzyska pomału siły. Żyje po takim ataku! To już świetnie. Nie

⁴⁴⁵ *enema* (med.) — lewatywa, płukanie jelita grubego. [przypis edytorski]

można żądać wszystkiego naraz. To nie musi być przykre taka mała lewatywka z kamforą — powiedział książę, zacierając ręce. — Żyje, żyje, czego chcecie więcej! Po tym, co on przeszedł, to już wcale ładnie. Pozazdrościć takiej żywotności. Cha, cha! Ci chorzy, chodzi się koło nich, nie to co z nami. Dziś rano hultaj kucharz zrobił mi baraninę z sosem *béarnaise*⁴⁴⁶, kapitalną, przyznaję, ale właśnie dlatego tyle zjadłem, że mi dotąd leży w żołądku. Co nie przeszkadza, że nikt nie przysyła dowiadywać się o moje zdrowie, jak o tego drogiego Amaniana. Znadto się o niego dowiadują. To go męczy. Trzeba mu dać wytchnąć. Zabija się tego człowieka, posyłając do niego co chwila.

— No i co — rzekła księżna do odchodzącego lokaja — prosiłam, żeby przyniesiono tę opakowaną fotografię, którą przysłał pan Swann.

— Proszę księżnej pani, to takie wielkie, że nie wiedziałem, czy to przejdzie przez drzwi. Zostawiliśmy w sieni. Czy księżna pani każe przynieść?

— Więc nie, powinniście mi byli powiedzieć; ale skoro to takie wielkie, obejrzę za chwilę, schodząc.

— Zapomniałem też powiedzieć księżnej pani, że pani hrabina Molé zostawiła dziś rano bilet dla księżnej pani.

— Jak to, rano? — rzekła księżna z wyrazem niezadowolenia, uważając, że tak młodej kobiecie nie przystało zostawiać biletów rano.

— Około dziesiątej, proszę księżnej pani.

— Pokażcie mi te bilety.

— W każdym razie, Oriano — podjął książę, wracając do poprzedniej rozmowy — kiedy mówisz, że Maria miała dziwny pomysł, wychodząc za Gilberta, to ty masz osobliwy sposób pisania historii. Jeżeli kto był głupi w tym małżeństwie, to Gilbert, że zaślubił właśnie tak bliską krewną króla Belgów, który przywłaszczył sobie tytuł księcia Brabancji, należący do nas. Słowem, jesteśmy z tej samej krwi co Hesse, i ze starszej linii. To zawsze głupie mówić o sobie — rzekł zwracając się do mnie — ale fakt jest, że kiedyś byli nie tylko w Darmstadt, ale nawet w Kassel i w całym elektoracie heskim landgrafowie; bardzo uprzejmie spieszyli ustąpić nam pierwszego kroku i miejsca, jako pochodzącym ze starszej linii.

— Ależ ostatecznie, Błażeju, nie powiesz mi, że ta osoba, która była majorem wszystkich pułków swego kraju, którą zaręczano z królem szwedzkim...

— Och, Oriano, to już szczyt; rzekłby kto, że ty nie wiesz, iż dziadek króla szwedzkiego orał ziemię w Pau, kiedy my od dziewięciuset lat trzymaliśmy prym w całej Europie.

— To nie przeszkadza, że gdyby ktoś krzyknął na ulicy: „O, jedzie król szwedzki!”, wszyscy pognaliby go oglądać aż na plac Zgody, a kiedy kto powie: „O, pan de Guermantes”, nikt nie wie, kto to taki.

— Także racja!

— Zresztą nie mogę zrozumieć, w jaki sposób, z chwilą gdy tytuł księcia Brabancji przeszedł do królewskiej rodziny belgijskiej, możecie rościć do niego pretensje.

Lokaj wrócił z biletem hrabiny Molé lub raczej z tym, co zostawiła jako bilet. Powołując się na to, że nie ma biletu przy sobie, wyjęła z kieszeni list adresowany do siebie i zatrzymując list, zagięła kopertę mieszczącą nazwisko „Hrabina Molé”. Ponieważ koperta była dość duża, zgodnie z modnym tego roku formatem listowego papieru, ten ręcznie pisany „bilet” miał niemal podwójny rozmiar zwykłego biletu wizytowego.

— To nazywają „prostotą pani Molé” — rzekła z ironią księżna. — Chce w nas wmówić, że nie miała biletów, aby pokazać swoją oryginalność. Ale my znamy się na tym, prawda, Lolo, za starzy jesteśmy i za wielkie oryginały sami, aby się uczyć dowcipu od damulki bywającej od czterech lat. Uroczą jest, ale nie przypisuję jej na tyle autorytetu, aby sobie mogła wyobrażać, iż zdoła zadziwić świat równie tanim kosztem, zostawiając kopertę zamiast biletu wizytowego, i to o dziesiątej rano! Stara mysz pokaże małej myszce, że się umie zdobyć na to samo.

Swann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, myśląc, że księżna, trochę zresztą zazdrosna o sukcesy pani Molé, znajdzie w „dowcipie Guermantów” jakąś impertynencką odpowiedź na tę wizytę.

⁴⁴⁶*sos béarnaise* — sos bearneski, robiony na bazie sosu holenderskiego z dodatkiem estragonu i szalotki. [przypis edytorski]

— Co się tyczy tytułu księcia Brabancji, mówiłem ci sto razy Oriano... — podjął książę, któremu księżna przerwała w pół słowa, mówiąc do Swanna:

— Ale, mój drogi Lolo, ja tęsknię za pana fotografią.

— A! *Extincto draconis latrator Anubis*⁴⁴⁷ — rzekł Swann.

— Tak, to ładne, co pan o tym powiedział, robiąc porównanie ze świętym Jerzym w Wenecji. Ale nie rozumiem, czemu „Anubis”.

— Jak wygląda ten, co jest przodkiem Babala? — spytał pan de Guermentes.

— Chciałbyś widzieć jego babalę — rzekła pani de Guermentes sucho, aby pokazać, że sama gardzi tym kalamburem. — Ja chciałabym ich zobaczyć wszystkich — dodała.

— Słuchaj, Karolu, zejdźmy, zanim powóz zajedzie — rzekł książę. — Złóżysz nam wizytę w sieni, bo żona nie da nam spokoju, póki nie zobaczy twojej fotografii. Ja jestem, szczerze mówiąc, mniej niecierpliwy — dodał z zadowoloną miną. — Ja jestem człowiek spokojny, ale ona gotowa nas uśmiercić.

— Jestem zupełnie twojego zdania, Błażeju — rzekła księżna. — Chodźmy do sieni, będziemy przynajmniej wiedzieli, czemu schodzimy z twojego gabinetu na dół, podczas gdy nie dowiemy się nigdy, czemu pochodzimy od hrabiów Brabancji.

— Powtarzałem ci sto razy, w jaki sposób ten tytuł dostał się do domu heskiego — rzekł książę (podczas gdyśmy szli obejrzyć fotografię, a ja myślałem o fotografiach, które mi Swann przywoził do Combray) — w drodze małżeństwa pewnego Brabanta w 1241 z córką ostatniego landgraфа Turynii i Hesji; tak że to raczej tytuł księcia heskiego wszedł w dom brabancki niż tytuł księcia brabanckiego w dom heski. Przypominasz sobie zresztą, że naszym zawołaniem było zawołanie diuków Brabantu: „Limburg temu, kto go zdobył”, aż do czasu, kiedyśmy zmienili herb Brabantów na herb Guermantów, w czym, uważam, żeśmy popełnili błąd, a przykład Gramontów nie zmieni mojego zdania...

— Ależ — odparła pani de Guermentes — skoro zdobył go król Belgów... Zresztą, belgijski następca tronu nazywa się księciem brabanckim.

— Ależ, kochanie, to, co mówisz, nie trzyma się kupy, fałszywe jest od podstaw. Wiesz równie dobrze jak ja, że istnieją tytuły pretendentów, które obowiązują nadal, jeżeli terytorium zajęte jest przez uzurpatora. Na przykład król hiszpański mieni się również księciem Brabancji, stwierdzając przez to stan posiadania mniej dawny od naszego, ale dawniejszy niż posiadanie króla Belgów. Nazywa się także księciem Burgundii, królem Indii Zachodnich i Wschodnich, księciem Mediolanu. Otóż nie posiada już Burgundii, Indii ani Brabancji, tak jak ani ja, ani książę heski nie posiadamy Brabancji. Król hiszpański mieni się mimo to królem Jerozolimy, cesarz Austrii również, a ani jeden, ani drugi nie ma Jerozolimy.

Książę przerwał na chwilę, zmieszany tym, że nazwa Jerozolimy mogła zakłopotać Swanna z przyczyny „spraw aktualnych”, ale ciągnął tym szybciej:

— To, co mówisz w tym wypadku, mogłabyś powiedzieć o wszystkim. Byliśmy książętami d'Aumale, które to księstwo przeszło równie prawidłowo do domu francuskiego jak Joinville i jak Chevreuse do domu d'Albert. Nie zgłaszamy rewindykacji co do tych tytułów jak co do tytułu margrabiego de Noirmoutiers, który był nasz i który przypadł całkiem prawidłowo domowi de La Trémoille; ale z tego, że niektóre cesje są ważne, nie wynika, aby ważne były wszystkie! Na przykład — rzekł książę, zwracając się do mnie — syn mojej szwagierki nosi tytuł księcia d'Agrigente, który my mamy po Joannie Szalonej⁴⁴⁸, jak La Trémoille tytuł księcia Tarentu. Otóż Napoleon dał ten tytuł księcia

⁴⁴⁷*Extincto draconis latrator Anubis* (łac.) — Zabójca smoka, ujadającego Anubisa; Swann łączy tu dwa nawiązania: do św. Jerzego, zabójcy smoka, którego wizerunki widnieją na obrazach Carpaccia we wnętrzu budynku Scuola di San Giorgio degli Schiavoni w Wenecji, oraz do określenia z *Eneidy* Wergiliusza (VIII 698): *omnigenumque deum monstra et latrator Anubis / contra Neptunum et Venerem contraque Minervam / tela tenent* (Przeróżnych bogów larwy i szczekacz zuchwały Anub w Neptuna, Wenus i Minerwę strzały mieczą; tłum. Tadeusz Karyłowski). Anubis to egipski bóg świata zmarłych, przedstawiany z głową szakala. Najprawdopodobniej Swann przywołuje tutaj skojarzenie z lektury książki Johna Ruskina *St Mark's Rest* (1884), w której określenie z Wergiliusza pojawia się jako tytuł rozdziału omawiającego ewolucyjną ciągłość starożytnych motywów smoka oraz zabójcy potworów w postaci św. Teodora Tyrona, pierwszego patrona Wenecji, jako zabójcy smoka, co przeniesiono później na św. Jerzego. [przypis edytorski]

⁴⁴⁸Joanna Szalona (1479–1555) — córka Izabeli I Katolickiej i Ferdynanda II Katolickiego, nominalna królowa Kastylii (od 1504) i Aragonii (od 1516); zdradzała objawy niezrównoważenia psychicznego; po śmierci jej męża, Filipa I Pięknego, księcia Burgundii z rodu Habsburgów, została odsunięta od władzy i uwięziona, rządy w jej imieniu sprawował ojciec, następnie syn. [przypis edytorski]

Tarentu żołnierzowi, który mógł być tęgim wiarusem, ale w danym przedmiocie cesarz rozrządził tym, co do niego należało, bardziej jeszcze niż Napoleon III, kreując księcia de Montmorency, bo Périgord miał bodaj matkę Montmorency, podczas gdy Tarent Napoleona I miał jedynie życzenie Napoleona, żeby był Tarentem. Co nie przeszkodziło, że Chaix d'Est-Ange, robiąc aluzję do twojego wuja Condé, spytał cesarskiego prokuratora, czy znalazł tytuł księcia de Montmorency w rowach Vincennes.

— Słuchaj, Błażeju, nie mam nic przeciw temu, aby wędrować za tobą do rowów Vincennes, a nawet do Tarentu. I w związku z tym, mój drogi Lolo, oto co chciałam panu powiedzieć, gdy mi pan mówił o swoim świętym Jerzym z Wenecji. Mamy właśnie zamiar z Błażem spędzić przyszłą wiosnę we Włoszech i na Sycylii. Gdyby się pan tak wybrał z nami, pomyśl, Lolo, co by to była za różnica! Nie mówię już o przyjemności takiego towarzystwa, ale niech pan sobie wyobrazi, z tym wszystkim, co mi pan nieraz opowiadał o pamiątkach podboju normandzkiego i o pamiątkach starożytności, niech pan sobie wyobrazi, czym by się stała taka podróż odbyta z panem! Myślę, że nawet Błażej, co ja mówię, nawet Gilbert, skorzystaliby na tym, bo czuję, że zgoła pretensje do korony Neapolu i wszystkie te historie zainteresowałyby mnie, gdyby mi je pan tłumaczył w starych kościołach romańskich albo w miasteczkach wiszących u skały, jak na obrazach prymitywów. Ale musimy obejrzeć pańską fotografię. Rozwińcie — rzekła księżna do lokaja.

— Ależ, Oriano, nie dziś! Obejrysz to jutro — błagał książe, który dawał mi już znaki przerażenia, widząc ogrom fotografii.

— Ale mnie bawi oglądać to z Lolem — rzekła księżna z uśmiechem zarazem sztucznie pożądlivym i sprytnie psychologicznym, bo pragnąc być miłą dla Swanna, mówiła o rozkoszy oglądania tej fotografii niby o przyjemności, z jaką chory zjadłby pomarańczę, lub tak jakby równocześnie układała eskapadę z przyjaciółmi i objaśniała biografa o swoich przynoszących jej zaszczyt gustach.

— No więc Swann przyjdzie do ciebie specjalnie — oświadczył książe, któremu żona wreszcie musiała ustąpić. — Spędzicie przed tym trzy godziny razem, jeżeli was to bawi — rzekł ironicznie. — Ale gdzie ty pomieścisz zabawkę tych rozmiarów?

— Ależ w sypialni; ja chcę to mieć przed oczami.

— A, tak, to doskonale: jeżeli w twojej sypialni, mam nadzieję nie ujrzyć tego nigdy — rzekł książe, nie uważając, że mimo woli odsłania niebacznie negatywny charakter swoich stosunków małżeńskich.

— Więc, proszę, odpakujesz to bardzo starannie — zaleciła pani de Guermantes służącemu (mnożyła upomnienia przez uprzejmość dla Swanna). — Staraj się nie zniszczyć koperty.

— Trzeba nam szanować nawet kopertę — rzekł do mnie książe, wznosząc ręce do nieba. — Ale wiesz, Swann — dodał — ja, który jestem tylko biednym, bardzo prozaicznym mężem, najbardziej w tym wszystkim podziwiam to, żeś ty mógł znaleźć kopertę podobnych rozmiarów. Gdzieś ty to wyszperał?

— To zakład fotograficzny; często miewa tego rodzaju wysyłki. Ale to chamy, bo widzę, że napisali tutaj po prostu „pani de Guermantes”, bez dodatków.

— Przebaczam im — rzekła z roztargnieniem księżna, po czym, uderzona nagle myślą, która ją rozweseliła, powściągnęła lekki uśmiech; ale wracając szybko do Swanna, spytała: — Więc co, nie mówi Lolo, czy pojedzie z nami do Włoch?

— Droga pani, sądzę, że to nie będzie możliwe.

— Ha, pani de Montmorency ma więcej szczęścia. Był pan z nią w Wenecji i Vicenzy. Powiedziała mi, że z panem widzi się to, czego by się nigdy nie widziało inaczej, o czym nikt nigdy nie mówił; że pan jej pokazał nawet wśród rzeczy znanych rzeczy niesłychane; że mogła w ten sposób zrozumieć szczegóły, koło których bez pana przeszłaby dwadzieścia razy, nie zauważwszy ich. Stanowczo, większe ma u pana łaski od nas... Weźmiesz tę ogromną kopertę z fotografii pana Swann — rzekła księżna do służącego — i złożysz ją, zagiętą, w moim imieniu, dziś o wpół do jedenastej wieczorem u pani hrabiny Molé.

Swann parsknął śmiechem.

— Chciałabym jednak wiedzieć — rzekła pani de Guermantes — w jaki sposób na dziesięć miesięcy naprzód może pan wiedzieć, że to będzie niemożliwe.

— Droga księżno, powiem pani, jeżeli pani na tym zależy, ale przede wszystkim widzi pani, że ja jestem bardzo chory.

— Tak, Lolo, uważam, że pan wcale niedobrze wygląda, nie jestem zadowolona z pańskiej cery; ale ja nie proszę pana o to za tydzień, proszę o to za dziesięć miesięcy. Przez dziesięć miesięcy ma się pan czas leczyć, wie pan.

W tej chwili lokaj przyszedł oznajmić, że powóz zajechał.

— No, Oriano, na koń — rzekł książę, który już od dobrej chwili parskał z niecierpliwości, tak jakby był sam jednym z koni, które czekały.

— No więc, w jednym słowie: przyczyna, która panu nie pozwoli pojechać do Włoch? — pytała księżna, wstając, aby się z nami pożegnać.

— Ależ, droga księżno, przyczyna ta, że wówczas od kilku miesięcy... nie będę żył. Zdaniem lekarzy, których radziłem się z końcem ubiegłego roku, choroba, na którą cierpię i która może zresztą zmieść mnie od razu, nie zostawia mi w każdym razie więcej niż trzy lub cztery miesiące życia, a jeszcze to jest maksimum — odparł Swann, uśmiechając się, podczas gdy lokaj otwierał szklane drzwi, aby przepuścić księżnę.

— Co mi pan opowiada! — wykrzyknęła księżna, zatrzymując się przez sekundę w drodze ku powozowi i podnosząc swoje piękne oczy, błękitne i melancholijne, ale pełne niepewności. Znalazłszy się po raz pierwszy w życiu między dwoma tak odmiennymi obowiązkami, jak wsiąść do karety, aby jechać na proszony obiad, a objawić współczucie człowiekowi, który ma umrzeć, nie znalazła w kodeksie światowym nic, co by jej wskazało właściwą drogę, i nie wiedząc, któremu z dwóch obowiązków ma dać pierwszeństwo, uznała za właściwe udać, że nie wierzy, aby druga alternatywa mogła istnieć, tak aby móc iść za pierwszą, wymagającą w tej chwili mniej wysiłku; po czym pomyślała, że najlepszym sposobem rozwiązania konfliktu jest zaprzeczyc mu.

— Żartuje pan — rzekła do Swanna.

— Byłby to żart w uroczym guście — odparł ironicznie Swann. — Nie wiem, po co to pani opowiadam, nie mówiłem pani o swojej chorobie dotąd. Ale ponieważ księżna mnie pytała, obecnie zaś mogę umrzeć lada dzień... Ale zwłaszcza nie chcę, aby się pani spóźniła, ma pani obiad — dodał Swann, ponieważ wiedział, że dla drugich własne ich światowe obowiązki więcej znaczą niż śmierć przyjaciela, i ponieważ wrodzona grzeczność kazała mu się postawić na ich miejscu. Ale księżnej znowuż grzeczność pozwalała mglisto spostrzec, że ten obiad, na który szła, musi dla Swanna mniej znaczyć niż własna jego śmierć. Toteż, wciąż posuwając się w stronę powozu, pochyliła plecy, mówiąc:

— Niech się pan nie troszczy o ten obiad. To nie ma żadnego znaczenia!

Ale te słowa wprawiły w zły humor księcia, który wykrzyknął:

— Słuchaj, Oriano, zamiast się tak rozgadywać i oddawać się jeremiadom⁴⁴⁹ ze Swannem, pamiętaj, że pani de Saint-Euverte przestrzega tego, aby siadać do stołu punkt o ósmej. Trzebaż wiedzieć, czego ty chcesz; już dobrych pięć minut konie czekają. Przepraszam cię, Karolu — rzekł, obracając się do Swanna — ale jest już za dziesięć ósma. Oriana jest zawsze spóźniona, trzeba nam więcej niż pięć minut, aby dotrzeć do starej Saint-Euverte.

Pani de Guermantes skierowała się z determinacją do powozu, żegnając ostatni raz Swanna.

— Wie pan, pomówimy o tym jeszcze, nie wierzę ani słowa w to, co pan mówi; ale trzeba o tym pomówić. Przestraszono pana idiotycznie, niech pan przyjdzie na śniadanie w dniu, który pan sam oznaczy (dla pani de Guermantes wszystko streszczało się zawsze w śniadaniu) powie mi pan dzień i godzinę...

I podnosząc czerwoną spódnicę, postawiła nogę na stopniu. Miała wejść do karety, kiedy, widząc tę nogę, książę wykrzyknął straszliwym głosem:

— Oriano! Nieszczęsna, coś ty chciała zrobić! Nie zmieniłaś trzewików! Przy czerwonej sukni! Leć prędko włożyć czerwone pantofelki albo — rzekł do lokaja — ty powiedz prędko pokojowej księżnej pani, żeby tu zniosła czerwone pantofelki.

⁴⁴⁹jeremiada — narzekanie, biadanie; nazwa utworzona od imienia biblijnego proroka Jeremiasza, który wzywał do zmiany postępczego i przewidywania nieszczęść, jakie mogą stąd wynikać. [przypis edytorski]

— Ależ, mój drogi — odparła z cicha księżna, zażenowana tym, że Swann, który wychodził ze mną, ale chciał przepuścić powóz, może usłyszeć — skoro jesteśmy spóźnieni...

— Ależ nie, mamy masę czasu. Jest dopiero za dziesięć ósma, nie potrzeba dziesięciu minut na to, aby zjechać do parku Monceau. A przy tym, co chcesz, choćby miało być w pół do dziewiątej, poczekają; nie możesz przecie jechać w czerwonej sukni i w czarnych pantofelkach. Zresztą nie będziemy ostatni, nie bój się, mają być Sassenage'owie, wiesz, że nigdy nie zjawiają się przed trzema kwadransami na dziewiątą⁴⁵⁰.

Księżna pobiegła do swego pokoju.

— No i co — rzekł do nas pan de Guermantes — biedni mężowie, dosyć z nich sobie świat nakpi, ale mają zalety. Beze mnie Oriana poszłaby na obiad w czarnych pantofelkach.

— To nie jest brzydkie — rzekł Swann — zauważyłem czarne pantofelki i nic mnie nie raziły.

— Nie będę ci przeczył — odparł książę — ale zawsze to bardziej elegancko, aby były tego samego koloru co suknia. A przy tym, bądź spokojny: ledwo przyjechałaby na miejsce, spostrzegłaby się i wtedy ja musiałbym dyrdać po czerwone pantofelki. Jadłbym obiad o dziewiątej. Do widzenia, dzieci — rzekł, odpychając nas lekko — idźcie sobie, zanim Oriana zjeździe. Nie dlatego aby nie lubiła widzieć was obu. Przeciwnie, dlatego że was zanadto lubi. Jeżeli was jeszcze tu zastanie, znów zacznie gadać, jest już bardzo zmęczona, przyjedzie na obiad: trup. A wreszcie, przyznam się wam szczerze, że umieram z głodu. Jadłem śniadanie ot, na chybicka, na wysiadanym z pociągu. Był wprawdzie ten przeklęty sos *bearnaise*, ale mimo to przyznam się, że nie gniewałbym się, ale to wcale a wcale, żeby już siąść do stołu. Za pięć ósma! Och, kobiety! Rozchorujemy się oboje na żołądek. Oriana jest o wiele mniej odporna, niżby ktoś przypuszczał.

Książę nie robił sobie najmniejszej ceremonii z tym, aby mówić o niedomaganiach żony i swoich własnych do umierającego; po prostu dlatego że go bardziej interesowały, wydawały mu się ważniejsze. Toteż jedynie przez dobre wychowanie i przez jowialność⁴⁵¹, splawiwszy nas grzecznie, szeroko krzyknął stentorowym⁴⁵² głosem z drzwiczek karety do Swanna, który był już na dziedzińcu:

— A ty, Swann, nie daj sobie wmawiać głupstw lekarzom, u diaska! To są osły. Jesteś zdrów jak tur. Pochowasz nas wszystkich!

⁴⁵⁰trzy kwadrans na dziewiątą (daw.) — dziś: trzy kwadransy po ósmej, ósma czterdzieści pięć. [przypis edytorski]

⁴⁵¹jowialność — pogodne usposobienie, dobroduszość. [przypis edytorski]

⁴⁵²stentorowy głos — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/strona-guermantes-czesc-druga>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Strona Guermantes, Część druga*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1938; M. Proust, *Strona Guermantes*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Magdalena Szudziak, Paulina Choromańska, Tadeusz Boy-Żeleński, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0711-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.